



BRENDA JOYCE



MASKARADA

Cykl: "Ród de WARENNE'ÓW" - 01

PROLOG

Księżę i bohater

Lizzie, chcąc nie chcąc, słyszała każde słowo matki.

Niżej pochyliła się nad książką, usiłując skupić się na tekście, ale było to niemożliwe, gdyż na nią patrzono. W dodatku się zarumieniła.

- Owszem, unika towarzystwa, ale tylko dlatego, że jest nieśmiała.

Naturalnie nie kierują nią złe intencje. W dodatku ma dopiero dziesięć lat! Jestem pewna, że z czasem stanie się równie urocza jak moja droga Anna. O, Anna to prawdziwa piękność, czyż nie? A Georgina May jest istnym wzorem najstarszej córki. Zawsze mi pomaga i jest bardzo rozważna - oznajmiła pani Fitzgerald.

- Nie pojmuję, Lidio, jak pani potrafi wszystko ogarnąć, mając trzy córki w tak zbliżonym wieku - stwierdziła dama, rozmawiająca z matką. Była siostrą pastora i przyjechała tu na krótko z Corku. - W każdym razie ma pani szczęście. Nie ulega wątpliwości, że Anna wspaniale wyjdzie za mąż, kiedy dorośnie. Przy takiej urodzie nie trzeba się o nią martwić. Georgina May też ma swoje zalety. Wydaje mi się, że i ona może w przyszłości stać się całkiem przystojną kobietą.

- W to nie wątpię - oświadczyła z mocą pani Fitzgerald, jakby mogło to pomóc w urzeczywistnieniu tego marzenia. - Jestem przekonana, że Lizzie też ułoży sobie życie. Przecież pozbędzie się tego dziecięcego tłuszczyku, czyż nie?

Nastąpiło krótkie milczenie.

- Na pewno schudnie pod warunkiem, że nie będzie objadała się łakociami. Jeśli jednak wyrośnie na uczoną kobietę, trudno będzie pani znaleźć dla niej odpowiedniego męża - zawyrokowała siostra pastora. - Na pani miejscu bacznie bym jej się przyglądała. Czy nie jest nazbyt młoda, żeby spędzać czas na lekturze?

Lizzie zrezygnowała z prób czytania i mocno przycisnęła książkę do piersi, jakby na znak, że nie da jej sobie odebrać. Rumieniec jeszcze się pogłębił, bo zdecydowanie wolałaby, żeby rozmowa toczyła się na inny temat. Na szczęście matka i siostra pastora ruszyły ku reszcie dorosłych. Lizzie odetchnęła z ulgą.

Może piknik nad jeziorem istotnie był niewłaściwym miejscem do czytania. Zjechało się sporo ludzi - cała jej rodzina, najbliżsi sąsiedzi i jeszcze pastor z rodziną. W sumie siedmioro dorosłych i sześcioro dzieci, z nią włącznie. Jej siostry właśnie bawiły się z kolegami w piratów. Krzyki i śmiechy raz po raz zakłócały sielskie letnie popołudnie. Lizzie zerknęła w tamtą stronę i na chwilę zatrzymała wzrok na Annie, która - wybrana do roli skrzywdzonej damy - udawała, że płacze. Najstarszy syn pastora usiłował ją pocieszyć, a jego młodszy brat i chłopak od sąsiadów podkradali się do nich z kijami w dłoniach. Niewątpliwie byli piratami. Georgie leżała na ziemi jako ofiara wypadku.

Lizzie nie zaproszono do zabawy. Zresztą wcale by sobie tego nie życzyła. Czytanie pasjonowało ją od chwili, gdy poznała pierwsze litery, a w ciągu ostatniego pół roku zdarzył się cud: większość słów układała się w sensowne wyrazy i zdania. Lektura stała się jej ulubionym zajęciem; nie sprawiało jej różnicy, co czyta, choć najbardziej lubiła wzruszające opowieści o dzielnych bohaterach i szlochających damach. Ostatnio sięgnęła po jedną z książek sir Waltera Scotta i nie miało dla niej znaczenia, że przebrnięcie przez stronę zabiera jej ponad godzinę.

Raz jeszcze zerknęła za siebie i przekonała się, że została samą. Dorośli rozsiedli się na kocach, pochłonięci otwieraniem koszyków zjedzeniem. Siostry bawiły się z chłopakami. Lizzie poczuła dreszczyk emocji i znów otworzyła książkę. Zanim jednak zdążyła wrócić do ostatniego akapitu, brzegiem jeziora nadjechała grupka jeźdźców. Męskie głosy brzmiały donośnie i młodo. Gdy Lizzie podniosła głowę znad tekstu, przybysze właśnie zeskakiwali z koni niedaleko od zajmowanego przez nią miejsca.

Spostrzegła, że grupka składa się z pięciu kilkunastoletnich chłopców, i bardzo ją to zaciekało. Mieli piękne konie czystej krwi i kosztowne, szykownie skrojone stroje, które niewątpliwie wskazywały na arystokratów. Przekrzykując się i dokazując, ściągnęli surduty i koszule, odsłaniając smukłe, opalone torsy. Najwyraźniej zamierzali popływać.

Czy przyjechali z Adare? Hrabia Adare był jedynym arystokratą w okolicy, miał trzech synów i dwóch pasierbów.

Lizzie znów przycisnęła książkę do piersi, przyglądając się, jak wysoki blondyn nurkuje, a za nim drugi chłopak, mniejszy i ciemnowłosy. Wśród radosnych okrzyków dołączyli do nich jeszcze dwaj inni, pryskając wodą na wszystkie strony. Lizzie się uśmiechnęła. Nie umiała pływać, ale wyglądało to zabawnie.

Przeniosła wzrok na chłopca, który nadal stał na brzegu. Był bardzo wysoki, skórę miał śniadą, włosy kruczoczarne, a ciało niezwykle muskularne. Patrzył w tej chwili wprost na Lizzie. Szybko pochyliła się nad powieścią.

- Ej, grubasie, daj mi to! - rozległ się nagle głos młodszego syna pastora. Wyrwał jej tomik z rąk i odbiegł kilka kroków.

- Willie O'Day! - wykrzyknęła Lizzie, zrywając się z ziemi. - Oddaj mi książkę, ty draniu.

- Chodź i sobie weź! - zawołał Willie, odbiegając kilka kroków.

Był od Lizzie o trzy lata starszy i o dobre kilka cali wyższy. Nie znosiła go, ponieważ miał paskudny charakter. Spróbowała złapać tomik, ale Willie uniósł zdobycz wyżej, poza zasięg jej rąk.

- Mól książkowy - rzekł z pogardą.

Wyciągnął rękę, ale gdy Lizzie chciała odebrać swoją własność, odwrócił się i rzucił książkę prosto do jeziora.

Lizzie wydała stłumiony okrzyk, patrząc, jak białe kartki unoszą się na wodzie, niedaleko brzegu. Do oczu napłynęły jej łzy. Willie się zaśmiał.

- Jeśli chcesz ją mieć, to idź po nią, pulpecie - zakpił, odchodząc.

Lizzie bez namysłu pobiegła, pochyliła się, stojąc na brzegu jeziora, i wyciągnęła rękę, lecz omsknęła jej się noga. Znalazła się pod wodą, wynurzyła głowę, ale zachłysnęła się, nabrała do ust jeszcze więcej wody i krztusząc się, znów znikła pod powierzchnią jeziora. Ogarnęła ją panika. Zaczęła rozpaczliwe się miotać.

Nagle chwyciły ją mocne ręce i wydobyły z toni. Znalazłszy się w ramionach wybawcy, Lizzie wtuliła się w jego pierś, krztusząc się i szlochając jednocześnie. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała w tak ciemne niebieskie oczy, jakich jeszcze nie widziała.

- Nic ci się nie stało? - spytał młodzieniec, przyglądając jej się z uwagą.

Lizzie otworzyła usta, ale nie zdołała wybąkać ani słowa. Serce łomotało jej jak szalone.

- Czy jesteś księciem? - spytała szeptem.

- Nie, maleńka, nie jestem - odparł z uśmiechem. Nie uwierzyła. Pełna podziwu, nie potrafiła oderwać wzroku od urodziwej twarzy.

- Nic ci nie jest?! Czy mojemu drogiemu dziecku nic się nie stało?! - wykrzykiwała histerycznie pani Fitzgerald.

Nieznajomy położył Lizzie na kocu.

- Chyba nie - odparł. - W taki ciepły dzień ubranie i włosy zaraz wyschną.

- Lizzie! - Nadbiegł blady z przerażenia pan Fitzgerald. - Córeczko, dlaczego podeszłaś tak blisko do jeziora!?

- Wszystko dobrze, papo.

- Jesteśmy na zawsze pana dłużnikami, lordzie Tyrell - oświadczyła pani Fitzgerald, chwytając młodzieńca za rękę.

- To niepotrzebne, pani Fitzgerald. Córnica jest cała i zdrowa, to mi wystarczy za podziękowanie.

Lizzie nagle uświadomiła sobie, kogo ma przed sobą: najstarszego syna hrabiego Adare i jego dziedzica, Tyrella de Warenne.

Cóż, od razu wiedziała, że to książkę albo ktoś równie ważny. W południowej części Irlandii hrabia Adare był przecież niemal królem.

Tymczasem otoczyli ich bracia i kuzyni młodego dziedzica, przejęci i zaintrygowani. Tyrell odwrócił się, a oni natychmiast się rozstąpili, robiąc mu przejście. Chwilę później Tyrell wrócił i podał Lizzie ociekającą wodą książkę.

- Chyba będziesz potrzebować nowego egzemplarza - powiedział z uśmiechem.

- Lordzie Tyrell, pozostajemy pańskimi dłużnikami - oznajmił z powagą pan Fitzgerald.

Tyrell rozejrzał się i twarz mu stężała. Lizzie podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła Williego O'Daya, który rzucił się do ucieczki. Tyrell dogonił go bez trudu i chwycił za ucho. Ignorując okrzyki bólu jeńca, zaciągnął go przed Lizzie.

- Na kolana! Poproś tę małą damę o przebaczenie - polecił. - W przeciwnym razie popamiętasz.

Pierwszy raz w życiu Willie wykonał to, co kazano mu zrobić. Łkając, zaczął błagać Lizzie, żeby mu wybaczyła.

CZEŚĆ PIERWSZA

Październik 1812 - lipiec 1813

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znamienne spotkanie

Elizabeth Anne Fitzgerald wpatrywała się w stronicę trzymanej w dłoniach powieści, ale ani jedno słowo nie chciało nabrać sensu. Litery zamazywały jej się przed oczami, jakby nie miała na nosie okularów. Z westchnieniem zamknęła książkę. Doszła do wniosku, że i tak nie uda jej się skupić. Znadto ekscytował ją jutrzejszy dzień. Ekscytował, lecz i budził obawy.

Pan Fitzgerald siedział przy stoliku z wczorajszym wydaniem „Dublin Times”. Sięgając po filiżankę, szeleścił stronami, nie przestając czytać jakiegoś artykułu. Lizzie słyszała dochodzące z góry głosy starszych sióstr i matki. Obcasy stukwały to tu, to tam, wskazując na to, że panie niecierpliwie się kręciły. Dobiegały też jękliwy głos Anny i energicznie brzmiący Georgie. Matka wydawała rozkazy niczym żołnierz.

Lizzie wlepiła wzrok w ojca z nadzieją, że podniesie głowę. Chciała z nim porozmawiać, choć nie była pewna, czy potrafiłaby komukolwiek się zwierzyć.

- Co tak patrzysz, Lizzie - powiedział, nie podnosząc głowy. - Coś się stało?

- Czy taki niepokój jest normalny?

Pan Fitzgerald zerknął znad gazety i uśmiechnął się ciepło.

- To tylko bal - odrzekł. - Dla ciebie pierwszy, ale na pewno nie ostami.

Był niskim mężczyzną z przedwcześnie posiwiałymi włosami, siwymi bokobrodami i zawsze łagodnym wyrazem twarzy. Podobnie jak Lizzie, nosił

okulary w metalowej oprawce, ale używał ich nie tylko do czytania. Jeśli Lizzie miała pretensje do losu, to właśnie, że po tak wspaniałym ojcu odziedziczyła akurat słaby wzrok.

Pochyliła głowę, nie chcąc, aby ojciec odgadł jej myśli. Bądź co bądź, skończyła szesnaście lat i praktycznie była dorosłą kobietą. Nie chciała, żeby ktokolwiek w rodzinie podejrzewał ją o hołubienie dziecinnych fantazji. Jednak ojca nie dało się zwieść. Odłożywszy gazetę, przyjrzał jej się z uwagą.

- Córeczko, to tylko bal. Zresztą byłaś już w tym domu. - Chodziło naturalnie o dom hrabiego Adare. - Kochanie, wszyscy widzimy, że od kilku dni dziwnie się zachowujesz. Straciłaś apetyt, a przecież tak bardzo lubisz jeść. Co cię dręczy?

Chciała zachować się miło, ale nie potrafiła przywołać uśmiechu na twarz. Co miała powiedzieć? Zauroczenie młodzieńcem, który uratował ją przed utonięciem, bawiło rodzinę, gdy Lizzie miała dziesięć lat. Trzy lata później wywoływało już pełne troski uwagi i zdziwienie.

Rok potem, któregoś dnia, Lizzie wypatrzyła Tyrella de WARENNE w mieście z piękną, elegancką panną i wtedy w pełni uświadomiła sobie nedorzecznosc swoich marzeń. Obecnie jej zadurzenie wydawało się zupełnie nie do przyjęcia, tym bardziej że wkrótce zostanie przedstawiona w towarzystwie i zadebiutuje.

Wiedziała jednak, że zobaczy go podczas maskarady w wigilię Wszystkich Świętych. Siostry Lizzie twierdziły, że zaproszonych gości traktuje w sposób uprzejmy i ujmujący, a kobiety próbują go oczarować i snują na jego temat najrozmaitsze domysły. W kręgach towarzyskich nie było takiej matrony, która nie miałaby nadziei, że zdoła nastawić Tyrella de WARENNE życzliwie do swojej córki. Wprawdzie powszechnie było wiadomo, że o ożenku dziedzica i tak zdecyduje rodzina, ale w niczym nie przeszkadzało to żywieniu złudzeń.

Od samej myśli o ujrzeniu go na balu puls Lizzie gwałtownie przyspieszył. Nagle nie wiadomo skąd przed jej oczami pojawiał się obraz:

galopowali dokądś we dwoje na siwym ogierze. Właśnie Tyrell zatrzymał konia i wziął ją w ramiona. Poczowała jego oddech na policzku...

- Lizzie? - wyrwał ją z zamyślenia głos ojca.
- Chciałabym... - zaczęła impulsywnie i urwała.
- Czego byś chciała, kochanie?

Ojciec był jej znacznie bliższy niż matka może dlatego, że tak samo jak ona uwielbiał czytać i miał marzycielską naturę. W niejeden deszczowy dzień siedzieli w wielkich fotelach w salonie przed kominkiem, każde ze swoją lekturą.

- Chciałabym mieć urodę Anny - szepnęła. - Tylko raz... jutro wieczorem. Ojciec szeroko otworzył oczy ze zdumienia.
- Przecież jesteś ładna! - zawołał. - Masz zupełnie wyjątkowe szare oczy.

Pomyślała ciepło o ojcu, wiedziała bowiem, że trudno byłoby mu wymyślić inny komplement, i właśnie wtedy usłyszała szybkie kroki matki, schodzącej z góry.

- Lizzie!

Wymienili z ojcem znaczące spojrzenia. Lekko histeryczny ton mamy zdradzał, że dzieje się coś niedobrego i że najmłodsza córka ma niezwłocznie temu zaradzić. Lizzie nie znosiła konfliktów i z tego powodu najczęściej odgrywała w rodzinie rolę rozjemcy. Wstała więc pewna, że wie, o co chodzi.

Pani Fitzgerald wbiegła do salonu. Na policzkach rozlały się jej czerwone plamy. Podobnie jak Lizzie, była blondynką, choć modnie ostrzyżoną na krótko, zgodnie z wymogami fryzury zwanej *la victime*, podczas gdy długie, niesforne włosy Lizzie były dość niedbale upięte. Matkę i córkę upodabniały też średni wzrost i pulchna figura, tak że - ku smutkowi tej drugiej - z daleka można je było nawet pomylić. Lidia Jane Fitzgerald przystanąła przed córką tak gwałtownie, że omal się nie przewróciła.

- Musisz porozmawiać ze swoją siostrą, bo nie potrafię przemówić jej do rozsądku. Co za uparta i niewdzięczna dziewczyna! Georgina oświadczyła, że

nie idzie na bal. Taki skandal! Taka kompromitacja! Hrabina, niech Bóg zachowa ją w zdrowiu, nigdy nam tego nie wybaczy. Na miłość boską, przecież Georgina jest najstarsza. Jak ma znaleźć kandydata na męża, jeśli odmawia pójścia na najważniejsze wydarzenie towarzyskie w roku?! Czy naprawdę chce skończyć z mężem rzeźnikiem albo kowalem?

Lizzie stłumiła westchnienie, a tymczasem na schodach pojawiła się wysoka i smukła Georgina. Niezdrowy rumieniec na policzkach kontrastował z odcieniem jej włosów, nieco ciemniejszych niż u siostry. Na twarzy miała wyraz determinacji, nasuwający myśl o tym, że z jej strony nie ma mowy o kompromisie.

- Porozmawiam z Georgie, mam - zadeklarowała Lizzie.

- To nie wystarczy! - wykrzyknęła pani Fitzgerald, jakby Georgie nie było. - Dostajemy zaproszenie do hrabiego tylko dwa razy do roku. Byłoby prawdziwą obelgą, gdyby moja rodzina ośmieliła się je zlekceważyć!

Pierwsze stwierdzenie było zgodne z prawdą. Hrabstwo Adare zapraszali mnóstwo gości dwa razy do roku. W wigilię Wszystkich Świętych urządzali bal kostiumowy, a w dniu świętego Patryka - przyjęcie na świeżym powietrzu. Pani Fitzgerald żyła od jednego z tych dni do drugiego, oba bowiem dawały okazję spotkania z elitą irlandzkiego społeczeństwa. Cała rodzina wiedziała, że matka modli się, aby któregoś dnia przynajmniej jedna z jej córek usidliła bogatego właściciela ziemskiego, może nawet któregoś młodzieńca de Warenne'ów. Lizzie wiedziała jednak, że te rachuby nie mają realnych podstaw. Wprawdzie Lidia Jane Fitzgerald powoływała się na pochodzenie z linii celtyckiej o królewskich koligacjach, ale de Warenne'owie zajmowali nieporównanie wyższą pozycję od Fitzgeraldów.

Lizzie wiedziała, że matka chce jak najlepiej, ale bardzo się boi, że córki nie wyjdą dobrze za mąż. Musiała przyznać, że stara się ona porządnie ubrać i nakarmić córki ze skromnych dochodów męża, a co więcej, przedstawić je w

towarzystwie tak, jakby nie pochodziły ze zbiedniałej szlachty. Również Georgie zdawała sobie z tego sprawę.

- Nikt nie zauważy, że mnie nie ma, mam - odezwała się typowym dla siebie stanowczym tonem. - Nie warto się oszukiwać i wmawiać sobie, że jest inaczej. Zważywszy zaś na wielkość dochodów ojca i fakt, że Anna na pewno znajdzie męża pierwsza, co pochłonie wszystkie środki zarezerwowane na posag, szczerze wątpię, czy mam szansę na kogoś lepszego niż rzeźnik albo kowal.

Lizzie zdumiała zuchwałość siostry. Niezwykle rzadko zdarzało się, żeby matce odebrało mowę. Ojciec kaszlnął, zasłaniając usta dłonią, najwyraźniej walcząc z objawami rozbawienia. Pani Fitzgerald zatrzęsała się z oburzenia.

- Poświęciłam całe życie, aby tobie i twoim siostram znaleźć mężów. A ty odmawiasz jazdy do Adare, Georgino May! I mówisz o małżeństwie z - wzdygnęła się ostentacyjnie - z człowiekiem najniższej kategorii. - Powiedziawszy to, szlochając, wybiegła z pokoju śniadaniowego.

Zapadło milczenie. Pan Fitzgerald spojrzął z wyrzutem na Georgie.

- Zostawię was same, żebyście rozwiązały problem - powiedział do obu córek, a potem zwrócił się do Georgie: - Wierzę, że postąpisz właściwie. - Z tymi słowami wyszedł.

Georgie, posępna i zrezygnowana, spojrzała na Lizzie.

- Doskonale wiesz, że nie znoszę takich zgromadzeń - stwierdziła. - Miałam nadzieję, że przynajmniej tego jednego uda mi się uniknąć.

- Czy to nie ty mówiłaś mi ostatnio, że małżeństwo służy określonymu celowi społecznemu?

Nikt nie umiał zamknąć tematu trafniejszą konkluzją niż właśnie Georgie.

- O ile pamiętam, wyraziłaś również pogląd, że małżeństwo opiera się na wzajemnych korzyściach obu stron - ciągnęła Lizzie.

Prowokacja poskutkowała.

- Rozmawiałyśmy o zaręczynach Helen O'Dell z tym starym durniem, sir Lundenem - zauważyła Georgie.

- Mama bardzo się stara, aby zapewnić nam byt. Wiem, że czasem zachowuje się niemądrze i nawet nieco dziwacznie, ale przecież ma dobre intencje.

Georgie usiadła przy stole.

- Nie musisz mi przypominać o moich winach i bez tego czuję się okropnie.

Lizzie zajęła miejsce obok i wzięła siostrę za rękę.

- Na ogół jesteś uosobieniem spokoju. Co tym razem cię wzburzyło?

Georgie zmierzyła ją poważnym spojrzeniem.

- Chciałam uniknąć pójścia na bal. Miałam nadzieję, że spędzę ten wieczór, czytając „Timesa” papy. To wszystko.

Lizzie wiedziała, że tak nie jest. Nie chodziło o swatanie, bo dwukrotnie zdarzyło się, że matka przyprowadziła kandydata na męża do domu i obu Georgie potraktowała z chłodną uprzejmością, jak przystało na przykładną córkę, chociaż inna dziewczyna na jej miejscu mogłaby popaść w zakłopotanie.

- Nigdy nie poznam nikogo w Adare - orzekła z westchnieniem Georgie. - Mama jest szalona, jeśli jej tak się wydaje. Na balu może znaleźć męża jedynie Anna. Ona i tak ściąga na siebie powszechną uwagę.

Istotnie, Anna była piękna i beztroska, a do tego flirtowała bez umiaru.

- Chyba nie jesteś zazdrosna? - spytała zaskoczona Lizzie, nagle przekonana, że trafiła tym pytaniem w sedno.

- Skądże. Podziwiam Annę, tak jak wszyscy. Jednak to Anna będzie otoczona arystokratycznymi adoratorami, nie ty i nie ja. Po co więc mamy uczestniczyć w balu?

- Jeśli rzeczywiście chciałaś zostać w domu, powinnaś udać migrenę albo, co jeszcze bardziej przekonujące, silną niestrawność - odparła Lizzie.

Georgie wreszcie się uśmiechnęła.

- Nigdy nie miewam migren, a krzepy mógłby mi wół pozazdrościć.

Lizzie dotknęła jej ramienia.

- Myślę, że nie masz racji. Owszem, Anna jest zalotna, ty za to ujmujesz bystrością i dumą. Masz ładną figurę. Któregoś dnia znajdziesz prawdziwą miłość, jestem tego pewna. Może nawet w Adare.

Georgie pokręciła głową, ale jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Naczytałaś się za dużo tanich powieści, niepoprawna romantyczko. Prawdziwa miłość nie istnieje. A poza tym mało który mężczyzna jest skłonny wybaczyć mi przewagę wzrostu.

- To rzeczywiście jest pewien problem, lecz nie wtedy, gdy spotkasz tego jedyne. Jemu nic nie będzie przeszkadzało, nawet zadzieranie głowy.

Georgie oparła się wygodniej.

- Czy to nie byłoby cudowne, gdyby Anna dobrze wyszła za mąż?

Lizzie pochwyciła spojrzenie siostry.

- Masz na myśli kogoś nieprzyzwoicie bogatego? Georgie skinęła głową.

- Mama byłaby w siódmym niebie i skończyłyby się kłopoty finansowe.

Osobiście nie miałabym nic przeciwko pozostaniu starą panną. A ty?

- Wiem, że któregoś dnia znajdziesz wspaniałego mężczyznę - odrzekła z przekonaniem Lizzie. - Jeśli o mnie chodzi, jestem gruba i bardzo pospolitej urody, więc nie mam wyboru. W każdym razie nie przeszkadza mi, że nie znajdę męża - dodała szybko. - Poza tym ktoś będzie musiał zająć się mamą i papą, gdy się zestarzeją. Nie mam złudzeń co do swojego losu, za to głęboko wierzę w twoje szczęście.

- Wcale nie jesteś gruba, tylko trochę zaokrąglona - zaprzeczyła natychmiast Georgie. - Masz wiele uroku. Po prostu zupełnie nie interesujesz się modą, pod tym względem jesteśmy podobne.

W tym momencie Lizzie pomyślała o Tyrellu de Warenne. Słyszała, że w zeszłym roku wystąpił na balu przebrany za arabskiego szejka. Ciekawa była, w jakim kostiumie pokaże się nazajutrz wieczorem.

- Prawdę mówiąc, podejrzewałam, że nie uda mi się zostać w domu - odezwała się Georgie.

- Podoba ci się mój kostium? - spytała Lizzie, która miała wcielić się w lady Marian z ukochanego Robin Hooda.

- Mnóstwo kobiet zrobiłoby wszystko, żeby pochwalić się twoją figurą - stwierdziła Georgie.

- Co masz na myśli? - spytała nieco skrepowana Lizzie. Wiedziała, że jej do przesady smukła siostra czyni aluzję do zmysłowych krągłości.

- Mama będzie zaskoczona, kiedy cię zobaczy - uznała Georgie i chwyciła siostrę za rękę. - Wyglądasz w nim ślicznie.

Lizzie miała nadzieję, że Georgie jest z nią szczerą.

Powtórzyła sobie stanowczo, że Tyrell i tak na pewno ani razu na nią nie popatrzy. Gdyby jednak miał spojrzeć, chciała wyglądać ładnie.

- Ejczoz2405952TcaZSĄ0ch05124Ńaś106324SŁZSaęcąZSŻaTjCa12E nZILSŃa16

tym dziecinnym zadurzeniem koniec, ale Anna i ja wiemy swoje. Jesteśmy twoimi siostrami, moja droga.

Lizzie skapitulowała.

- Jestem ogromnie zdenerwowana - przyznała. - Czy nie będę wyglądać głupio w tym kostiumie? Czy jest szansa, że on na mnie w ogóle spojrzy? A jeśli tak, to co sobie pomyśli? - spytała łamiącym się głosem.

- Nie mam pojęcia, Lizzie, czy zauważy cię wśród tylu gości, ale jeśli tak, to na pewno pomyśli, że jesteś najbardziej uroczą szesnastoletnią debiutantką wśród obecnych - odrzekła stanowczo Georgie.

Lizzie jej nie uwierzyła, ale właśnie w tym momencie do pokoju wróciła pani Fitzgerald. Zmierzyła obie córki groźnym spojrzeniem.

- I co? Czy siostra zdołała przemówić ci do rozumu, Georgino May?

Georgie przybrała skruszoną minę.

- Przepraszam, mamó. Naturalnie pójdę na bal.

- Wiedziałaś, że na Lizzie można liczyć! - wykrzyknęła z zadowoleniem pani Fitzgerald. Przesłała promienne spojrzenie najmłodszej córce, a potem uściskała najstarszą. - Jesteś lojalną i dobrą dziewczyną, Georgino! Teraz chcę z tobą zamienić kilka zdań na temat kostiumu, a Lizzie i tak musi się przygotować, bo wychodzi.

Czas umknął niepostrzeżenie i była już prawie dziesiąta, a co tydzień Lizzie poświęcała kilka godzin, pracując na rzecz sióstr od Najświętszej Marii Panny, mimo że Fitzgeraldowie od dwóch pokoleń nie byli katolikami. Z wielkim oddaniem zajmowała się dziećmi w sierocińcu i zawsze wyczekiwała na następną wizytę.

- Ojej, muszę iść! - wykrzyknęła, wybiegając z pokoju.

- Poproś ojca, to cię zawiezie! - zawołała za nią matka. - Oszczędzisz sobie chodzenia piechotą!

Od kilku dni ciągle padało i błoto na ulicach sięgało kostek. Lizzie musiała przejść prawie pięć mil. Rodzinę stać było tylko na jednego konia i dwukołową kariolkę. Wprawdzie ojciec zawiózł ją na miejsce, ale przyjechać po nią już nie mógł, bo po południu Anna składała wizyty.

Lizzie nie próbowała nalegać, nie chciała też niepotrzebnie wydawać szylinga na dorożkę, ruszyła więc do domu pieszo.

Szare niebo powoli się rozjaśniało i można było mieć nadzieję, że nazajutrz pogoda się poprawi. Lizzie właśnie zamierzała ominąć kałużę, aby przejść ulicę, gdy ktoś pociągnął ją za suknię. Zanim się obejrzała, wiedziała, że to żebraczka. Stara kobieta w przemoczonych łachmanach drżała z zimna.

- Daj pensa, panienko - poprosiła.

- Proszę. - Lizzie bez namysłu wysypała na dłoń kobiety wszystkie monety z sakiewki, zupełnie nie dbając o to, że matka będzie utyskiwać na rozrzutność. - Szczęść Boże.

Żebraczka wytrzeszczyła na nią oczy.

- Bóg zapłać, milady! Niech panienkę Bóg błogosławi, bo jest prawdziwym aniołem miłosierdzia - powiedziała, przyciskając monety do piersi.

- U sióstr od Najświętszej Marii Panny na pewno znajdziesz, kobieto, posłanie i posiłek, jeśli zapukasz do ich bramy.

- Tak zrobię. - Stara skinęła głową. - Dziękuję, bardzo, dziękuję.

Mając nadzieję, że żebraczka istotnie posłucha rady i nie przepije pieniędzy w najbliższej gospodzie, Lizzie weszła na ulicę. Nagle zorientowała się, że ciągnące bardzo wytworny powóz konie pędzą prosto na nią. Dwaj dżentelmeni, siedzący na koźle, zacinali konie, kolejni trzej siedzieli z tyłu, chrapliwie coś wyśpiewując i podając sobie z rąk do rąk butelkę wina. Lizzie zmartwiała.

- Uwaga! - krzyknął ktoś do woźnicy, ten jednak znów smagnął konie biczem i pojazd przyspieszył.

Lizzie odzyskała wreszcie zdolność reakcji i gwałtownie uskoczyła.

- Skrećaj! - krzyknął nagle jeden z dżentelmenów. - Skrećaj, Ormond!

Przerażona Lizzie pośliznęła się i przewróciła w błoto. Czuła grudy przyskające na nią spod kół, widziała końskie podkowy i zbliżające się nieuchronnie wielkie koła. Nieporadnie usiłowała odpełznąć na bok.

Nagle silne ręce szarpnęły jej ciałem. Znalazła się na chodniku w momencie, gdy powóz przetoczył się tuż obok. Ktoś nadal trzymał ją pod ramiona, ale przerażona nie miała siły się ruszyć. Pod policzkiem czuła chłód kamieni, a przed oczami miała kolano klęczącego przy niej mężczyzny. Dopiero po chwili zrozumiała, że właśnie uniknęła pewnej śmierci.

- Niech pani się nie rusza - usłyszała. Wybawca otoczył ją ramieniem. - Proszę pani? Czy pani może mówić?

Lizzie pomału przychodziła do siebie. Głos tego człowieka wydał jej się znajomy, brzmiał mocno i głęboko, a zarazem krzepiąco. Lizzie nieraz słyszała Tyrella de Warenne, nie tylko na przyjęciach w dniu świętego Patryka, lecz również przy okazji kilku jego wystąpień politycznych. Takiego głosu łatwo się nie zapomina.

Korzystając z pomocy wybawcy, spróbowała usiąść. Nagle spojrzała prosto w niezwykle niebieskie oczy, tak ciemne, że prawie czarne. Przed nią istotnie klęczał Tyrell de Warenne. Po raz drugi wybawił ją od niechybnej śmierci.

- Czy jest pani ranna? - spytał, podtrzymując ją troskliwie.

Lizzie nie była w stanie odpowiedzieć.

Naturalnie nieraz wyobrażała sobie spotkanie z Tyrellem, ale w marzeniach dorównywała urodą Annie i była na balu, wystrojona w piękną suknię. Prawda okazała się brutalna. Właśnie siedziała w błocie, i do tego nie potrafiła wypowiedzieć ani słowa.

- Czy pani jest ranna? Może pani mówić?

Lizzie drżała, ale już nie z przerażenia. Opierała się o Tyrella, czuła obejmujące ją ramię, toteż odezwały się uczucia, które do tej pory przeżywała

tylko w samotności sypialni przed świtem. Wiedziała, że musi się odezwać, choć nie była w stanie. Wpatrywała się w Tyrella, ubranego w granatowy surdut, pięknie pasujący do koloru oczu.

- T...tak - wybąkała w końcu. - Mogę mówić... jakimś cudem.

Z bliska Tyrell wyglądał równie okazale, jak w jej wyobraźni. Miał wyjątkowo wyrazistą twarz z wysoko umieszczonymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem i mocno zaciśniętymi ustami, które jednak pamiętała jako pełne. Jednym słowem, roztaczał królewską aurę.

- To musiał być wstrząs. Czy coś panią boli?

- Chyba nie. - Zawahała się. - Nie jestem pewna.

Przewędrował wzrokiem po jej ciele, dokonując pobieżnych oględzin.

- Gdyby jakaś kość była złamana, wiedziałaby to pani bez wątpienia. -
Znów spojrzał jej w oczy, a Lizzie odniosła wrażenie, że jeszcze sposepniał. -
Pomogę pani wstać.

Nie mogła się ruszyć. Przed chwilą omal nie rozjechał jej powóz, ale serce wyrywało jej się z piersi wcale nie z powodu wypadku, lecz wskutek uczuć, jakich szanująca się młoda dama doznawać nie powinna.

Nagle ujrzała Tyrella w innym miejscu i zupełnie innej sytuacji.

Przed oczami miała teraz siwego ogiera w ciemnej, zalesionej dolinie, a obok splecionych w miłosnym uścisku kochanków. Raptownie nabrała ustami powietrza, gdy rozpoznała w kobiecie samą siebie.

- Co się stało? - spytał ostro.

Lizzie oblizwała wargi, usiłując oddalić od siebie to sugestywne wyobrażenie namiętnego pocałunku.

- Nic takiego.

Tyrell przyglądał jej się bardzo uważnie i Lizzie zaczęła podejrzewać, że odgadł jej zawstydzającą skłonność, a co gorsza, równie bezwstydnymi myślami. Objął ją, aby pomóc jej wstać, a ona nie wiedziała, jak się zachować. Czowała zapach sosnowych igieł i przytulającego ją mężczyzny. Odurzał ją subtelnymi

pocałunkami, rozkoszując się smakiem jej ust, a silne ramiona oplatały ją zaskakująco delikatnie.

- Proszę pani? - wyrwał ją z rozmarzenia cichy głos. - Może mnie pani puści?

To brutalnie przywróciło ją do rzeczywistości. Stała na chodniku, kurczowo trzymając się swego wybawcy.

- Milordzie - wyszeptwała przerażona. Odskokczyła raptownie, jednak kątem oka dostrzegła jego uśmiech.

Oblała się rumieńcem. Czyżby właśnie próbowała się narzucać Tyrellowi de Warenne? Jak mogła sobie na coś takiego pozwolić? Czy Tyrell wie o jej szaleńczej miłości? Odwróciła głowę, ale najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Chciałbym złapać tych łajdaków i wytarzać każdego po kolei w błocie - oświadczył Tyrell. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zdumiewająco białą chustkę, którą podał Lizzie.

- Czy pan ich zna?

- Tak. Miałem wątpliwą przyjemność zawarcia znajomości ze wszystkimi pięcioma. To lord Perry, lord O'Donnell, sir Redmond, Paul Kerry i Jack Ormond. Świszczypały pierwszej wody.

- Ależ nie musi ich pan szukać z mojego powodu - powiedziała Lizzie. Zmiana tematu przyniosła jej ulgę. - Jestem pewna, że ta nieuwaga była przypadkowa. - Dopiero teraz uświadomiła sobie rozmiar poniesionych szkód. Błoto miała wszędzie: na spódnicy, na staniku sukni, na odzianych w rękawiczki dłoniach i na twarzy. Zgroza.

- Pani jeszcze ich broni? O mało pani nie zabili!

Zawstydzona swoim stanem, Lizzie zapomniała o podanej chustce.

- Oni naturalnie nie powinni jechać tak szybko przez środek miasta, ale ta sytuacja była niezamierzona. - Była bliska płaczu. Dlaczego nie mogli się spotkać nazajutrz na balu, kiedy miałyby na sobie śliczny kostium lady Marian?

- Pani jest stanowczo za bardzo wyrozumiała - orzekł Tyrell. - Obawiam się, że trzeba im uświadomić niewłaściwość takiego postępowania. Najpierw jednak muszę dostarczyć panią bezpiecznie do domu. - Uśmiechnął się do niej nieznacznie. - Czy mogę panią odprowadzić?

Te słowa całkiem ją rozbroiły. W innych okolicznościach sądziłaby, że Tyrell de Warenne się do niej zaleca. Jeśli odprowadzi ją do Raven Hall, matka wyjdzie na ulicę, będzie się gorączkować i niechcący ją upokorzy. Prawdopodobnie zacznie też nalegać, żeby Tyrell wstąpił na herbatę, a on jako dżentelmen nie będzie w stanie odmówić. Cóż za niezręczna sytuacja, zwłaszcza że matka z pewnością nie omieszkałaby wspomnieć o trzech córkach na wydaniu.

- Bardzo panią przepraszam - odezwał się ponownie, najwidoczniej błędnie zinterpretowawszy jej milczenie. Skłonił się przed nią. - Lord de Warenne, do usług.

- Bardzo pan łaskaw, milordzie, ale sama trafię do domu. Dziękuję za wszystko. Pan jest bardzo uprzejmy. - Wiedziała, że w tym miejscu powinna przerwać, o czym świadczyły jego uniesione przed chwilą brwi, ale nie była w stanie się powstrzymać. - O tym wszyscy wiedzą, bo cieszy się pan opinią niezwykle szlachetnego człowieka. W każdym razie uratował mi pan życie i mam u pana olbrzymi dług wdzięczności. Bardzo chciałabym go spłacić, ale nie wiem jak. Dziękuję z całego serca.

Najwyraźniej czymś go rozbawiła.

- Nie musi pani niczego spłacać. Odprowadzę panią do celu jej wędrówki. - Stanowczy ton nie pozostawiał wątpliwości, że Tyrell de Warenne przywykł do bezwzględnego posłuszeństwa innych.

Lizzie miała wielką ochotę pozwolić, żeby Tyrell ją odprowadził. Niestety, nie mogła się zgodzić na jego propozycję.

- Idę do siostr od Najświętszej Marii Panny - zmyśliła na poczekaniu. - Mam doprawdy dwa kroki.

- Rozumiem, ale mimo wszystko odprowadzę panią do samych wrót. To nie podlega dyskusji.

Zrozumiawszy, że opór zda się na nic, przyjęła jego ramię. I znów zaczęły się problemy. Wiedziała, że powinna skromnie spuścić oczy, tymczasem nie zdołała oderwać wzroku od jego twarzy. Nigdy w życiu nie widziała równie przystojnego i pociągającego mężczyzny.

- Pani mi się przygląda - powiedział cicho, niemal uwodzicielsko.

- Bardzo przepraszam. - Natychmiast odwróciła spojrzenie. - Pan jest taki przy... taki życzliwy - poprawiła się w ostatniej chwili.

Wydawał się zaskoczony.

- Życzliwość nie ma tu nic do rzeczy. Każdy dżentelmen pomógłby kobiecie w opresji.

- Nie sędzę - odparła, odważywszy się przesłać mu kolejne spojrzenie. - Niewielu dżentelmenów byłoby gotowych wskoczyć w błoto i ryzykować życie, żeby uratować obcą kobietę.

- Nie ma pani o nas najlepszej opinii, prawda? Nie powiem jednak, że się temu dziwię, zwłaszcza po dzisiejszym wypadku.

- Nigdy dotąd mężczyzna nie okazał mi tyle względów. - Zawahała się, po czym zdecydowała się na szczerość. - Prawdę mówiąc, większość z nich w ogóle nie zauważa mojej obecności. Wątpię, czy ktokolwiek próbowałby mnie ratować, gdyby akurat pan nie znalazł się w pobliżu.

- Jest mi niezmiernie przykro, że ma pani tak złe doświadczenia z przeszłości. Wydaje mi się to trudne do wyjaśnienia.

Lizzie uznała, że chyba nie był szczery, mówiąc, że on zauważyłby ją w każdych okolicznościach. To zwykła galanteria.

- Pan jest równie szlachetny, jak życzliwy i odważny oraz przystojny - powiedziała entuzjastycznie i dopiero wtedy do jej świadomości dotarło, co jej się wyrwało.

Tyrell de Warenne się roześmiał.

Lizzie spłonęła rumieńcem i wbiła wzrok w ziemię. Ruszyli w stronę bramy klasztoru. Milczenie przerwał Tyrell, wykazując ogromny takt.

- Pani jest bardzo dzielną kobietą. Większość dam dostałaby spazmów w tej sytuacji - stwierdził, nie komentując tej litanii pochlebstw.

- Trudno uznać płacz za odpowiednią reakcję - odparła.

Paradoksalnie, właśnie teraz miała ochotę sobie popłakać. Jednak stanęli przed klasztorną furką.

- Jesteśmy na miejscu.

- Tak. Dziękuję za pomoc, milordzie. Uratował mi pan życie. Wierzę, że któregoś dnia będę miała okazję się zrewanżować.

- Nie ma takiej potrzeby. Spełniłem swój obowiązek... przyjemny obowiązek.

- Muszę iść! Dziękuję! - Lizzie obróciła się na pięcie i pchnęła masywne wrota.

- Proszę pani! Chwileczkę!

Lizzie schroniła się w klasztorным azylu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maskarada

Anna była już ubrana na bal, gdy do wspólnej siostrzanej sypialni weszła ogromnie podekscytowana Lizzie. Do tej pory nie ochłonęła po spotkaniu z Tyrellem de Warenne i wprost nie mogła uwierzyć w to, co zaszło poprzedniego dnia. Tysiąc razy odtwarzała w myślach ich rozmowę i doszła do wniosku, że Tyrell bez wątpienia zauważył, że zadurzyła się w nim po uszy. Nie była pewna, czy w tej sytuacji odważy się iść na bal. A przecież nie mogła zawieść matki.

Poprzedniego dnia udała, że ma migrenę, i zaraz po powrocie do domu zaszyła się u siebie na górze, ani słowem nie wspomniawszy nikomu o spotkaniu. Jeszcze trzymając za klamkę, zamierzała prosić o radę Annę, jednak gdy zobaczyła siostrę, zrezygnowała z tego zamiaru.

Anna stała przed lustrem, sprawdzając, jak prezentuje się w sukni z czerwonego aksamitu, ozdobionej kryzą, wzorowanej na styl elżbietański. Na szyi miała wisiołek z granatu. Tak uroczo jeszcze chyba nigdy nie wyglądała. Trudno było znaleźć się w roli siostry takiej piękności. Od najwcześniejszych lat to Anna była tą, którą wszyscy chwalili i podziwiali. Matka naturalnie pękała z dumy, że ma tak śliczne dziecko, więc opowiadała o tym bez końca, jeśli tylko znalazła słuchacza. Lizzie kochała siostrę, czuła się jednak pospolita, a co gorsza, odrzucona.

Nie lepiej było później, gdy już jako dorastające panny wybrały się z Anną do miasta. Brytyjscy oficerowie zaczepiali Annę i usiłowali odgadnąć jej imię, natomiast na Lizzie kompletnie nie zwracali uwagi. Dostrzegali ją wyłącznie wtedy, gdy miała pomóc wkraść się w łaski Anny. Nawet nie potrafiłaby zliczyć, ile razy mimo woli odegrała rolę swatki.

Ironia losu polegała na tym, że między siostrami istniało pewne podobieństwo, jednak tylko u Anny kombinacja tych cech zbliżała się do

doskonałości. Włosy Anny o barwie miodu układały się w fale, całkiem inne niż miedziane w odcieniu, nieco zmatowiałe loki Lizzie. Oczy czarowały intensywnym błękitem, a choć Lizzie również oczu wstydzić się nie musiała, to były one szare. Nos Anna miała nieco prostszy, kości policzkowe położone odrobinę wyżej, wargi pełniejsze. W dodatku szczyliła się znakomitą figurą, szczupłą, lecz kobiecą. Za Anną oglądali się mężczyźni, Lizzie nie zdarzyło się to ani razu, zupełnie jakby znalazłszy się wśród ludzi, po prostu roztopiała się w tłumie.

Niektórzy zarzucali Annie próżność, ale Lizzie wiedziała, że nie mają racji, choć siostra istotnie mogła narazić się na taką ocenę, tym bardziej że inne kobiety zazdrościły jej względów, jakimi ją otaczano.

Przyjaciółki matki za jej plecami czasem zgryźliwie wyrażały się o Annie „ta płocha”. Tymczasem wcale nie była płocha i nie robiła niczego niestosownego, po prostu zachowywała się wesoło i beztrosko.

- Pięknie wyglądasz. - Lizzie nie umiałaby dostrzec u siostry najmniejszej skazy.

- Naprawdę tak uważasz? - Anna odwróciła się i natychmiast straciła zainteresowanie dla kostiumu, który do tej pory z uwagą oglądała w lustrze. - Ojej! Nawet nie zaczęłaś układać włosów. Spóźnimy się! - wykrzyknęła zawiedziona, po czym spytała z wahaniem: - Czy coś cię dręczy?

Lizzie zdobyła się na wymuszony uśmiech. Przemknęło jej przez myśl, że Tyrell powinien zauważyć ją na balu. Bądź co bądź, już się znali.

- Wspaniale dobrałaś kostium, Anno, i bardzo ci w nim do twarzy. Może dziś wieczorem mama spełni wreszcie swoje marzenie i znajdzie dla ciebie kandydata - odparła Lizzie, choć wolałaby, żeby siostra wyszła za mąż z miłości.

- Czy nie wyglądam w tym kolorze nazbyt blado? Suknia wydaje się dość ciemna.

- Ani trochę - zaprzeczyła Lizzie. - Tak wspaniale jeszcze chyba nigdy się nie prezentowałaś.

Anna odwróciła się do lustra, zaraz jednak ponownie zainteresowała się siostrą.

- Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Wydajesz się zgaszona.

- Nie wiem, czy będę mogła iść na bal. Rzeczywiście, nie czuję się za dobrze.

Anna zrobiła zdumioną minę.

- Nie chcesz iść na bal? Na swój pierwszy bal!? Lizzie, zaczekaj, przyprowadzę Georgie - oznajmiła i wybiegła z pokoju.

Lizzie podziwiała u Anny wszystko to, czego jej samej brakowało. Z trzech sióstr tylko Anna poznała smak pocałunków. Niejeden wieczór wypełniły im rozmowy o tych jakże gorszących doświadczeniach. Przysiadła na łóżku przy rozłożonej szmaragdowej sukni z długimi bufiastymi rękawami, skromnym kwadratowym dekoltem, pięknej przez swoją prostotę, lecz zarazem niepokojąco obcisłej. Właśnie w niej miała wystąpić podczas maskarady. Wyjęła zza stanika chustkę z kunsztownie wyhaftowanym monogramem TdW i się zamyśliła. Los dał jej niespodziewaną szansę oczarowania Tyrella, a ona...

Smutne rozważania przerwał powrót Anny, prowadzącej Georgie. Włosy splecione w warkocz, długa, fioletowa tunika przepasana złotą szarfą miały sugerować, że siostra przebrała się za pannę wywodzącą się z Normanów. Georgie zmierzyła Lizzie badawczym spojrzeniem:

- Anna twierdzi, że dziwnie się zachowujesz - powiedziała. - Ja też to zauważyłam, i to już wczoraj, kiedy wróciłaś z sierocińca. Co się stało? Przecież nie jesteś chora.

Anna usiadła obok Lizzie, która dyskretnie schowała chustkę.

- On mnie wczoraj uratował. Pod klasztorem - szepnęła.

- Kto? - zdziwiła się Georgie. - I przed czym?

- Wpadłabym pod powóz. W ostatniej chwili Tyrell de WARENNE wyciągnął mnie niemal spod kół rozpędzonego pojazdu.

- Dopiero teraz nam to mówisz?! - zawołała Georgie.

- Tyrell de WARENNE? Ciebie?! - zdumiała się Anna.

- Tak, i do tego zachował się wspaniale. Przysięgał, że znajdzie tych łajdaków i da im nauczkę. Nawet chciał mnie odprowadzić do domu. - Lizzie potoczyła wzrokiem po siostrach. - Zapewniłam go, że jest bohaterski i przystojny.

Przez chwilę w sypialni panowało pełne niedowierzania milczenie.

- Ale co w tym złego? Czy nie czekałaś na spotkanie z nim całe życie? - odważyła się w końcu odezwać Georgie.

- Nie słyszałaś, co powiedziałam?! - wykrzyknęła Lizzie. - On już wie, co do niego czuję!

- Rzeczywiście mogłaś się zdobyć na więcej dyskrecji - przyznała Georgie.

- Po co? Mężczyźni uwielbiają słyszeć, że są silni, dzielni i przystojni - stwierdziła Anna. - Wciąż nie wierzę własnym uszom. Musisz nam wszystko dokładnie opowiedzieć.

- Mogłabyś oświadczyć kawalerowi, że ma piękne przyszcze, a on i tak padłby przed tobą na kolana - odparła Lizzie. - Nie uraczyłam Tyrella de WARENNE wyrafinowanym komplementem. Za to musiałam patrzeć, jak się śmieje z mojej dziecinady.

- Śmiał się z ciebie? - spytała Anna. - Ach tak, widocznie się zorientował, że masz dopiero szesnaście lat.

Georgie pospieszyła z odsieczą. Usiadła z drugiej strony Lizzie i objęła ją czule.

- On na pewno lubi słuchać, jaki jest przystojny. Anna ma rację, że mężczyźni uwielbiają pochlebstwa. Pomyśl tylko, to historia żywcem wzięta z twoich książek. Tyrell de WARENNE ocalił cię od śmierci.

- Nie wiecie jeszcze najgorszego - wyznała. - Byłam wtedy cała upačkana błotem. Nawet włosy miałam posklejane. Naturalnie on zachował się jak dzen-telmen, ale jestem pewna, że nie ma o mnie najlepszej opinii.

- Nie martw się, żaden dżentelmen nie weźmie kobiecie za złe nieschludnego wyglądu w takich okolicznościach - zapewniła siostrę Georgie.

- Ale ja plotłam trzy po trzy, zupełnie jak mama. Może odziedziczyłam to po niej, przecież jestem jej córką.

- Daję ci słowo, że ani trochę nie przypominasz mamy.

- On naprawdę zachował się jak bohater: ocalił mi życie. Dziś wieczorem go zobaczę. I co wtedy? Powiedziałabym mamie, że zostanę w domu, ale chyba nie mogę jej zawieść.

- Czy na pewno wyznałaś nam wszystko? - zainteresowała się Anna.

- Naturalnie - obruszyła się Lizzie, bo za nic nie przyznałaby się do niestosownych fantazji na temat Tyrella.

- Pocałował cię? - drażniła temat Anna.

- On jest dżentelmenem! - odparła z naciskiem Lizzie.

Anna przyjrzała jej się bardzo uważnie, po czym zawyrokowała:

- W takim razie nie rozumiem, czym tak się przejmujesz.

- Już po wszystkim. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem - napomniała siostrę Georgie. - Zresztą on na pewno nie roztrząsa tego, co mówiłaś.

- Mam nadzieję.

- Powinnyśmy pomóc Lizzie w układaniu włosów - zdecydowała Anna, wstając. - Georgie, czy ten kostium nie jest zbyt ciemny do mojej karnacji?

- Jest bardzo ładny - odparła Georgie, po czym zwróciła się do Lizzie: - To zdarzenie musiało być ekscytujące, ale nie zapominaj, że on jest z de Warenne'ów, a ty tylko z Fitzgeraldów.

- Masz zaledwie szesnaście lat - przypomniała Anna. - Nie chcemy sprawić ci przykrości, Lizzie, ale jeśli taki mężczyzna jak on o kimkolwiek myśli, to o pięknej kurtyzanie, do której właśnie się zaleca.

Lizzie czuła się tak, jakby siostry wylały na nią kubel zimnej wody. Zrozumiała, że jej niepokoje nie mają sensu. Różnica pozycji i ośmiu lat wydawała się nie do przewyciężenia.

- Bardzo was przepraszam za te fochy - powiedziała, biorąc się w garść. - Niepotrzebnie zabrałam wam mnóstwo czasu.

- Nie masz za co przepraszać - pocieszyła ją Georgie. - Tyle lat się w nim kochasz, że nic dziwnego, iż spotkanie wytrąciło cię z równowagi. Pomożemy ci się ubrać i spróbujemy się nie spóźnić.

Anna podeszła do toaletki.

- Zakręcę ci włosy - zaofiarowała się. - To moja specjalność.

Lizzie uśmiechnęła się i odwróciła plecami do Georgie, która natychmiast zaczęła jej rozwiązywać suknię. Nagle uległa podszeptowi chwili.

- Chcę pięknie wyglądać - oświadczyła. Anna zerknęła na nią wyraźnie zaskoczona.

- Zrób z moimi włosami coś niezwykłego i umaluj mi usta oraz pociągnij węglem brwi.

- Mogę spróbować. - Anna spojrzała z powątpiewaniem na równie zaskoczoną Georgie. - Coś ty znowu wymyśliła, Lizzie?

- Mam jeszcze jedną szansę. Muszę go oczarować, choćby tylko na ten jeden wieczór.

Gdy wchodziły po schodach do rezydencji, jednej z najbardziej okazałych na południu Irlandii, pani Fitzgerald przebrana za damę z epoki georgiańskiej, mówiła właściwie bez przerwy.

- Bardzo jestem rada, Lizzie. W tej sukni możesz śmiało stanąć obok swoich sióstr. Wreszcie widzę promyk nadziei. Wcale nie zdziwiłabym się, gdybyś znalazła dziś wieczorem męża.

Weszły do środka za kilkorgiem przybyłych nieco wcześniej gości. Lizzie nie zważała na paplaninę rodzicielki. Aksamit, z którego została uszyta suknia, wspaniale układał się na figurze, a w zetknięciu ze skórą sprawiał niemal

zmysłowe wrażenie. Ciemna zieleń materiału bardzo korzystnie kontrastowała z jasną cerą Lizzie, rudymi włosami, a także z jej szarymi oczami. Pociągnięte szminką wargi nabrały pełni, za to naturalny rumieniec na policzkach był jedynie dziełem emocji. Gdy siostry zaprowadziły Lizzie do lustra, pierwszy raz w życiu odniosła wrażenie, że wygląda całkiem ładnie, a co jeszcze ważniejsze - atrakcyjnie. Zdawało jej się, że naprawdę jest damą Robin Hooda.

Pan Fitzgerald uścisnął jej rękę.

- Moja córeczka wyrosła na piękną kobietę - powiedział z dumą.

- Myślę, że ulegając wymogom mody, Lizzie zrobiła pierwszy krok we właściwym kierunku - zwróciła się do matki Georgie. - Mimo to nie powinnaś wiązać zbyt wielkich nadziei z jej debiutem w towarzystwie. Przecież ma dopiero szesnaście lat.

Lizzie w milczeniu przyznała rację siostrze, jednak pani Fitzgerald nie dała się zbić z tropu.

- Czy wspominałam wam, że są dziś obecni w Adare wszyscy synowie hrabiego i nawet młodszy z pasierbów, Sean O'Neill? Wiesz, Lizzie, on jest niewiele starszy od ciebie.

- Moja droga, chyba wspominałaś o tym kilkakrotnie - powiedział pan Fitzgerald. - Georgie ma rację, daj Lizzie spokój, bo ją zameczysz. - Podał ramię żonie, a gdy przemierzali rozległy hol, stąpając po wiekowej, oryginalnej posadzce, uśmiechnął się i spytał nieco ciszej: - Czy mówiłem ci, jak ładnie dziś wyglądasz?

- Jesteś ujmującym towarzyszem, drogi mężu - odparła rozpromieniona pani Fitzgerald i dodała: - Bardzo lubię cię w peruce.

Stanęli na progu salonu, zbliżonego powierzchnią do ich całego domu. Podekscytowana Lizzie dotknęła białej maseczki, zakrywającej jej górną połowę twarzy. Tymczasem do salonu z gracją wpłynęła Anna i natychmiast u jej boku pojawiło się dwóch brytyjskich oficerów. Lizzie wiedziała, że za chwilę siostra, uroczo się rumieniąc, wyjawi im swe imię.

- Chodź - usłyszała obok głos Georgie. - Spodoba ci się, zobaczysz.

Nagle Lizzie ogarnął lęk. Wprawdzie całe życie czekała na taką okazję, ale czy nie czyniła sobie złudnych nadziei? Jako dziedzic wielkiego majątku, Tyrell cieszył się powodzeniem u kobiet, więc i tego wieczoru na pewno otoczy go wianuszek eleganckich dam.

Minęli je dwaj dżentelmeni, muszkietier i dandys rodem z kontynentu. Omiótlszy siostry spojrzeniem, nawet nie zwolnili kroku, tylko dołączyli do grupki skupionej wokół Anny. Lizzie pomyślała, że to zła wróżba. Jak mogła liczyć na to, że zwróci uwagę Tyrella?

- Lizzie! - skarciła ją Georgie. - Przecież nie stchórzysz tuż przed progiem.

Siostra powiedziała to w najbardziej odpowiedniej chwili, jakby wiedziała, że Lizzie przeżywa moment zwątpienia. Georgie zdecydowanym ruchem ujęła ją za ramię i popchnęła naprzód. Minęły grupkę adoratorów Anny. Lizzie zdawało się, choć nie była tego pewna, że dandys na nią zerknął.

W salonie wysoko umieszczony strop podtrzymywały kolumny. W niezliczonych kryształowych kandelabrach płonęły świece. Mijały się tu setki gości w drodze do sali balowej. U ich boku pojawiła się pani Fitzgerald.

- Ten elegant chciał z tobą porozmawiać, a ty go zniechęciłaś, Lizzie!

- Popatrzcie, Anna już ma wierne grono. Czy to nie wspaniałe, mamó? - odezwała się Georgie.

Pani Fitzgerald odwróciła się i nagle z wrażenia opuściła maseczkę.

- Ooo! Czy to nie Cliff de WARENNE?

Lizzie spojrzała w tamtą stronę. Czterej młodzi ludzie, w tym dwaj oficerowie, próbowali jednocześnie prowadzić z Anną konwersację, a nieco z boku stał jeszcze jeden mężczyzna. Usiłował sprawić wrażenie znudzonego i rozbawionego jednocześnie. Miał złociste włosy z niezwykle ciemniejszymi pasemkami i zwracające uwagę niebieskie oczy. Jak wszyscy de WARENNE'owie był też nieprzyzwoicie przystojny. Krążyły pogłoski, że najmłodszy syn

hrabiego to wyjątkowy hulaka i świszczypała, Lizzie jednak nie miała zwyczaju wyrabiać sobie opinii o kimś na podstawie plotek. Właśnie w tej chwili Cliff, z przyklepionym do warg grymasem znudzenia, zaczął się oddalać.

- Co za impertynencja! To niewybaczalne! - zaperzyła się mama.

- Mamo, Cliff de WARENNE nie jest dla naszej ANNY - powiedziała szybko Lizzie, dyskretnie się rozglądając.

- A czemuż to nie, moja panno? - Pani Fitzgerald nie była skłonna do kapitulacji.

- Nie obracamy się w ich kręgach.

- On jest najmłodszy.

- Mimo wszystko jest z de WARENNE'ÓW. Odziedziczy majątek i myślę, że ożeni się z tym, z kim będzie chciał - powiedziała Lizzie.

- Słyszałem, że niczego dobrego nie należy się po nim spodziewać, wolałbym, żeby moja ANNA nie zadawała się z takim człowiekiem - włączył się do rozmowy pan Fitzgerald.

- Jeśli złoży nam wizytę, a tego jestem pewna, bo widziałam, jakim wzrokiem wodził za ANNĄ, to niewątpliwie będziesz z tej znajomości zadowolony - stwierdziła pani Fitzgerald.

Georgie z Lizzie wymieniły spojrzenia i wykorzystały tę chwilę, żeby się nieco oddalić.

- Jest przystojny - przyznała Lizzie z uśmiechem.

- Tylko nie dla żadnej z nas - dodała Georgie. - Czasem martwię się o mamę. Tak bardzo przejmuję się tym, że ma w domu trzy panny na wydaniu i mało pieniędzy!

- Mama zacznie więdnąć z nudów, kiedy już wprowadzi nas do towarzystwa - odparła Lizzie. - Czym wtedy się zajmiesz?

- Któregoś dnia widziałam ją siedzącą w salonie. Była blada jak ściana i wachlowała się tak, jakby brakowało jej powietrza.

- Myślisz, że jest chora? - zaniepokoiła się Lizzie.

- Skarżyła się tylko na płytki oddech i mroczyki przed oczami, ale i tak się martwię. Powinna więcej odpoczywać.

- Wymusimy to na niej - powiedziała stanowczo Lizzie.

Georgie chwyciła ją za rękę.

- Popatrz, czy to nie Sean O'Neill, pasierb hrabiego, którego zachwalała ci mama?

Lizzie zerknęła we wskazanym kierunku.

- To on, ale chyba nie sądzisz, że sama mu się przedstawię?

- Czemu nie? To całkiem dobra partia, a ponieważ nie ma tytułu, więc bliżej mu do nas.

Lizzie nie mogła zrozumieć, czemu Georgie ją prowokuje.

- Ciekawa jestem, gdzie się podziewa Tyrell. - Dość długo przyglądała się gościom, aż w końcu uznała, że tu go nie ma. - Chodźmy do sali balowej.

Georgie chwyciła ją za rękaw i przytrzymała.

- O ciebie też się martwię.

- Georgie...

- Nic nie mów. To rozczulające, że tak pięknie się ubrałaś i masz nadzieję zrobić na nim wrażenie po tym, co zaszło wczoraj w mieście. Prawdę mówiąc, posunęłaś się za daleko w tym zauroczeniu. Przecież dopóki ono trwa, dopóty nie dasz szansy żadnemu innemu mężczyźnie.

- Nic na to nie poradzę, swoich uczuć przecież nie zmienię. - Lizzie skrzyżowała ręce na piersiach. - Pogodziłam się z tym, że czeka mnie los starej panny.

- Wątpię. Czy nie boisz się, że twoje uczucie okaże się złudzeniem?

- Nie. Ja naprawdę go kocham, Georgie. I nigdy nie przestanę. Nie jestem zainteresowana nikim innym.

- Ale on nie jest dla ciebie.

- Właśnie dlatego będę żyła samotnie i zaopiekuję się rodzicami, gdy będą starzy. Chodźmy na salę.

Georgie obstawała przy swoim.

- Mnie się wydaje, że miłość do niego jest dla ciebie taką samą ucieczką, jak książki. Istnieje realny świat i chcę, żebyś była jego częścią.

- Jestem jego częścią - zapewniła poruszona Lizzie. - Zupełnie tak samo jak ty.

- Ja nie czytam tuzina romansów na miesiąc i nie kocham się w mężczyźnie, który jest dla mnie niedostępny.

- Nie, bo czytasz o polityce i się nią interesujesz. To przecież ty nie chciałaś przyjść na bal.

- Wiedziałam, że tutaj nie spotkam nikogo odpowiedniego dla mnie - odrzekła Georgie, a jej rumieniec dorównał intensywnością temu, który nie zniknął z twarzy Lizzie. - Wiem też, że któregoś dnia będę musiała zgodzić się na jednego z kandydatów swatanych przez mamę, bo przecież nie mam środków utrzymania na przyszłość. Czasem staram się o tym zapomnieć, ale obie zdajemy sobie sprawę z tego, jak jest w rzeczywistości. Ty też kiedyś będziesz musiała wyjść za mąż, i to nie za Tyrella de Warenne.

- Dziwię się, że słyszę to właśnie z twoich ust! - podniosła głos Lizzie. Żal jej było siostry, ale nie umiała opanować emocji.

Georgie już się uspokoiła.

- Jeśli mama tak się nami zamartwia, że gotowa się rozchorować, to chyba lepiej, żebym zaakceptowała pana Harolda - powiedziała. - On się mną bardzo interesuje, a nie sądzę, żeby miał nadmierne wymagania.

- Jest stary! - Lizzie zbladła. - Do tego tłusty i łysy. I handluje winem.

- Ja i tak nie liczę na nikogo w rodzaju Tyrella de Warenne.

- Nawet nie myśl o poślubieniu tej ropuchy. - Lizzie łzy napłynęły do oczu. - Znajdziemy kogoś dla ciebie, akurat jest okazja. Przybyło tu dzisiaj tylu przystojnych młodych ludzi.

- Może któryś na mnie raz spojrzy, ale drugi raz już tego nie powtórzy.

- Mylisz się. - Lizzie nagle się rozzłościła. - Wyglądasz niezwykle elegancko.

Georgie wzruszyła ramionami. Przekroczyły próg sali balowej, gdzie panował nie mniejszy tłok niż w przyległym salonie. Wkrótce skłonili im się dandys i jego przyjaciel muszkietier.

- Milady - odezwał się elegant, a Lizzie myślała, że zwraca się do Georgie. - Czy zaszczyci mnie pani tym tańcem?

Lizzie poczuła kuksańca Georgie w żebra i zrozumiała, że chodzi jednak o nią.

- Przepraszam, ale ten taniec mam zajęty - odrzekła uprzejmie, lecz stanowczo, zirytowana natrętnym spojrzeniem dandysa, który nie potrafił oderwać oczu od jej dekoltu.

Kawaler przeprosił i odszedł.

- Lizzie! - Georgie wydawała się zirytowana nie na żarty.

- Nie tańczę - odparła z uporem Lizzie.

- Ty wcale nie jesteś nieśmiała, tylko niewiarygodnie głupia! - Z tymi słowami Georgie odeszła.

Lizzie została sama, mogła więc skupić się na tańczących. Po dłuższej chwili zorientowała się jednak, że na parkiecie nie ma Tyrella de WARENNE, zaczęła więc obserwować ludzi, stojących pod ścianami. Miała nadzieję, że w końcu go jednak znajdzie, jeśli nie pod dachem, to w ogrodzie.

Nagle poczuła na sobie czyjeś badawcze spojrzenie. Odwróciła się i ujrzała pirata w butach z sięgającymi uda cholewami, czarnych spodniach, peruce i z przepaską na oku. Kilka cienkich warkoczków opadało mu na twarz, a z pasa zwisała mu szpada do złudzenia przypominająca prawdziwą. To przebranie nosił Tyrell de WARENNE!

Lizzie zapało dech. To niemożliwe, żeby patrzył na nią tak zachłannie. Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś stoi za nią, ale nie dostrzegła nikogo. Tymczasem Tyrell ruszył w jej stronę. Wpadła w panikę. Nie miała pojęcia,

czego może od niej chcieć. Bała się, że znowu się skompromituje. Odwróciła się i szybko wyszła z sali balowej.

Znalazła się w saloniku, gdzie dżentelmeni i damy grali w karty, a także w kości. Przystanąła pod ścianą, niepewna, co robić dalej, gdy tymczasem Tyrell podążył jej śladem.

- Zamierza pani przede mną uciec? - spytał i przesłał jej uśmiech.

Zmartwiała. Nie, to było zupełnie nieprawdopodobne. On musiał pomylić ją z kim innym.

Stanął bliżej niż poprzedniego dnia w mieście, a Lizzie, kompletnie zbita z tropu, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zatrzymała wzrok na rozpiętej pirackiej koszuli, gdzie wśród gęstych ciemnych włosów ujrzała złoty krzyż, wysadzany rubinami.

- Słowo daję, nie musi pani mnie unikać - zapewnił Tyrell. - Bywają różni piraci.

Czyżby chciał z nią flirtować? Więc jednak będzie miała drugą szansę!

- Obawiam się, milordzie, że wszyscy piraci jak jeden mąż są znani z siania zamętu i morderczych skłonności. Nic dziwnego, że zaczęłam uciekać.

Wykonał przed nią dworski ukłon, jakiego z pewnością nie zrobiłby autentyczny pirat, a gdy się wyprostował, spojrzął na nią z ukosa.

- A jeśli dam słowo, że nie jestem jak inni piraci? Jeśli przysięgnę, że nie zamierzam pani skrzywdzić?

- Wtedy ponownie się zastanowię, milordzie - zdołała odpowiedzieć Lizzie.

- Miło mi to słyszeć. Odnoszę wrażenie, że już wcześniej zawarliśmy znajomość, czyż nie?

Lizzie nadal trudno było złożyć zwykłe zdanie. Patrzyła na niego jak urzeczona.

- Czy my się znamy? - ponowił pytanie. Przecież nie mogła mu powiedzieć, że jest dziewczyną, którą wyciągnął wczoraj spod kół powozu.

- To możliwe, ale tylko wtedy, jeśli należy pan do towarzyszy Robin Hooda.

- Las Sherwood znam całkiem nieźle, milady, chociaż nie miałem okazji spotkać wyrzutka, o którym mowa.

Wreszcie Lizzie zdołała odwzajemnić uśmiech Tyrella.

- Może znajdzie się sposób, abym mogła ułatwić zawarcie tej znajomości, jeśli naprawdę panu na niej zależy - odparła, dziwiąc się własnej śmiałości.

- Szczerze mówiąc, zależy mi na zawarciu zupełnie innej znajomości - zadeklarował Tyrell.

Było to całkiem jednoznaczne. Takim spojrzeniem nie obdarzył jej jeszcze żaden mężczyzna.

- Lady Marian - przedstawiła się lekko schrypniętym głosem. - Jestem lady Marian.

Zawahał się i odniosła wrażenie, że zaraz spyta ją o prawdziwe imię. Jednak ponownie się skłonił, tym razem bardziej zdawkowo.

- A ja jestem Black Jack Brody, gotów spełnić każde życzenie drogiej pani.

- Wątpię, czy chciałby pan wypełnić każdy mój rozkaz - szepnęła.

- Tego nigdy się nie dowiemy, jeśli nie wyda pani żadnego.

Oparł rękę o ścianę i w ten sposób zamknął ją w potrzasku.

- Niech więc pani komenderuje, milady, jak dyktuje serce. Sprawdzimy prawdomówność pirata.

W ostatniej chwili ugryzła się w język, bo chciała poprosić, żeby ją pocałował. Byłaby gotowa umrzeć za jeden pocałunek Tyrella.

- Nie wie pani, od czego zacząć? - spytał ze zmysłowym uśmiechem. W policzku utworzył mu się dołeczek.

Lizzie musiała przypomnieć sobie, że nie znajdują się w lesie Sherwood, tylko w miejscu publicznym. Nie mogła dopuścić do niestosownego zachowania. A może jednak?

- Damie czasem potrzebna jest pomoc - odezwał się ponownie Tyrell.

Lizzie odniosła wrażenie, że jeszcze bardziej się do niej przysunął.

Poczwała jego oddech na policzku.

- O północy w zachodnim ogrodzie - szepnął, niemal dotykając jej ust. -

Tam każde pani życzenie będzie dla mnie rozkazem.

Kiedy ocknęła się z oszołomienia, już go nie było. Długo nie ważyła się poruszyć. Zdawało jej się, że wszyscy dookoła na nią patrzą. Zastanawiała się nad tym, co się wydarzyło. Czy to możliwe, że Tyrell de WARENNE umówił się z nią o północy w ogrodzie? Czy to miał być żart? A może rzeczywiście wyznaczył jej miłosną schadzke? Tego nie wiedziała.

Powoli wyszła z sali, mając wrażenie, że wypła za duzo wina i jest na rauszu. Przy całej radości z oczekiwania na spotkanie z Tyrellem ogarnęły ją wątpliwości, czy odważy się stawić w wyznaczonym miejscu. To nie była uczciwa propozycja. Mogła się nad nią zastanowić; zegar niedawno wybił dziesiątą.

Bała się tej schadzki, a zarazem bardzo jej pragnęła. Jeśli zdejmie maseczkę, Tyrell zobaczy jej twarz i na pewno przeżyje rozczarowanie. W kostiumie wyglądała wyjątkowo ładnie, ale nie zmieniało to faktu, że jest pospolita i nieciekawa. Za dnia przekonałby się o tym bardzo szybko.

Tymczasem jednak trwał wieczór, i to nie byle jaki. Magiczny. Musiał działać czar, skoro Tyrell de WARENNE dostrzegł w niej atrakcyjną kobietę. Śniła o nim, widziała go w marzeniach, był bohaterem jej licznych fantazji, ale nigdy nie przypuszczała, że w realnym świecie umówi się z nią na randkę.

Jeśli ktokolwiek się o tym dowie, będzie raz na zawsze skompromitowana. Oby tylko matka czegoś się nie domyśliła. Lizzie uprzytomniła sobie, że przecież o Annie wie tylko ona i Georgie, a siostra już nieraz całowała się z kawalerami.

Ta myśl zdecydowała. Przecież kocha Tyrella de WARENNE i chociaż pocałunek niewątpliwie jest czymś niestosownym, to na całe życie pozostaną jej

cudowne wspomnienia. Lizzie usiadła na ławie, przejęta czekającym ją spotkaniem z ukochanym. Za niecałe dwie godziny wybije północ.

- Lizzie!

Zaalarmowana okrzykiem Anny, poderwała głowę i spojrzała na siostrę.

- Co się stało? - spytała Lizzie.

- Dzięki Bogu, że cię znalazłam! Jakiś podlec oblał mi ponczem suknię. Cała się kleję. - Anna z trudem powstrzymywała wybuch hysterii. - Cuchnę jak pijak i mama kazała mi wrócić do domu, a przecież nie mogę stracić okazji do wspaniałej zabawy! - Wierzchem dłoni otarła łzy z policzków. - Wpadłam na znakomity pomysł. Proszę, zamień się ze mną na kostiumy. Bardzo chciałabym zostać na balu, tak cudownie się bawię. Jest tu kilku interesujących oficerów... Przypuszczam, że wolałabyś iść do domu. Nigdy nie lubiłaś spotkań towarzyskich.

Skonsternowana Lizzie wpatrywała się w siostrę. Anna chwyciła ją za rękę.

- Źle się tu czujesz, prawda? Przed mną nie musisz tego ukrywać. Poza tym masz dopiero szesnaście lat, a dla mnie ten bal jest ważny - ciągnęła coraz bardziej stanowczo Anna.

Lizzie biła się z myślami. Naturalnie siostra powinna zostać na balu; potrzebowała męża. Tymczasem ona bez względu na to, co sobie wyobrażała i obiecywała w związku ze schadzka z ukochanym, nazajutrz będzie gorzko żałowała, że się na nią lekkomyślnie zgodziła.

- Ja muszę zostać! Naprawdę! Ogromnie podoba mi się jeden z oficerów, a on jutro wyjeżdża do Corku - rozpaczała Anna.

Dla Lizzie magia wieczoru definitywnie zniknęła.

- Naturalnie. Ja i tak cały czas podpieram ściany. Nic się nie zmieniło - powiedziała beztrasko. - Dobrze wiesz, że źle się czuję w takim tłumie.

Anna promiennie się uśmiechnęła i mocno uściskała siostrę.

- Dziękuję ci, bardzo dziękuję! Nie pożałujesz tego! Obiecuję!

Niestety, Lizzie miała głębokie przeświadczenie, że już żałuje. Nie potrzebowała szklanej kuli, by wiedzieć, że tego wieczoru trafiła jej się okazja, jakiej los dwa razy nie podsuwa. Z drugiej strony, w przebraniu lady Marian jest pociągająca, a w rzeczywistości - brzydka. Tyrell przekonałby się o tym natychmiast, gdyby zobaczył ją bez maseczki. W dodatku Georgie mówiła wcześniej, że Fitzgeraldowie nie mogą się równać z de Warenne'ami; nie ta klasa i nie ten majątek. Niech więc Tyrell zapamięta ją w przebraniu. Wbrew rozsądkowi Lizzie żywiła nadzieję, że zaskarbiła sobie miejsce w jego pamięci.



ROZDZIAŁ TRZECI

Poważny kryzys

Lizzie nie zdołała się zmusić do wstania z łóżka. Przez rozchylone zasłony zaglądało słońce, obiecując piękną pogodę. Jednak po zadziwiającym ostatnim wieczorze nic nie byłoby w stanie zainteresować Lizzie.

Rozpamiętując niedawne wydarzenia, wlepiła wzrok w sufit. Obok spała Anna.

Wciąż tlił się w niej żal, że nie została na balu i nie spotkała się z Tyrellem. Dlaczego nie potrafiła odmówić siostrze? Leżała więc i wspominała pirata, pochylonego nad nią w uwodzicielskiej pozie.

Lizzie była bardzo niewyspana, bo przez całą noc przewracała się z boku na bok i próbowała odgadnąć smak pocałunków Tyrella. Anna wróciła razem z resztą rodziny grubo po północy i Lizzie wyraźnie słyszała jej krzątanie we wspólnej sypialni. Wreszcie nie wytrzymała i spytała siostrę, jak udał się bal.

- Och, cudownie - odparła krótko Anna. Lizzie usiadła na łóżku.

- Nic ci nie jest?

Anna nie zapaliła lampy, zadowolona się jedną świecą. Odwróciła się tyłem i pilnie przyglądała swojemu wizerunkowi w lustrze toaletki.

- Nie, skąd ci to przyszło do głowy? - Odstawiła lichtarz i zaczęła się rozbierać.

Za bardzo były ze sobą zżyte, aby Lizzie uwierzyła w to zapewnienie. Wyczuła, że siostra jest podminowana. Doszła do wniosku, że musiało coś nadzwyczajnego się wydarzyć.

- Nie bawiłaś się wystarczająco dobrze?

- Przecież powiedziałam, że było wspaniale - odrzekła Anna. - Dlaczego mnie wypytujesz?

Lizzie zmieszała się i przeprosiła. Teraz myślała o zainteresowaniu, jakie okazał jej Tyrell. Co roku widywała go na pikniku z okazji dnia świętego

Patryka w otoczeniu pięknych kobiet. Wprawdzie nie miał opinii uwodziciela, nie wątpiła jednak, że Tyrell, podobnie jak inni mężczyźni, wyżej ceni u kobiety urodę niż rozum. Dlatego właśnie zdjęcie przez nią maseczki oznaczałoby koniec zainteresowania jej skromną osobą. Nie mówiąc o tym, że nie było szans na małżeństwo z Tyrellem, bogatym arystokratą ze znamienitej rodziny. A romans... Nie miała pojęcia, czy potrafiłaby udźwignąć taką sytuację. To jednak nie przeszkadzało jej zastanawiać się, jak by się czuła, gdyby mimo wszystko się zdecydowała.

Nagle Tyrell znalazł się obok niej w łóżku, przesuwał dłonie po jej ciele, a ona odwróciła się ku niemu, oczekując pocałunku. Dotknęła wargami poduszki i wtedy zorientowała się, że tylko śni na jawie. Rozczarowana, przekreśliła się na plecy. Nie będzie żadnego romansu, nawet gdyby okazała się do cna zepsuta. Tyrell to dżentelmen; nie igrałby z młodą, niedoświadczoną panną. Na maskaradzie mogła liczyć w najlepszym razie na kilka gorących pocałunków.

Nagle siostra jęknęła przez sen.

- Anno? - zawołała Lizzie z troską.

Anna zaczęła się rzucać na łóżku i mamrotać pod nosem. Wyglądało to tak, jakby z kimś rozmawiała. W domu Fitzgeraldów rankiem po balu u de WARENNE'ÓW wszyscy mogli się wyspać do woli. Tym razem Lizzie szarpnęła siostrę za ramię i powiedziała:

- Obudź się, masz zły sen.

Siostra otworzyła oczy, ale widać było, że myślami przebywa gdzie indziej.

- To tylko senny koszmar - powtórzyła łagodnie Lizzie.

Siostra spojrzała na nią nieco przytomniej.

- Ojej. Dziękuję ci.

Lizzie postanowiła wstać. Podeszła do toaletki i zaczęła rozplatać warkocz.

- Co ci się śniło? - zapytała.

- Nie pamiętam. - Anna przykryła się kołdrą aż po brodę. - Tańczyłam całą noc, jestem śmiertelnie zmęczona. - Zamknęła oczy i rozmowa siłą rzeczy się skończyła.

Lizzie dała za wygraną i wyszła z pokoju. W sieni natknęła się na Georgie, już ubraną, z włosami schludnie zaczesanymi i zebranymi w koczek z tyłu głowy.

- Dzień dobry.

Georgie uśmiechnęła się na widok siostry. Miała na sobie prostą jasnoniebieską suknię, całkowicie pozbawioną ozdób.

- Znikłaś z balu, zanim zdążyliśmy o nim porozmawiać - zauważyła.

Lizzie poczuła wielką ochotę na zwierzenia.

- Poczekaj na mnie na dole, tylko się ubiorę.

Wkrótce zbiegała z powrotem po schodach, nie zważając na to, że włosy wciąż ma w nieładzie. Gdy wpadła do jadalni, Georgie siedziała nad herbatą i pogryzała grzanekę.

- Nie uwierzysz w to, co ci opowiem! Zdaje się, że straciłam okazję, jaka w życiu dwa razy się nie zdarza.

Georgie uniosła brwi.

- Czyżbyś kogoś poznała?

Lizzie musiała poczekać, aż służąca, która była w ich domu również kucharką i praczką, poda jej talerz z grzankami.

- Udało ci się znaleźć kandydata na męża? - odparła pytaniem.

- Kogo ja właściwie oszukuję, Lizzie? - W głosie Georgie pobrzmiwała nuta ironii. - Nie chodzi tylko o mój wzrost. Przede wszystkim stanowczo za bardzo interesuję się polityką. Żaden mężczyzna nie chce rozmawiać z żoną o kwestii katolików ani o prawach zbożowych. Nic dziwnego, że i tym razem nie dopisało mi szczęście.

Lizzie ujęła siostrę za rękę.

- Jesteś najbardziej lojalną i najuczciwszą osobą, jaką znam, Georgie. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Proszę cię, nie gódź się na taką ropuchę jak Peter Harold.

- Zobaczymy - odrzekła Georgie. - Lepiej opowiedz o sobie. Widzę, że ledwie możesz wytrzymać.

Lizzie rzeczywiście nie dała się prosić i zdała sprawę niemal ze wszystkich szczegółów spotkania z Tyrellem de Warenne.

- I chciał spotkać się ze mną w ogrodzie o północy. Uwierzysz? - zakończyła bez tchu.

Georgie patrzyła na nią w osłupieniu. Musiała upłynąć dobra chwila, zanim odzyskała głos.

- Najwidoczniej mu się spodobałaś! Lizzie pokręciła głową.

- Spodobała mu się lady Marian, śmiała panna, która bezwstydnie z nim flirtowała.

- Ale to byłaś ty - podkreśliła Georgie.

- Nie jestem pewna - wyznała Lizzie. - Nigdy przedtem nie zachowywałam się w ten sposób w obecności mężczyzny. Sama byłam zaskoczona. Czułam się tak, jakbym przysłuchiwała się swoim ripostom z boku.

Georgie spojrzała na nią zatroskana.

- Mimo to zamieniłaś się z Anną na kostiumy i wróciłaś do domu.

- Bardzo się bałam, że kiedy on zdejmie mi maseczkę, przeżyje głębokie rozczarowanie. W każdym razie gdybym poszła, do pocałunku doszłoby na pewno. Wyznam, że o tym marzyłam.

- Postąpiłaś słusznie - stwierdziła typowym dla siebie rzeczowym tonem Georgie. - Z takiej znajomości nic by nie wynikło, chyba że zdecydowałabyś się przekroczyć granice przyzwoitości.

Lizzie miała powiedzieć, że to absolutnie niemożliwe, ale przypomniała sobie swoje fantazje, więc ugryzła się w język.

- Postąpiłaś słusznie - powtórzyła Georgie. - Ale udało ci się. Wywarłaś na nim wrażenie. Teraz już na pewno nie uważa cię za głupią gąskę.

- Chyba tak - przyznała Lizzie, jednak nie potrafiła upajać się triumfem, bo silniejszy był żal.

- Gdzie podziewa się Anna? - spytała surowo pani Fitzgerald.

Lizzie właśnie wróciła do domu ze spaceru pobliską drogą. Miała nadzieję, że w ten sposób chociaż po części upora się ze zbyt natrętnymi wspomnieniami wieczoru. Tyrell zawładnął jej wyobraźnią. Musiała szybko zejść na ziemię, bo sytuacja nakazywała ostrożność.

- Czy coś się stało?

- Owszem. - Pani Fitzgerald podeszła do podestu schodów. - Anno, proszę, żebyś natychmiast zeszła na dół! Chcę porozmawiać z tobą i Lizzie.

Wkrótce Anna pojawiła się na schodach w białej koszuli nocnej, czepku i narzuconym na wierzch cienkim szlafrocisku.

- Słucham, mamo.

- Obie proszę do salonu. - Pani Fitzgerald ruszyła przodem, a siostry poszły za nią dość potulnie, wymieniając po drodze zdziwione spojrzenia. Gdy wszystkie trzy znalazły się u celu, pani Fitzgerald starannie zamknęła drzwi i wsparłszy się pod boki, odwróciła się do córek.

- Czy to prawda, że flirtowałaś z piratem? - spytała najmłodszą z nich.

Lizzie zamrugła powiekami. Kątem oka dostrzegła rumieniec na twarzy Anny. Naturalnie nie mogła skłamać.

- Tak.

Mama zrobiła wielkie oczy.

- Pani Holiday widziała was w pokoju karcianym. Powiedziała, że flirtowaliście.

- O ile pamiętam, życzyłaś sobie, żebym flirtowała - powiedziała ostrożnie Lizzie.

- To prawda, ale ty - zwróciła się ku Annie - miałaś wyjść z balu po tym nieprzyzwoitym zachowaniu, którego byłam świadkiem. Stałaś się bezwstydną kokietką, moja panno, a to mi się nie podoba. I to bardzo! Widziałam, jak tańczyłaś walca. Tymczasem walca nie tańczy się nawet w salach Almacka. Jawnie lekceważysz polecenia własnej matki. Zamiast wrócić do domu, uknułaś spisek z siostrą i zniszczyłaś może jedyną szansę na jej zamążpójście. - Znow przeniosła uwagę na Lizzie, która nie wiedziała, czy bać się, czy martwić o to, że złość może matce zaszkodzić. - Na bal przyszło przynajmniej pół tuzina piratów. Który to był?

Lizzie obawiała się, jak matka zareaguje, gdy usłyszy prawdę. Mogłaby na przykład obstawać przy małżeństwie i tym samym wystawić się na pośmiewisko. To byłoby upokarzające ponad wszelką miarę. Jednak czy wolno jej kłamać? Odwróciła się do siostry, szukając u niej pomocy, ale Anna uciekła spojrzeniem.

- On miał maskę, mamó. Nie wiem - powiedziała niepewnie.

- Nie wiesz?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem pani Fitzgerald. -

Wreszcie spotkałaś mężczyznę, który się tobą zainteresował... Pani Holiday powiedziała, że takiego zaangażowania jeszcze u nikogo nie widziała. A ty nie wiesz?!

- Nie wiem, kto to był - odrzekła Lizzie, coraz bardziej niespokojna.

- Anno! - zagrzmiała pani Fitzgerald. - Wystarczy, że wyjdiesz z domu, a już masz dziesiątki adoratorów. Jak mogłaś tak egoistycznie postąpić?! To była szansa Lizzie.

- Bardzo przepraszam. - Anna wreszcie spojrzała na siostrę. - Mama ma rację. To ja powinnam była wyjść z balu, a nie ty.

- Sama uznałam, że nie chcę dłużej zostać - powiedziała z uśmiechem Lizzie. - Cieszę się, że dobrze się bawiłaś.

- O takich ważnych sprawach to ja decyduję - oznajmiła stanowczo pani Fitzgerald. - Lizzie miała wspaniałą okazję. Jak się dowiemy, kto się o ciebie starał?

- Trudno nazwać to staraniem - zauważyła z westchnieniem Lizzie.

- Jeśli wpadłaś mu w oko, to znaczy, że się starał, nie ma dwóch zdań. Liczę na to, że to był brytyjski oficer z dobrej i zamożnej rodziny. Odwiedzę dziś po południu panią Holiday i wypytam ją o szczegóły. Bądźcie pewne, że poznam tożsamość tego tajemniczego mężczyzny.

- To nie jest dobry pomysł! - zawołała przestraszona Lizzie.

- A dlaczego nie, moja panno?

Lizzie nie potrafiła znaleźć sensownej odpowiedzi.

Pani Fitzgerald zachowywała się jak terier, który zacisnął zęby na kości. Nie zważając na protesty córki, wyruszyła w bojowym nastroju do pani Holiday. Lizzie śledziła odjeżdżającą kariolkę z jak najgorszymi przeczuciami. Obok niej stała Georgie.

- A jeśli ona się dowie, że flirtowałam z Tyrellem de Warenne? - spytała cicho Lizzie.

Georgie nie wydawała się przejęta.

- Będziemy się tym martwić, jeśli rzeczywiście pojawi się problem. Może inni piraci też byli w czerni. - Krzepiącym gestem ujęła siostrę za ramię.

- Już po mnie - szepnęła Lizzie. Wiedziała, że kiedy matka odkryje prawdę, zawiezie ją do Adare, i to bynajmniej nie stroju lady Marian.

- Czy nie wydaje ci się, że Anna zachowuje się dziwacznie? - przerwała jej rozmyślenia Georgie, która tymczasem usiadła i wzięła się do cerowania skarpet ojca.

Pani Fitzgerald uznała, że nie warto wydawać pieniędzy na nowe, skoro cera i tak nie była widoczna. Lizzie zamierzała poczytać po południu, ale, niestety, nie potrafiła usiedzieć w miejscu, przez cały czas chodziła z kąta w kąt.

- Może zmęczyła się balem, skoro znowu się położyła.

- Rzeczywiście tańczyła niemal bez przerwy - przyznała Georgie.

Lizzie nie lubiła trwonić czasu, znowu podeszła do okna, jakby mogła w ten sposób przyzwać matkę z powrotem.

- Nie martw się - powiedziała Georgie, ujmując igłę.

Lizzie w milczeniu umościła się na sofie i wreszcie wzięła książkę do ręki.

Trzy godziny później wpadła do domu rozgorączkowana pani Fitzgerald. Promieniała.

- Dziewczynki! - wołała od drzwi. - Lizzie, Georgino, Anno! Mężu! Chodźcie tutaj szybko. Przynoszę niezwykle nowiny!

Pan Fitzgerald wyłonił się z biblioteki, a Georgie z kuchni. Ostatnią godzinę spędziła na łuskaniu grochu, pomagając jedynej domowej służącej. Anna bez pośpiechu zeszła na dół.

- Dobrze się czujesz? - spytała ją szeptem Lizzie, gdy cała rodzina zebrała się przed obliczem pani Fitzgerald.

- Całkiem dobrze - odszepnęła Anna. - Po prostu byłam zmęczona.

- Posłuchajcie wszyscy! - Pani Fitzgerald klasnęła w dłonie. - Odkryłam tożsamość pirata!

Lizzie miała ochotę schować się w mysiej dziurze.

- To był jego lordowska mość we własnej osobie. Wielki Boże, a toś nam pobłogosławił. Tym piratem był nikt inny, tylko sam Tyrell de WARENNE!

Lizzie omal nie zemdląca.

- Nie - powiedziała cicho.

- Ależ tak! Tyrell de WARENNE jest tobą zainteresowany, moja droga!

Lizzie przesłała błagalne spojrzenie Georgie, bo nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Siostra postąpiła do przodu.

- To musi być pomyłka, mamó. Wszyscy wiemy, że lord Tyrell zwraca uwagę tylko na najpiękniejsze kobiety. Na balu piratów nie brakowało. Moim zdaniem, nie powinniśmy przywiązywać nadmiernej wagi do słów pani Holiday.

- Pleciesz androny - odparła zdecydowanie pani Fitzgerald. - Jutro w południe pojedziemy złożyć wizytę pani hrabinie.

Lizzie wydała mimowolny okrzyk.

- Nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu - uprzedziła pani Fitzgerald. - Ani od ciebie, ani od nikogo innego!

- Ja nie mogę. - Lizzie miała wrażenie, że strach ją za chwilę zadusi.

Najgorszy koszmar senny byłby lepszy od tego, co działo się na jawie. Mama chciała urządzić scenę w Adare i skompromitować całą rodzinę.

Co gorsza, Lizzie była przekonana, że w trakcie ich wizyty pojawi się Tyrell, który wcale jej nie pozna. Popatrzy na jej kręłą sylwetkę, okulary w drucianej oprawie i uzna, że nie ma sobie kim zaprzętać głowy.

- Jutro w południe i bez dyskusji. Zdania nie zmienię - oświadczyła pani Fitzgerald.

- Mamó, nie mogę tego zrobić - próbowała tłumaczyć Lizzie.

- Możesz i zrobisz. - Rodzicielka podeszła i poklepała ją po ramieniu, jakby ten gest mógł uspokoić córkę. - Musimy podziękować pani hrabinie za gościnność, prawda?

Lizzie wzrokiem wezwała na pomoc siostrę.

- Mamó - zaapelowała Georgie swoim spokojnym, rzeczowym tonem. - Nigdy dotąd nie składaliśmy wizyt pani hrabinie. Zawsze wysyłaliśmy bardzo uprzejmy list z podziękowaniem. Lepiej byłoby zachować tę tradycję.

- Georgie ma rację - poparła ją Lizzie. - Zresztą pani hrabina może być niedysponowana.

- W takim razie powtórzmy wizytę nazajutrz - zdecydowała niestrudzona pani Fitzgerald.

- Mamo, wiem, co ci się marzy - powiedziała Georgie. - Sądzisz, że uda ci się wymusić na Tyrellu de WARENNE małżeństwo. To niemożliwe. W hierarchii społecznej de WARENNE'owie stoją o wiele wyżej od nas. On wprawdzie zainteresował się Lizzie, ale przecież nie wiedział, kogo ma przed sobą. Nigdy nie dojdzie do ślubu de WARENNE'a z panną FITZGERALD.

- Czy mogę nie jechać do ADARE? - spytała nagle ANNA.

- Nie cieszysz się szczęściem siostry? - zdziwiła się matka.

- Cieszę się, mamo, ale źle się czuję. - Z tymi słowami odwróciła się i bez pozwolenia ruszyła po schodach do sypialni.

Zaskoczona dziwnym zachowaniem córki, pani FITZGERALD na chwilę straciła rezon. Lizzie była zanadto przygnębiona, by próbować ANNE powstrzymać.

- Mamo, proszę, nie rób tego. Zaszło fatalne nieporozumienie. Tyrell de WARENNE na pewno mnie nie nagabywał. Proszę, nie każ mi tam jechać.

- Idę się przebrać do kolacji - oznajmiła pani FITZGERALD, głucha na protesty córki. - Aha, Lizzie - dodała już ze schodów. - Włóż, proszę, tę suknię w zielony rzucik i do tego zieloną jedwabną peliskę. W zielonym jest ci najbardziej do twarzy! - Uśmiechnęła się. - Prawdę mówiąc, niedyspozycja ANNY wypadła w dobrej chwili, nie sądzicie? Przecież nie chcemy, żeby była z nami podczas odwiedzin u pani hrabiny, prawda?

Oszołomiona Lizzie odprowadziła matkę wzrokiem. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy Georgie otoczyła ją ramieniem.

- Ale galimatias - powiedziała. - Nie wiem, jak wyplączemy się z tej sytuacji.

- Co mam zrobić? Mama postawi nas wszystkich w bardzo kłopotliwej sytuacji, a jeśli pojawi się Tyrell... - Lizzie poczuła, że rumieniec zalewa jej policzki.

- Może i ty mogłabyś zachorować?

- Mama nie darowałaby mi tego, nawet gdybym naprawdę źle się czuła.

- Potrzebujemy więc cudu - uznała Georgie.

Lizzie nie wierzyła w cuda. Następnego dnia zmienił jej opinię w tym względzie, ponieważ nie tylko hrabiny nie było w rezydencji, lecz okazało się, że cała rodzina ubiegłego popołudnia wyjechała do Londynu. Nie poczyniono tymczasem żadnych planów w związku z powrotem hrabiostwa. Ucieszona Lizzie mogła tylko mieć nadzieję, że zanim de

Warenne'owie wrócą, matka przestanie się interesować tą sprawą.

Był zimny listopadowy dzień. Lizzie miała właśnie wziąć się do sprzątnięcia salonu, gdy przywieziono powieść, którą zamówiła w dublińskiej księgarni. Nie wypuszczając szczotki z ręki, rozdarła szary papier i szeroko się uśmiechnęła na widok tytułu „Rozważna i romantyczna”. Zapominając o obowiązkach, Lizzie natychmiast zatoneła w lekturze.

Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła nad powieścią, pochłonęła już kilka rozdziałów, gdy usłyszała na zewnątrz rżenie konia i turkot powozu. To sprowadziło ją na ziemię. Zamknąwszy książkę, podeszła do okna i ujrzała przysadzistą sylwetkę Petera Harolda.

W tym miesiącu pan Harold regularnie raz na tydzień składał wizyty Georgie, co bardzo złościło Lizzie. Siostra wydawała się zrezygnowana, w obecności gościa odzywała się rzadko i z uśmiechem przyklejonym do warg pozwałała mu monologować bez końca.

- Przyjechał pan Harold - zaanonsowała Lizzie, wchodząc do kuchni.

Georgie była zajęta skubaniem kurczaka. Słyszając nowinę, podniosła głowę i znieruchomiała. Aż przykro było patrzeć na jej zafrasowaną twarz.

- Pozwól mi go odesłać - poprosiła Lizzie. - Powiem mu, że zakochałaś się w jakimś młodym radykale z Dublina.

Georgie podeszła do zlewu, zdejmując po drodze fartuch.

- Tylko on stara się o moją rękę, Lizzie, a sama słyszałaś, jak mama skarży się na własne zdrowie.

- Doktor Ryan twierdzi, że nic jej nie dolega - stwierdziła Lizzie. - Zadaję sobie pytanie, czy te jej ataki nie mają służyć przypadkiem nakłonieniu cię do posłuszeństwa.

- Sama się nad tym zastanawiałam, ale jakie to ma znaczenie? Wszystkie sądziłyśmy, że Anna lada chwila się zaręczy, a na razie nic o tym nie słyhać. Pięć osób do wykarmienia to za duże obciążenie dla naszych rodziców. Ktoś z nas musi wreszcie podjąć decyzję.

Lizzie zrobiła zniecierpliwioną minę, bowiem rozległo się pukanie do wejściowych drzwi.

- Do lata Anna wyjdzie za mąż. Wystarczy, żeby zdecydowała się na jednego z adoratorów.

- Ona jest płocha. - Georgie zniżyła głos i po krótkim wahaniu dodała: - Pan Harold wyznał mi, że ma pięćset funtów dochodu rocznie.

To całkiem przyzwoita suma, pomyślała Lizzie, jednak zauważyła:

- Handluje winem i do tego nie jest porządnym protestantem. Występuje przeciwko Kościołowi anglikańskiemu,

- Nawet jeśli tak, to nie obraża nikogo swoimi poglądami politycznymi - stwierdziła Georgie, opuszczając kuchnię z deptającą jej po piętach siostrą.

- Bo nie ma żadnych poglądów politycznych!

Wcześniej Lizzie była świadkiem, jak Georgie próbowała wciągnąć pana Harolda do dyskusji o polityce, ale on potrafił jedynie wyrazić pogląd, że wojna sprzyja rozwojowi handlu. Naturalnie nie chciał przez to powiedzieć, że ją popiera, tylko że ceny wina nigdy przedtem nie osiągnęły tak zadowalającego poziomu.

Georgie zignorowała tę uwagę, przybrała na twarz sztuczny uśmiech i otworzyła drzwi.

Gdy wilgotny chłód listopada ustąpił miejsca lodowatemu zimnu, los niespodziewanie się odwrócił. Na początku grudnia złożył Annie wizytę przy- stojny brytyjski oficer, porucznik Thomas Morely. Obecnie stacjonował pod

Corkiem. Okazało się, że poznał Annę na maskaradzie i od tej pory do niej pisywał. To mogłoby wyjaśniać uśmiech rozmarzenia, jaki od pewnego czasu gościł na jej twarzy. Korzystając z urlopu, porucznik spędził cały tydzień w Limerick i codziennie składał wizyty w domu Fitzgeraldów. Matka szybko przeprowadziła wywiad i uzyskała informacje, że Morely pochodzi ze starej i dobrej rodziny, a jego dochód wynosi osiemset funtów rocznie. To obiecywało Annie dostatnie życie. Nie ulegało wątpliwości, że porucznik traktuje tę znajomość bardzo poważnie. Lizzie trzymała za nich kciuki z nadzieją, że dzięki temu zelżeje presja na Georgie. Kiedy Thomas wrócił do pułku, Anna najpierw pochlipała, a potem przez cały tydzień snuła się po domu jak zjawą.

Na Boże Narodzenie Thomas Morely wrócił.

- Anno! - zawołała Lizzie od okna, widząc, jak jasnowłosy oficer zeskakuje z konia. - Pospiesz się, przyjechał porucznik!

Znajdowały się obie w salonie. Anna, która właśnie szyła, znieruchomiała i zbladła. Potem zerwała się na równe nogi, w jednej chwili zapominając o swoim zajęciu.

- Jesteś pewna? To Thomas?

Lizzie skinęła głową, czując dreszczyk emocji. Chciała, żeby siostra znalazła szczęście. Anna pobiegła na górę zmienić suknię i upewnić się, czy każde pasemko włosów jest na właściwym miejscu.

Tego wieczoru porucznik Morely wystąpił z oświadczynami. Dla uczczenia oficjalnego ogłoszenia zaręczyn otwarto butelkę szampana. Anna i Thomas, oboje trochę onieśmieleni, trzymali się za ręce, a zgromadzeni wokół członkowie rodziny Fitzgeraldów demonstrowali radość.

- Za długi, szczęśliwy związek - wznosił toast pan Fitzgerald. - I spokojny - dodał, dyskretnie puszczając oko do Lizzie.

Lizzie podbiegła do Anny i serdecznie jej pogratulowała.

- Tak się cieszę - powiedziała, uświadomiwszy sobie, że z oczu płyną jej łzy. - Będę za tobą bardzo tęsknić, gdy poślubisz Thomasa i wyjedziesz.

Annie również zwilgotniały oczy.

- Ja też będę tęsknić za tobą, Georgie i za wszystkimi. Thomas mieszka w Derbyshire, a ja będę pilnować, żebyśmy co roku przyjeżdżali w odwiedziny. - Zwróciła się do narzeczonego. - Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu?

- Nigdy nie będę miał nic przeciwko pani zamierzeniom - zapewnił elegancko Thomas.

Lizzie wiedziała, że jest mocno zakochany i wierzy w to, co mówi. Wprost nie mógł oderwać wzroku od Anny.

- Jaki piękny dzień mamy - zachwyciła się pani Fitzgerald, ocierając łzy chusteczką. - Och, Georgino May, modłę się, żebyś była następną.

Lizzie zauważyła, że siostra przybrała sztywną pozę. Tego ranka pan Harold przyniósł jej bożonarodzeniowy podarek, śliczną koronkową mantylkę, stanowiącą jednoznaczny sygnał jego zamiarów. Wprawdzie Georgie podziękowała, ale z bardzo nieszczerym uśmiechem.

Porucznik Morely wyjechał następnego dnia, obiecując pisać co tydzień.

Niedługo po Nowym Roku do domu Fitzgeraldów dotarła plotka. Otóż okazało się, że hrabia Adare podjął negocjacje, chcąc doprowadzić do ślubu Tyrella z angielską dziedziczką, która pochodziła z ustosunkowanej rodziny, mającej duży wpływ na politykę. Byłoby to dla de Warenne'ów niezwykle korzystne posunięcie.

Tego popołudnia Georgie odciągnęła Lizzie na stronę. Dzień był brzydki i deszczowy.

- Nie zmartwiłaś się za bardzo? - spytała wyraźnie zatroskana.

Lizzie czuła się fatalnie, nie żywiła jednak złudzeń. Zdawała sobie sprawę, że takie spotkanie, do jakiego doszło podczas maskarady, więcej się nie powtórzy.

- Wszystko w porządku - odparła, choć serce pękało jej z żalu.

- Musisz się z tym pogodzić. On nie jest dla ciebie i nigdy nie był.

- Wiem - odrzekła, chociaż nie potrafiła zapomnieć o Tyrellu. Niemal każdej nocy odwiedzał ją we śnie, a i nawet za dnia stawał jej przed oczami. - Chciałabym, żeby był szczęśliwy - szepnęła.

Ślub Anny wyznaczono na początek września i pani Fitzgerald z wielką energią przystąpiła do przygotowań. Zdecydowano, że uroczystość odbędzie się w Derbyshire. Anna wydawała się szczęśliwa. Którejś nocy Lizzie zbudził płacz. Ku swemu zdumieniu, spostrzegła, że siostra, zamiast spać, szlocha w poduszkę. Wyciągnęła do niej rękę.

- Co się stało, moja droga? Przyśniło ci się coś?

Anna zerwała się z łóżka i podbiegła do kominka, na którym dogasał ogień.

- Tak - szepnęła przez łzy. - To był okropny sen. Przykro mi, że cię zbudziłam.

Lizzie odniosła wrażenie, że Anna nie mówi prawdy, ale nie próbowała naciskać. Rankiem zobaczyła przez okno, jak otulona płaszczem siostra spaceruje z pochyloną głową. Zaniepokojona Lizzie okutała się szalem i wybiegła przed dom.

- Co ty robisz? Jest bardzo zimno, przeziębisz się! - zawołała.

W odpowiedzi Anna tylko przyspieszyła kroku. Lizzie pobiegła za nią, bliska paniki. Po chwili chwyciła siostrę za ramię.

- Nie słyszysz? - spytała, obracając Annę ku sobie. - Co tobie?

Anna pozwoliła się objąć, ale wyglądała tak, jakby nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Po policzkach spływały jej łzy.

- Czy chodzi o Thomasa?

- Nie, Thomas ma się dobrze - szepnęła.

- Powiedz mi, proszę, co się stało. Wczoraj w nocy też płakałaś i wiem, że to nie z powodu złego snu.

Po twarzy Anny popłynęły świeże łzy.

- Nie wiem, co robić. Nie ma dla mnie ratunku - wyznała i rozszlochała się na dobre.

- Chodź do domu, moja droga. Usiądziemy w salonie i porozmawiamy.

- Nie! - krzyknęła wyraźnie przestraszona Anna. - Nie ma o czym rozmawiać. Moje życie się skończyło - dodała dramatycznym tonem.

Lizzie zdołała zaprowadzić siostrę do altanki za domem i tam posadzić ją na ławce. Przez dłuższą chwilę w milczeniu siedziała obok, trzymając ją za ręce.

- Czy jesteś chora? - spytała, siląc się na spokój. Anna spojrzała jej w oczy.

- Będę miała dziecko. Lizzie nie rozumiała.

- Słucham?

- Będę miała dziecko - powtórzyła z płaczem Anna.

Lizzie próbowała wymyślić, co sensownego można powiedzieć w tej sytuacji.

- Kochasz Thomasa, a takie historie się zdarzają. Kiedy dziecko ma się urodzić? - spytała. Prawdę mówiąc, trudno jej było uwierzyć w to, że siostra pozwoliła narzeczonemu na taką poufałość przed ślubem.

- W lipcu - odparła cicho Anna, nie podnosząc głowy.

Ślub był wyznaczony na piątego września.

- I co ja pocznę?! - wykrzyknęła Anna.

Dopiero teraz Lizzie zrozumiała w pełni powagę sytuacji. Annie groziła całkowita kompromitacja. Drzwi przyzwoitych domów zamknęłyby się przed nią na zawsze. Na szczęście przyszedł jej do głowy dobry pomysł.

- Po prostu musisz przyspieszyć ślub. Potem wyjedziesz, żeby urodzić dziecko, a prawdę będą znały tylko trzy osoby: ja, ty i Thomas - oznajmiła zadowolona ze swego pomysłu.

Anna wcale nie wydawała się uspokojona i Lizzie ogarnęła trwoga.

- Nie powiedziałaś Thomasowi?

Anna otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Uciekła wzrokiem w bok.

- To nie jego dziecko - wybąkała. Lizzie całkiem odebrało mowę.
- Mówiłam ci, że moje życie się skończyło - szepnęła zrozpaczona Anna.
- Stracę wszystko, nawet Thomasa.

Lizzie zdołała otrząsnąć się z osłupienia.

- Kto jest ojcem? - spytała.

W odpowiedzi Anna milcząco pokręciła głową.

Lizzie nie nalegała. W gruncie rzeczy to bez znaczenia, a poza tym to nie jej sprawa. Trzeba jak najszybciej znaleźć jakieś wyjście z tej katastrofalnej sytuacji.

- Czekaj, muszę pomyśleć - mruknęła pod nosem, gotowa pomóc siostrze.

- To była potworna pomyłka! - wykrzyknęła Anna. - Thomasa jeszcze nie znałam, a on się do mnie zalecał. Ty tego nie zrozumiesz, bo nigdy nikt cię nie całował. Jeden pocałunek prowadził do następnego i jeszcze do następnego... I stało się! Tak mi przykro!

Lizzie skinęła głową.

- Anno, czy gdybyś nie była zaręczona, poślubiłabyś ojca swojego dziecka, gdybyś mogła?

- On nie zniżyłby się do małżeństwa ze mną - odparła Anna, wprawiając tym Lizzie w głębokie zakłopotanie. Najwidoczniej ojciec dziecka jest arystokratą. - Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale ja naprawdę kocham Thomasa. Przedtem wiele razy byłam zadurzona, ale czegoś takiego jak teraz jeszcze nigdy nie czułam.

- Wierzę ci. Przecież ostatnio widywałam cię szczęśliwą jak nigdy - przyznała Lizzie.

Uważała, że Anna ma prawo do spędzenia życia z mężczyzną, którego kocha. Jeden błąd nie powinien przekreślać szans na szczęście.

Nagle zdecydowała, że musi stawić czoło sytuacji.

- Co ma znaczyć ta zacięta mina? - spytała Anna. Lizzie stanęła w pozie generała, wydającego rozkazy przed rozstrzygającą bitwą.

- Znajdę wyjście, Anno, przysięgam ci! Nie bój się. Poślubisz Thomasa, a o dziecku nikt się nie dowie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ważne koligacje

W następnym tygodniu nadszedł list. Niezwykle podekscytowana pani Fitzgerald natychmiast zwołała całą rodzinę do salonu, aby odczytać jego treść na głos.

- Och, wieki już nie było wiadomości od drogiej Eleanor! - zawołała zachwycona.

Eleanor de Barry była bogata; według krążących pogłosek miała bowiem majątek sięgający stu tysięcy funtów, a co najważniejsze nie wyznaczyła jeszcze spadkobierców. Słynęła z ekscentrycznych obyczajów, mówienia bez ogródek tego, co myśli, i nieuprzejmego zachowania. Pani Fitzgerald ze zrozumiałych względów dbała o kontakt z zamożną krewną.

- Mam nadzieję, że zamierza nas odwiedzić albo nawet, jeszcze lepiej, zaprosić nas do Dublina lub Glen Barry!

- Nie powinnaś zanadto się ekscytować - upomniała matkę Georgie.

- Och, nic mi nie jest! Nigdy nie czułam się lepiej.

- Mężu! - zawołała. - Przyjdź do nas! Eleonor przysłała list! Domyślam się, że zaprasza nas do siebie, przecież nie widzieliśmy jej półtora roku. - Rozpromieniona pani Fitzgerald powiodła spojrzeniem po trzech córkach.

Lizzie usiadła, skromnie składając ręce na kolanach, i starannie unikając wzroku Anny, której twarz okryła się lekkim rumieńcem. Pięknie kaligrafowany list ciotki został sfalszowany. Georgie nic o tym nie wiedziała. Lizzie z Anną uznały, że jest zanadto prostolinijna i uczciwa, aby ją wtajemniczać. Lizzie zamierzała wyjaśnić jej wszystko dopiero w Dublinie.

- To na pewno zaproszenie - powiedziała Georgie.

Lizzie wiedziała, że siostra udaje obojętność, przepadała bowiem za Dublinem. Minęły lata, odkąd gościły u ciotki w jej eleganckim domu przy Merrion Square. Ostatni raz widziały Eleanor, gdy zupełnie niespodziewanie zawitała do Raven Hall i pozostała przez pełne trzy tygodnie.

Pani Fitzgerald zaczęła wachlować się listem.

- Gdzie się podziewa wasz ojciec? - niecierpliwiła się. - Uwielbiam Dublin - wyjawiała.

Anna wymieniła z Lizzie przelotne spojrzenia.

- Ciotka Eleanor zwykle zaprasza nas do Glen Barry w Wicklow - zauważyła Lizzie.

- Tak, ale robi to w lipcu lub sierpniu. Jestem pewna, że tym razem chodzi o Dublin i dlatego tak się cieszę. Z pewnością będą tam jacyś przystojni młodzi ludzie, chociaż naturalnie najlepsi kawalerowie są w Londynie. - Pani Fitzgerald wachlowała się z coraz większą energią.

Do salonu wszedł pan Fitzgerald. Wspomagał się laską, ponieważ w ostatnim tygodniu kolano dokuczało mu bardziej niż zwykle.

- Nie jestem przecież głuchy. Czy mam rozumieć, że przyszło zaproszenie od mojej siostry?

- Modłę się o to żarliwie. - Pani Fitzgerald szybko otworzyła list. - Napisany przed pięcioma dniami. Chciałabym, żebyśmy mieli tak sprawną pocztę.

- Mamo, przeczytaj na głos - poprosiła Georgie.

- „Moi drodzy Geraldzie i Lidio” - zaczęła pani Fitzgerald. - „Mam nadzieję, że list zastanie was w dobrym zdrowiu. Doszłam do wniosku, że przyszedł czas na odwiedziny. Od dłuższego czasu nie czuję się najlepiej i chciałabym, aby wasze trzy córki zajęły się mną do chwili, gdy moje zdrowie się poprawi. Doktorzy mówią, że to powinno się stać za kilka miesięcy. Oczekuję więc Georginy May, Annabelle Louise i Elizabeth Anne na Merrion

Square w przyszłym tygodniu. Z wyrazami szacunku, Eleanor Fitzgerald de Barry".

W miarę czytania pani Fitzgerald miała coraz bardziej zdziwioną minę. Lizzie, przekonana, że lada moment jej oszustwo zostanie odkryte, ledwie mogła oddychać.

- Zaprosiła tylko dziewczęta - stwierdziła zawiedzionym tonem pani Fitzgerald.

- Nie napisała, co jej dolega - zwrócił uwagę pan Fitzgerald.

Georgie zerwała się z miejsca.

- Ciotka chce, żebyśmy zajęły się nią przez kilka miesięcy!?

- Naturalnie - szybko przytaknęła Lizzie. - Jeśli ciotka jest chora, musimy natychmiast do niej jechać, prawda, mamó? Georgie i ja niezwłocznie poczynimy przygotowania. Popłyniemy barką po Wielkim Kanale i za parę dni będziemy na miejscu.

- To bardzo dobra i na czasie propozycja - orzekł pan Fitzgerald. - Zwykle dostajemy zaproszenie na znacznie krótszy okres. Jeśli Eleanor jest chora, ich pobyt może potrwać znacznie dłużej.

Pani Fitzgerald popatrzyła na męża, a na jej policzkach ponownie pojawiły się rumieńce.

- Och, masz rację, mój drogi! To rzeczywiście jest szansa. W Dublinie są znacznie większe możliwości niż tutaj, na wsi.

- A co z Thomasem? - spytała żalonym tonem Anna. - Dublin jest za daleko, żeby mógł mnie odwiedzać.

- Wszyscy wiemy, że rozłąka zbliża ludzi - włączyła się Lizzie.

- To prawda - przyznała pani Fitzgerald. - Anno, masz zapewnioną przyszłość. Sądzę, że chciałabyś, aby i twoje siostry uporządkowały sobie życie. W Dublinie z pewnością częściej odbywają się rozmaite spotkania towarzyskie i można poznać więcej osób niż u nas.

- Naturalnie chcę, aby siostry znalazły sobie mężów - przyznała. Jej sylwetka zaczynała się zaokrąglać, choć na razie nikt z domowników tego nie zauważył.

- Mamo, nie mogę pojechać - oznajmiła nagle Georgie. - W każdym razie na tak długo. Potrzebujesz mnie tutaj.

Pani Fitzgerald zwróciła się z zafrasowaną miną do najstarszej córki.

- Pan Harold nie wystąpił z oświadczeniami, choć wielokrotnie dawał do zrozumienia, że nosi się z takim zamiarem. Rzeczywiście, nie powinnaś jechać, a już na pewno nie na kilka miesięcy. Musisz zostać i wreszcie go usidlić.

- Przecież w Dublinie Georgie może poznać lepszego kandydata na męża!
- zawołała zdesperowana Lizzie. Była zdecydowana zębami i pazurami bronić siostry przed podstarzałym adoratorem.

- Pan Harold jest niezwykle obiecującym kandydatem. Mimo że nie świadczy za nim wysokie pochodzenie, ma niemały majątek i jest pierwszym mężczyzną, który poważnie stara się o rękę Georgie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej skłaniam się ku opinii, że Georgie powinna zostać w domu. Ty pojedziesz do Dublina w towarzystwie Anny. Pozostałaś jedyną panną na wydaniu w rodzinie, a ten pobyt powinien zwiększyć twoje szanse na małżeństwo.

- Pomogę Lizzie zaplanować podróż - powiedziała zrezygnowanym tonem Georgie.

- Wobec tego napiszę list do Thomasa, aby wytłumaczyć moją nieobecność - odezwała się przez łzy Anna, trzymając się ustalonego scenariusza. - Poza tym, jeśli mamy niezwłocznie wyjechać, musimy wziąć się do pakowania.

- Pamiętajcie, żeby zabrać najlepsze suknie - przypomniała córkom pani Fitzgerald.

Lizzie starannie zamknęła drzwi sypialni.

- Jak na razie mama jest przekonana, że ciotka naprawdę zaprosiła nas na Merrion Square.

Anna skinęła głową.

- Tak. Szkoda tylko, że nie puści Georgie.

Lizzie też tego żałowała, ale dla dobra sprawy nie mogła wyjawiać prawdy prostolinijnej siostrze.

- Och, Lizzie, nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna - rzekła Anna. - Tylko jak to się skończy? Jestem przekonana, że ten okropny Peter Harold wreszcie się oświadczy i Georgie niechybnie czekają małżeńskie kajdany.

Lizzie również dostrzegała takie niebezpieczeństwo, i to ją bardzo zmartwiło.

- Spróbuję ją przekonać, żeby mu odmówiła. Przecież do twojego ślubu nie zostało tak dużo czasu. Georgie na pewno nie musi się spieszyć.

Anna otworzyła szufladę komody i zaczęła wyjmować bieliznę.

- Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za to, co dla mnie robisz.

- Wcale nie musisz.

Uwagę Lizzie pochłaniały w tej chwili kolejne wyzwania, które ją czekały, jeśli chciała zrealizować plan. Nie była pewna, jak je przyjmą na Merrion Square. Ciotka nie była serdeczna, do krewnych odnosiła się z dystansem i wszyscy się jej bali. A jeśli odeśle je do domu?

Anna zdawała się czytać w jej myślach.

- Jeśli nawet pozwoli nam przestąpić próg, to wyrzuci nas natychmiast, gdy dowie się, w jakim jestem stanie. - Usiadła przy siostrze, a z oczu popłynęły jej łzy.

- Tylko jędza bez serca postąpiłaby w ten sposób - zaproponowała Lizzie. - Myślisz, że mogłaby wyrzucić nas na ulicę, wiedząc, że nie mamy pensa przy

duszy? Nie, na pewno zatrzyma nas pod swoim dachem. Gdybym w to wątpiła, nie wybierałybyśmy się do Dublina!

- Nie pamiętam, żeby ciotka kiedykolwiek zachowała się jak człowiek. - Anna ciężko westchnęła.

- Jesteśmy jej krewnymi - oświadczyła z desperacją Lizzie. - A zresztą o to, żeby ciotka przyjęła nas do siebie, będziemy się martwić po przyjeździe do Dublina. Wtedy przyjdzie czas, żeby zastanowić się, jak powiedzieć jej prawdę.

- Przynajmniej wszystko idzie zgodnie z harmonogramem - powiedziała Anna. - Dojedziemy do Dublina przed połową marca.

- Tak. - Siostry wymieniły posępne spojrzenia.

- Mamy cztery miesiące na znalezienie porządnej rodziny, która przyjmie to dziecko - zauważyła Lizzie. - Nie widzę innego wyjścia, chyba że wyznasz prawdę Thomasowi i przekonasz go do uznania dziecka - dodała.

- Nie mogę mu powiedzieć. Żaden mężczyzna nie zechce takiej panny.

Lizzie była niemal pewna, że Thomas zerwałby zaręczyny, gdyby dowiedział się wszystkiego.

- Wobec tego postępujemy słusznie, nie mamy innej możliwości - podsumowała.

- Obiecuj mi tylko, że oddamy je w naprawdę dobre ręce - powiedziała z naciskiem Anna.

- Obiecuję.

- Spakuję i twoje rzeczy, Lizzie.

- Nie ma mowy. I bez tego jesteś zmęczona.

Rozległo się pukanie do drzwi. Obie zmartwiały, ale Lizzie szybko się opanowała.

- Proszę - rzuciła energicznie. Weszła Georgie.

- Dlaczego zamknęłyście drzwi? Co to za tajemnice? Dlaczego je ukrywacie przede mną?

- Nie mamy żadnych tajemnic! - odparła z udawanym oburzeniem Lizzie.

Georgie skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Od kilku dni obie zachowujecie się dziwnie. Coś się dzieje, prawda? Coś, o czym do tej pory mi nie powiedziałyście.

- Wydaje ci się - skwitowała Lizzie. - Dziwię się, że nie chcesz pojechać z nami. Uciekłabyś przed tą starą ropuchą, zanim ci się oświadczy, a w dodatku uwielbiasz Dublin. Georgie sposepniała.

- Martwię się o zdrowie mamy. Nie zostałby na miejscu nikt, kto mógłby się nią opiekować i dopilnować, żeby odpoczywała i jadła jak należy. Nie, kilka miesięcy to stanowczo za długo.

Lizzie straciła nadzieję, że Georgie jednak zmieni decyzję.

- A jeśli pan Harold ci się oświadczy?

- Składa nam wizyty od wielu miesięcy. Może i on zdaje sobie sprawę z tego, że nasze małżeństwo nie byłoby szczególnie udane?

- To nie jest odpowiedź. - Lizzie nie dała się zbić z tropu.

Georgie splonęła rumieńcem.

- A co mam powiedzieć? Że mu odmówię? Jeśli się oświadczy, będę musiała bardzo poważnie zastanowić się nad przyszłością. Wątpię, czy inny mężczyzna poprosi mnie o rękę, więc na razie staram się polubić pana Harolda.

Lizzie i Anna wymieniły przerażone spojrzenia.

- Mną się nie przejmujcie - ciągnęła Georgie. - Mama ma rację, że wyjazd zwiększy szanse Lizzie na poznanie odpowiedniego kawalera. W każdym razie pomogę wam się spakować. - Spróbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- Ja wcale nie chcę wyjść za mąż - oświadczyła Lizzie.

- Tylko dlatego, że jeszcze się nie zakochałaś - orzekła Georgie.

Lizzie odwróciła się i natychmiast zobaczyła oczami wyobraźni rozplamiony wzrok Tyrella de WARENNE, stojącego nad nią na balu maskowym.

- Chyba nie śnisz znowu o Tyrellu - zaniepokoiła się Georgie.

- Pewnie, że nie - odrzekła Lizzie, choć przez ostatnie cztery miesiące nie było dnia, żeby o nim nie myślała.

- Byłam przy tym, jak sir James mówił mamie, że de Warenne'owie pojechali do Wicklow. - Wicklow, ich rodowy majątek znajdował się w hrabstwie Wicklow, a mimo podobieństwa tych nazw nie należało mylić. - Tyrell otrzymał stanowisko w Ministerstwie Finansów.

Czy to znaczy, że Tyrell będzie w Dublinie? - zadała sobie w duchu pytanie Lizzie. Nie, nie wolno mi się tym interesować, na razie muszę się uporać z problemem Anny, nakazała sobie w myśli.

- Georgie, nie żartuj - powiedziała przesadnie lekkim tonem. - Od października nie pomyślałam o nim ani razu. Mam ważniejsze sprawy na głowie. - Kątem oka dostrzegła, że Anna pobladła.

- Na przykład jakie?

Lizzie uśmiechnęła się z dużą pewnością siebie.

- Na przykład muszę ocalić ciebie, siostrze, przed losem gorszym od śmierci. Naturalnie ofertę pomocy w pakowaniu przyjmujemy. Mamy mnóstwo do zrobienia, a czas ucieka.

Doki Wielkiego Kanału w Dublinie były położone na południe od rzeki Liffey, zaledwie o kilka przecznic od Merrion Square. Lizzie z Anną dopłynęły tam barką w ciągu czterech dni. Teraz stały na nabrzeżu, ściskając podręczny bagaż, a marynarz ustawiał obok ich kufry i sakwojaze. Obie czuły się bardzo niepewnie.

- Ona nie wpuści nas do domu. Ani nas nie zaprosiła, ani się nas nie spodziewa - powiedziała przestraszona Anna.

- Wpuści, wpuści - uspokajała siostrę Lizzie. - Przecież jesteśmy jej krewnymi.

Prawdę mówiąc, ją też ogarnęły wątpliwości. Jednak nie pozostawało nic innego, jak przywołać dorożkę. Chwila spotkania z ciotką Eleanor zbliżała się nieuchronnie.

- Ona nigdy mnie nie lubiła - nie ustępowała Anna. - Zawsze o tym wiedziałam.

Lizzie popatrzyła z pewnym zaskoczeniem na siostrę.

- Właśnie, że cię lubi. Nie możesz cały czas myśleć o najgorszym. Na razie nie ma po temu powodu - powiedziała, ujmując rękę siostry.

- Dobrze, że wzięłyśmy kilka funtów. Wystarczy na pokój, gdybyśmy musiały go wynająć. - Anna była bliska płaczu.

- Do tego nie dojdzie - oznajmiła stanowczo Lizzie. Wiedziała, że ciotka Eleanor nie ucieszy się z ich widoku, ale nie umiała przewidzieć rozwoju wydarzeń. - O, widzę dorożkę. Poczekaj tu.

Dorożkarz załadował ich bagaż, umówił się na cenę przejazdu i niedługo znalazły się na Merrion Square, przy którym ulokowały się najbardziej eleganckie rezydencje w mieście. Dom Eleanor, trzypiętrowa budowla z piaskowca, usytuowany był po północnej stronie parku, zajmującego środek placu. Korynckie kolumny podtrzymywały tympanon, przydający całości dostojęstwa. Dopiero teraz Lizzie ogarnął lęk.

- Proszę pań, wyładowałem bagaże - wyrwał ją z zamyślenia dorożkarz, który otworzył drzwi pojazdu.

Lizzie zeszła na chodnik, a za nią Anna. Otrzymawszy zapłatę, mężczyzna odjechał, a siostry bezradnie spojrzały po sobie.

- Jesteśmy na miejscu - odezwała się niepewnie Lizzie. - Uśmiechnij się, Anno, jakby nigdy nic. Wyobraź sobie, że przyjechałyśmy obejrzeć miasto i wpadłyśmy odwiedzić krewną.

- A jeśli ona nas nie wpuści? - Anna po raz kolejny wyraziła głośno najgorsze obawy Lizzie.

- Musi. Nie pozwolę na to, żeby nas wyrzuciła.

- Jesteś bardzo dzielna. - Annie zbierało się na płacz.

Lizzie miała nadzieję, że podając siostrze rękę, doda jej otuchy, chociaż sama wcale nie czuła się pewnie.

- Wyglądasz jak Francuz w drodze na gilotynę - zażartowała bez przekonania. - Postaraj się trochę.

Anna niemrawo skinęła głową.

Zostawiwszy kufry przed domem, siostry wspięły się po wysokich schodach, mijając parę rzeźbionych lwów, i doszły do frontowych drzwi, przy których stał odźwierny w liberii. Skłonił przed nimi głowę i uchylił rzeźbione dębowe wrota. Znalazły się w kolistym holu o czarno-białej marmurowej posadzce. Z sufitu zwisał olbrzymi żyrandol z kryształu i złota. Pojawił się kamerdyner i Lizzie wręczyła mu z uśmiechem bilet wizytowy.

- Dzień dobry, Leclerc. Zawiadam, proszę, naszą ciotkę, że jesteśmy. - Mówiąc to, usłyszała wysoki, dość przenikliwy głos ciotki, dochodzący z pobliskiego salonu, i wesoły śmiech jakiegoś dżentelmena.

- Naturalnie, panienko. - Służący skłonił się i powoli odszedł.

- Ciotka Eleanor ma gości - szepnęła wystraszona Anna.

- Wobec tego będzie musiała zachowywać się tak, jak dyktują zasady grzeczności - odparła rezolutnie Lizzie, wiedząc jednak, że Eleanor nie przejmuje się dobrymi manierami. Była wystarczająco bogata, by robić, co jej się podoba. Zresztą, w towarzystwie ktoś zachowujący się tak niekonwencjonalnie jak ona dostarczał niemało rozrywki.

Głos Eleanor podniósł się o kilka tonów:

- Uważam... Co? Moje bratanice tutaj? Na Merrion Square? Jakie bratanice, Leclerc?

Lizzie i Anna wymieniły zrozpaczone spojrzenia.

- Nie zapraszałam żadnych krewnych! - wykrzyknęła Eleanor. - Odeślij je z powrotem! Odeślij je natychmiast!

Lizzie wpadła w popłoch. A więc ciotka nawet do nich nie wyjdzie? Chwilę później usłyszały stuk obcasów na marmurze i w holu ukazała się Eleanor. Nawet z daleka było widać, że pała najwyższym oburzeniem. Ciotce towarzyszył wysoki dżentelmen o ciemnoblonde włosach.

- Co to za przedstawienie? - spytała gniewnie ciotka.

Lizzie mężnie postąpiła krok naprzód i dygnęła.

- Dzień dobry, ciociu Eleanor. Odbywamy wiosenną podróż do Dublina i mama prosiła, abyśmy cię odwiedziły. Ufamy, że masz się dobrze.

- Dobrze? Wiosenną podróż, powiadacie? A cóż to znowu za androny?

Starsza dama zaczerwieniła się ze złości, ale nie umiała ukryć zaskoczenia. Była drobna, miała siwe loki i intensywnie niebieskie oczy. Jej wytworną czarną suknię zdobił efektowny naszyjnik z brylantów. Eleanor wciąż nie przestała nosić żałoby po mężu, lordzie de Barry, zmarłym przed dziesięcioma laty.

Zanim Lizzie zdążyła odpowiedzieć, dżentelmen wystąpił naprzód i zdecydowanym ruchem ujął Eleanor za rękę. Miał zapewne dwadzieścia kilka lat i ujmujący błysk w oczach. Lizzie potraktowałaby go jak zwykłego dandysa, gdyby nie jego pospolity strój, składający się z ciemnogrnatowego surduta i beżowych spodni.

- Moja droga Eleanor - powiedział - czy to na pewno odpowiedni sposób powitania dawno niewidzianych krewnych?

Eleanor zerknęła na niego jak na natręta.

- Nie pytałam cię o opinię, Rory, chociaż wiem, że i tak ją przedstawiś.

Młodzieniec się uśmiechnął.

- Nie wykluczyłbym, że te damy przyjechały z daleka. - Zerknął na siostry, zatrzymując wzrok na Annie, która wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć. Potem zmierzył przenikliwym spojrzeniem Lizzie. - Wiem, ciociu, że drzemie w tobie pocziwa dusza - dodał żartobliwym tonem.

Lizzie nie umiała zgadnąć, kogo ma przed sobą.

- To prawda, że są z daleka - przyznała z westchnieniem Eleanor. - Wyobraź sobie, że moje bratanice mieszkają w Limerick! - To ostatnie słowo wypowiedziała takim tonem, jakby było wręcz obelżywe. - Przyjechałyście polować na bogatych mężów, co? Ja was nie wzywałam.

- Bardzo się cieszymy, ciociu Eleanor, że cię widzimy - odparła niezrażona zachowaniem ciotki Lizzie. - Zważ jednak, proszę, że Anna jest bardzo zdrożona.

Rory zerknął na jedną pannę, potem na drugą.

- Czyżbyś nie zamierzała przedstawić mnie tej jasnowłosej piękności?

- Piękności? Hm, za taką zawsze uchodziła, ale dzisiaj trudno by ją tak nazwać. Rory, to są siostry Fitzgerald, Elizabeth i Annabelle, córki mojego brata Geralda. - Zwróciła się do dziewcząt. - A ten łotrzyk to mój kuzyn, jego zmarła niedawno droga matka była siostrą lorda de Barry'ego.

Rory wykonał szarmancki ukłon.

- Rory McBane, do usług szanownych pań - przedstawił się.

- Nie zwracajcie na niego uwagi, to zupełnie niepoprawny hulaka - wtrąciła Eleanor.

Lizzie już jednak zdążyła wyrobić sobie pogląd, że mimo skromnego stroju Rory istotnie może cieszyć się względami dam. Nagle Anna wydała cichy okrzyk i chwyciła Lizzie za rękę, po czym zaczęła osuwać się na ziemię. Rory skoczył naprzód i chwycił ją pod ramiona.

- Nie żartuj, Eleanor, twoja bratanica najwyraźniej jest chora - powiedział tym razem z powagą.

Niosąc omdlałą Annę na rękach, pewnym krokiem ruszył w głąb domu. Przerażona Lizzie podążyła za nim, czując za plecami obecność ciotki.

- Ona jest słabej konstytucji - wyjaśniła przez ramię. - Obawiam się, że, niestety, podróż bardzo ją wyczerpała.

Rory wszedł do eleganckiego saloniku i ułożył Annę na kanapie.

- Leclerc - zakomenderował - przynieś sole! Lizzie przyklękła obok i ujęła Annę za rękę.

- Czy ona często mdleje? - zapytał Rory.

- Czasami - odparła, zmieszana przenikliwym spojrzeniem. Jedno kłamstwo więcej nie robiło różnicy. Niestety, w oczach Rory'ego dostrzegła błysk podejrzliwości. - Przez kilka ostatnich dni nie czuła się dobrze.

Lizzie miała nadzieję, że prawda nie wyjdzie na jaw tak szybko. Anna w piątym miesiącu ciąży zdążyła już się zaokrąglić, ale nosiła suknie z podwyższoną talią. Potajemnie dokonane krawieckie poprawki pozwoliły ukryć kształt brzucha.

Rory jeszcze przez chwilę bacznie się jej przyglądał, a potem powiedział:

- Eleanor, wezwij lekarza.

- Nie! - zaprotestowała Lizzie, po czym dodała z uśmiechem: - To tylko zwykła niedyspozycja, nic takiego. Anna wkrótce dojdzie do siebie.

Widać było, że Rory jej nie wierzy, ale tymczasem uratował je Leclerc, który przyniósł sole. Rory podetknął flakonik pod nos Anny. Po drugim wstrząśnięciu flakonika Anna kaszlnęła i otworzyła oczy.

- Zemdląłeś - powiedziała cicho Lizzie.

- Przepraszam - z wysiłkiem odparła Anna.

- Nic się nie stało. - Lizzie pogłaskała ją po czole.

Wyraźnie niezadowolona Eleanor stanęła obok Rory'ego.

- I co? Po problemie? - spytała. Anna z wysiłkiem usiadła.

- Bardzo przepraszam, ciociu - szepnęła. - Wybacz mi, proszę. - Kolory powoli wracały jej na twarz.

- To nie twoja wina - szepnęła Lizzie. Potem wstała i stanęła przed ciotką.

- Przykro mi, że narzucamy się w ten sposób - powiedziała z godnością. Musiała być dzielna, nie miała wyjścia. - To mama nalegała, żebyśmy przyjechały.

Wiedziałyśmy, że narażamy się na twoje niezadowolenie, ciociu, ale przecież

nie mogłyśmy okazać jej nieposłuszeństwa. Jak widzisz, Anna jest niedysponowana. Proszę, pozwól nam zostać tylko na trochę.

Oczy Eleanor sprawiały w tej chwili wrażenie całkiem czarnych.

- Tego właśnie się spodziewałam! Nie ma i nie było mowy o żadnej wiosennej podróży. Nikt już zresztą nie przyjeżdża, żeby poznać to miasto. Sprowadził tu was nikczemny, pokrętny plan waszej matki. Wiedziałam od początku!

Rory energicznie ujął ją za ramię.

- Ciociu, twoja bratanica potrzebuje odpoczynku. Najwyraźniej nie czuje się dobrze i jestem pewien, że nie odprawisz jej w tym stanie.

- Lidia Fitzgerald miała czelność samowolnie podrzucić mi dwie ze swoich trzech córek! - wykrzyknęła oburzona Eleanor.

- Czy to naprawdę jest takie okropne? - spytał z uśmiechem Rory. - Czy to nie powód do radości mieć tyle kobiecego piękna pod swoim dachem?

- Może dla ciebie - odburknęła Eleanor. - Podoba ci się któraś?

Lizzie poczuła, że się rumieni. Rory podszedł do Anny, która spróbowała się podnieść.

- Proszę nie wstawać - rzekł surowo.

- Czuję się lepiej - odparła Anna i przesłała mu uśmiech, po czym zwróciła się ku ciotce z błagalnym wyrazem twarzy. - Może przydamy się do czegoś, ciociu? Ja umiem śpiewać i grać na fortepianie. Lizzie uwielbia czytać na głos i świetnie radzi sobie z gotowaniem. Nikt nie piecze lepszego ciasta niż ona. Nie będziemy tu ciężarem, a wręcz przeciwnie, pomożemy. Pozwól nam zostać, bardzo prosimy!

- To prawda, potrafię upiec pyszne ciasto - potwierdziła Lizzie. - Z przyjemnością dotrzymamy ci, ciociu, towarzystwa, jeśli tylko nam na to pozwolisz.

- Mam przy sobie tego łapserdaka - odparła z przekąsem Eleanor. - Nie odstępuje mnie ani na krok.

- Moja wizyta trwa za długo - włączył się szybko Rory. - Choć chętnie pobyłbym jeszcze trochę, to wzywają mnie pilne sprawy. Dobrze wiesz, ciociu, że za kilka dni wyjeżdżam do Wicklow.

- Chcesz odnieść z tego korzyści, przystojny szelmo. Widzę to po tobie - powiedziała Eleanor. - A pilne sprawy zaprowadzą cię w końcu do Tower.

Rory udał oburzenie.

- Nie martw się o mnie, ciociu. Chyba nie muszę ci przypominać, że wkrótce powinnaś udać się do Londynu. Wrócę dopiero w połowie lata. A ty co poczniesz? Nie chcę, ciociu, żebyś była sama - powiedział przymilnie, po czym pięknie się uśmiechnął. - Przyznaję też, że nie mam nic przeciwko takiemu miłemu towarzystwu, które będzie na mnie czekało, gdy przyjadę w odwiedziny.

Lizzie z zaskoczeniem stwierdziła, że Rory porozumiewawczo do niej mrugnął.

- Ciebie i tak prawie nigdy nie ma, nawet kiedy jesteś - powiedziała zrzędlawie Eleanor. - Zrobię to co zawsze, czyli znajdę schronienie w Glen Barry, w Wicklow.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że zabiegi urokliwego kuzyna zaczynają odnosić skutek. Rory ujął ciotkę za rękę.

- Pozwól im zostać - poprosił cicho.

Lizzie jeszcze nigdy nie widziała tak kunsztownego przykładu sztuki perswazji.

- Zobaczymy - odrzekła Eleanor, nieco łagodniejąc. - Możecie tu przenocować - dodała. Z tymi słowami okręciła się na pięcie i opuściła pokój.

Rory skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na siostry. Lizzie wolała nie zgadywać, o czym myśli kuzyn ciotki.

- Dziękujemy panu - powiedziała sztywno.

- Mam nadzieję, że pani siostra wkrótce poczuje się lepiej - odparł, po czym opuścił salon.

Lizzie bezsilnie opadła na sofę obok Anny, która ocierała płynące z oczu łzy.

- O Boże - szepnęła. - Co za czarownica! To było gorsze, niż sobie wyobrażałam.

Lizzie ujęła ją za rękę.

- Nawet dobrze się stało, że zemdlałaś. - Po krótkim wahaniu dodała: - Obawiam się jednak, że mamy dług wdzięczności u pana McBane'a.

- Na to wygląda - przyznała posepnie Anna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstrząsające wyznanie

Następnego dnia siostry zeszły do salonu i przycupnęły na sofie, czekając na ciotkę. Lizzie trzymała na kolanach zamkniętą książkę, Anna miała w dłoniach tamborek, ale nie wykonała jeszcze ani jednego ścięgu. Poprzedniego dnia obie trzymały się od ciotki z daleka i schroniły się w przydzielonych im sypialniach. Zresztą Eleanor nie zaprosiła ich na kolację. Ranek spędziły, przygotowując się psychicznie do kolejnego spotkania z panią domu. Wiedziały, że zwykle schodzi na dół dopiero o jedenastej.

Rzeczywiście z wybiciem tej godziny rozległ się stuk obcasów eleganckich bucików Eleanor. Anna wbiła igłę w płótno, Lizzie pochyliła się nad książką. W drzwiach, które otworzył Leclerc, stanęła ciotka, jak zwykle cała w czerni. Siostry poderwały się z miejsca i przepisowo dygnęły.

- Dzień dobry.

- Dobry? Tego nie wiem, nie sądziłam, że będę miała gości w domu. - Eleanor podeszła do Anny. - Czy ciągle jesteś chora?

- Dokucza mi kaszel - skłamała i ostrożnie odkaszlnęła. - Ogólnie czuję się lepiej i jestem bardzo wdzięczna, ciociu, za dobroć, jaką nam wczoraj

okazałaś. - Uśmiechnęła się promiennie, jednak starsza pani nie odpowiedziała uśmiechem.

- Masz na myśli dobroć Rory'ego, prawda? Czy on ci się podoba? - spytała.

Anna zrobiła zdziwioną minę.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła. - To znaczy... wydaje się bardzo eleganckim dżentelmenem...

- Jest stanowczo zbyt ujmujący w kontaktach z kobietami i to mu nie wychodzi na zdrowie - przerwała jej Eleanor. - Nie zapominaj o tym. Wciąż jesteś ładna, chociaż tyjesz. Rory woli politykę od romansów, ale i tak znajduje czas na uganianie się za ślicznymi pannami. Nie życzę sobie romansów w tym domu, rozumiesz? Tego tolerować nie będę.

Anna dygnęła i pochyliła skromnie głowę.

- Ciociu, jestem zaręczona. Mama z pewnością ci o tym napisała.

- Naturalnie, ale zaręczyny nie zawsze prowadzą do ślubu. - Eleanor popatrzyła na Lizzie. - To, o czym teraz rozmawiamy, odnosi się również do ciebie.

Zanim bratanica zdążyła zareagować, Eleanor ponownie zwróciła się do Anny.

- Dlaczego jesteś gruba? Co się stało z twoją figurą?

- Za bardzo lubię czekoladę - odparła po krótkim wahaniu Anna.

- Niedobrze - zawyrokowała ciotka. - Jeśli zanadto utyjesz, stracisz urodę.

- Ciociu - nieśmiało wtrąciła Lizzie - taki piękny dzień. Może zechciałabyś pospacerować ze mną w ogrodzie?

- Nie musisz na siłę mi dogadzać, moja droga - zgasiła ją Eleanor. - Ile ty masz teraz lat?

- Szesnaście. W lecie skończę siedemnaście. Na pewno jestem dość rozsądna, żeby nie dogadzać ci na siłę. Chętnie wybrałabym się na spacer i po-

myślałam, że może miałabyś ochotę mi towarzyszyć. Jeśli wolisz siedzieć w domu mimo pięknej pogody - Lizzie wzruszyła lekko ramionami - pójdę sama.

- Zdawało mi się, że zamierzasz upiec ciasto - przypomniała Eleanor.

- Upiekłam dziś rano szarlotkę - wyjaśniła Lizzie. - Jeśli się zgodzisz, ciociu, można podać ją do kolacji.

- Zamierzasz zarobić na swoje utrzymanie? Rzeczywiście w Raven Hall serwowano wyśmienite ciasta. Czy to były twoje wypieki?

Lizzie zastanawiała się gorączkowo, czy to znaczy, że ciotka pozwoli im zostać.

- Owszem, moje. Myślałam, czy jutro nie przygotować placka cytrynowego - powiedziała. - Widziałam w spiżarni skrzynkę hiszpańskich cytryn. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to użyję ich do ciasta.

Eleanor wyraźnie się ożywiła. Chyba nawet pozwoliłaby sobie na uśmiech, gdyby w porę się nie zreflektowała.

- Wolę dobry placek od dobrej szarlotki. Musisz jednak zapytać kucharza, czy nie potrzebuje cytryn.

- Już to zrobiłam. - Lizzie wydawała się szczerze uradowana. - Poprosił mnie, żebym zdradziła mu kilka swoich kulinarnych sekretów. A to, że wolisz placek od szarlotki, pamiętam z twoich odwiedzin w Raven Hall.

Eleanor mruknęła coś pod nosem i popatrzyła na Annę.

- A ty? Czy jesteś zbyt chora, żeby mi poczytać?

- Och nie - zapewniła bratanica, choć z jej spojrzenia bił niepokój. - Czego chcesz posłuchać? A może wolisz najpierw pójść na spacer, ciociu?

- Rzeczywiście, najpierw spacer - zdecydowała Eleanor. - Poczytasz mi, kiedy wrócę. Chętnie dowiedziałabym się, co słyhać na zamku w Dublinie. Nie kto inny jak Rory pisze w gazecie o rządowych sprawach, a do tego zamieszcza swoje rysunki, które wydają mi się całkiem zabawne.

- On jest dziennikarzem? - zdziwiła się Lizzie.

- Jest radykałem reformatorem - odparła z jawną pogardą w głosie starsza pani. - Gdyby został dziennikarzem, oznaczałoby to dla niego śmierć społeczną. Mimo to zarabia jak zwykły śmiertelnik, prowadząc kolumnę rządową w „Timesie”. Za te śmieszne rysunki dostaje jakieś pensy.

Eleanor wyraźnie nie podobało się, że jej kuzyn plami sobie ręce pracą zarobkową. To było niegodne dżentelmena.

- W moich oczach nie wyglądał na radykała - zauważyła Lizzie i dodała: - Odniosłam wrażenie, że jest kobieciarzem.

- Ma skrajnie radykalne poglądy polityczne - powiedziała Eleanor. - Gdyby nie był moim kuzynem, z pewnością zamknęłyby mu one wiele drzwi w eleganckim towarzystwie.

Lizzie pomyślała, że Rory McBane to szczęściarz.

- Radykał czy nie radykał, a ja wyjątkowo go lubię - oznajmiła Eleanor, po czym surowo spojrzała na bratanice. Przesłanie było oczywiste. Jeśli ktokolwiek miał odziedziczyć jej fortunę, to właśnie ukochany Rory.

- Myślisz, że jej się spodoba? - spytała zaniepokojona Anna, gdy stała wraz z Lizzie przy drzwiach jadalni.

Długi stół z wiśniowego drewna nakryto dla czterech osób kryształami i srebrami. Pośrodku stał złożony kandelabr, otoczony trzema kompozycjami z kwiatów. Anna nie poszła z nimi tego popołudnia do sklepów przy Capel Street, nie chciała bowiem pokazywać się publicznie do czasu urodzenia dziecka. Ukradkiem odwiedziła jednak pobliski targ i wróciła z naręczem kwiatów, które wspólnie z siostrą zamieniły w ozdobę stołu.

- Mam nadzieję - odrzekła Lizzie, choć wiedziała, że ciotkę trudno zadowolić. - Może mimo zrzędzenia była jednak zadowolona z wyjścia do miasta. Odwiedziłyśmy przecież chyba z tuzin sklepów i kupiłyśmy dwa pudełka czekoladek.

Anna nie zdążyła odpowiedzieć, bo za ich plecami rozległ się głos:

- Aha, więc zrzędzę, tak?

Lizzie zarumieniła się po korzonki włosów. Odwróciła się i zauważyła, że stojący za ciotką Rory wyraźnie poweselał.

- Nie to miałam na myśli.

- Właśnie to i nic innego.

Eleanor przeszła bratanicę spojrzeniem bazyliuszka. Rory wprowadził ją do jadalni.

- Jeszcze nie widziałem tak pięknie zastawionego stołu - orzekł z entuzjazmem, dyskretnie puszczając oczko do Lizzie. - Chyba zgodzisz się ze mną, ciociu?

Eleanor wydała groźny pomruk, wpatrując się w stół spod na wpół przymkniętych powiek.

- Poza tym naprawdę niepotrzebnie zrzędzisz, ale to właśnie stanowi o twoim niepowtarzalnym charakterze - dodał Rory i z uśmiechem zwrócił się do Anny. - Czy dzisiaj lepiej się pani czuje?

- Tak, dziękuję - odparła. - Podobają ci się kwiaty, ciociu? Pomyślałam, że może będzie ci przyjemnie, jeśli ubierzemy nimi stół.

Eleanor milczała.

- Ciociu? - odezwała się ciągle zakłopotana Lizzie. - Bardzo przepraszam, naprawdę nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć...

- Właśnie to, co usłyszałam. Od kiedy to jesteś tak bezceremonialna? To przecież Georgina uchodzi w waszej rodzinie za tę zuchwałą, z ciętym językiem - stwierdziła Eleanor. - Ty byłaś nieśmiała, a tu nagle twierdzisz, że zrzędzę. Co gorsza, przez całe popołudnie trajkotałaś jak najęta.

Lizzie bardzo się zmartwiła, że starania o przełamanie lodów zostały tak nieprzychylnie ocenione.

- Wiem, ciociu, że wcale nie masz złych zamiarów, jednak swoim surowym traktowaniem możesz wyrządzić nam przykrość. Tylko o to mi chodziło. Uważam, że przesadzasz z łajaniem.

Eleanor odebrało mowę.

- Czyż nie wspominałem, ciociu, że powinnaś zwracać więcej uwagi na dobre maniery? - spytał rozbawiony Rory. - Najwyraźniej panna Fitzgerald podziela mój pogląd.

- Ty masz wyjątkowo złe maniery - odparła ze złością Eleanor. - Chciałeś poflirtować z moimi bratanicami. Nie opowiadaj, że przyszedłeś specjalnie do mnie, bo za dobrze cię znam. Doskonale wiem, co się tu sprowadza.

Rory wybuchnął śmiechem.

- To przykre, że mnie przejrzałaś! - zawołał z udawanym oburzeniem. - Przyznaję więc, że postanowiłem zobaczyć urocze bratanice, a przede wszystkim przekonać się, że wciąż mają dach nad głową podczas pobytu w Dublinie.

Eleanor zmierzyła go morderczym spojrzeniem.

- To bardzo uprzejme z pana strony - powiedziała Anna, dotykając rękawa Rory'ego. - Nie wiem, jak panu podziękować za wstawienie się za nami do cioci. Czuję się pańską dłużniczką.

- Jesteśmy kuzynami - odrzekł, skłaniając głowę w ukłonie. - Dlatego nie ma pani wobec mnie żadnych zobowiązań.

- Anna we wrześnie wychodzi za mąż - rzuciła ostrzeżenie Eleanor.

Rory nie przejął się tym szczególnie.

- Wobec tego serdecznie pani gratuluję - zwrócił się do Anny.

- Dziękuję.

Lizzie nie bardzo wiedziała, jak interpretować zachowanie kuzyna i jego zamiary wobec jej pięknej siostry.

- Mój narzeczony pochodzi z Derbyshire. Nazywa się Thomas Morely. Czy pan zna Morelych z Derbyshire, panie McBane? - spytała Anna.

- Obawiam się, że nie. - Uśmiech Rory'ego nagle zgasł. - Czyli pani narzeczony jest Brytyjczykiem?

Anna z dumą przytaknęła.

- Jest brytyjskim żołnierzem.
- To znaczy, że wydaje się pani za czerwony płaszcz.
- Thomas jest dżentelmenem - sprostowała szybko Lizzie.
- To rozumiem. A jako Anglik stoi o wiele wyżej od nas, zwykłych

Irlandczyków.

- Och, nie bądź taki zajadły - skarciła Rory'ego Eleanor. - To dobrze, że jedna z sióstr wychodzi za mąż, bo mój biedny brat Gerald ledwie wiąże koniec z końcem. Nieistotne, że za Anglika. - Popatrzyła na Annę z pewną dozą aprobaty. - Nie zwracaj uwagi na Rory'ego, moja droga, on pała nienawiścią do wszystkiego, co angielskie. W każdym razie ja cieszę się z twojego zamażpójścia.

- Dziękuję - szepnęła Anna, skonfundowana poglądami Rory'ego.

- Bardzo przepraszam, panno Fitzgerald, jestem grubianinem - powiedział z ukłonem Rory i szybko odwrócił się do Lizzie. - Pani również zamierza się wydać za Anglika?

- Szczerze wątpię, panie McBane, czy kiedykolwiek kogoś poślubię.

- Rory zostaje na kolacji - oznajmiła ciotka. Nagle uśmiechnęła się do Anny, która tymczasem usiadła. - Podobają mi się kwiaty - dodała. - Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że możesz tu zostać razem z siostrą przez tydzień lub dwa.

Lizzie krzątała się w kuchni, przygotowując placek rabarbarowy. Obok niej stał kucharz, wysoki, siwy Szkot z wydatnym brzuchem. Właśnie dowiedział się, że niezbędnym tajnym składnikiem tego ciasta jest odrobina likieru owocowego.

- Nic dziwnego, że pani hrabina tak lubi desery panienki - powiedział ze zrozumieniem. - Dodaje panienka wódki do placka cytrynowego, rumu do szarlotki i whisky do ciastek czekoladowych.

Minęły dwa tygodnie pobytu sióstr w Dublinie. Ustalił się rytm dnia. Przedpołudnia Anna i Lizzie spędzały, oddając się lekturze, szyciu i innym cichym zajęciom. Po południu Lizzie towarzyszyła ciotce podczas wizyt towarzyskich, chodziła z nią po sklepach i odbywała spacer. Anna wciąż wymawiała się złym samopoczuciem, wiadomo było jednak, że tego pretekstu nie będzie można używać w nieskończoność. Trzeba było powiedzieć ciotce prawdę, i to szybko, ponieważ Lizzie zdołała przejąć dwa listy z domu i lada chwila mógł nadejść następny. Co gorsza, Anna wyraźnie przybierała na wadze. Siostry zdecydowały więc wyjawić sekret przy placku rabarbarowym.

- Jesteś gotowa?

Lizzie odwróciła się ku drzwiom i zobaczyła bladą jak ściana Annę. Zdjęła fartuch i szybko podeszła do siostry.

- Czy mamy wybór? - szepnęła jej do ucha.

Opuściły kuchnię. Ramię w ramię przemierzyły hol w drodze do głównego skrzydła domu. Gdy wchodziły do salonu, Lizzie czuła, jak Anna drży. Chciała dodać jej otuchy, ale właśnie wtedy usłyszały znajomy stukot obcasów na marmurowej posadzce. Eleanor stanęła w progu salonu, wymachując listem.

- Domagam się wyjaśnień!

- Czy coś się stało? - spytała ostrożnie Lizzie.

- Czy coś się stało?! - Eleanor wyraźnie poczerwieniała. - Mam nadzieję, że to wy mi powiecie. Ja w każdym razie podejrzewam coś bardzo złego.

Najpierw pojawiłyście się bez zaproszenia w moim domu, potem okazało się, że Anna nieustannie jest chora, teraz wasza matka pisze, dziękując mi za zaproszenie, którego nie wysłałam, a w dodatku wypytuje o moje zdrowie tak, jakbym to ja niedomagała. Też coś!

- Usiądź, ciociu - poprosiła Lizzie, zauważywszy, że Eleanor wydaje się bardziej zatroskana niż zła. - Musimy z tobą poważnie porozmawiać.

Po tym wstępie starsza pani wyraźnie pobladła, ale posłusznie, bez dyskusji usiadła na kanapie, splatając ręce na kolanach.

- Bardzo przepraszam - powiedziała cicho Anna, stanąwszy w pozie winowajczyni. - To wszystko przeze mnie. - Chciała jeszcze coś dodać, ale głos jej się załamał.

- Potrzebujemy twojej pomocy - podjęła drżącym głosem Lizzie. - Bardzo potrzebujemy.

Eleanor siedziała z kamienną twarzą.

- Byłaś dla nas taka dobra - zaczęła wolno Lizzie, słysząc chlupanie siostry.

- Daj spokój. - Eleanor wstała. - Wcale nie jestem dobra. Anno, skończ z tą histerią. To niczego nie zmieni.

Anna posłusznie zamilkła i tylko spoglądała na starszą damę oczami, z których biło przerażenie.

- Spodziewasz się dziecka, prawda? - spytała Eleanor. - Dlatego jesteś taka gruba i nie wychodzisz z domu.

Anna skinęła głową i przygryzła wargę, rozpaczliwie powstrzymując wybuch płaczu.

- Ja nie chciałam. Lizzie ujęła siostrę za rękę.

- Anna jest zaręczona z bardzo porządnym brytyjskim oficerem - oznajmiła, starając się nie okazywać paniki. - Mają się pobrać we wrześniu, ale to już wiesz. Dziecko urodzi się w lipcu. Ciociu Eleanor, prosimy, pozwól nam zostać aż do porodu, żeby Anna mogła potem wrócić do domu i poślubić porucznika Morely'ego.

Eleanor nie odrywała wzroku od Anny.

- To nie on jest ojcem? - spytała beznamiętnie.

- Nie - odparła przez łzy Anna.

- Rozumiem, że twoi rodzice nie mają o niczym pojęcia.

- Nie - odrzekła za siostrę Lizzie. - Ja wymyśliłam ten szalony plan. Postanowiłyśmy przyjechać do ciebie, żeby Anna mogła tu po kryjomu urodzić dziecko.

- I sądzicie, że wezmę udział w spisku, którego zuchwałość przekracza wszelkie granice?

- Jesteś naszą jedyną nadzieją! - wykrzyknęła Lizzie. - Nie wyrzucisz nas chyba teraz, kiedy tak bardzo potrzebujemy pomocy? Nikt nie byłby tak okrutny!

- Nie powiedziałam, że was wyrzucę. Popatrz na mnie - poleciała Annie. - Czy ojciec dziecka wie o wszystkim?

Anna zaprzeczyła ruchem głowy. Eleanor przeniosła wzrok na Lizzie.

- Kto jest ojcem?

- Ciociu, to nie ma znaczenia - odparła przerażona Lizzie. - Anna kocha Thomasa. Znajdziemy temu dziecku dobry dom.

- Pozwolę sobie być innego zdania, zakładam bowiem, że ojciec jest szlachetnie urodzony. - Eleanor ujęła bratanicę pod brodę. - A może poszłaś do łóżka z jakimś gospodarzem?

Anna tylko pokręciła głową. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Ona kocha Thomasa - włączyła się znowu Lizzie. - Ojciec dziecka nie musi o niczym wiedzieć. Im mniej ludzi się dowie, tym lepiej. Trzeba zachować ścisłą tajemnicę...

- Ojcu należy powiedzieć - oświadczyła zdecydowanie Eleanor. - Może zechce wziąć dziecko do siebie. Nie będzie pierwszym, który wychowuje bę-karta razem ze swoim legalnym potomstwem.

Anna gwałtownie pokręciła głową.

- Nie! On nie może się dowiedzieć! - zawołała gwałtownie.

- Moja siostra będzie na zawsze skompromitowana - rozpaczliwie przekonywała ciotkę Lizzie. - Na pewno to rozumiesz. Kiedy ojciec dziecka się dowie, zaczną się plotki, wytykanie palcami, szept i oskarżenia.

- Ciociu, nie możemy mu powiedzieć. Nigdy! Kocham Thomasa -
zapewniła Anna. - Chyba chcesz, żebym wyszła za mąż? Proszę, nie nalegaj,
żebym wyjawiała, kim jest ojciec. Bardzo proszę. To będzie mój koniec! - Anna
trzymała teraz ciotkę za ręce i wpatrywała się w nią błagalnie.

- Nie zamierzam zrujnować ci życia, moja droga - oświadczyła Eleanor. -
Wszyscy popełniamy błędy. Niestety, czasem trzeba za nie zapłacić wysoką
cenę.

- Ja już zapłaciłam! - wykrzyknęła Anna i przycisnęła dłonie do pękatego
brzucha. - Z pewnością dość wycierpiałam!

- Nawet trochę cię polubiłam, choć twoja próżność wydaje mi się nie do
przyjęcia.

Anna przestała płakać, a na jej twarzy pojawił się wyraz nadziei.

- Czy wyciągnęłaś wnioski z tej nauczki? - spytała surowo Eleanor. - A
może wkrótce znudzisz się Thomasem i znowu zaczniesz bezwstydnie się za-
chowywać?

- Nigdy nie znudzę się Thomasem, ciociu - zapewniła Anna. - Wiem, że
postąpiłam źle. Bardzo się tego wstydzę, bo nie ma dla mnie usprawiedliwienia.
Wolałabym nigdy w życiu nie spotkać tego człowieka. Bardzo chciałabym
zostać żoną Thomasa i mieszkać w Derbyshire.

- Twoje chcenie nie zmieni tego, co się stało. Naprawdę się o ciebie
martwię.

Lizzie odniosła wrażenie, że sprawy idą w złym kierunku.

- Jeśli zamierzasz nam pomóc, ciociu, możemy zaradzić skutkom tej
nierozwagi. Anna urodzi dziecko w całkowitej tajemnicy, a potem zostawi je
tutaj i poślubi Thomasa. Znajdziemy dla dziecka wspaniały dom, ale
potrzebujemy twojej pomocy.

- Jesteś niezwykle lojalną siostrą, Elizabeth - pochwaliła ją Eleanor - i
bardzo dzielną.

- Pomożesz nam, ciociu? Chyba nie chcesz narazić na klęskę małżeństwa Anny?

- Możecie zostać - oznajmiła wspaniałomyślnie starsza pani. - Pomogę wam, o ile to w mojej mocy. Stawiam jeden warunek.

- Przyjmiemy każdy! - zawołała Lizzie, która jeszcze nie mogła uwierzyć, że siostra została uratowana.

Eleanor ujęła Annę za rękę.

- Nalegam, abyś powiedziała mi, kto jest ojcem dziecka. To właśnie mój warunek. Zachowam tę wiadomość tylko dla siebie, podobnie jak wszystko, co się tutaj dzieje.

Anna patrzyła na Eleanor szeroko rozwartymi oczami. Lizzie już chciała zaprotestować, ale siostra zerknęła na nią, po czym zwiesiła głowę.

- Tyrell de Warenne - szepnęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nieprawdopodobne rozwiązanie

Lizzie była pewna, że się przesłyszała.

- Anno?

- Tyrell de Warenne? - powtórzyła w tej samej chwili Eleanor, bezbrzeżnie zdumiona.

Podłoga pod stopami Lizzie nagle się zakołysała. Broniąc się przed upadkiem, usiadła na kanapie. To pomogło jej nieco się opanować. Tyrell de Warenne ojcem dziecka Anny? Niemożliwe! Przecież to ona, a nie jej siostra kocha Tyrella. Lizzie ujrzała nad sobą zatroskane twarze ciotki i siostry.

- Tak bardzo cię przepraszam...

W tym momencie brutalna prawda w pełni dotarła do świadomości Lizzie. Zamknęła oczy, ale wyobraźnia natychmiast podsunęła jej obraz siostry i Tyrella, splecionych miłosnym uściskiem. Jak do tego mogło dojść? Przecież dziedzic de Warenne jest dżentelmenem, nie uwiódłby niewinnej panny.

- Wezwę lekarza - oznajmiła spłoszona Eleanor. - Leclerc, poślij niezwłocznie po doktora FitzRoberta!

Lizzie chciała powiedzieć, że to niepotrzebne, bo żaden lekarz nie pomoże na zranione serce, ale zamiast tego z jej ust wydobyły się oskarżycielskie słowa:

- Jak mogłaś?! - I zaraz przyszły następne: - Przecież miałaś dziesiątki adoratorów. Dlaczego akurat on?

- Nie zrozumiesz - odparła drżącym głosem Anna. - Wierz mi, gorzko tego żałuję.

Eleanor powoli wstała i powędrowała wzrokiem od jednej siostry do drugiej.

- Słabo mi - powiedziała płacząco Anna. - Idę się położyć.

To przywróciło siły Lizzie. Zerwała się na równe nogi.

- Jak śmiesz uciekać? Spójrz mi w oczy i się wytłumacz!

Lizzie trzęsła się ze złości. Wiedziała, że mężczyźni zachwycali się Anną i Tyrell na pewno nie był wyjątkiem. Naturalnie pragnął jej tak samo jak inni, lecz nie chciałby jej zhańbić. W tej sytuacji niewątpliwie zaproponowałby małżeństwo.

- Co tu się dzieje? - spytała Eleanor. - Czego nie wiem?

Lizzie czuła, jak sztywnieją jej wargi i język.

- Chciałabym porozmawiać z Anną bez świadków - wybąkała.

Eleanor zawahała się, ale opuściła pokój, podobnie jak Leclerc.

- Zrobiłabym wiele, żebyś się nie dowiedziała - odezwała się Anna. - Nie umiem wytłumaczyć, jak to się stało. I nie patrz na mnie w ten sposób!

- Przez cały ten czas, gdy kochałam się w nim jak szalona i zachowywałam jak głupia, byliście kochankami? - spytała zdruzgotana Lizzie.

- Nie! - wykrzyknęła Anna. - To zdarzyło się tylko raz podczas maskarady.

Nagle Lizzie wszystko zrozumiała. Miała się spotkać z Tyrellem w ogrodzie, a potem zamieniła się z Anną na kostiumy i pojechała do domu. Tylko że nawet zamiana kostiumów nie mogła wprowadzić Tyrella w błąd. Tego Lizzie była pewna. Tak pięknej kobiety jak Anna nie da się z kimkolwiek pomylić.

- Zresztą, czy to ma znaczenie? - znów odezwała się Anna. - Nie miałaś u niego szans. To wszystko przeszłość, prawda, Lizzie? Wiem, że powinnam była jechać do domu, tak jak kazała mi mama. Popełniłam błąd, ale czy nie mogłabyś mi wybaczyć? Tyle już wycierpiałam! - Anna opadła na krzesło i załzała się łzami.

Lizzie mało obchodziły w tej chwili uczucia siostry. Pulsowanie w skroniach rozsadało jej głowę.

- Co się stało? Musisz mi powiedzieć. Jesteś mi to winna!

Anna unikała spojrzenia siostry. Na policzkach wykwitły jej jaskrawe plamy.

- Dużo tańczyłam i było mi gorąco, więc poszłam do ogrodu zaczerpnąć tchu. On już tam był, od razu go poznałam. Podszedł prosto do mnie. Bardzo mi to pochlebilo. Nawet się nie odezwał. Objął mnie i bez słowa zaczął całować. - Annie zabłyśły oczy. - Nikt mnie nigdy tak nie całował. To było wspaniałe. Pomyślałam, że może on się we mnie potajemnie kocha. - Spuściła wzrok. - A potem zaczął się dopytywać, gdzie jest prawdziwa lady Marian. Powiedziałam mu, że opuściła bal. Jednak tak bardzo pochłonęły mnie względy, które mi okazywał, że straciłam głowę. W ogóle o tobie nie pomyślałam.

- Musiałaś wiedzieć, że czekał na mnie.

Anna pokręciła głową.

- Wydawało mi się, że to mnie pragnie - szepnęła.

Lizzie nie zdziwiła się. Anna była tak przyzwyczajona do zachwyków, że nic innego po prostu nie mogło jej przyjść do głowy. Namiętne pocałunki Tyrella dokończyły dzieła.

- On przyszedł do ogrodu spotkać się ze mną, a nie z tobą - zdołała powiedzieć, z trudem powstrzymując łzy.

- Wierz mi, że jeszcze żadnego uczynku tak mocno nie żałowałam. Zapomnijmy o tym - poprosiła Anna i wyciągnęła rękę do siostry.

Lizzie odsunęła się gwałtownie.

- Nie potrafię zapomnieć. - Gdyby chociaż poskromiła wyobraźnię... - Nigdy mężczyzna nie patrzył na mnie tak jak Tyrell tamtego wieczoru. On jeden zobaczył we mnie kobietę - stwierdziła z goryczą. - To jednak oczywiste, że wolał ciebie.

- On mnie nie chciał, Lizzie. W każdym razie nie w taki sposób, jak myślisz - szepnęła.

- Nie rozumiem. Przecież nosisz jego dziecko.

- Jest dziedzicem tytułu hrabiego Adare. - Anna pochyliła głowę, wpatrując się w czubki pantofli. - Ma władzę, jest bogaty i przystojny. Wielu kawalerów okazywało mi zainteresowanie, ale nigdy ktoś taki jak on. W każdym razie gdy zorientował się, że to nie ty, bardzo się rozczłócił. Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie pozwoliłam mu odejść. Tak bardzo chciałam, żeby jeszcze raz mnie pocałował, a nawet we mnie się zakochał. W ogóle nie myślałam o tobie, jedynie pragnęłam być z Tyrellem de WARENNE.

Oczami wyobraźni Lizzie wciąż widziała tych dwoje splecionych w miłosnym uścisku.

- Czy to znaczy, że on chciał odejść, a ty skłoniłaś go do pozostania?

Anna nagle wysoko uniosła głowę.

- Tak. Odszedłby, gdybym go nie zatrzymała. Lizzie głośno się zachnęła.

- Nie jestem dobra, rozsądna i przyzwoita, tak jak ty i Georgie. Tamtego wieczoru dokonałam najgorszego wyboru w życiu. Potem przez całą noc żałowałam tego, co zrobiłam, i modliłam się, żebyś nigdy się nie dowiedziała. Wiem, że postąpiłam podle, ale przecież jestem twoją siostrą. Czy będziesz w stanie mi wybaczyć?

Lizzie kochała siostrę i wiedziała, że nigdy nie przestanie, chociaż w niczym nie łagodziło to jej bólu.

- Jednego jestem pewna. Tyrell to prawdziwy dżentelmen. On nie skrzywdziłby niewinnej panny.

Anna usiadła na krześle, położyła ręce na pękatym brzuchu i odwróciła wzrok.

- Masz rację - wymamrotała.

Lizzie zdrewniała. Niespodziewanie przypomniały jej się szept matron o Annie. „To ta płocha”.

- Co to znaczy?

- Obawiam się, że nie mam nieskazitelnego charakteru - wybąkała.

- Anno!

- On nie był moim pierwszym kochankiem.

Niby Lizzie to wiedziała, a jednak wyznanie siostry nią wstrząsnęło. Przypomniała sobie, jak rozpieszczano Annę w domu; mogła robić, co jej się podobało. Nawet nie próbowała się zastanowić nad swoimi postępkami. Lizzie doszła do wniosku, że zachowanie siostry powinno się nazwać bezmyślnym, a nie niemoralnym.

- Potem zawsze mam wyrzuty sumienia - wyznała Anna. - Niestety, kiedy dżentelmen mnie obejmuje, tracę nad sobą panowanie.

Lizzie właściwie jej współczuła.

- Czy mnie nienawidzisz? - spytała Anna.

- Nie. Jesteśmy siostrami i nimi pozostaniemy. Anna z wysiłkiem wstała i podeszła do Lizzie.

- Kocham cię. Pomogłaś mi w najgorszych chwilach mojego życia. Wiem, że popełniłam olbrzymi błąd. Jednak Tyrell pozostaje dla ciebie w sferze marzeń, które się nie urzeczywistnią. Czy nie mogłybyśmy obie zapomnieć o tym, co się stało?

Lizzie pomyślała, że dziecko wkrótce się urodzi, trzeba będzie znaleźć mu dom, a potem obie wrócą jakby nigdy nic do Raven Hall i jesienią Anna wyjdzie za mąż. Może z czasem rana się zablżni. Lizzie miała złamane serce, lecz nie potrafiła i nie chciała odtrącić siostry.

- Masz rację - powiedziała spokojnie. - To, co zaszło między tobą a Tyrellem, należy do przeszłości.

- Dziękuję ci, Lizzie. Bardzo dziękuję.

Wkrótce po tym, jak Eleanor dowiedziała się o stanie Anny, wyjechała z bratanicami do swej wiejskiej posiadłości.

Glen Barry okazał się azylem, mało kto składał tam wizyty, przychodziło też niewiele zaproszeń. Problem powstał dopiero wtedy, gdy w maju przed wyjazdem do Londynu przyjechał w odwiedziny Rory. Usłyszał, że Anna

wróciła do domu, a ciotka dała mu do zrozumienia, że nie jest zainteresowana jego towarzystwem, skoro ma w domu bratanicę. Odjechał po jednym dniu, zapowiadając powrót w lecie. Chyba nie nabrał żadnych podejrzeń.

Dziecko przyszło na świat w połowie lipca. Anna rodziła prawie całą noc, a Lizzie nie odstępowała jej na krok. Za częściowo odsłoniętym oknem ukazały się właśnie pierwsze promienie słońca, gdy miejscowa akuszerka poleciła Annie spróbować jeszcze raz.

- Dalej, kochaniutka, nie możesz się teraz zatrzymać. Widać główkę.

- Przyj, Anno! - zawołała Lizzie, przejęta wielkim podziwem.

Wcześniej nie była świadkiem porodu. Teraz widziała główkę dziecka i był to dla niej prawdziwy cud.

- Nie mogę - jęknęła Anna i właśnie w tej chwili nowy człowiek przyszedł na świat.

- Udało ci się, Anno! - wykrzyknęła ucieszona Lizzie, głaszcząc ją po głowie. - Masz pięknego chłopca! Syna!

- Naprawdę? - Anna z trudem uniosła powieki.

- Milady - ogłosiła uroczyście akuszerka - rzeczywiście ma pani pięknego syna. Wydaje się w pełni sił.

Anna spróbowała uścisnąć rękę siostry. Tymczasem Lizzie zauważyła, że akuszerka odwraca się już do czekającej z kocykiem piastunki.

- Nie! - zaprotestowała i odebrała kobiecie kocyk. Wzięła na ręce dziecko Anny i ostrożnie je otuliła. Spojrzały na nią intensywnie niebieskie oczy.

Lizzie była przekonana, że piękniejszej istoty jeszcze nie widziała. Syn Tyrella. Nawet nie słyszała, jak akuszerka tłumaczy jej, że malca trzeba teraz pieczołowicie obmyć. Zdawało jej się, że chłopiec się do niej uśmiecha i rosło w niej nieznane dotąd uczucie.

Wiedziała, że niebieskie oczy mają wszystkie noworodki, a u tego dostrzegła dodatkowo przejrzystość spojrzenia de WARENNE'ÓW, śniadą karnację ojca i nawet kilka czarnych włosów.

- Piękny jesteś, maluszk - szepnęła, zdziwiona swoją miłością do tej istoty. - Kiedy dorośniesz, będziesz taki jak twój ojciec, prawda?

Piastunka podeszła i otarła dziecku twarz.

- Bardzo ładny chłopczyk - powiedziała z promienną miną. - Proszę tylko spojrzeć na te oczy. Jaki bystry!

- Tak - przyznała z zachwytem Lizzie. Do pokoju weszła Eleanor.

- Widzę, że już po wszystkim. - Zerknęła na Annę, która zdawała się spać, a potem przystanąła obok Lizzie, wciąż trzymającej małe zawiniątko. -

Wykapany ojciec - powiedziała.

Lizzie poczuła ukłucie w sercu.

- Tak nam się wydaje, ponieważ znamy prawdę - odparła, choć sama tak uważała.

Trzymając w ramionach niemowlę, zadała sobie pytanie, jak powinny chłopca nazwać. Wciąż uśmiechała się z wielką miłością do siostrzeńca.

- Trzeba wybrać mu imię - powiedziała. - Anno, musimy nazwać twojego syna.

Anna uniosła powieki.

- Mojego syna - szepnęła.

- Nie będziemy nadawać mu imienia - sprzeciwiła się stanowczo Eleanor.

- Jutro przyjdą tu zakonnice i zabiorą go do jego nowych rodziców. To do nich należy ten zaszczyt.

Lizzie trudno się było z tym pogodzić, ale Eleanor położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie przywiązuj się zanadto, moja droga. To niepotrzebne - poradziła.

To podziałało na Lizzie jak kubeł zimnej wody.

Widocznie odruchowo mocniej ścisnęła dziecko, bo zaczęło krzyczeć.

Odwróciła się więc tyłem do innych i zaczęła je kołysać.

- Cicho, malutki, cicho - powtarzała.

Po chwili chłopiec ucichł i znów wydało jej się, że patrzy na nią z uwagą. Nie, nie mogę na to pozwolić, pomyślała.

- Lizzie, daj dziecko piastunce - odezwała się Eleanor. - Myślę, że tak będzie najlepiej.

Lizzie przytuliła niemowlę.

- Jeszcze nie - zaproponowała ogarnięta lękiem. Jak mogłaby to zrobić? Jak mogłaby oddać komuś Neda. Tymczasem bowiem zdecydowała już, że tak go trzeba nazwać. Ned to ładne imię, zdrobnienie od Edward, po dziadku.

- Wezmę go, mamuśko - powiedziała piastunka, wyciągając ręce.

- Nie. - Lizzie uśmiechnęła do dziecka. Znów miała wrażenie, że uśmiech został odwzajemniony.

- Czy mogę go zobaczyć? - słabym głosem spytała Anna.

Lizzie zdrętwiała, uświadomiła sobie bowiem, że nie chce, by jej siostra trzymała Neda. Zamknęła oczy przestraszona tym, co się z nią dzieje. Przecież miały dokładnie obmyślony plan, który umożliwił Annie wyjście z trudnego położenia. Oczami wyobraźni ujrzała Tyrella de Warenne. Chciała przegonić tę zjawę. Powtarzała sobie, że nie wolno jej o nim myśleć, a już na pewno nie w tej chwili. Przecież nazajutrz miały przyjść zakonnice i zabrać chłopca...

- Lizzie? - szepnęła Anna. Eleanor dotknęła jej ramienia.

- Pozwól jej zobaczyć dziecko, moja droga - poleciła stanowczo.

Lizzie wbrew sobie skinęła głową i podeszła do łóżka.

- Czy nie jest piękny? - spytała szorstko, ale nie uczyniła gestu, by położyć chłopca obok matki.

Anna skinęła głową. Miała łzy w oczach.

- Wygląda... - Oblizła spękane wargi. - Wygląda jak jego ojciec. Będą jak dwie krople wody, nie sądzisz?

Lizzie nie była w stanie odpowiedzieć, więc tylko poruszyła głową.

Anna zacisnęła dłonie na pościeli.

- Obiecaj mi, Lizzie, że dochowasz tajemnicy, cokolwiek się stanie! - szepnęła gorączkowo. - On nie może się dowiedzieć!

W tej chwili Lizzie zrozumiała, że to nieuczciwe. Tyrell miał wszelkie prawa do dziecka, a ona wiedziała, że z pewnością zaopiekowałby się synem. Nie zawahała się jednak.

- Nigdy się nie dowie. Obiecuję.

Anna zamknęła oczy. Oddychała płytko i szybko.

- Dziękuję ci. Lizzie odwróciła się.

- Elizabeth? - Eleanor położyła jej rękę na ramieniu. - Chcę, żebyś dała dziecko piastunce. Ona się nim zajmie jak należy.

Lizzie była jednak przekonana, że jeśli teraz odda niemowlę, nigdy więcej nie weźmie go na ręce. W tym momencie zrozumiała, jak musi postąpić. Odwróciła się do ciotki.

- Wyślij wiadomość do zakonnic, ciociu. Niech tutaj nie przychodzą - powiedziała łamiącym się głosem.

Eleanor spojrzała na nią zdumiona.

- Co zamierzasz? - spytała.

- Napisz im, że dziecko znalazło nową matkę.

- Lizzie! - próbowała się sprzeciwić Eleanor.

- Nie. Teraz ja jestem matką Neda.

CZEŚĆ DRUGA

Czerwiec 1814 - sierpień 1814

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sytuacja nie do zniesienia

Lizzie podśpiewywała, wałkując ciasto na placek. Był piękny czerwcowy dzień, nie za ciepły i nie za zimny, bez jednej chmurki na niebie. Kolację miała uświetnić szarlotka.

- Ma... ma. Mmma...

Słyszając małego Neda, Lizzie znieruchomiała. Zbliżyły się jego pierwsze urodziny, brakowało do nich zaledwie kilku tygodni, i już od pewnego czasu chłopiec wydawał najrozmaitsze przypominające słowa dźwięki. Pierwszy raz udało mu się jednak wypowiedzieć prawdziwe słowo. Zachwycona Lizzie się odwróciła. Mały siedział przypięty do wysokiego krzeselka w kuchni, a buzię miał upačkaną jagodami.

- Neddie? - szepnęła zachwycona.

- Mma - zagulgotał, rozsypując na ziemię jagody.

Lizzie nie przejęła się tym kataklizmem. Podeszła do malca i czule go objęła.

- Neddie, powiedz jeszcze raz: mama.

- Mma! - powtórzył, choć wcale nie trzeba było go do tego zachęcać.

Radość Lizzie nie miała granic.

- Kochany chłopiec. Jesteś taki mądry. Zupełnie jak twój tata. - Przed oczami pojawiła jej się poważna twarz Tyrella.

Tymczasem Ned przestał się uśmiechać. Pulchną rączką wskazał na ziemię.

- Mma - zażądał. - Ta...

Lizzie osłupiała. Poza Leclerkiem chłopiec nie widywał mężczyzn, skąd więc miałby mu przyjść do głowy „tata”? Ned powtórzył jednak okrzyk i wtedy zrozumiała, że malec na swój sposób domaga się, by zdjąć go z krzeselka.

- Tam - poprawiła go spokojnie, odpięła pasek i postawiła chłopca na podłodze.

Utrzymał równowagę, zrobił kilka chwiejnych kroków i z okrzykiem złości klapnął na ziemię.

- Dalej, Ned, spróbuj jeszcze raz - zachęciła go Lizzie, ujmując za rączkę.

Złość przeszła równie nagle, jak się pojawiła. Ned wstał i tym razem z pomocą Lizzie wykonał kilka niepewnych kroczków. Roześmiał się głośno, wyraźnie uznając to za osiągnięcie.

- Oj, wyrosnie z niego arogancki mężczyzna - powiedziała od drzwi kuchni Eleanor.

- Właśnie powiedział „mama” - poinformowała z entuzjazmem Lizzie. - Niedługo zaczniesz samodzielnie chodzić.

Ned pociągnął ją za rękę. Uległa tak wyrażonemu życzeniu i podeszła do Eleanor, która podniosła chłopca z ziemi.

- Mały mądrała - pochwaliła.

Lizzie uśmiechnęła się. Odkąd postanowiła zaopiekować się Nedem, jej życie zbliżyło się do ideału. Tylko lęk przed Tyrellem zakłócał ten błogostan.

Wydawało się jednak, że nie ma możliwości, aby dowiedział się o dziecku. Wtajemniczona służba była w pełni zaufana, a goście w Glen Barry bywali rzadko. Nawet Rory pozostawał całkowicie nieświadom istnienia Neda. Podczas jego wizyt chłopiec przebywał w pokoju dziecięcym na najwyższym piętrze.

Przed jedenastoma miesiącami złożone Annie przyrzeczenie wydawało się łatwe do dotrzymania. Obecnie Lizzie rozumiała, że któregoś dnia będzie musiała zapewnić Nedowi prawa, jakie dawało mu urodzenie, a tym samym

złamać dane słowo. Oddalała w myślach tę chwilę, mimo że dręczyły ją wyrzuty sumienia. Zdecydowała się poczekać do osiemnastych urodzin chłopca.

Z zamyślenia wyrwała ją Eleanor.

- Musimy porozmawiać, moja droga.

Lizzie zmartwiała, wiedziała bowiem, czego się spodziewać, a nie czuła się przygotowana na powrót do domu. Raven Hall znajdował się stanowczo zbyt blisko Adare.

- Piekę ciasto - wymówiła się. - Za jakąś godzinkę skończę.

- Ciasto może poczekać - odrzekła z powagą Eleanor. - Szukałam cię w pokoju i przy okazji zobaczyłam list od twojej matki. Leży nieotwarty, chociaż stempel jest sprzed tygodnia. Czas skończyć z tym szaleństwem, moja droga.

Lizzie wiedziała, że ciotka ma rację. Tęskniła za rodzicami i Georgie. Anna już dawno wyjechała z Glen Barry, we wrześniu zgodnie z planem poślubiła porucznika Morely'ego i zamieszkała w jego rodzinnej rezydencji w Derbyshire. Thomas wystąpił z wojska i wiódł żywot ziemianina.

Z listów Anny wynikało, że są szczęśliwi i myślą o powiększeniu rodziny. To przynajmniej dodawało Lizzie otuchy, przekonywało ją bowiem, że postąpiła słusznie.

Jednak niechętnie otwierała listy z domu. Georgie nieustannie namawiała ją do powrotu. Ostatnio zaręczyła się z Peterem Haroldem, musiała więc być głęboko nieszczęśliwa, co bez trudu dało się wyczytać między wierszami. Z kolei matka napomykała, że pobyt Lizzie u ciotki trwa zbyt długo. Nawet papa zdobył się na napisanie listu, w którym otwarcie prosił, by wróciła, nawet gdyby musiała przywieźć z sobą niedomagającą Eleanor. W zeszłym tygodniu znowu nadeszły listy od Georgie i od matki. Leżały jednak zapieczętowane na toalecie, Lizzie miała bowiem poczucie, że zaczyna jej brakować pretekstów, aby uzasadnić dalsze pozostawanie w Glen Barry.

- Lidia napisała również do mnie - oznajmiła Eleanor. - Bardzo za tobą tęskni, czemu wcale się nie dziwię. To już ponad rok, odkąd wyjechałaś. Czas,

abyś wróciła do domu i wypła piwo, którego zresztą nie nawarzyłaś, jeśli chcesz ciągnąć tę maskaradę.

Zdenerwowana i zmartwiona Lizzie odwróciła się plecami do ciotki. Słyszając, jak stawia Neda na podłogę, zerknęła kątem oka i zobaczyła, że chłopiec zaczyna się bawić rozsypanymi jagodami. Cóż, Eleanor zdecydowanie miała rację. Tylko że nic z tego nie wynikało.

Starsza pani dotknęła ramienia bratanicy.

- Nie możesz wiecznie ukrywać się u mnie na wsi.

- Dlaczego nie?

- Cóż to za życie dla ciebie? - odparła łagodnie Eleanor. - Mieszkamy na odludziu. Nie ma przyjęć, wizyt, nic się nie dzieje. Nawet ci nieliczni goście, którzy próbowali nas odwiedzać, przekonali się, że są odprawiani z niczym. Dobrze wiesz, jak bardzo polubiłam ciebie i Neddiego. Jednak tęsknię za miastem, za teatrem i operą, za towarzystwem. Poza tym źle mi bez Rory'ego, a nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się go okłamywać.

Lizzie mogła sobie wyobrazić, jak ciężko ciotce bez ulubionego krewniaka. Sama zaprzyjaźniła się z Rorym i tym bardziej było jej wstyd z powodu kłamstw.

- Moje życie nieoczekiwanie stało się jednym wielkim oszustwem - powiedziała rozżalona.

- Mylisz się, Elizabeth - zaprotestowała stanowczo ciotka. - Poza tym nie musisz tego wszystkiego brać na siebie, przecież wiesz.

- Kocham Neda. Jest moim synem pod każdym względem, z wyjątkiem więzi biologicznej. Nie mogłabym go oddać, jeśli o to ci chodzi, ciociu.

- Wiem, moja miła. Sugeruję tylko, żebyś oznajmiła, że zaadoptowałaś sierotę, zamiast jechać do domu z nowiną, że masz nieślubne dziecko. Przecież szans na małżeństwo nie straciłaś. - Ton Eleanor był zaskakująco ciepły.

Lizzie pokręciła głową.

- Jeśli wrócę z Nedem i powiem, że go adoptowałam, mama każe mi go oddać.

Nie miała co do tego wątpliwości. Kiedy matka była zgorszona czymś postępowaniem, nie było z nią dyskusji.

- Istnieje takie niebezpieczeństwo, ale może akurat tym razem uda się przekonać Lidię.

- Nie mogę ryzykować, ciociu. A wyjść za mąż nie chcę. Moje życie to Ned! - podkreśliła z mocą Lizzie.

Eleanor poklepała ją po ramieniu.

- A czy dobrze zastanowiłaś się nad rozmiarami tego skandalu?

- Tak - skłamała Lizzie, bo dotąd starannie odsuwała od siebie myśli na ten temat. - Skandal jest niczym w porównaniu z przyszłością tego dziecka.

- Jesteś wspaniałą matką. Widzę to codziennie i może dlatego potrafię uznać twoje racje. Nie możemy ryzykować utraty Neda.

Lizzie uśmiechnęła się z ulgą.

- Mama będzie bliska apopleksji, kiedy przyjadę z dzieckiem. Natomiast papa będzie mną głęboko rozczarowany.

- Przekazanie takiej wiadomości na pewno nie będzie łatwe, lecz nie powinnaś z tym zwlekać - uznała Eleanor.

Lizzie rozumiała, że nie wolno jej nadużywać życzliwości ciotki. I tak za długo trzymała ją na odludziu. Nie mogła nikogo zmuszać, żeby cierpieł niewygody z powodu jej własnego wyboru.

- Elizabeth, czy naprawdę nie chcesz jechać do domu z tego powodu, który mi podałaś?

Lizzie drgnęła.

- Anna opowiedziała mi o twoim zainteresowaniu Tyrellem de Warenne - ciągnęła Eleanor.

- Anna? - zachnęła się Lizzie. - Jak mogła?!

- Nie ma nic złego w tym, że młoda kobieta kocha się w przystojnym arystokracie. Każda panna marzy o swoim księciu. To jednak prawdziwa ironia losu, że kochałaś się w nim od małego, a teraz wychowujesz jego dziecko.

- Mam do ciebie prośbę, ciociu - zdobyła się na odwagę Lizzie. - Tyle już dla mnie zrobiłaś, że właściwie nie powinnam cię o nic więcej prosić.

- Och, zawsze możesz spróbować, moja droga.

- Czy nie mogłabyś pojechać ze mną do Raven Hall? Bardzo się boję, ciociu. Nie wiem, jak przedstawić sytuację rodzicom. - Zawahała się, po czym dodała: - Przeraza mnie spotkanie z Tyrellem de Warenne. Wiem, że nie ma sposobu, aby poznał prawdę, a mimo to się niepokoję.

Dziesięć dni później Lizzie wyglądała z okna eleganckiego czarno-złotego powozu ciotki, obserwując pagórkowaty krajobraz okolic Limerick. Z miasta wyjechali pół godziny temu i do Raven Hall brakowało zaledwie mili. Obok niej siedziała Eleanor, a na tylnym siedzeniu piastunka Rose z Nedem. Lizzie cieszyła się z widoku znajomych stron, ale nie potrafiła się odprężyć.

- Moja droga, głowa do góry - powiedziała ciotka, ujmując bratanicę za rękę. - Zaraz przejedziemy bramę, a ty jesteś biała jak ściana. Nie bój się. Skandal będzie, ale twoi rodzice z pewnością pokochają Neddiego. Jego nie sposób nie kochać.

Lizzie bez przekonania skinęła głową. Zamknęła oczy, ale zapach deszczu, świeżej trawy, bzu i hiacyntów nie uspokajał jej dostatecznie. Myśl o hysterii, w jaką wpadnie matka, robiła na niej znacznie silniejsze wrażenie. Na wszelki wypadek powtórzyła sobie w myśli, że nie jest już małą dziewczynką. Przecież w maju skończy osiemnaście lat.

- O, są! - zawołała Eleanor. - Wszyscy wyszli ci na powitanie.

Lizzie uniosła powieki i zobaczyła przed domem matkę, papę i Georgie. Na widok powozu pani Fitzgerald zaczęła machać ręką, a Georgie wkrótce się

do niej przyłączyła. Papa wspierał się na lasce. Najwidoczniej dokuczał mu artretyzm, ale i on szeroko się uśmiechał.

- Tęskniłam za nimi - szepnęła Lizzie, zapominając o nowinie, jaką przywozi. Wychyliła się przez okno i energicznie odpowiedziała na powitania.

- Poczekaj chwilę, zanim zbudzisz chłopca i wysiądziesz z powozu - pouczyła piastunkę Eleanor.

Rose, okrągłutka, piegowata dziewczyna o kilka lat starsza od Lizzie, skinęła głową.

- Dobrze, milady.

Powóz stanął, a Lizzie, nie czekając na pomoc, pchnęła drzwi i zeskoczyła na ziemię. Rodzina już się zbliżała.

- Mama! Papa! Georgie! - zawołała.

- Lizzie, jak mogłaś wyjechać na tak długo? - Matka pierwsza zamknęła ją w długim uścisku. - Ojej, jak urosłaś. Ściąłaś włosy? I schudłaś? A jaka piękna suknia!

- Tak, ścięłam włosy, a ciocia była tak dobra, że kupiła mi kilka sukien - odrzekła Lizzie. - Tęskniłam za tobą, mamo.

- Wszystkim nam cię brakowało, a nie pokazałaś się nawet na ślubie Anny! - skarciła córkę łagodnie pani Fitzgerald.

Zanim Lizzie zdążyła odpowiedzieć, znalazła się w niedźwiedzim uścisku ojca.

- Jak ładnie wyglądasz - ucieszył się. - Tylko gdzie się podziała moja pulchniutka dziewczynka?

Lizzie nie mogła mu wyjaśnić, że opieka nad małym dzieckiem pochłania dużo energii.

- Pulchniutka jestem nadal - powiedziała.

- Straciłaś sporo - stwierdził pan Fitzgerald, ujmując w dłoń twarz córki.

- Witaj w domu, dziecko.

Lizzie uśmiechnęła się do ojca i odwróciła do Georgie.

Siostra ronila łzy.

Wyglądała tak samo jak zawsze, wysoka, zgrabna, ciemnoblonde włosy opadały jej falami na ramiona. Uściskały się serdecznie.

- Widzę, że Wicklow ci posłużyło - zauważyła życzliwie Georgie.

- A ty nic się nie zmieniłaś. Wciąż jesteś najwyższą kobietą, jaką znam. -
Obie bardzo się ucieszyły ze spotkania.

- Za długo cię nie było, Lizzie. Już myślałam, że nigdy nie wrócisz.

- Dobrze znaleźć się znowu w domu. Masz rację, za długo mnie nie było -
przyznała Lizzie.

Georgie zerknęła jej przez ramię.

- Ciocia Eleanor wcale nie robi wrażenia chorej - rzuciła z podejrzliwą
miną.

Lizzie zeszywniała. Przypomniała sobie, że za chwilę wybuchnie piekło
na ziemi.

- Witaj, Eleanor - odezwała się pani Fitzgerald, która bez wątpienia
usłyszała uwagę Georgie. - Musiałaś już w pełni wydobrzeć, bo świetnie
wyglądasz. A może tak polubiłaś moją Lizzie, że nie możesz się bez niej obejść?

- Pani Fitzgerald z trudem ukrywała niezadowolenie, a jej słowa zabrzmiały
bardzo cierpko.

- To prawda, że bardzo polubiłam twoją najmłodszą córkę, Lidio -
potwierdziła obojętnym tonem Eleanor. - I masz rację, że wydobrzałam. Witaj,
Geraldzie.

- Bardzo cieszymy się, Eleanor, że zadałaś sobie trud i towarzyszyłaś
Lizzie - powiedział uprzejmie pan Fitzgerald.

Lizzie chciała od razu chwycić byka za rogi, pomyślała jednak, że jeśli
matka zemdleje, trzeba ją będzie wnieść do domu. Zerknęła na Eleanor, która
przesłała jej pełen otuchy uśmiech.

- Mam nowinę - powiedziała, choć język stawał jej kołkiem. - Chodźmy
do salonu.

Eleanor dyskretnie ścisnęła jej rękę, ale i pani Fitzgerald, i Georgie zauważyły ten gest.

- Jaką nowinę? - spytała zaskoczona i zaniepokojona pani Fitzgerald.

- Dobrą - odparła Lizzie, starając się zachować pogodną twarz.

- Czy poznałaś kogoś? Jesteś zaręczona? - zasypała pytaniami córkę pani Fitzgerald. - Och, proszę, powiedz, że to dlatego tak długo cię nie było.

- Myślę, że powinniśmy jednak wejść do środka i usiąść - odrzekła Lizzie.

Eleanor ujęła pod rękę bratową i pociągnęła ku domowi.

- Chodźmy do salonu napić się sherry.

Pani Fitzgerald uległa, idąc, zerknęła jednak na Lizzie, która podążyła za nią wraz z resztą rodziny.

- Co tu się dzieje? Jeśli nie jesteś zaręczona, to jaką możesz mieć nowinę?

Lizzie stanęła przy drzwiach, a Eleanor zaprowadziła bratową na sofę.

Georgie zajęła miejsce na krześle, pan Fitzgerald, wsparty na lasce, stanął przed kominkiem. Ogromnie zdenerwowana Lizzie zastanawiała się, czy powinna najpierw obwieścić, co się stało, czy od razu wprowadzić Neda.

Uznała, że tak czy owak nie ma sposobu na uniknięcie wstrząsu. Cofnęła się do sieni i dała znak Rose, aby wysiadła z powozu i weszła do domu. Potem wróciła do salonu.

- Miałam powód, aby pojechać do Dublina - oznajmiła. - I z tego samego powodu pozostawałam tam ponad rok. - Musiała oprzeć się o fortepian, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Pani Fitzgerald wydawała się skonfundowana.

- Wiemy, po co pojechałaś do Dublina - powiedział spokojnie pan Fitzgerald. - Wezwała cię Eleanor, abyś się nią zajęła.

Lizzie zerknęła na ciotkę i dostrzegła w jej oczach zachętę.

- Nie. Nie było żadnego wezwania. Sfalszowałam ten list. Ciocia wcale nie czekała na mnie ani na Annę.

Rozległo się głośnie westchnienie.

Lizzie spojrzała na matkę, która gwałtownie pobladła. Również Georgie wydawała się skonsternowana.

- Co próbujesz nam powiedzieć, Lizzie? - spytała podejrziwym tonem.

Jedynie pan Fitzgerald wydawał się nieporuszony, ponieważ darzył córkę bezgranicznym zaufaniem.

- Jestem pewien, że Lizzie miała ważny powód - oświadczył.

- Po co więc to wszystko?! - zachnęła się pani Fitzgerald. - Czy to znaczy, że Eleanor nie była chora?

Lizzie usłyszała wchodzącą Rose.

- Ciocia cieszyła się jak najlepszym zdrowiem, ale ja musiałam wyjechać z domu. Mamo, papo, bardzo przepraszam. Wyjechałam, bo nie wiedziałam, co innego mogłabym w tej sytuacji zrobić.

- Co ty pleciesz? - zdziwiła się Georgie.

Lizzie odwróciła się ku sieni.

Stała tam Rose z Nedem na rękach, który rozkosznie ziewał. Lizzie wzięła dziecko od piastunki i wróciła do pokoju.

- To jest Ned - powiedziała cicho. - Mój piękny synek.

Pani Fitzgerald oczy wyszły z orbit. Twarze pana Fitzgeralda i Georgie wyrażały osłupienie. Wyglądało na to, że wszyscy obecni w jednej chwili utracili zdolność mówienia.

Nagle pani Fitzgerald osunęła się bezwładnie na zieloną sofę. Eleanor, przygotowana na taki rozwój wypadków, zaczęła ją wachlować, poza tym jednak nikt się nie ruszył. Pan Fitzgerald i Georgie jakby w ogóle nie zauważyli omdlenia pani Fitzgerald.

- Mój Boże - powiedziała Georgie.

Również pan Fitzgerald w końcu ożył. Zrobił kilka kroków i ciężko usiadł na sofie, gdzie Eleanor podtykała jego żonie pod nos sole. Pani Fitzgerald, krztusząc się, otworzyła oczy.

- Musiałam wyjechać, aby urodzić dziecko - oznajmiła Lizzie, tuląc Neda.

Chłopczyk rozbudził się już całkiem i głośno zażądał:

- Ta!

Miał w repertuarze tuzin słów.

- Pst - powiedziała odruchowo Lizzie. Łza potoczyła jej się po policzku.

Georgie patrzyła na nią wielkimi oczami, zasłaniając ręką usta.

- To jest twój syn? - wybąkała w końcu. Lizzie skinęła głową.

- Proszę, pokochaj go tak, jak ja go kocham. Georgie z wrażenia usiadła.

- Da! - zażądał malec. - Ned da!

Lizzie postawiła go na podłodze. Objął ją za nogi, żeby łatwiej ustać, a potem pięknie uśmiechnął się do Georgie. W kącikach ust pojawiły mu się dwa urocze dołeczki. Georgie wreszcie na niego spojrzała, a gdy to zrobiła, bez trudu domyśliła się, kto jest ojcem Neda. Tymczasem pan Fitzgerald poderwał się bez żadnej pomocy z sofy, laskę bowiem zostawił wcześniej przy kominku.

- Kto to jest? Żądam, abys ujawniła, kto jest ojcem. - Twarz spurpurowiała mu od gniewu. - Chcę wiedzieć, kto cię skrzywdził! Do diabła, odpowie za to!

Lizzie aż się skuliła. Jeszcze nie widziała ojca w takim stanie i nigdy nie słyszała, żeby przeklął. Był najpocziwszym i najłagodniejszym ze znanych jej ludzi. W tej akurat chwili wydawał się jednak zdolny do wszystkiego. Lizzie pokręciła głową. Spodziewała się goryczy, ale nie furii.

- Nie mów mi tylko, że nie wiesz, kim jest ojciec dziecka! - wykrzyknął pan Fitzgerald, potrząsając zaciśniętą pięścią. Był coraz bardziej czerwony na twarzy.

- Papo, proszę - próbowała uspokoić go. - Dostaniesz wylewu! Usiądź.

Pan Fitzgerald ani drgnął. Tymczasem jego żona wydała jęk. Lizzie spojrzała z niepokojem na matkę, a po drodze pochwyciła pełne wyrzutu spojrzenie Georgie. To było jeszcze gorsze, niż oczekiwała, zwłaszcza że spodziewała się wsparcia ze strony siostry.

- Lizzie!

Pani Fitzgerald rozszlochała się na dobre. Eleanor pomogła jej usiąść.

Lizzie przypadła do matki i ujęła ją za rękę.

- Przepraszam - szepnęła. Za plecami usłyszała krzyk Neda, złoszczącego się z powodu kolejnego upadku. Katem oka zauważyła, że Georgie pomaga mu wstać. Znow odwróciła się ku matce. - Przepraszam - powtórzyła.

- Przeprosiny niczego nie zmieniają! - zawodziła matka. - Jesteś zhańbiona! Skompromitowana!

- Ale mam Neda - zaproponowała Lizzie. - Czyż nie jest śliczny? A jaki mądry, mammo. To twój wnuk.

- Śliczny? Mądry? Jesteś zrujnowana! Wszyscy jesteśmy zrujnowani! O Boże, pan Harold nie ożeni się z Georgie! Zerwie zaręczyny, gdy tylko usłyszy o tym skandalu. Lizzie, jak mogłaś?

- Przepraszam - powtórzyła po raz kolejny, pełna niepokoju. Czy matka zdoła pokochać Neda? - pomyślała.

- Żądam, abyś natychmiast wyjawiała, kto jest ojcem - odezwał się pan Fitzgerald, któremu udało się zapanować nad furią.

- To nie ma znaczenia - odparła Lizzie.

- Co ty mówisz? Oczywiście, że ma! - oburzyła się pani Fitzgerald.

Ned siedział na podłodze i przyglądał jej się z dużym zainteresowaniem.

- Ta sytuacja jest nie do zniesienia - zawyrokował pan Fitzgerald. - On musi naprawić krzywdy! - Mówiąc to, mocno zacisnął pięści.

Lizzie rozumiała, że powinna zakończyć ten temat jak najszybciej.

- On jest żonaty - oświadczyła, zła na siebie, że dopuszcza się kolejnego kłamstwa.

- Żonaty! To już naprawdę koniec - oświadczyła załamana pani Fitzgerald. - Nikt więcej nie przyjmie nas w swoim domu! Jeszcze jedno dziecko do wychowania, kolejna gęba do wykarmienia!

Lizzie miała tego dość. Usiadła na podłodze i wzięła na kolana Neda.

- To jest twój wnuk, a nie gęba do wykarmienia! - powiedziała oburzona.

Pani Fitzgerald zakryła usta dłońmi i dalej szlochała. Lizzie popatrzyła na ojca, który sprawiał wrażenie zdruzgotanego, i przeniosła wzrok na ciotkę.

- Nie powinnam była przyjeżdżać do domu.

Eleanor pokręciła głową.

- Nie było innej możliwości. Daj im trochę czasu. Pani Fitzgerald odjęła ręce od twarzy.

- Jak mogłaś nam to zrobić? - spytała.

Trudno było znaleźć odpowiedź na tak postawione pytanie.

Lizzie wolno podniosła się z podłogi.

- Popełniłam błąd.

- Ten błąd będzie drogo kosztował całą rodzinę. Nie podniesiemy się po tym skandalu.

- Dość tego - wtrącił pan Fitzgerald. - Przestań, Lidio. Lizzie przecież nie chciała, żeby tak się stało. Przeżyliśmy głęboki wstrząs. Myślę, że tymczasem powinniśmy przerwać te jałowe rozważania. Jestem zmęczony i chciałbym się położyć. - Pociągając nogami, ruszył do drzwi. Wrażenie było takie, jakby postarzał się w ciągu ostatniej godziny o dwadzieścia lat.

Pani Fitzgerald również wstała. Wspierając się na Eleanor, przesłała Lizzie jeszcze jedno oskarżycielskie spojrzenie i wyszła z salonu.

- Idę do siebie i nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano.

Lizzie została z Nedom i Georgie. Siostra pokręciła głową, uroniła łzę, która od dawna kręciła jej się w oku, i również opuściła salon. Lizzie gorzko pożałowała decyzji o powrocie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niezwykły cel

Lizzie siedziała na łóżku w sypialni, którą kiedyś dzieliła z Anną. Jednak widok znanych bliźniaczych łóżek, różowo-białego wzoru na ścianie i starej toaletki nie dodawał jej otuchy. Wręcz przeciwnie, czuła się tu prawie jak w więzieniu. Siedziała na łóżku z podkulonymi nogami i obserwowała Neda, pilnie badającego nowe otoczenie.

Co dalej? Przekonała się, że Ned nie jest mile widziany w Raven Hall. Mimo woli pomyślała o Tyrellu. Przyszło jej do głowy, że gdyby do niego poszła, wyciągnąłby do niej pomocną dłoń. Wiedziała jednak, że nigdy się na to nie zdobędzie. W najgorszym razie mogła się schronić w Glen Barry albo na Merrion Square. Tak przynajmniej jej się zdawało. A jeśli skończy na ulicy?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- To ja. - W drzwiach stanęła Georgie z ponurą miną. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytała.

Lizzie pokręciła głową, nie mogąc sobie poradzić ze cisnącymi się do oczu łzami.

- Myślałam, że jesteśmy dobrymi siostrami, a ty w najważniejszym momencie życia zataiłaś wszystko przede mną, a zwierzyłaś się Annie! - Georgie mówiła coraz bardziej podniesionym głosem i to pomogło Lizzie się opanować.

- Miałam powiedzieć ci w Dublinie. - Teraz przynajmniej nie skłamała. - Przecież to ty postanowiłaś zostać w domu, a musisz przyznać, że w liście nie mogłam niczego napisać. Co by było, gdyby list znalazła mama?

Georgie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Powinna być z wami pojechać! Kocham cię, siostrze. Zrobiłabym dla ciebie wszystko - powiedziała łamiącym się głosem.

Lizzie objęła ją, cicho powtarzając:

- Nie chciałam cię zranić, uwierz mi.

- Wiem - szepnęła Georgie i się odsunęła. - Wybacz mi samolubstwo. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, przez co musiałaś przejść.

- Bardzo się bałyśmy. Przecież nie wiedziałyśmy, czy ciotka nas wpuści, a tym bardziej pozwoli nam zostać, kiedy dowie się prawdy. Potrzebuję cię teraz, Georgie, potrzebuję twojego wsparcia. Mama mi nie wybaczy, a papa jest na mnie zły. Nie wydaje mi się, żebym była tu mile widziana. Wybacz mi, jeśli postąpiłam wobec ciebie niewłaściwie. Proszę cię, pomóż teraz mnie i mojemu synowi.

Georgie chwyciła ją za rękę.

- Lizzie, to jest twój dom. Nikt cię stąd nie wyrzuci. - Georgie spojrzała na Neda. - A on jest Fitzgeraldem. Rodzice się z tym pogodzą, tylko potrzebują na to czasu. Przeżyli wstrząs.

Lizzie skinęła głową. Bardzo pragnęła, żeby siostra się nie myliła. Przysiadła na łóżku.

- Co mam teraz zrobić?

- Poczekać, aż najgorsze samo minie - odparła Georgie i przyklękła przed bawiącym się na podłodze chłopcem. - Witaj, jestem ciocia Georgie.

Malec zajmował się porzuconym pantoflem Lizzie, ale spojrzenie Georgie odwzajemnił z wielką uwagą.

- Ned! - powiedział, bijąc bucikiem o podłogę niczym sędzia młotkiem podczas rozprawy.

Georgie się rozpromieniła.

- Tak. Ty jesteś Ned, a ja ciocia Georgie. Chłopiec przybrał bardzo skupioną minę.

- Próbuje cię zrozumieć - wyjaśniła Lizzie.

- Ma niezwykle niebieskie oczy - zauważyła Georgie i powtórzyła bardzo wyraźnie: - Ciocia Georgie.

- Dżiii - oświadczył stanowczo. - Dżiii - powtórzył i porzuciwszy pantofel, klasnął w dłonie.

- Mądry chłopiec - pochwaliła go z dumą Lizzie.

- Bardzo mądry - przyznała Georgie, wstając z podłogi. - Wciąż nie mogę się pozbierać, taka jestem zaskoczona.

Lizzie miała nieodparte wrażenie, że siostra mówi o ojcu Neda. Stała obok niej.

- Powiedziałaś, że najgorsze samo przejdzie. Georgie mocno ujęła ją za ramię.

- Liz, czy ojcem jest Tyrell de WARENNE?

Lizzie poczuła zawrót głowy. Nie sądziła, że ktokolwiek się tego domyśli, a tymczasem siostrze udało się to niemal od razu. Czy inni będą równie spostrzegawczy?

- Nie zaczynaj i ty!

- Nie jestem głupia. Ned nie jest do ciebie ani trochę podobny. A ilu znamy ciemnowłosych, śniadych Irlandczyków? Dodam, że kochałaś się w Tyrellu od niepamiętnych czasów.

- Czy to jest aż tak oczywiste?

- Dla mnie owszem, ale ja dobrze cię znam. Ned jest śniady i ma niebieskie oczy de WARENNE'a.

Lizzie pokręciła głową załamana.

- Jeśli on kiedykolwiek się dowie, zabierze mi chłopca. Ja się do tego nie przyznam, Georgie. Ned jest mój. - Lizzie obawiała się, że kłamstwo już zaczyna tracić wiarygodność.

- Wiem, że on nie ożeni się z nikim postawionym niżej. - Georgie położyła jej rękę na ramieniu. - Chodzą pogłoski o jego rychłych zaręczynach z bardzo bogatą angielską dziedziczką z wpływowej rodziny wigów. Masz rację,

odebrałby ci Neda. - Georgie ścisnęła ramię siostry. - Czy to zdarzyło się podczas maskarady? O ile pamiętam, wspomniałaś, że nie poszłaś na schadzke.

- Och, nie mogę o tym rozmawiać, rozumiesz? - Lizzie ciężko westchnęła.

- To zbyt bolesne. - Nie chciała znowu okłamać siostry. Na szczęście potrafiła się wykazać nie mniejszym uporem niż ona.

- Naprawdę planujesz ukryć przed nim dziecko? Chcesz wychowywać Neda sama?

Brakowało jeszcze tego, żeby Georgie wypomniała jej pozbawianie Neda przywilejów, wynikających z wysokiego urodzenia. To, prawdę mówiąc, od dawna dręczyło Lizzie.

- Któregoś dnia, gdy będzie zbliżał się do pełnoletności, ujawnię prawdę. To Georgie zdawała się akceptować.

- Może Tyrell nie doczeka się innego męskiego dziedzica - powiedziała. - Wtedy będzie mu łatwiej uznać Neda.

- Zdaję sobie sprawę, że mam przed sobą kolejną dramatyczną przeprawę, ale chwilowo jedna zupełnie mi wystarczy.

Georgie otoczyła ją ramieniem.

- Masz rację, a ja chcę ci pomóc.

- Dziękuję. - Lizzie starała się opanować zdradliwą ciekawość, jednak zapytała: - Mówisz więc, że on ma się zaręczyć?

- Rozprawia o tym całe Limerick. Możliwe, że chodzi o córkę wicehrabiego Harringtona.

Lizzie nie interesowała się polityką, ale nawet ona zdawała sobie sprawę z wpływów wicehrabiego Harringtona. W swoim czasie należał do grupy doradców króla, teraz wciąż przewodniczył Izbie Lordów. Krótko mówiąc, był bardzo bogatym Anglikiem, zajmującym eksponowaną pozycję. Jeśli plotki miałyby się potwierdzić, mariaż przyniósłby de Warenne'om znaczne korzyści.

- Przecież zawsze wiedziałaś, że on nie jest dla ciebie - odezwała się znów Georgie.

- Naturalnie! Niech się ożeni i doczeka dzieci. Chcę, żeby był szczęśliwy.
- Nie wiedziała, jak te słowa przeszły jej przez gardło.
Georgie uśmiechnęła się smutno.
- No tak, właśnie tego chcesz.

W ciągu kilku następnych dni atmosfera w Raven Hill nie uległa poprawie. Pani Fitzgerald pozostawała u siebie, złe samopoczucie najwyraźniej nie pozwalało jej zejść na dół. Pan Fitzgerald zamykał się w gabinecie i podczas posiłków był znacznie bardziej milkliwy niż zwykle. Miało się wrażenie, że w domu panuje głęboka żaloba.

Georgie próbowała rozładować nastrój, ale na niewiele się to zdało.

Lizzie była bliska załamania. Przez ostatni rok unikała myślenia o tym, co się stanie po jej powrocie do domu. Próbowала sobie wmówić, że wszystko jakoś się ułoży. Teraz przekonała się na własnej skórze, jak głęboko zraniła rodziców. A to był dopiero początek, bo jeśli najbliżsi zareagowali w ten sposób, to czego należało się spodziewać po dalszych znajomych?

Lizzie była w salonie z Eleanor, Georgie i Nedom, gdy przed domem przystanął zgrabny czarny powóz, należący do lady O'Dell. Przyjaźniła się z matką i okazywała Lizzie sympatię, chociaż Anny nie lubiła. Nie bez powodu, bo jej córka Helen, całkiem niebrzydka, nigdy nie odebrała nawet połowy hołdów składanych Annie. Właśnie pani O'Dell należała do matron, które między sobą nazywały średnią pannę Fitzgerald „tą płochą”.

Ned drzemał w łóżeczku, Eleanor z Georgie grały w pikietę, a Lizzie przyglądała się przez okno wysiadającej damie. Ogarnęło ją złe przeczucie. Georgie odeszła od stolika i stanęła obok siostry.

- Ojej, lady O'Dell. Co chcesz zrobić? - spytała.

Lizzie nie wahała się ani chwili, choć nie pierwszy raz zdawało jej się, że zaraz zemdleje.

- Nie mam wielkiego wyboru. Prędzej czy później i tak się dowie, że jestem kobietą upadłą. Może lepiej załatwić tę sprawę od razu.

- Tyle musiałaś przejść. Chciałabym jakoś ochronić cię przed skandalem.
Lizzie wzruszyła ramionami.

- To się nie uda - powiedziała.

Siostra próbowała dodać jej otuchy uśmiechem.

- Może nie będzie aż tak źle. Lady O'Dell nadal nie posiada się ze szczęścia z powodu niedawnego zamążpójścia Helen.

Lizzie była pewna, że Margaret O'Dell zareaguje nader gwałtownie bez względu na to, jak bardzo cieszy się z małżeństwa córki. Na wszelki wypadek powtórzyła sobie w duchu, że dla takiego syna warto znieść nawet powszechne potępienie.

Betty wprowadziła tęgą matronę do salonu.

- Elizabeth! - rozpromieniła się lady O'Dell. - Jak dawno cię nie było! Pięknie wyglądasz, moja droga. O, i jest lady de Barry. Miło panią znowu zobaczyć.

- Jak się pani miewa, lady O'Dell - przywitała się z uśmiechem Eleanor, wstając. - Chyba zresztą nie muszę pytać, tak kwitnąco pani wygląda.

Lizzie wymieniła z Georgie spojrzenia pełne niepokoju. Eleanor nigdy nie traktowała tak łaskawie dam należących w Limerick do towarzystwa.

- Och, dziękuję. Słyszałam o pani chorobie, ale widzę, że i pani w pełni odzyskała zdrowie.

Lady O'Dell zauważyła śpiące dziecko i okazała mu pewne zainteresowanie, jednak Eleanor odwróciła jej uwagę:

- Koniecznie musi mi pani mówić po imieniu. Tak długo się znamy... Ile to już lat? I oczywiście serdecznie pani gratuluję, Margaret. Słyszałam, że Helen bardzo korzystnie wyszła za mąż.

Lady O'Dell się rozpromieniła.

- On ma sześćset funtów rocznie. Tak, to niezwykle udane małżeństwo. -
Zerknęła ponownie na Neda. - Jakie śliczne dziecko. Może zresztą powinnam
powiedzieć, że przystojne, bo to chyba chłopiec.

Lizzie wyminęła obie damy.

- Tak, chłopiec. - Nie chcąc zbudzić Neda, zaczęła ostrożnie poprawiać
mu kocyk. Potem bardzo delikatnie dotknęła jego buzi.

- Czy to twój krewny? - spytała Margaret O'Dell, nie kryjąc
zaciekawienia.

Lizzie zdołała spojrzeć jej prosto w oczy.

- To mój syn.

Odwiedziny trwały, wszyscy sąsiedzi chcieli bowiem zajrzeć do Raven
Hall i zerknąć na Lizzie i jej syna. Gdy pojawiał się powóz na podjeździe, Lizzie
czuła, że robi jej się słabo. Nigdy nie cieszyła się w okolicy popularnością, ale
darzono ją sympatią i szacunkiem. Nagle zyskała sławę, tyle że nieprzynoszącą
chwały. Lizzie wiedziała, że cała parafia snuje domysły co do tożsamości ojca.
Dla wszystkich było wstrząsające, że coś takiego zrobiła „ta wstydliva
Elizabeth Anne”.

Wreszcie któregoś dnia Georgie namówiła siostrę na popołudniowe
wyjście do miasta po zakupy.

- Nie możesz bez końca chować się w domu. Najgorsze już minęło -
orzekła, gdy szły High Street, ubrane w haftowane białe suknie i jedwabne
peliski. Ned leżał w wózekczku pchanym przez Rose.

- Będą patrzeć na mnie jak na ladacznicę - powiedziała Lizzie, mocno
ściskając w dłoniach torebkę. Ranek był piękny, ale potem napłynęły chmury i
teraz zbierało się na deszcz.

- Nie jesteś ladacznicą - zaprotestowała żywo Georgie. - Te kobiety znają
cię od dzieciństwa i dobrze wiedzą, jaka jesteś naprawdę. Podśluchałam niedaw-

no, jak mówiono, że ktoś cię uwiódł, a ty musiałaś się zakochać. Moim zdaniem, ludzie są raczej zdziwieni, że coś takiego spotkało małą, wstydliwą Lizzie. -

Georgie uśmiechnęła się do siostry. - Zapomną, nie martw się. Żaden skandal nie trwa wiecznie. Lizzie trudno było w to uwierzyć.

- Nie wiem, czy powinnam tutaj zostać - stwierdziła. - Może byłoby lepiej dla rodziców, gdybym wyjechała.

- Nie bądź niemądra. Mama jak zwykle dramatyzuje. Papa się martwi, ale dojdzie do siebie, przecież zawsze byłaś jego ulubienicą. Pamiętaj, czas goi rany. Damy sobie radę - zapewniła ją Georgie.

- Papa przynajmniej ze mną rozmawia - odrzekła smutno Lizzie. Nie była jednak pewna, czy uda jej się odzyskać jego absolutną i niekwestionowaną miłość.

Nagle Georgie stanęła jak wryta. Lizzie była tak bardzo pochłonięta swoimi problemami, że nie zwracała uwagi na przechodniów. Gdy podążyła za wzrokiem siostry, omal się nie przewróciła z wrażenia.

Zbliżał się do nich Tyrell de Warenne. Był w połowie drogi od poprzedniej przecznicy, nie ulegało jednak wątpliwości, że to właśnie on. Lizzie poznałaby go zawsze i wszędzie. Szedł sprężystym krokiem w towarzystwie innego dżentelmena. Zaaferowani rozmową, jeszcze ich nie zauważyli.

Lizzie odwróciła się do piastunki.

- Rose, wejdz z Nedem do piekarni i nie wychodź! - W jej głosie słychać było panikę. Miała nadzieję, że nie spotka Tyrella, który ostatnio wiele czasu spędzał w Dublinie, a tu masz!

Odwrócona do niego plecami, liczyła, że może Tyrell przejdzie na drugą stronę ulicy albo skręci do pubu.

- Idą w naszym kierunku - zdziwiła się Georgie.

- To niemożliwe.

Nagle rozległ się znajomy głos:

- Lizzie, czy to pani?

Rory McBane. Lizzie odwróciła się zdumiona.

- To naprawdę pani! - Wydawał się niezwykle zadowolony ze spotkania. Zerknął przelotnie na Georgie, ale całą uwagę skupił na Lizzie. Wykonał głęboki ukłon. - Zupełnie zapomniałem, że pani mieszka w Limerick. Zdawało mi się, że wciąż spędza pani czas z ciotką Eleanor w Glen Barry.

Lizzie wiedziała, że musi coś odpowiedzieć. Policzki jej płonęły. Niezgrabnie dygnęła. Wreszcie zerknęła kątem oka na Tyrella.

Odniosła wrażenie, że ją poznał. Chyba jednak to niemożliwe, pocieszyła się w duchu. W każdym razie prezentował się wspaniale. Miał na sobie ciemny, nieskazitelnie skrojony surdut, jasne spodnie z sarniej skóry i lśniące buty z cholewami. Lizzie patrzyła na niego jak urzeczona. Sytuacja stawała się bardzo niezręczna.

- Lizzie? - odezwał się Rory, wyrywając ją z transu.

- Ojej... dzień dobry. - Jak tu zebrać myśli? - Miło mi pana widzieć, Rory.

- Czy pani dobrze się czuje? - spytał z widoczną troską.

Skinęła głową i znów zerknęła na Tyrella, który tymczasem przybrał nieprzeniknioną minę.

- Chyba trochę zapomniałem o dobrym wychowaniu - zreflektował się Rory. - Lizzie, to jego lordowska mość Tyrell de Warenne, mój dobry przyjaciel. Tyrell, to jest panna Elizabeth Fitzgerald.

Lizzie miała nadzieję, że nie zemdleje. Tyrell i Rory przyjaciółmi? To oznaczało dla niej klęskę.

- A to moja siostra, panna Georgina May Fitzgerald - zdołała wybąkać.

Georgie dygnęła, choć i jej udzieliło się napięcie. Rory skłonił się w odpowiedzi i obdarzył ją ujmującym uśmiechem.

- Miło mi poznać, panno Fitzgerald. Żałuję tylko, że nie mieliśmy okazji zawrzeć znajomości ubiegłego lata w Glen Barry. Towarzystwo pani siostry było bardzo zajmujące. Straciła pani wiele zabawnych chwil.

Na policzki Georgie wypłynął lekki rumieniec, z którym było jej bardzo do twarzy. Wzrostem prawie dorównywała Rory'emu, a gdy do niego mówiła, śmiało patrzyła mu w oczy.

- Obawiam się, że ostatniego lata musiałam się opiekować rodzicami. Lizzie nie... Lizzie nie wspominała mi o panu. - Zarumieniła się mocniej, uświadomiła sobie bowiem, że jej słowa zabrzmiały nieelegancko.

- A to musiałem zrobić wrażenie! - Uśmiechnął się do Georgie. - Uważam opiekę nad rodzicami za bardzo szlachetne posłannictwo. Ufam, że nie dolega im nic poważnego.

- Wszystko w porządku, dziękuję. - Georgie odwróciła wzrok, wyjątkowo jak na siebie zmieszana.

Lizzie niemal zapomniała o istnieniu siostry. Tyrell ani mrugnął, a jej z każdą chwilą trudniej było złapać oddech. Choć broniła się przed tym, jak umiała, znów czuła się tak jak na maskaradzie.

Tyrell przybliżył się nieco i skłonił głowę.

- My się chyba znamy, czyż nie, szanowna pani? - zagadnął.

Lizzie wpadła w popłoch. Jak mógł ją poznać?

- Wydaje mi się, że jest pan w błędzie - odparła.

- Och, pamięć rzadko mnie zawodzi, zwłaszcza gdy w grę wchodzi wyjątkowa uroda - odrzekł z uwodzicielskim uśmiechem.

Lizzie odebrało mowę. Czyżby Tyrell nadal uważał, że jest pociągająca?

- Obawiam się, proszę pana, że nasza konwersacja staje się niestosowna. Miejscem takich pochlebstw jest sala balowa. - Najchętniej ugryzłaby się w język, ale było za późno.

Roześmiał się, choć nie było w tym wesołości.

- Co do mnie, pochlebiam damom wtedy, gdy mam na to ochotę.

- Najwyraźniej czasem zawodzi pana wzrok.

- Nigdy pani nie słyszała, że piękno kryje się w oczach tego, kto patrzy?

- Tak mówią, ale to bez znaczenia. Jesteśmy z siostrą spóźnione. -
Dygnęła i chciała uciec, nie dostała jednak szansy.

Tyrell chwycił ją za ramiona.

- Dlaczego pani udaje, że się nie znamy? - spytał wyraźnie
zniecierpliwiony.

- Gdybyśmy zostali sobie przedstawieni, musiałabym to pamiętać.

- Czy to znaczy, że nie sposób mnie zapomnieć?

Lizzie wahała się, którą z nasuwających się ripost wybrać.

- Milczenie biorę za „tak” - stwierdził. - Choć widzę, że prowadzi pani
jakąś grę i usiłuje zmylić tropy.

Niewątpliwie znów z nią flirtował.

- Pan wyraźnie bierze mnie za kogo innego. Poza tym nie jestem lisem,
którego ściga się po lesie.

- Pozwolę sobie być innego zdania. A na grach znam się całkiem dobrze.

- To znaczy, że sam pan jest graczem - zareplikowała natychmiast.

- Tyle że nigdy nie grywam sam.

Serce biło jej jak szalone. Ten flirt postępował stanowczo zbyt szybko. Co
gorsza, właściwie jej się to podobało.

- Bardzo przepraszam, milordzie.

- Bez wątpienia zawarliśmy znajomość, miła pani. W lesie Sherwood.

Lizzie znalazła się w kropce.

- Niech pani nie próbuje zaprzeczyć.

A więc Tyrell wiedział, że ma przed sobą lady Marian, choć od
maskarady minęło już ponad półtora roku. Poznał ją bez przebrania! Lizzie
bardzo to schlebiało, choć nie chciała się do tego przyznać.

- Poznaliście się w lesie Sherwood? - zdziwił się Rory.

Lizzie nagle uświadomiła sobie, że nie jest sam na sam z Tyrellem. Co
więcej, stoją między kramami i sklepami na High Street.

- Spotkaliśmy się na maskaradzie - powiedział Tyrell. - Panna Fitzgerald była przebrana za lady Marian.

Lizzie otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, ale natychmiast zrezygnowała. Przecież Tyrell i tak by jej nie uwierzył.

- Aha, to wyjaśnia wszystko - stwierdził niezadowolony z czegoś Rory.

- Obawiam się, że wziął mnie pan za kogo innego.

- Obawiam się, panno Fitzgerald, że pani tylko udaje - szybko zripostował Tyrell. - Na pewno nie biorę pani za nikogo innego. Niemożliwe. Pozostaje więc jedno pytanie: po co pani to robi?

Lizzie przygryzła wargę, zapędzona w ślepy zaułek. Na szczęście w tej chwili przyszła jej z odsieczą Georgie.

- Milordzie, chyba jednak jest pan w błędzie.

Lizzie była na pańskim balu przebrana za wdowę. Widocznie pomylił ją pan z naszą siostrą Anną, bo to ona miała kostium lady Marian.

Lizzie chwyciła Georgie za rękę, pragnąc ją powstrzymać, choć ona i tak nie mogła zrozumieć, dlaczego opowiadanie o Annie w kostiumie lady Marian jest w tej sytuacji wysoce niewskazane. Tyrell nie zwrócił uwagi na słowa Georgie. Patrząc wyłącznie na Lizzie, oznajmił:

- Uznaję więc swoją porażkę. To pani jest zwycięzcą. Przepraszam, panno Fitzgerald. Szczerze przepraszam.

Lizzie wiedziała, że Tyrell z niej kpi. Doskonale pamiętał, w jakim kostiumie pojawiła się na balu, i nic nie mogło go przekonać, że się myli.

- Jest pan bardzo wielkoduszny - orzekła.

Tyrell przesłał jej groźne spojrzenie i odwrócił się do Rory'ego.

- Skąd znasz pannę Fitzgerald? - spytał.

- Ojciec Lizzie jest bratem mojej ciotki, Eleanor Fitzgerald de Barry - wyjaśnił. - Łączy nas powinowactwo, a poznaliśmy się ponad rok temu.

Tyrell skrzyżował ramiona na piersi.

- Kuzynka Rory'ego - powiedział zadumanym tonem. - Ciekawe.

Lizzie zawahała się. Nie wiedziała, dokąd zmierza Tyrell, ale jego ton zdecydowanie jej się nie podobał. Wymownie spojrzała na siostrę.

- Było nam bardzo miło, panowie - oświadczyła Georgie. - Niestety, jesteśmy spóźnione.

Rory zerknął na nią i skłonił głowę.

- Bardzo przepraszam, że panie zatrzymaliśmy. Cała przyjemność ze spotkania jest naturalnie po naszej stronie.

Tyrell jednak nie był jeszcze gotów do odwrotu. Spojrzał na Lizzie.

- Gdzie jest pani dom?

- Słucham? - Serce podeszło jej do gardła.

- Rory wspomniał, że jest pani stąd. Przebywa tu z pół tuzina Fitzgeraldów. Gdzie pani mieszka i kim jest jej ojciec? - spytał władcym tonem.

Próbowała wymyślić zręczną wymówkę, ale przeszkodził jej w tym Rory.

- Mieszkają w Raven Hall.

Lizzie przesłała błagalne spojrzenie Rory'emu i bardzo go tym zmieszała.

- Ach, w Raven Hall - wycedził Tyrell. - Czyli jest pani córką Geralda Fitzgeralda.

- Tak. - Nie mogła zaprzeczyć, chociaż Tyrell wiedział o niej za dużo. Wydawał się tym zresztą usatysfakcjonowany.

- Czy mogę złożyć pani wizytę? - spytał Rory, nieco zdezorientowany tym, co zaszło przed chwilą.

Lizzie była przerażona. Gorszy obrót sprawy trudno było sobie wyobrazić. Bardzo lubiła Rory'ego, ale nie mogła pozwolić na to, aby przyjechał do Raven Hall.

Na szczęście znów przyszła jej w sukurs Georgie.

- Obawiam się, że nasza mama niedomaga. Od kilku dni nie opuszcza swoich pokojów. To byłby bardzo nieodpowiedni moment na wizytę.

Rory się zmieszał, za to Tyrell wydawał się rozbawiony.

- Wpadniemy więc pod koniec tygodnia - powiedział i wykonał ukłon. -

Do widzenia.

Rory również się skłonił i obaj nie odwracając się już, odeszli.

Lizzie spojrzała na Georgie z niedowierzaniem.

- Zamierza złożyć nam wizytę?

Georgie nie odpowiedziała od razu. Patrzyła w ślad za oddalającymi się mężczyznami.

- Tak, zamierza, i jeśli przeczucie mnie nie myli, nie ma sposobu, żeby mu w tym przeszkodzić - stwierdziła ponurym tonem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szokująca propozycja

Lizzie wbiegła do domu, zamierzając jak najszybciej schronić się w swoim pokoju. Chciała dokładnie przemyśleć ostatnie wydarzenia, a poza tym znaleźć sposób, który uniemożliwiłby Tyrellowi złożenie wizyty w Raven Hall. Jednak gdy przechodziła koło salonu, zatrzymało ją wołanie:

- Lizzie, gdzie byłaś?

Nie spodziewała się, że matka wychyli nos ze swoich pokojów. Skreśliła do salonu, gdzie oprócz mamy zastała ciotkę Eleonor, trzymającą w ręku książkę.

- Jak się czujesz, mamó? - spytała ostrożnie.

Pani Fitzgerald wzruszyła ramionami. Wydawała się zdrowa, chociaż nadal była przygnębiona. Miała na sobie piękną brązową suknię w ciemniejsze paski i topazowy naszyjnik.

- Bywało lepiej, ale czas wrócić do towarzystwa - stwierdziła. - Gdzie byłaś?

- Z Georgie na spacerze po mieście.

Pani Fitzgerald z uwagą przyjrzała się córce.

- Spotkałyście kogoś? - spytała.

Lizzie wiedziała, że chodzi o damy, z których opinią matka się liczy.

- Nie.

- Co się stało, kiedy były tu lady O'Dell i lady Marriott? Zaraz. Nie musisz mówić, sama wiem.

Lizzie podeszła do matki i ujęła jej rękę.

- Bardzo przepraszam, że sprawiłam ci tyle smutku i zgryzoty. Nie chciałam, żeby tak się stało, ale kocham Neda i sądziłam, że również ty go pokochasz. Mogę wyjechać z Raven Hall, jeśli sobie tego życzysz. - Po spotkaniu z Tyrellem uznała, że w gruncie rzeczy to byłoby najlepsze wyjście. - Nie chcę, żebyście z papą i Georgie cierpieli z mojego powodu.

- Zawsze byłaś dobrą i kochaną dziewczynką - powiedziała pani Fitzgerald. - Nie było w tobie cienia egoizmu. Nigdzie nie pojedziesz, moja droga. Twój dom jest tutaj. Papa i ja potrzebujemy trochę czasu, żeby dojść do siebie po wstrząsie, jaki przeżyliśmy, to wszystko.

Lizzie uklękła i położyła rodzicielce głowę na kolanach. Pani Fitzgerald pogłaskała ją, szepcząc:

- Tyle wycierpiałas beze mnie. Gdybyśmy tylko wiedzieli!

- Nic mi nie jest - zapewniła Lizzie. Bardzo jej ulżyło, bała się bowiem, że matka nigdy jej nie wybaczy zhańbienia rodzowego nazwiska.

Pani Fitzgerald podniosła córkę z klęczek.

- Idę teraz na spacer po ogrodzie. Nasiedziałam się w domu dosyć. Wiesz, mam wielką ochotę na jedno z twoich słynnych ciast.

Po wyjściu matki Lizzie starannie zamknęła drzwi salonu i zwróciła się do ciotki.

- Stało się coś strasznego - powiedziała ponuro. Eleanor w milczeniu uniosła brwi.

- Spotkałyśmy w Limerick Tyrella de WARENNE z RORYM.

- Rory jest tutaj? - zdumiała się Eleanor. - Czy widział cię z NEDEM?

- Ależ ciociu! Jeśli on usłyszy, że przyznaję się do Neda, w okamgnieniu odkryje kłamstwo. Muszę porozmawiać z nim w cztery oczy i zobowiązać go do zachowania tajemnicy.

Eleanor wstała.

- Rory przyjaźni się z Tyrellem de Warenne i jego braćmi od kilku lat, ale w Adare był tylko raz czy dwa. Nie sądziłam, że możecie się tutaj spotkać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jest przyjacielem Tyrella?

- Nie wydawało mi się to ważne. - Eleanor z uwagą przyjrzała się bratanicy. - Co jeszcze stało się w mieście? Czy słusznie przypuszczam, że wreszcie poznałaś Tyrella? Rory na pewno cię przedstawił.

Lizzie odwróciła się, żeby ciotka nie patrzyła jej w twarz.

- Tyrella spotkałam już wcześniej, podczas maskarady w wigilię Wszystkich Świętych. - Nagle zrozumiała, że w zaistniałej sytuacji rada ciotki jest jej naprawdę potrzebna, dlatego musi zdobyć się na szczerość. - Ciociu, on się do mnie zalecał.

Eleanor szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Wyznaczył mi schadzkę, ale nie poszłam - powiedziała z trudem. - Anna poprosiła mnie, żebyśmy zamieniły się na kostiumy, bo ktoś jej zalał suknię. W rezultacie pojechałam do domu, a Anna została. I teraz jest Ned.

- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że mężczyzna, w którym całe życie się kochasz, którego dzieckiem teraz się zajmujesz, czynił ci propozycje?

Lizzie przypomniała sobie gorące spojrzenia, jakimi obrzucał ją Tyrell.

- Tak.

- A twoja siostra właśnie tamtego wieczoru zaszła w ciążę?

Lizzie skinęła głową.

- I dzisiaj Tyrell de Warenne cię poznał?

- Nie dość, że poznał, to jeszcze dziwnie się zachowywał. Był na mnie zły. - Spojrzała bezradnie na ciotkę. - Dlaczego? I dlaczego mówi, że jestem piękna?

Eleanor znieruchomiała.

- Trzeba mu powiedzieć - oświadczyła po chwili, ściskając Lizzie za ramię. - Zrezygnujesz ze swoich roszczeń do Neda, a on musi się dowiedzieć, że chłopiec jest jego synem.

- Nie! - Lizzie wyszarpnęła ramię z uścisku. - Co dobrego z tego wyniknie? Zabierze mi Neda! - Słowa ciotki zabrzmiały w jej uszach jak dowód zdrady.

- Może nie zabierze. Może postąpi jak należy. Lizzie jej nie usłyszała.

- Przecież dałaś słowo! Obie dałyśmy Annie słowo, że nie wyjawimy prawdy. Obiecuj mi, ciociu, że nie będziesz próbować rozmawiać o tym z Tyrellem.

Eleanor wpatrywała się w nią w milczeniu.

- Ciociu!

- Obiecuję - przyrzekła z ociąganiem Eleanor. - Moim zdaniem, sprawy gładko się nie potoczą. Ta gra pozorów całkiem wymknęła się spod kontroli.

Niestety, Lizzie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że ciotka ma rację.

Następnego popołudnia Lizzie z Georgie siedziały na podłodze sypialni, pilnując Neda, który bawił się żołnierzykami. Georgie zbudowała fort.

- Możesz włożyć żołnierzyka do środka - zachęciła chłopca. - Do środka.

Ned rozpromienił się i cisnął żołnierzykiem w fort.

- Nie tak - powiedziała Georgie, poprawiając zwaloną ścianę. - Do środka. Żołnierz może spać w środku.

- Dżiii - oznajmił z dumą Ned. - Dżiii.

Lizzie uśmiechnęła się odruchowo, choć wciąż trudno jej było pozbyć się lęku po spotkaniu, do którego doszło w mieście ubiegłego popołudnia. Dający się słyszeć odgłos nadjeżdżającego powozu nie pomógł jej uwolnić się od niepokoju.

- Nie mam ochoty nikogo przyjmować - odezwała się Georgie, włączając się w tok myśli Lizzie.

- Dobrze się składa, bo ja też nie.

- Bardzo jesteś smutna, chcesz o tym pogadać? Lizzie bez słowa podeszła do okna.

- A może chcesz o nim porozmawiać?

Przez uchylone okno do pokoju dostawało się rześkie powietrze.

- Nie wiem, co mam robić - szepnęła Lizzie.

- On jest tobą zainteresowany, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- To niemożliwe! - Lizzie gwałtownie się odwróciła.

- Dlaczego zaprzeczasz? Przecież dał ci dziecko, prawda? Najwyraźniej jego zainteresowanie nie osłabło.

Lizzie bezradnie pokręciła głową. Kochała Tyrella de WARENNE, lecz jednocześnie bała się go jak nikogo na tym świecie.

- Skąd przyszło ci do głowy, że on się mną interesuje?

- Chce złożyć nam wizytę. Oczu od ciebie oderwać nie może, a gdy na ciebie patrzy, robi to z nieukrywanym pożądanym. Poza tym był na ciebie zły, a to też jest oznaka zainteresowania. Czy obraziłaś go w jakiś sposób?

- Nie widziałam go od dnia balu, czyli półtora roku!

- Może on wie, że urodziłaś jego dziecko - podsunęła Georgie.

Lizzie natychmiast odwróciła się do okna.

- Nie.

Nie była pewna, czy może wyjawić Georgie prawdę. Potrzebowała powiernicy, ale obiecała Annie, że dochowa sekretu. Siostra wiodła szczęśliwe życie i z jej ostatniego listu wynikało, że rodzina zapewne się powiększy. Od tych rozmyślań oderwał ją widok wysiadającej z powozu osoby.

- Georgie, znowu ta ropucha! Chciałam powiedzieć: twój narzeczony. Bez wątplenia doszły go słuchy o niefortunnym zdarzeniu.

Georgie skinęła głową, a na jej policzkach wykwitły dwie czerwone plamy.

- Na pewno chce zerwać zaręczyny - powiedziała beznamiętnie.

- Mam nadzieję! - Lizzie podbiegła do siostry i uściskała ją z radości, że wreszcie odzyska wolność.

- A ja tak starałam się być dzielna - szepnęła Georgie. - Przynajmniej jedna korzyść z twojego nieszczęścia, bo prawdę mówiąc, wolę zostać starą panną, niż poślubić pana Harolda.

- Wiem. Idź i nie zapomnij uronić łezki, kiedy z tobą zerwie.

- Naturalnie. Jestem bardzo zasmucona tym, co nadchodzi - odparła Georgie i dodała: - Och, dzięki Bogu! - Z tymi słowami wybiegła z pokoju.

Lizzie uznała, że zmęczony Ned, który tymczasem zaczął się bawić pajakiem znalezionym na podłodze, powinien się zdrzemnąć. Włożyła go więc do łóżeczka i przykryła kocykiem. Pięknie się do niej uśmiechnął, poruszył czarnymi długimi rzęsami, które odziedziczył po ojcu, i zasnął.

Chcąc odpędzić myśli o Tyrellu, Lizzie wróciła do okna, aby obejrzeć odwrót pana Harolda. Minał kwadrans i nic się nie działo. Wydało jej się to dziwne, bo zerwanie zaręczyn nie powinno zająć dużo czasu, zwłaszcza że nie było w domu matki, która przedłużałaby wizytę. Lizzie nie doczekała się widoku pana Harolda, zobaczyła natomiast zbliżających się dwóch jeźdźców. Jeden dosiadał wielkiego, karego ogiera, drugi mniejszego kasztana ze strzałką na czole.

Nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, kto postanowił ich odwiedzić. Najwyraźniej zainteresowanie Tyrella de Warenne jej osobą nie zmalało. W innej sytuacji dałaby wiele za taką wizytę, ale przecież nie wtedy, gdy na górze drzemał Ned.

Do pokoju wbiegła zaaferowana Georgie.

- On tu jest! Przyjechał z tym bufonem, więc lepiej zejść na dół.

- Nie mogę - odparła, zdziwiona tak niepochlebną opinią Georgie o Rorym. - Musisz mu przekazać, że jestem niedysponowana.

- Nie licz na mnie - odparła Georgie. - Sama możesz mu to powiedzieć, jeśli zamierzasz pałać takie głupstwo. Czy nie tego chciałaś przez całe życie?

- Ale teraz jest Ned! - wykrzyknęła Lizzie.

- Jest Ned i właśnie nadarza się wyjątkowa okazja. Przecież nie wskakujesz mu do łóżka. Zejdź, sprawdź, czego chce - gorąco przekonywała siostrę Georgie.

Lizzie dała się uprosić.

Tyrell stał oparty plecami o drzwi, zapatrzone w ogród za oknem. Rory nerwowo chodził po pokoju, co było do niego niepodobne, natomiast pan Harold siedział na krześle, eksponując wylewający mu się ze spodni brzuch. Lizzie, która zdążyła o nim zapomnieć, nieco zmieszana się jego obecnością. Zerknęła zaniepokojona na Georgie, która przesłała jej spojrzenie pełne rezygnacji. Niewątpliwie oznaczało to, że pan Harold postanowił nie zrywać zaręczyn.

- Lizzie - ciepło powitał ją Rory i skłonił głowę. - Przykro mi, ale nie mogliśmy czekać do końca tygodnia. Postanowiliśmy zaryzykować z nadzieją, że niedyspozycja pani matki nie stanie na przeszkodzie odwiedzinom. - Przeniósł spojrzenie na Georgie, która tkwiła sztywno wyprostowana obok siostry.

Lizzie dygnęła i natychmiast skierowała wzrok na Tyrella. Ten odwrócił się ku niej i zanim wykonał elegancki ukłon, dostrzegła, że patrzy na nią z zachwytem. Georgie miała rację, uznała. Wciąż jest mną zainteresowany, pomyślała. Niewiarygodne, ale w tym momencie zapomniała o Nedzie.

Peter Harold uniósł się z fotela.

- Nie rozumiem, dlaczego pan i jego lordowska mość nie mieliby wstępu do Raven Hall - powiedział.

Lizzie uświadomiła sobie, że Rory przygląda się jej siostrze. Georgie miała intensywny rumieniec na policzkach. Harold poklepał ją po dłoni.

- Dlaczego? - powtórzył.

- Mama ostatnio niedomagała - sztywno odparła Georgie. - Naturalnie nikomu nie zabraniamy odwiedzin w Raven Hall.

- Naturalnie - przyznał pan Harold, aby nieco złagodzić napięcie.

- Składam państwu serdeczne życzenia - odezwał się Rory, krzyżując spojrzenia z Georgie. - Kiedy przypada szczęśliwa data?

- Jeszcze nie ustaliliśmy - odparła Georgie.

- Niewątpliwie wkrótce - rozpromienił się Peter Harold. - Zmęczyłem się czekaniem na nową panią domu.

Georgie jakoś zdołała uwolnić się od narzeczonego. Harold podszedł tymczasem do Rory'ego.

- Czyż nie jestem szczęśliwym człowiekiem? Będę miał taką matkę dla moich synów!

Rory skłonił głowę.

- Szczęściarz z pana wyjątkowy. Jeszcze raz składam serdeczne gratulacje.

Lizzie czuła na sobie wzrok Tyrella, przyglądał jej się jak kot myszy. Jeszcze się nie odezwał, ale Lizzie i tak odniosła wrażenie, że w pokoju panuje nieznośne napięcie.

- Jak się miewa pani matka? - spytał Rory.

- Lepiej - zdołała wybąkać Lizzie. Zbliżył się do nich Tyrell.

- W Adare mamy dobrego lekarza. Przyślę go, aby zajął się panią Fitzgerald.

- Nie jest to potrzebne - zaczęła Lizzie.

- Chodźmy pospacerować po ogrodzie - przerwał jej Tyrell i prawdę mówiąc, nie zabrzmiało to jak prośba. Zanim Lizzie zdążyła zareagować, Tyrell

stanowczo położył jej dłoń na swym ramieniu. - Nie ma nic lepszego od przechadzki w irlandzkiej mgle - dodał ciszej.

Bliskość Tyrella pozbawiła Lizzie możliwości oporu. Potulnie skinęła głową i pozwoliła wyprowadzić się z pokoju. Poszli w kierunku rozciągającego się za domem ogrodu. Na dworze panował chłód, ale mimo że Lizzie miała na sobie jedynie bawełnianą sukienkę z krótkim rękawem, było jej gorąco. Zdradliwa wyobraźnia natychmiast podsunęła jej wizję namiętnego pocałunku.

Tyrell nagle przystanął. Lizzie, wyrwana ze snu na jawie, przestraszyła się, że jego występna treść zostanie odgadnięta. Tymczasem Tyrell przeszył ją spojrzeniem niemal na wylot.

- Czego pan szuka, milordzie? - odważyła się spytać.

- Pani dobrze to wie.

Jednym ruchem zamknął ją w ramionach, natychmiast odnalazł jej usta i zaczął ją gwałtownie całować. Lizzie ochoczo poddała się jego woli. Nie wyobrażała sobie nawet, jaka potęga tkwi w tej intymnej pieśczoce. Chwilę potem marzyła o tym, żeby na pocałunkach się nie skończyło.

- Proszę - szepnęła.

Ujął jej twarz w dłonie i ponowił pocałunek.

- Czekalem na to prawie dwa lata - szepnął.

Lizzie właściwie tego nie usłyszała. Była w tej chwili całkiem w innym świecie.

- Chodźmy do altanki - szepnęła.

Gdy uświadomiła sobie, co powiedziała, powróciła zdolność racjonalnego myślenia. Oto wymienia intymne pieśczozy z Tyrellem w miejscu, gdzie każdy ich może zobaczyć. A w domu czeka na nią Ned...

- Uczynię panią moją kochanką - oznajmił Tyrell. - Nie zabraknie pani niczego. Jeśli chce pani bogactwa, będzie je miała. Spełnię każde pani życzenie, Elizabeth.

Dopiero po chwili w pełni dotarło do niej znaczenie tych słów. Nie była pewna, czy padły naprawdę. Miała nadzieję, że to jednak zły sen. Ona kochanką Tyrella?!

Dotknął jej warg opuszką palca.

- Wiedziałem, że tak będzie - powiedział.

W tym momencie dał się słyszeć cichy płacz dziecka. Ned! Tyrell zaproponował, aby została jego kochanką. Jej ciało i serce przyjmowały tę propozycję bez zastrzeżeń, ale musiała pamiętać o Nedzie. Tyrell mógł przecież bez trudu się domyślić, że to jego dziecko. Georgie wystarczyło do tego jedno spojrzenie. To przeważało szalę.

- Obawiam się, że pan źle rozumiał sytuację, milordzie.

- Źle rozumiałem?

- Nie mogę przyjąć pańskiej oferty. Spojrzał na nią zdziwiony.

- Z pewnością rozumiałem całkiem właściwie.

- Nie mogę zostać pańską kochanką.

- Dlaczego nie, u diabła? - Widać było, że jest zły. - Wiem, że nie jest pani bez skazy. Przeprowadziłem mały wywiad.

- Wywiad? - powtórzyła przerażona.

- Owszem. - Pochylił się nad nią. - Jako niezamężna matka, która okryła się hańbą, nie ma pani nic do stracenia. A ja obiecałem spełnić każde pani życzenie. Pani synowi nie będzie niczego brakować! Wystarczy, że zgodzi się pani ogrzewać moje łóżko.

Wyobraziła sobie dzień, w którym Tyrell odgaduje, że jest ojcem Neda. Zmęczony nią, świadom, że nie ona jest matką chłopca, odsunie ją na bok lub po prostu odprawi, a syna pozostawi w Adare. Energicznie pokręciła głową.

- Nie mogę.

- A cóż to za gra? - spytał zdziwiony. - Najpierw prowokuje mnie pani na maskaradzie, a potem podsyła jakąś ładacznice. Teraz odmawia pani przyjęcia majątku, chociaż pragnie mnie nie mniej niż ja jej.

- To nie jest gra - oświadczyła Lizzie.

Pochylił się nad nią tak, że ich twarze znalazły się tuż obok siebie.

- Proszę uważać. Mogę zmienić zdanie i wtedy zostanie pani z niczym.

Przez chwilę Lizzie zdawało się, że Tyrell grozi jej odebraniem Neda.

Jeszcze raz pokręciła głową.

- Będę w Adare jeszcze przez tydzień, potem muszę wrócić do Dublina.

Oczekuję, że zawrzemy umowę przed moim wyjazdem. W istocie chciałbym, aby pojechała pani ze mną do Dublina.

Lizzie całkiem straciła kontenans.

- Tymczasem żegnam - dodał z ukłonem.

Los znów podsunął Lizzie szansę i musiała dokonać wyboru. Propozycja, choć gorsząca, wydawała jej się ze wszech miar godna przyjęcia, ale przecież nie wolno jej było ryzykować utraty Neda. To zaś znaczyło, że w rzeczywistości wcale nie miała wyboru. Włokąc się niemiłosiernie, Lizzie ruszyła ku domowi. Tymczasem w sypialni na górze poruszyły się zasłony. To Eleanor obserwowała, jak Tyrell odchodzi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Scylla i Charybda

Cała rodzina zeszła się w jadalni na kolację. W pewnym momencie Eleanor podniosła się ze swojego miejsca. Trzymała w palcach kieliszek wina, w który postukała łyżeczką.

- Mam coś do powiedzenia - oznajmiła.

Lizzie, głęboko nieszczęśliwa, była w stanie myśleć teraz jedynie o propozycji Tyrella. Zdawało jej się, że go zna, tymczasem w ogóle nie dotarło do niej, jak potrafi być apodyktyczny. Dlaczego właśnie ją chciał uczynić swoją kochanką? Dlaczego nie wybrał kobiety pięknej, budzącej pożądanie i doświadczonej? Bez szczególnego zainteresowania zerknęła na ciotkę, nie mając pojęcia, co chce powiedzieć.

- Muszę wracać na Merrion Square, czekają na mnie sprawy niecierpiące zwłoki - zaczęła Eleanor.

Nagle Lizzie uświadomiła sobie, jak bardzo przywiązała się do ciotki i jak dalece polegała na jej radach przez ostatnie półtora roku. Naturalnie jednak ciotka miała własne życie i nie mogła bez końca poświęcać jej czasu.

Eleanor spojrzała na Lizzie i powiedziała poważnym tonem:

- Przykro mi, Elizabeth, ale sytuacja całkowicie wyniknęła się spod kontroli.

Lizzie zdrętwiała. Co ciotka zamierza?

- Może któregoś dnia podziękujesz mi za tę śmiałość, może nie. Muszę jednak postąpić tak, jak uważam za stosowne, jak, moim zdaniem, będzie najlepiej dla Neda, dla jego ojca, a nawet, żywią taką nadzieję, dla ciebie.

Lizzie zerwała się od stołu, przerażona.

- Ciociu, proszę, nie!

- Przepraszam cię, dziecko, muszę jednak posłuchać głosu sumienia. -
Zwróciła się do brata i bratowej: - Ojcem Neda jest Tyrell de Warenne.

Pani Fitzgerald głośno nabrała tchu, pan Fitzgerald zbladł.

- Jak mogłaś tak mnie zdradzić? - spytała wstrząśnięta Lizzie. - Przecież obiecałaś!

Eleanor wydawała się szczerze zasmucona.

- Obiecałam, że nie wyjawię Tyrellowi, że ma synka, i dotzymałam słowa. Sama jednak wiesz, moja droga, że prawda i tak prędzej czy później wyszłaby na jaw.

- Wcale nie! Nigdy nie wybaczę ci zdrady! - wykrzyknęła Lizzie, rozgniewana.

Georgie dotknęła ramienia siostry.

- Ja też myślę, że tak będzie lepiej - szepnęła.

- I ty przeciwko mnie? Jak możesz?! Pani Fitzgerald poderwała się z miejsca.

- Czy to jakiś okrutny żart?

- Nie, Lidio. To nie żart - zapewniła ją Eleanor.

Zdumiona pani Fitzgerald przeniosła na córkę pytające spojrzenie.

- Nie możesz powiedzieć tego Tyrellowi, mamó. Czy nie rozumiesz? Jeśli on się dowie, że Ned jest jego synem, natychmiast go zabierze do siebie.

Przerażenie Lizzie rosło. Musiała przekonać rodziców, aby zachowali milczenie. Zdawała sobie sprawę, że w konfrontacji z Tyrellem nie pozostanie jej nic innego, jak wyjawić, że nie jest matką Neda.

Tymczasem na twarzy pani Fitzgerald odmalowało się podniecenie.

- Wielkie nieba! Dajesz wiarę? - zwróciła się do męża. - Tyrell de Warenne ojcem dziecka Lizzie?

Pan Fitzgerald wydawał się całkowicie oszołomiony.

- Oprzytomnij, proszę! - krzyknęła jego żona. - Hrabstwo przebywają teraz w rezydencji. Słyszałam, że przybył tam dzisiaj lord Harrington z córką i

że na balu w końcu tygodnia mają zostać ogłoszone zaręczyny. Musimy natychmiast jechać i odbyć rozmowę. Może nawet jeszcze dziś wieczorem.

Lizzie skuliła się na krześle. Czy starczy jej odwagi, żeby trwać przy swojej wersji? Czy będzie umiała spojrzeć Tyrellowi w twarz i ją powtórzyć? Czyż Anna nie zasługiwała na trochę szczęścia w życiu? A Nedowi można by wyjawiać prawdę, kiedy dorośnie.

- Nie - sprzeciwił się pan Fitzgerald. - Do Adare pojedziemy jutro. Hrabia na pewno mnie przyjmie, a jego syn wynagrodzi krzywdę wyrządzoną naszej córce.

Sytuacja pogarszała się z każdą minutą. Lizzie poderwała się z krzesła.

- Chyba nie masz na myśli...?

- Mam na myśli małżeństwo! - stwierdził ostro pan Fitzgerald. - Postarał się o dziecko, to teraz się z tobą ożeni!

Lizzie bezsilnie kręciła głową. Sama myśl o jeździe z rodzicami do Adare w roli matki dziecka Tyrella budziła w niej zgrozę. Musiała zatrzymać bieg wydarzeń.

- On nigdy nie zniży się do małżeństwa ze mną. Mówiliście, że ma poślubić angielską dziedziczkę. To bez sensu wysuwać roszczenia wobec Tyrella. Przecież nie przyzna się do ojcostwa - usiłowała przekonać rodziców. - Jestem pewna, że się wyprze dziecka.

- Pochodzisz od celtyckich królów! - wykrzyknął wzburzony pan Fitzgerald i potrząsnął pięścią. - Twój przodek, Gerald Fitzgerald, był hrabią Desmond i rządził całą południową Irlandią!

- I z tego powodu został skrócony o głowę - mruknęła Georgie tak, żeby tylko Lizzie mogła ją usłyszeć.

- Masz więcej błękitnej krwi w żyłach niż którykolwiek de WARENNE! - kontynuował podniesionym głosem pan Fitzgerald, coraz bardziej czerwony na twarzy. - Oni nawet nie są Irlandczykami. Wnosisz do rodu de WARENNE'ów królewską krew!

Lizzie nigdy nie widziała ojca w takim stanie. Najwidoczniej wierzył w swoje słowa. Czyżby odjęło mu rozum?

- On nigdy się ze mną nie ożeni - powtórzyła zrozpaczona. - Papo, musisz mnie posłuchać! Jestem pewna, że Tyrell nie uzna Neda za swojego syna. Nie ma sensu wywierać na niego nacisku. Możemy sami wychować chłopca. Proszę, nie zwracajcie się do de Wardenne'ów.

- Nie może wyprzeć się własnego syna! Nie pozwolę na to! Jeśli nazywam się Fitzgerald, to on się z tobą ożeni, Lizzie - zaperzył się ojciec.

Georgie wsunęła się do sypialni. Lizzie leżała na łóżku, obejmując śpiącego Neda, a po twarzy płynęły jej łzy. Była zrozpaczona; bała się o przyszłość chłopca i obawiała się Tyrella. Na razie jej pragnął, ale nie sposób było przewidzieć jego reakcji, gdy ona stanie przed nim, twierdząc, że jest matką jego dziecka.

Georgie usiadła w nogach łóżka.

- Możemy porozmawiać? - spytała.

Lizzie przestała chlipać. Ciotka ją zawiodła, a ona potrzebowała powiernicy.

- Tak.

- Eleanor cię podziwia - powiedziała Georgie i pogłaskała siostrę po głowie. - Postąpiła tak, jak jej zdaniem było uczciwie.

Lizzie usiadła, uważając, by nie zbudzić chłopca.

- Obiecała dochować tajemnicy. Nie mów już o niej ani teraz, ani kiedykolwiek! Poza tym musisz wiedzieć, że Tyrell nie przyzna się do ojcostwa Neda.

- Dlaczego jesteś tego taka pewna? Przecież nie jest głupi, a wystarczy spojrzeć na chłopca, żeby zauważyć uderzające podobieństwo.

- On nigdy nie uwierzy, że urodziłam jego dziecko!

- Nie pojmuję dlaczego. A może się z tobą ożeni? Tak bardzo mu się podobasz.

Lizzie zerknęła na siostrę. Musiała jej wyznać prawdę, bo poza nią nie miała do kogo się zwrócić.

- On nie chce się ze mną ożenić. Zaproponował mi dzisiaj, abym została jego kochanką.

Georgie syknęła z wrażenia.

- Jak więc widzisz, zamierza się ożenić wedle oczekiwań rodziny.

- Co za drań! - wykrzyknęła Georgie. - Płodzi dziecko, zostawia cię na prawie dwa lata, a potem ma czelność składać ci takie propozycje, planując jednocześnie małżeństwo z piękną lady Blanche!

Gniew Georgie wydawał się Lizzie przesadny, dopóki nie uprzytomniła sobie, że siostra ma swoje problemy.

- Przepraszam cię bardzo. Co się stało z panem Haroldem?

Georgie starała się zachować spokój, ale w oczach zakręciły jej się łzy.

- Kocha mnie, mimo wyjątkowo niefortunnych rodzinnych perturbacji - odparła z goryczą. - Nigdy nie porzuciłby mnie z powodu win moich krewnych. Chyba umrę w naszą noc poślubną - dodała i spłonęła rumieńcem. - Ależ ten twój przyjaciel pan McBane cieszył się, widząc, jak pan Harold mnie dotyka!

- Wątpię, by Rory mógł czerpać radość z trudnego położenia jakiegokolwiek kobiety.

- Grubo się mylisz! Przypatrywał mi się wyjątkowo niegrzecznie, kiedy pan Harold głaskał mnie po ramieniu. Dlaczego tolerujesz znajomość z takim dandysem?

- Rory zawsze był dla mnie życzliwy - stwierdziła zdumiona Lizzie. - Ma też poczucie humoru i jest bystry. Pisuje do „Dublin Times” i zamieszcza zabawne rysunki. Nie rozumiem, dlaczego nazywasz go dandysem. Spojrzałaś na łokcie jego surduta? Są wyraźnie przetarte.

- Czyli jest kiepską imitacją eleganta i wcale nie wydaje się taki bystry.

Lizzie westchnęła, znów wróciła bowiem do niej myśl o czekającym ją nazajutrz przesłuchaniu w Adare.

- Co cię dręczy? - spytała Georgie. - Widzę, że nie powiedziałaś mi wszystkiego.

- Masz rację - przyznała po namyśle Lizzie. - Nie byłam z tobą całkiem szczerą, ale dałam słowo i nie chcę go złamać.

- Jeśli dane słowo stawia cię w kompromitującej sytuacji, to może powinnaś się zastanowić nad sensem dotrzymania obietnicy.

- Obiecałam bliskiej osobie, że będę milczeć w pewnej sprawie. To jednak przyniosło konsekwencje, których nie umiałam przewidzieć. Co gorsza, ten sekret i tak w końcu wyjdzie na jaw.

- Domyślałam się, że tą bliską osobą jest Anna. - Georgie miała coraz bardziej zdumioną minę. - Co mogłaś jej obiecać? Anna ma wszystko, o czym marzyła. Czy ujawnienie sekretu wyrządziłby jej równie wielką krzywdę, jak zachowanie go wyrządza tobie?

- Tylko w wypadku gdyby uczyniono to publicznie - odparła ostrożnie Lizzie.

- Jeśli musisz go wyjawić, aby zapytać mnie o radę, mogę ci obiecać, że dochowam tajemnicy.

Lizzie nie była w stanie dłużej sama dźwigać tego ciężaru.

- To Anna jest matką Neda - powiedziała.

- Co takiego?! - Georgie nie posiadała się ze zdumienia.

Lizzie skinęła głową.

- Nigdy nie byłam w łóżu Tyrella i on o tym świetnie wie. Kiedy rodzice pojedą do Adare, twierdząc, że jestem matką jego dziecka, Tyrell bez wątpienia zdemaskuje moje kłamstwo. Co gorsza, Rory widział mnie kilkakrotnie w czasie, kiedy rzekomo byłam przy nadziei. Jeśli więc dowie się, że mam syna, będzie wiedział, że nie jest mój. Krótko mówiąc, moja historia szybko traci wiarygodność.

- Anna jest wyjątkową egoistką! - oburzyła się Georgie. - Wiem, że nie mam prawa jej oceniać. Ile musisz wycierpieć, aby ona mogła być szczęśliwa z Thomasem. To nie jest uczciwe. Zawsze miała wszystko, czego zapragnęła. Wystarczyło, żeby się uśmiechnęła, i już kawalerowie gnali do niej na wyścigi.

- Kocham Neda jak swojego syna, Georgie. Pomysł, aby uznać się za jego matkę, wyszedł ode mnie. Eleanor próbowała mnie przekonać, żebym tego nie robiła, ale pokochałam Neda od pierwszego wejrzenia.

- Anna doskonale wiedziała, co czujesz do Tyrella, a jednak pozwoliła mi na takie intymności. - Georgie była zgorzozona.

Dla Lizzie świadomość tego pozostała bolesna.

- Moralność nigdy nie należała do jej mocnych stron - złościła się Georgie. - I mamy tutaj dowód!

- Nie oskarżaj Anny. Ona naprawdę żałuje swojego postępu. Poza tym to zdarzyło się tylko raz, podczas maskarady, kiedy zamieniłyśmy się na kostiumy.

- Lizzie nie zamierzała ujawnić przed siostrą, że Anna wcześniej miała kochanków.

- Ludzie mówili o niej, że jest płocha, czyż nie? Przez lata jej broniłyśmy, kiedy twierdzono, że za dużo flirtuje i jest nieodpowiedzialna. Może nie należało aż tak się zapierać?

- Anna jest naszą siostrą. Sprawiała mi wiele bólu, ale musimy być wobec niej lojalne.

- Jesteś zbyt wyrozumiała. Mnie nie byłoby chyba stać na tyle dobroci.

- Co teraz czynić? - spytała Lizzie, zrozpaczona perspektywą nieuchronnego upokorzenia. - Nie uda się powstrzymać rodziców przed złożeniem wizyty w Adare, a ja nie mogę zniszczyć życia Annie.

- Trudna sprawa, rzeczywiście - przyznała Georgie. - Powinniśmy chronić Annę i nie jesteśmy w stanie wybić z głowy rodzicom ich pomysłu. - Spojrzała współczująco na Lizzie. - Biedaczko, Tyrell uzna cię za kłamczuchę najgorszego gatunku.

- I tak myśli o mnie nie najlepiej.

- To niesprawiedliwe! - wykrzyknęła Georgie. - Jesteś stanowczo za dobra, może któregoś dnia Tyrell to zrozumie.

Lizzie bardzo w to wątpiła.

Przez całą noc Lizzie nie zmrużyła oka. Teraz siedziała z rodzicami w eleganckim salonie i czekała, aż nadejdą hrabiostwo Adare. Rose trzymała Neda na kolanach.

Hrabia Adare, szczodry, dobry i honorowy, był bardzo lubiany w całej okolicy. Wprawdzie pan Fitzgerald nie obracał się w tych samych kręgach, co pan hrabia, lecz pani Fitzgerald utrzymywała, że jej mąż jest bardzo dalekim krewnym pasierbów hrabiego, Devlina i Seana. Podobno wszyscy trzej wywodzili się od Geralda Fitzgeralda, osławionego hrabiego Desmond, po którym pan Fitzgerald odziedziczył imię. To dość wątpliwe pokrewieństwo stanowiło jeszcze jeden argument każący Lizzie wyzbyć się nadziei, że nie zostaną przyjęci.

I rzeczywiście, wkrótce usłyszeli lekkie kobiece kroki. Służba otworzyła masywne dębowe drzwi i na progu stanęła hrabina.

Lizzie serce podeszło do gardła. Wstała i dygnęła, podobnie jak pani Fitzgerald, natomiast pan Fitzgerald wykonał głęboki ukłon. Po wejściu do salonu hrabina zatrzymała się z uprzejmym uśmiechem na twarzy. Miała ciemnoblond włosy, bardzo jasną karnację, a naszyjnik, kolczyki i bransoletka z topazów doskonale harmonizowały z kolorem jej oczu.

Pan Fitzgerald odchrząknął i Lizzie zorientowała się, że nie czuje się zbyt pewnie.

- Milady - powiedział - miałem nadzieję zamienić kilka słów z panem hrabią.

Hrabina nieznacznie skłoniła głowę, kątem oka obserwując Rose i Neda.

- Jak zdrowie, mój drogi panie Fitzgerald? To miło, że postanowił pan złożyć nam wizytę. Z przyjemnością pomogę w pańskiej sprawie, natomiast pan hrabia jest bardzo zajęty. Zapewne słyszał pan o gościach, których właśnie podejmujemy.

- Naturalnie - potwierdził sztywno pan Fitzgerald. - Obawiam się jednak, milady, że musimy pilnie porozmawiać z panem hrabią. Niestety, nie przyszliśmy z wizytą towarzyską. Stała się wielka krzywda i tylko pani rodzina może pomóc ją naprawić.

Hrabina nie wydawała się zdziwiona. Być może uznała, że pan Fitzgerald, podobnie jak jego osławiony przodek, lubi przesadzać, a może spokój ducha miała w naturze. W każdym razie na Lizzie jej królewskie dostojeństwo wywarło niemałe wrażenie.

- Krzywda? Nie potrafię odgadnąć, o czym pan mówi. Jest mi bardzo przykro, ale nie możemy przeszkodzić panu hrabiemu. Może zechce pan przyjść kiedy indziej? - zaproponowała z uśmiechem.

- Niestety. Przykro mi, że w tej sytuacji będę musiał przekazać głęboko poruszającą wiadomość na pani ręce, milady.

Hrabina wydawała się lekko zakłopotana, uśmiech nie opuścił jednak jej twarzy.

- Czy powinnam usiąść?

- Chyba tak - stwierdził pan Fitzgerald, podsuwając jej fotel.

Siadając, hrabina zerknęła na Lizzie i przesłała jej uśmiech.

- Proszę, niech pan mówi - zdecydowała.

- Podejdź bliżej, Elizabeth.

Lizzie posłusznie stanęła za ojcem, unikając spojrzenia hrabiny, która mierzyła ją wzrokiem z nieukrywanym zaciekawieniem.

- Moja córka, Elizabeth Anne Fitzgerald - przedstawił pan Fitzgerald.

Lizzie skłoniła się tak głęboko, że palcami musnęła podłogę.

- Wstań, dziecko. - Lizzie poczuła rękę pani hrabiny na ramieniu.

Posłusznie wyprostowała się i spojrzała arystokratce w oczy. Dostrzegła w nich wiele ciepła.

- Moja córka przebywała prawie dwa lata poza domem - oznajmił szorstko pan Fitzgerald. - Nie wyjawiała nam powodu, dla którego chciała odwiedzić mieszkającą w Dublinie ciotkę, sądziliśmy więc, że została przez nią wezwana. Okazało się jednak inaczej. Lizzie pojechała do Dublina, by tam potajemnie urodzić dziecko. To jest wnuk pani hrabiny.

- Słucham?!

- Rose, podejdź z Nedom - polecił pan Fitzgerald. Na policzkach miał wypieki.

Lizzie wzięła Neda na ręce i w tym momencie ogarnął ją lęk; wróciła obawa, że hrabiostwo zatrzymają dziecko, a ją wyrzuca.

- Ojcem tego dziecka jest pasierb milady, Tyrell - oświadczył surowo pan Fitzgerald.

Lizzie zamknęła oczy.

- Przepraszam - szepnęła do hrabiny.

- W to nie wierzę - stwierdziła hrabina. - Nie muszę nawet przyglądać się pańskiej córce, by widzieć, że to doskonale wychowana panna. Tyrell nie jest uwodzicielem. Z pewnością nie zachowałby się w tak haniebnym sposób.

- Musi teraz naprawić krzywdę, wyrządzoną mojej córce i swojemu synowi! - Pan Fitzgerald podniósł głos.

Lizzie odważyła się zerknąć na hrabinę, jednak szybko odwróciła głowę.

- Proszę postawić dziecko - poleciła hrabina. Lizzie posłusznie opuściła Neda na ziemię.

- Mama, śpaciel! Śpaciel!

- Później - szepnęła Lizzie.

Pani hrabina z niedowierzaniem przyjrzała się chłopcu. Potem spytała oficjalnie:

- Panno Fitzgerald, czy Tyrell jest ojcem pani dziecka?

Lizzie zaczerpnęła tchu. Wystarczyło, żeby teraz zaprzeczyła, ale nie mogła tego zrobić.

- Tak, milady - powiedziała.

Hrabina spojrzała na Neda, który promiennie się do niej uśmiechnął i zdecydowanym głosem zażądał:

- Śpaciel! Śpaciel! - Żądanie to poparł uderzeniem piąstką w poręcz fotela.

Hrabina wydawała się poruszona do żywego.

- Wezwę pana hrabiego - oznajmiła.

- Proszę poczekać. - Pani Fitzgerald wystąpiła naprzód. - Czy mogę coś powiedzieć?

Hrabina skinęła głową.

Pani Fitzgerald otarła łzy chusteczką.

- Lizzie to dobra dziewczyna - oznajmiła. - Kiedy jechała do Dublina w odwiedziny do lady de Barry, nie mieliśmy pojęcia, że jest przy nadziei. Pani rozumie, milady, Lizzie jest najbardziej nieśmiała z moich córek. Zawsze podpierała ściany na balach. Nie ma najmniejszej skłonności do występku. Mogę tylko się domyślić, jak doszło do uwiedzenia.

- Nie, mamó! - wykrzyknęła Lizzie. - To była wyłącznie moja wina!

Hrabina wydała się szczerze zaskoczona zarówno oskarżeniem pani Fitzgerald, jak i deklaracją jej córki.

- Znam Tyrella tak samo dobrze, jak własnych synów - oświadczyła. - Wiem, że jest dżentelmenem. Nie uwiódłby niewinnej panny.

- Nie widzi, milady, jak wstydliva i skromna jest Lizzie?! - zawołała przejęta pani Fitzgerald. - Żadna z niej kokietka ani latawica! To przez niego wszystko się stało. Przez niego nagle zapomniała o dobrym wychowaniu! Sprawiedliwości musi stać się zadość!

- Mamó, przestań, proszę. - Lizzie zwróciła się błagalnym tonem do matki.

- To prawda. Proszę zachować umiar - ostrzegła hrabina.

Nawet zagniewany pan Fitzgerald to zrozumiał, bo pociągnął żonę za rękaw. Jednak ona nie ustępowała.

- Wszyscy wiedzą, jaka jest Lizzie! Może milady spytać o moją córkę kogo chce!

- Przyrowadzę pana hrabiego - powtórzyła stanowczo hrabina.

Lizzie wiedziała, że musi porozmawiać hrabiną, chociaż wcześniej nie miała tego w planie.

- Czy mogę coś powiedzieć? To będzie tylko chwila. Chcę wytłumaczyć, dlaczego nie ma potrzeby posyłać po pana hrabiego ani po Tyrella.

Hrabina zawahała się. Po chwili łaskawie skinęła głową.

- To była wyłącznie moja wina - oświadczyła Lizzie. - Tyrell nie ponosi winy. Byłam w przebraniu... Kochałam się w nim od dziecka... On trochę ze mną flirtował, a ja go uwiodłam. Nie miał pojęcia, kim jestem. Zapewne z mojego zachowania wywnioskował, że kurtyzaną.

- Lizzie! - rzekł ostrzegawczo pan Fitzgerald.

- Lizzie! - wykrzyknęła przerażona pani Fitzgerald.

- Twierdzisz, dziecko, że mój syn popełnił omyłkę? - spytała hrabina.

- Tak, milady. Biorę na siebie całą winę. Nie ma potrzeby zajmować czasu pani mężowi ani pasierbowi. Proszę przyjąć ode mnie przeprosiny i pozwolić mi zabrać synka do domu. Przyjechałam tu dzisiaj wbrew swojej woli!

- Ujęła hrabinę za rękę. - Proszę pozwolić nam odjechać. Kocham Neda, jestem dobrą matką, nie ma sensu zajmować tą sprawą pana hrabiego ani Tyrella.

Pani Fitzgerald opadła bezsilnie na fotel i zaczęła płakać. Hrabina przyglądała się Lizzie z najszczerzym zdumieniem. W końcu delikatnie ujęła ją pod brodę.

- Jednak przyjechałaś tu, aby domagać się, żeby Tyrell się z tobą ożenił.

- Nie - szepnęła Lizzie. - Nie jestem głupia. Wiem, że on mnie nie poślubi. Tego chcą moi rodzice, nie ja.

- Nie chcesz poślubić Tyrella?

- Nie - odrzekła Lizzie, choć bała się, że pęknie jej serce.

Hrabina przyjrzała się jej z uwagą.

- Nie odbierajcie mi Neda - szepnęła Lizzie. - Milady jest dobra.

Słyszałam o tym i sama to teraz widzę. Nie chciałam tu dzisiaj przyjechać.

Proszę pozwolić mi zabrać synka do domu.

- Poczekajcie chwilę - powiedziała hrabina, odsuwając rękę Lizzie. -

Zaraz wrócę. Idę po męża i po syna.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wielkie upokorzenie

Tyrell de Warenne przystanął na kamiennym tarasie, omiatając wzrokiem rozległe trawniki i ogrody, rozciągające się za rezydencją w Adare. Wielobarwne róże, ulubione kwiaty jego macochy, kwitły niemal wszędzie. Brat Tyrella, Rex, siedział na ogrodowym krześle, trzymając w ręce kieliszek koniaku. W pobliżu rozległ się kobiecy śmiech. Tyrell dostrzegł kilka dam, wyłaniających się z zielonego labiryntu za altaną. Jedna z nich była jego narzeczoną.

Tyrella wychowano w poszanowaniu dla tradycji de Warenne'ów, nauczono cenić honor, odwagę, lojalność i obowiązek. Jako przyszły hrabia Adare, miał jasno określone powinności. Na jego barkach miał spocząć ciężar odpowiedzialności za wizerunek, pozycję polityczną i finanse rodziny. Zawsze wiedział, że w końcu przyjdzie mu zawrzeć korzystne politycznie małżeństwo i nigdy przeciwko temu się nie buntował.

Lord Harrington był zaledwie wicehrabią, a tytuł przyznano mu przed dziesięcioma laty. Dysponował jednak nieprzebranym bogactwem, które zgromadził jako właściciel manufaktur. Małżeństwo Tyrella z jego córką zapewniało de Warenne'om bardzo solidne podstawy finansowe dla następnych pokoleń, a jednocześnie stanowiło kolejny przyczółek rodziny w Anglii. Tyrell z uwagą przyglądał się nadchodzącej kobiecie, która miała zostać jego żoną.

- Popatrz, nawet nie ma czarnych zębów - zauważył Rex, który, wspierając się na kuli, podszedł do brata.

Nie było to dla niego łatwe zadanie, jako że w 1813 roku na Półwyspie Iberyjskim stracił nogę, co wynagrodzono mu tytułem szlacheckim i nadaniem majątku w Kornwalii. Spędzał tam w odosobnieniu dużą część roku. Rex był nieco niższy od Tyrella i znacznie bardziej umięśniony. Obaj mieli śniadą karnację, wydatne kości policzkowe, proste nosy i mocne szczęki. Na twarzy

Reksa często gościł ironiczny uśmieszek. Może zresztą był to grymas bólu. Tyrell wiedział, że pozostały bratu kikut prawej nogi jest dlań źródłem niemałych cierpień.

- Wcale nie spodziewałem się, że będzie taka jak na portrecie - stwierdził Tyrell.

Prawdę mówiąc, oczekiwał raczej pryszczycy, otyłości lub krzywego nosa. Zaskoczyło go, gdy zobaczył atrakcyjną młodą kobietę o klasycznych rysach, jasnych włosach, błękitnych oczami i porcelanową cerą. Jak na jego gust to piękno było zbyt bliskie ideału, prawie nierzeczywiste.

- Jest piękniejsza niż na portrecie. - zauważył Rex. - Mimo to nie wydajesz się zadowolony. Wczoraj też zachowywałeś się dziwnie. Masz kłopoty?

Poprzedniego wieczoru Tyrell wypił zdecydowanie za dużo brandy. Powód tej melancholii miał szare oczy i niesforne tycjanowskie włosy.

- Mylisz się. Jestem całkiem zadowolony z małżeństwa, przecież długo czekałem na ten dzień - odparł beznamietnie. - Lady Blanche nie tylko odznacza się urodą, lecz jest córką lorda Harringtona. To mnie w pełni satysfakcjonuje.

Rex popatrzył na niego nieufnie i Tyrell nagle uświadomił sobie, że zbliżający się ślub nie budzi w nim żadnych uczuć. Dobrze wiedział, że stanowczo za bardzo pochłonęła go pogoń za Elizabeth Fitzgerald. Może właśnie dlatego nie czuł się podekscytowany zawarciem małżeństwa, choć za nic nie pozwoliłby, żeby jego plany na przyszłość zostały zagrożone nawet przez Elizabeth Fitzgerald. Wydawała się ujmująca i niewinna, dobrze wychowana i do przesady moralna, ale były to pozory. Przecież wróciła do domu z nieślubnym dzieckiem. Dlaczego nie chciała zostać jego kochanką? Przecież nie może już stracić reputacji. Czyżby znów wciągnęła go w swoją grę? Na balu wystrychnęła go na dudka, co do tego nie ma dwóch zdań.

- Nie wydajesz się usatysfakcjonowany. Wręcz przeciwnie, odnoszę wrażenie, że mało cię to wszystko interesuje. - Rex przerwał rozmyślenia brata.

Tyrell nie odniósł się do tego stwierdzenia, tylko zapytał:

- Boli cię noga? - Miał nadzieję, że właśnie z tego powodu jego brat pije o tak wczesnej porze, choć nie bardzo w to wierzył.

- Z moją nogą wszystko w porządku, ale z tobą nie - odparł Rex i jakby dla zaprzeczenia tym słowom potarł kończący się poniżej uda kikut prawej nogi.

- Nie denerwuję się ślubem - odrzekł Tyrell i wyznał z wahaniem: - Inna kobieta zaprzątnęła moją uwagę.

- Radzę ci, abyś się nią nasycił, a uwagę skierował tam, gdzie należy - powiedział zaskoczony Rex.

Tyrell oddał się marzeniom o nasyceniu się Elizabeth Fitzgerald, szybko jednak przyszło otrzeźwienie, zorientował się bowiem, że stanęła przed nim narzeczona, a za nią jej dwie przyjaciółki.

Odwzajemnił jej dygnięcie eleganckim ukłonem.

- Mam nadzieję, że ten piękny irlandzki dzień jest dla pani przyjemny.

- Jak mogłoby być inaczej? - odrzekła. - Nie tylko dzień jest piękny, lecz również pańska rezydencja, milordzie.

Tyrell spojrzał w jej turkusowe oczy, szukając śladów nieszczerości, ale ich nie znalazł. Wielu Anglików patrzyło na Irlandię z pogardą, o czym doskonale wiedział. Blanche nie wydawała się jednak do nich należeć. Spotkali się drugi raz już poprzedniego wieczoru, ale do tej pory nie mieli okazji zamienić nawet kilku słów na osobności. Mógł jednak przyjrzeć jej się przy kolacji i przekonać się o doskonałych manierach narzeczonej.

- Dziękuję. Cieszę się, że spodobał się pani mój dom. Zechce pani towarzyszyć mi potem podczas przejażdżki powozem? Pokazałbym pani okolicę. - Nie miał na to najmniejszej ochoty, jednak obowiązek nakazywał zająć się przyszłą żoną.

- To dla mnie zaszczyt, milordzie - odparła z dyskretnym uśmiechem. - Czy mogę przedstawić moje przyjaciółki? Lady Bess Harcliffe i lady Felicia Greene. Przybyły dzisiaj rano.

Młode damy dygnęły i splonęły rumieńcem. Ani jedna, ani druga nie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

Tyrell wymamrotał jakieś słowa powitania, po czym ucałował dłoń Blanche. Zorientował się, że w odróżnieniu od przyjaciółek narzeczona nie wydaje się ani trochę zmieszana jego obecnością. Spodobało mu się to, bo nie znosił zakłopotanych pań. Zaczął się zastanawiać, czy cokolwiek jest w stanie wyprowadzić Blanche z równowagi.

- Wobec tego do popołudnia - powiedział grzecznie.

- Czekam z przyjemnością. - Blanche dygnęła z wdziękiem, przyjaciółki poszły jej śladem i wszystkie trzy odeszły.

Tyrell popatrzył za nimi. Blanche sprawiała wrażenie spokojnej, natomiast jej towarzyszkę wymieniały podekscytowanym szeptem jakieś uwagi, bez wątplenia wrażenia na jego temat. Niespodziewanie ujrzał przed oczami Elizabeth, wciąż oszołomioną pocałunkami. Nie chciała, aby zauważył jej łzy, ale je dostrzegł.

- Tyrell? - Rex pociągnął go za ramię. - Nie widziałem, żebyś do tego stopnia błądził daleko myślami - powiedział z dezaprobatą.

- Ona zwodzi mnie, jak chce - wyjął Tyrrell.

- To niepodobne do ciebie, żebyś zajmował się inną kobietą w tak ważnym okresie. Większość mężczyzn uległaby urokowi Blanche Harrington. Martwię się. Jesteś znakomitą dyplomatą i nadal powinienes nim być, zważywszy na to, że zostaniesz po ojcu głową rodu. Nie zaliczyłbym cię do ludzi, którzy brakiem opanowania mogliby urazić Harringtona lub jego córkę.

Tyrell przyznał w duchu rację bratu.

- Musi być bardzo piękna i bystra - kontynuował Rex.

- Jest bystra - potwierdził Tyrrell. - To jawna naciągaczka, mimo że wygląda wyjątkowo niewinnie. W każdym razie zamierzam raz na zawsze położyć kres jej gierkom. - Mówiąc to, Tyrrell święcie wierzył w swoje słowa. -

Ostatnio ta panna pojawiła się w Limerick z bękartem, a odmówiła zostania moją kochanką.

- Czyżbyś się zakochał? - spytał zdumiony Rex.

- Ależ skąd!

- Zakochani de WARENNE'owie darzą wybranki głębokim uczuciem po kres swych dni.

- Tak głosi rodzinna legenda, a mnie trudno nazwać zakochanym - odparł Tyrell.

Prawdę mówiąc, łatwo było jednak uwierzyć w legendę, patrząc na jego ojca i macochę lub na jej syna z pierwszego małżeństwa, Devlina O'Neilla i jego żonę Wirginię.

- Gdyby ta panna nie znikła nie wiadomo gdzie podczas maskarady, dawno byłoby po wszystkim - dodał, choć nie miał stuprocentowej pewności.

Rex chwycił go za ramię.

- Kim ona jest? O kim tak rozmyślasz?

- Szarooką lisicą z ciałem, które doprowadza mężczyznę do utraty zmysłów - odrzekł szorstko Tyrell.

- Mam nadzieję, że to przejściowe zauroczenie. Czy ja ją znam?

- Może. Jej rodzinę na pewno. To panna Elizabeth Fitzgerald, córka Geralda. Zdaje się, że to jakiś daleki krewny Devlina i Seana.

- Czy to znaczy, że uganiaś się za szlachetnie urodzoną kobietą? - Rex nie wierzył własnym uszom.

- Trudno nazwać ją damą, jeśli to sugerujesz - obruszył się Tyrell. - Powiedziałem ci już, że ma nieślubne dziecko i czeka, aż ktoś ją weźmie pod opiekę.

- Powinieneś o niej zapomnieć - zawyrokował Rex. - Musisz myśleć o przyszłości, zarówno swojej, jak i rodziny. Blanche Harrington jest bardzo piękna. Z pewnością znajdziesz niejedną przyjemność w życiu małżeńskim. Nie potrzebujesz kochanki.

- Nie martw się. Nie zamierzam obrażać lady Blanche. Nie pozwolę jednak, aby mi odmawiano lub się ze mnie naigrywano.

- Naprawdę? To co ona tutaj robi?

- Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

- O damie, która zasiała niepokój w twoim, hm, sercu - odrzekł cierpko Rex.

- Co takiego?!

- Byłem w holu, kiedy przyjechała, i to razem z rodziną.

W pierwszej chwili Tyrellowi przemknęło przez myśl, że Elizabeth postanowiła przyjąć jego propozycję, skoro jednak towarzyszyła jej rodzina, wydawało się to nieprawdopodobne.

- Musisz się mylić, to nie mogła być ona.

- Pomyłka wykluczona. Przechodziłem przez hol, kiedy zjawili się pan Gerald Fitzgerald z żoną i córką. Towarzyszyła im piastunka z dzieckiem. Pan Fitzgerald chciał się widzieć z naszym ojcem.

Tyrell zrozumiał, że nie ma co marzyć o końcu gry. Nie umiał jednak dociec, co to za nowa sztuczka.

Hrabina wróciła do salonu z mężem. Lizzie siedziała na brzeжку fotela i modliła się, aby pozwolono jej odejść i zabrać Neda. Jednak gdy padło na nią surowe spojrzenie hrabiego, zrozumiała, że jej los został przypieczętowany.

- Panno Fitzgerald - odezwał się hrabia, pomagając jej wstać z głębokiego ukłonu. Podobnie jak Tyrell, miał czarne falujące włosy i był przystojny, różnił się jednak od niego karnacją. - Czy rzeczywiście jest pani matką dziecka mojego syna? - spytał szorstko.

Lizzie uświadomiła sobie, że rodzice oczekują od niej właściwych odpowiedzi.

- Tak, milordzie.

Hrabia zmierzył ją badawczym wzrokiem. Nie było w tym nic złego, ale Lizzie spłonęła rumieńcem.

- Utrzymuje pani, że mój syn ją uwiódł - stwierdził beznamiętnie.

- Nie, milordzie. - Lizzie najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Zignorowała ojca, który szarpnął ją za ramię. - Wina leży po mojej stronie.

- Nie wydaje mi się pani uwodzicielką, a syn nie jest rozpustnikiem.

- Byliśmy poprzebierani - wyjaśniła Lizzie. - On nie wiedział, kim jestem.

To wyłącznie moja wina.

- Czy pani go broni?

Czuła się tak, jakby stanęła przed królewskim sądem. Mimo to nie zamierzała oskarżyć Tyrella o uwiedzenie.

- To był flirt, który wymknął się spod kontroli - szepnęła.

Hrabia odwrócił się ku Nedowi i na policzkach wykwitł mu rumieniec.

- Nie ma wątpliwości, że to syn Tyrella - powiedziała do niego półgłosem hrabina.

- Sam to widzę - odburknął.

Lizzie była bliska omdlenia. Miała jednak nadzieję, że hrabiostwo zmienią zdanie, gdy Tyrell wyprze się ojcostwa.

- Nie wydaje mi się pani typem uwodzicielki, panno Fitzgerald - powtórzył hrabia. - Zanim porozmawiam z Tyrellem, muszę się dowiedzieć, co właściwie zaszło.

Lizzie chciała spytać hrabiego, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale się nie odważyła. Jej wersja była mało prawdopodobna, wątpliwości nie budził jedynie fakt, że Ned jest synem Tyrella.

- Kochałam się w Tyrellu całe życie - usłyszała własny głos. Nagle przeszkodziły jej łzy. Zakryła usta dłonią.

- To prawda! - wykrzyknęła pani Fitzgerald, występując naprzód. - Lizzie kochała się w pańskim synu, jeszcze kiedy była dzieckiem. Często pod-

śmiewaliśmy się z niej, myśleliśmy, że z tego wyrośnie. Okazało się, że nie wyrosła.

Hrabia groźnie spojrział na Lizzie.

- Czy chciała pani wymusić na moim synu małżeństwo?

- Nie! - zaprzeczyła przerażona Lizzie.

- A jednak jest pani tutaj z jego dzieckiem i żąda, aby mój syn się z nią ożenił. Wciąż nie rozumiem. Nawet jeśli ukryła się pani pod przebraniem, Tyrell nie wyrzuciłby takiego epizodu z pamięci. Znam syna i wiem, że gdy tylko zrozumiałby swój błąd, spróbowałby tak czy inaczej naprawić krzywdę.

Lizzie znalazła się w kropce.

- Zataiłam przed nim swoją tożsamość, a potem wyjechałam.

Hrabia znowu spojrział na Neda, który spokojnie bawił się żołnierzykiem. Poczawszy na sobie spojrzenie, chłopiec zerknął na człowieka, będącego jego dziadkiem.

- Pamiętasz portret Tyrella z matką, który wisi w jadalni? - wtrąciła hrabina. - To dziecko mogłoby do niego pozować.

Hrabia zwrócił się ku rodzicom Lizzie.

- To wyjątkowo niefortunne zdarzenie dla państwa córki - stwierdził.

- Jest pan sprawiedliwym człowiekiem - odrzekł równie beznamiętnym tonem pan Fitzgerald. - Przypuszczałem, że tak właśnie spojrzy pan na nasz problem.

- Błędnie odczytał pan mój zamiar - odparł hrabia. - Przykro mi z powodu hańby pańskiej córki, nie mogę jednak żałować narodzin wnuka, nawet jeśli pochodzi z nieprawego łoża.

Lizzie wpadła w rozpacz. Właśnie takiego obrotu sprawy obawiała się najbardziej. Podbiegła do malca i wzięła go na ręce. Ned rozpromienił się i zawołał:

- Mama!

- Co pan chce przez to powiedzieć, sir? - spytał pan Fitzgerald.

- Syn jest zaręczony z córką lorda Harringtona i nie mogę pozwolić, aby cokolwiek przeszkodziło temu małżeństwu.

Lizzie zacisnęła powieki. Może zostaną jednak odesłani do domu. Może...

- Z przyjemnością zajmiemy się wychowaniem wnuka w Adare - oznajmił hrabia. - W gruncie rzeczy nie ma nawet innej możliwości.

- Nie! - sprzeciwiła się Lizzie.

- Wyznaczę dla pani pensję. Jeszcze raz przepraszam za to niefortunne zdarzenie. Może też być pani pewna, że w przyszłości mój syn będzie zachowywał się honorowo. Wiem, że niewielka to pociecha, ale tyle tylko mogę dla pani zrobić. Na pewno nie zbraknie pani niczego, panno Fitzgerald.

- Będzie mi brakować syna! - wykrzyknęła Lizzie. - Nie zgodzę się, aby nas rozdzielono!

Hrabia spojrzał na nią, nie kryjąc zaskoczenia. Hrabina wydawała się poruszona postawą młodej matki.

- Milady, nie mogę opuścić mojego syna - oświadczyła z mocą Lizzie.

Pani Fitzgerald ujęła ją za rękę.

- Może tak będzie najlepiej.

- Nasza córka została zhańbiona - przypomniał pan Fitzgerald.

Lizzie uwolniła się z uścisku matki.

- Ned mnie potrzebuje! - zawołała zrozpaczona. - Nie mogę go oddać. Jestem w stanie go wychować i wychowam!

Hrabia patrzył na nią tak, jakby wyrosła jej druga głowa. Właśnie w tej chwili w drzwiach pojawił się Tyrell. Lizzie, wciąż trzymając Neda na rękach, zmartwiała.

- Ktoś mnie szukał? - spytał uprzejmie.

- Sądzę, że znasz państwa Fitzgerald - odezwał się hrabia - a także ich córkę, pannę Elizabeth Anne.

Tyrell się nie uklonił. Ograniczył się do nieznacznego pochylenia głowy.

- Rozumiem, że nie miałeś jeszcze okazji poznać własnego syna - odezwał się hrabia.

Tyrell gwałtownie drgnął.

- Kogo?!

Hrabina dotknęła jego ramienia.

- Wiem, że to dla ciebie wstrząs. Wszyscy jesteśmy poruszeni, zresztą mamy do tego powód - powiedziała cicho.

Oślupiały Tyrell przyglądał się przez chwilę Nedowi, po czym skrzyżował spojrzenia z Lizzie.

- Utrzymuje pani, że to moje dziecko? - spytał z niedowierzaniem.

Lizzie nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

- O ile dobrze zrozumiałem - wtrącił hrabia - dziecko zostało poczęte podczas balu w wigilię Wszystkich Świętych.

Tyrell zdrętwiał. Spojrzał najpierw na ojca, potem na Lizzie.

- Podczas balu w wigilię Wszystkich Świętych? - powtórzył.

Plany Lizzie legły w gruzach. Musiała szybko coś wymyślić.

- Ned jest moim synem - szepnęła, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Pan Fitzgerald zrobił krok naprzód i z twarzą purpurową od złości wymierzył w Tyrella palcem.

- Nie obchodzi mnie, jaką bzdurną historyjkę wymyśliła moja córka, żeby pana chronić. To pan jest ojcem tego dziecka. Pan zniszczył jej życie. Pański ojciec odmawia zgody na wasze małżeństwo. Jaki człowiek uwodzi niewinną pannę, a potem się od niej odwraca?

- Ja jestem ojcem pani dziecka? - powtórzył Tyrell, zwracając się do Lizzie.

Śmiertelnie upokorzona, zamknęła oczy, nie zatrzymało to jednak łzy, która potoczyła się jej po policzku.

- Weźmiemy dziecko na wychowanie - przerwał tę scenę hrabia. -
Zaopiekuję się również panną Fitzgerald. Poza tym nic się nie zmienia.
Małżeństwo z panną Fitzgerald jest wykluczone.

- Małżeństwo z panną Fitzgerald - znów powtórzył Tyrell.

Lizzie marzyła o jednym: żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło.
Usta Tyrella rozciągały się w uśmiechu.

- To nie jest powód do śmiechu, panie! - wykrzyknął pan Fitzgerald.

Tyrell uniósł dłoń.

- Dość tego - oświadczył. - Chcę porozmawiać bez świadków z panną
Fitzgerald.

Lizzie pokręciła głową i cofnęła się o krok. Nie mogła zostać z nim teraz
sam na sam.

- Chcę porozmawiać bez świadków z matką mojego dziecka - poprawił
się Tyrell.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Plan, który spalił na panewce

Wciąż oszołomiony, lecz przede wszystkim wściekły, Tyrell doszedł do wniosku, że widok panny Fitzgerald w stanie skrajnego zmieszania sprawia mu przyjemność.

- Matko, weź dziecko, proszę - polecił ze złowieszczym spokojem.

Lizzie się cofnęła. Zbladła jak ściana.

- Nie! - krzyknęła.

Gdyby nie okazała się wyrachowaną kłamczuchą, jeszcze nawet teraz byłby gotów zapewnić jej opiekę. Wciąż nie mógł uwierzyć, że pomylił się w jej ocenie. Przecież doskonale wiedział, że dziecko nie jest jego! Cóż to znowu za nędzna intryga?

- Proszę nie zabierać mi Neda - poprosiła zrozpaczona Lizzie.

Hrabina spojrzała na nią ze współczuciem.

- Tylko na trochę, po to, żeby mogła pani spokojnie porozmawiać z Tyrellem - powiedziała.

Tyrell z irytacją stwierdził, że panna Fitzgerald płacze. Większość kobiet lubiła budzić w ten sposób litość, dobrze o tym wiedział. Gdy podawała chłopca hrabinie, przyjrzał mu się dokładniej. Śniadą cerę musiał odziedziczyć po ojcu, ponieważ Elizabeth miała bardzo jasną karnację. A może rzeczywiście to jej syn? Jakoś nie wydawało mu się prawdopodobne, by Elizabeth posłużyła się cudzym dzieckiem, nawet gdyby w grę wchodziło małżeństwo. Zresztą najwyraźniej panicznie się bała, że straci chłopca. Tyrell nienawidził niejasnych sytuacji. Do tej pory całe jego życie opierało się na prostych regułach.

Gdy wszyscy opuścili pokój, sprawdził najpierw, czy drzwi są dobrze zamknięte. Stając przed Elizabeth, był gotów do bitwy.

- Dlaczego uważa mnie pani za głupca? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie uważa mnie pani za głupca?

- Nie, milordzie - szepnęła.

Podszedł do Elizabeth i ujął ją za ramiona.

- Niech pani przestanie udawać. Oboje wiemy, że to dziecko nie jest moje.

A jednak ośmieliła się pani przyjechać tutaj, żeby podjąć próbę skłonienia mnie do małżeństwa.

- Przykro mi.

- Przykro pani? - Mocniej zacisnął dłonie. Przez chwilę rozważał nawet, czy żarłocznym pocałunkiem nie wymusić na niej wyznania, ale zrezygnował. - Nie spotkałem się dotąd z tak zuchwałą intrygą. - Puścił ją, żeby ustalić między nimi dystans, który wydawał mu się bezpieczny.

- Nie uwierzy pan, jak bardzo byłam szalona.

- Na pewno nie. Czy naprawdę zamierzała pani przekonać wszystkich, że jestem ojcem tego chłopca?

A może i mnie chce pani to wmówić, chociaż oboje doskonale wiemy, że nigdy nie byliśmy ze sobą blisko?

- Nie - odpowiedziała prawie niesłyszalnie.

- Nie?

- Niczego nie pragnęłam tak bardzo jak spokoju. Rodzice dręczyli mnie bez końca i domagali się, abym ujawniła tożsamość ojca dziecka. Myślałam, że to się wreszcie skończy, kiedy im powiem, że to pan, człowiek dla mnie całkowicie nieosiągalny. Tymczasem oni zaciągnęli mnie tutaj wbrew mojej woli. - Spojrzała na Tyrella i nagle ogarnęła ją wątpliwa nadzieja. - Niczego na panu nie chcę wymuszać, milordzie.

- Dlaczego w takim razie nie ujawni pani nazwiska prawdziwego ojca? - spytał. - Co pani ukrywa?

- Nie chcę go poślubić - odparła z wahaniem.

To ostatnie wyjaśnienie zabrzmiało w jego uszach fałszywie.

- Kim on jest? - Tyrell postanowił, że wydobędzie prawdę od Elizabeth.

W odpowiedzi milcząco pokręciła głową. Zapomniał o konieczności zachowania bezpiecznego dystansu. Pochylił się nad nią i wysyczał:

- Chcę to wiedzieć! Kto jest ojcem?

Kiedy potrząsnął nią, uroniła łzę i znowu bezradnie pokręciła głową.

- Pani się mnie nie boi.

- Boję - powiedziała przez łzy - ale wiem, że mnie pan nie skrzywdzi, milordzie.

Zmartwił. Ta kobieta potrafiła jednym słowem obalić jego najtwardsze postanowienia.

- Czy często sypia pani z mężczyznami, których nie chce poślubić? - spytał lodowatym tonem.

- To była omyłka. Wieczór, księżyc i gwiazdy, pan rozumie - bąknęła i się zarumieniła.

- Och, rozumiem aż za dobrze - Miał teraz przed oczami jej kochanka bez twarzy i chciał ją zranić. - Rozumiem, że kłamie pani w żywe oczy. Wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście chciała mnie pani skłonić do małżeństwa.

- Nie wiem, po co pan to mówi. Jedyne, czego pragnę, to zabrać syna i wrócić do domu - odparła.

- Domagam się prawdy - nie ustępował. - Niech mi pani powie, dlaczego przyszła tutaj, twierdząc, że jest matką mojego dziecka.

- Ma pan rację, milordzie - szepnęła. - Chciałam pana zmusić do małżeństwa, ale wyraźnie zabrakło mi sprytu. Fitzgeraldowie są po prostu żałośni.

Usłyszał wyznanie, którego sobie życzył, ale nie poczuł się przekonany. Nie bez podstaw uważał się za dobrego sędziego charakterów i teraz miał przeświadczenie, że Elizabeth Fitzgerald podsunęła mu kolejne kłamstwo.

- Wiem, że moi rodzice uważają pana za człowieka pozbawionego honoru i bardzo mi z tego powodu przykro, ale w tej chwili nie ma to znaczenia -

powiedziała Lizzie. - Przysięgam, że nigdy już do pana się nie zwrócę. Pojadę z Nedom do Raven Hall i tam będę mieszkać, a pan uda się do Dublina i poślubi córkę lorda Harringtona. Wkrótce wszyscy zapomną o tym przykrym epizodzie.

Widząc, że Tyrell się waha, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zrobię wszystko, milordzie, byle ogłosił pan, że nie jest ojcem Neda, i pozwolił nam wrócić do domu.

Taką ofertę naturalnie musiał rozważyć. Mocno ujął ją za rękę.

- Wszystko? - spytał triumfalnie.

Lizzie spróbowała się wyrwać.

- Chciałam powiedzieć, że prawie wszystko. Roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony.

- Miała pani na myśli, że dostanę wszystko, czego sobie zażyczę, czy tak, panno Fitzgerald?

Pokręciła głową i znów chciała się odsunąć, ale Tyrell na to nie pozwolił.

- Wczoraj proponowałam pani, aby została moją kochanką.

- Przecież jest pan zaręczony - zauważyła zgorszona.

Wolno na nią napierał, a gdy cofnęła się do ściany, zamknął ją w potrzasku ramion.

- Obawiam się, że właśnie tak jest. To jednak nie ma nic wspólnego z nami - zapewnił.

- Co pan zamierza? - Nie była w stanie go odepchnąć.

- Hm... - Uśmiechnął się, zachęcony otwierającymi się przed nim możliwościami. - Zamierzam uznać pani chłopca za swojego syna.

- Co takiego?! Przyciągnął ją do siebie.

- Wezmę na utrzymanie was oboje. Czy to nie szczęśliwy dzień? Będzie pani ogrzewać moje łóżko, a w zamian za to jej syn otrzyma moje nazwisko.

Poczuł miękkość jej kobiecych kształtów i to bardzo przemawiało mu do wyobraźni. Lizzie wpatrywała się w niego wielkimi oczami, w których pragnienie mieszało się z lękiem.

- Nie ma pani czego się bać - dodał. - Zgodnie z tym, co obiecałem, nie będzie zbywać na niczym ani pani, ani jej synowi.

Powoli ujął jej twarz w dłonie i zaczął upajać się smakiem ust. Wiedział, że to dopiero początek przyjemności, że jeszcze wiele odkryć przed nim. Elizabeth westchnęła, ale nie było w tym protestu. Odpowiadała na jego pieszczoty, a on nie był pewien, czy wystarczy mu cierpliwości, aby poczekać z następnymi do wieczoru. Jeszcze nigdy nie pragnął tak mocno kobiety.

Elizabeth coraz śmielej odwzajemniała pocałunki. Tyrellowi było tak dobrze, że zapomniał o otaczającej go rzeczywistości.

- Tyrell! - rozległ się okrzyk hrabiego.

Oszołomiony pocałunkiem Tyrell na moment zamknął oczy, rozkoszując się bliskością Elizabeth. Dopiero po chwili wypuścił ją z ramion. Hrabia stał przy drzwiach z wyrazem głębokiej dezaprobaty na twarzy. Tyrell chciał oszczędzić dalszych upokorzeń Elizabeth, więc powiedział:

- Proszę wrócić do syna. Jeszcze porozmawiamy.

Skinęła głową i nie wając się spojrzeć na hrabiego, szybko uciekła z pokoju.

Tyrell energicznie zamknął za nią drzwi.

- Podjąłem decyzję - oświadczył. - Oboje zostają w Adare. Biorę na utrzymanie pannę Fitzgerald i jej syna.

- Chcesz mieć utrzymankę? - Hrabia nie wierzył własnym uszom.

- Nie pozwolę rozdzielić jej z dzieckiem... z moim dzieckiem - powiedział stanowczo. - Obawiam się, że muszę przy tym trwać, bo tak będzie najlepiej dla mojego syna. Panna Fitzgerald może zająć pokoje w pobliżu pokoju dziecięcego, musi jednak pozostać w Adare.

Tyrell skłonił głowę. Jeszcze nigdy nie wydał polecenia ojcu. Właśnie w tej chwili zamienili się rolami, a był już na to najwyższy czas.

Lizzie zatrzymała się na progu pokoju, który jej wskazano. Za nią stali Rose i Ned. Hrabina wydawała polecenia służącej, która rozpałała ogień w kominku i otwierała okna, odsunawszy najpierw ciężkie draperie z zielonego aksamitu.

- Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie - powiedziała pani domu.

Lizzie zdążyła się zorientować w bogactwie hrabiego. Obejrzała kilka pokoi w rezydencji i nie mogła się nadziwić wszystkim cudom, które zobaczyła: obrazom i rzeźbom, sztukateriom, zdobionym złoceniami kunsztownym meblom. Pomieszczenie, do którego ją zaprowadzono, również przeszło jej najśmielsze oczekiwania. W pierwszej chwili myślała nawet, że to omyłka, zwłaszcza że wciąż jeszcze trwała w oszołomieniu po pożegnaniu z rodzicami, którym przed pięcioma minutami oznajmiła, że zostaje w Adare.

Spodziewała się służbówki, a w najlepszym razie skromnej sypialni, podobnej do tej, którą zajmowała w Raven Hall. Tymczasem znalazła się w pokoju tej wielkości, że można by w nim wznieść niewielką chatę. Wokół olbrzymiego marmurowego kominka stały miękkie fotele ze złoceniami i tym samym różowym materiałem obita kanapa. Nad gzymsem wisiał portret jednego z przodków rodu, spoglądającego na świat ze swobodą i arogancją typową dla bogaczy. Dębową podłogę przykrywały perskie dywany i dywaniki. Część służąca do jedzenia mieściła dębowy zastawiony kryształami i piękną kwietną ozdobą stół. Z okien rozciągał się widok na słynne ogrody Adare.

- Pani sypialnia będzie tutaj. - Hrabina szerokim gestem wskazała wejście do przyległego pokoju.

Lizzie zajrzała do środka i zobaczyła wnętrze pełne złocen, w którym dominowało łóżko ze złotym baldachimem. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Tyrell osadził ją w Adare jako swoją kochankę. To łóżko stanowiło

dowód, że wbrew jej obawom wcale jej nie znienawidził. Wyobraziła sobie, jak wstaje z niego na powitanie Tyrella, który już od drzwi mierzy ją pożądliwym spojrzeniem. Czy odwiedzi ją dziś wieczorem?

- Wszystko w porządku, panno Fitzgerald? - spytała hrabina.

Pochłonięta swoimi fantazjami, Lizzie nawet nie słyszała, kiedy dama do niej podeszła.

- Czy te pokoje na pewno są dla mnie? - spytała.

- Naturalnie - odparła z uśmiechem hrabina. - Jesteśmy w tej chwili w skrzydle gościnnym, Tyrell zaproponował, żeby właśnie tutaj panią i chłopca zakwaterować.

- Nie znajduję dość słów, żeby podziękować za dobroć - powiedziała Lizzie. - Przykro mi z powodu tej sceny, którą urządziliśmy.

- To ja żałuję, że musiała pani znieść takie upokarzające chwile - odparła hrabina. - Jeśli jednak nie chciała pani tej sceny, to dlaczego wyjawiała rodzicom, że Tyrell jest ojcem Neda?

- Nie zrobiłam tego - odparła Lizzie. - Wiedziała o tym ciotka Eleanor, która przyrzekła mi dochować tajemnicy. Wczoraj jednak złamała dane słowo.

Hrabina wyciągnęła do niej rękę.

- Obawiam się, że nie znamy się dobrze, choć podejrzewam, że wkrótce to się zmieni. Słusznie pani ciotka zdecydowała się ujawnić prawdę. Ned ma wszelkie prawa do takiego życia, jakie możemy mu zapewnić. Ja w każdym razie ogromnie się cieszę z wnuka.

- Bardzo przypomina mi ojca... - Lizzie urwała i splonęła rumieńcem.

Hrabina przez chwilę przyglądała jej się z uwagą.

- Druga sypialnia jest dla Neda i Rose. Czy jeszcze czegoś pani potrzeba?

Lizzie rozejrzała się dookoła z zachwytem i pięknie podziękowała.

- Dobrze więc. Czy mogłabym wziąć Neda na spacer do ogrodu? Bardzo chciałabym lepiej go poznać. Nie wydaje się jeszcze zanadto senny.

Lizzie zerknęła na chłopca, którego Rose trzymała na rękach. Ziewał, ale rozglądał się z zainteresowaniem dookoła.

- Naturalnie - odrzekła.

- Obiecuję, że to nie potrwa długo - powiedziała hrabina, biorąc Neda z rąk piastunki. - Witaj, wnuku. Jestem twoją babcią. Możesz tak mnie nazywać.

Chłopiec znowu ziewnął i powiedział:

- Ned!

- Rose, czy mogłabyś towarzyszyć lady Adare? - zwróciła się do piastunki Lizzie.

Cała trójka opuściła pokój, a Lizzie pogрузzyła się w zadumie. Od lat marzyła o znalezieniu się w ramionach Tyrella, nigdy jednak nie sądziła, że to się spełni. Zerknęła na łożo z baldachimem. Zasłony ze złotego brokatu otaczały pastelowe, jasnoniebieskie wnętrza. Przy wezłowniu piętrzyły się poduchy ze złotymi frędzlami i pracowicie wykonanymi haftami. Kapa była z tego samego złotego brokatu, co zasłony. Dotknęła ręką prześcieradeł i przekonała się, że są jedwabne.

- Nie mogę się doczekać wschodu księżyca, ale widzę, że pani również - rozległ się cichy głos Tyrella de WARENNE.

Lizzie się odwróciła. Stał oparty o futrynę drzwi.

- Milordzie, nie oczekiwałam takich luksusów - powiedziała, szerokim gestem wskazując luksusowy apartament.

- Przecież obiecałem, że mojej kochance nie będzie zbywać na niczym. W każdym razie rozumiem, że wybór pokoi pani odpowiada?

Skinęła głową, zafascynowana jego obecnością.

- Cieszę się. - Zbliżał się do niej długim, sprężystym krokiem.

- Wkrótce wróci pani hrabina - ostrzegła go Lizzie.

- Drzwi są zamknięte - stwierdził, biorąc ją w ramiona i dotknąwszy jej policzka dłonią, dodał: - Jesteś piękna.

- Jeszcze nigdy nie spotkałam tak przystojnego mężczyzny jak pan -
zapewniła żarliwie.

- Będziemy się licytować na komplementy? - spytał i pogłaskał Lizzie po
twarzy. Zatrzymał dłoń, wodząc kciukiem po szyi. - Krew pulsuje ci tak szybko,
jakby w twoich żyłach trzepotał koliber - powiedział i dotknął jej piersi.

Lizzie westchnęła, patrząc w jego zasnute namiętnością oczy.

- Chcę zobaczyć cię bez sukni. - Tyrell pociągnął za krawędź stanika
sukni Lizzie. - Chcę się zachwycić każdym calem twojego ciała. Wiem, że i ty
tego pragniesz.

Rozległ się trzask rozdzieranego materiału, ale Tyrell zupełnie się tym nie
przejął. Popatrzył z uznaniem na cieniutką białą koszulkę, pod którą rysowały
się piersi Lizzie, i zaraz potem zaczął je pieścić.

- Tylko nie przerywaj - szepnęła Lizzie.

- Nie zamierzam.

Poderwał ją z podłogi i ułożył w pościeli. Pociągnęła go ku sobie i
zaprosiła do pocałunku. Długo tłumione pragnienia wreszcie znalazły ujście.
Chwilę potem kolejny trzask materiału oznajmił definitywny koniec stanika
sukni. Tyrell zatrzymał wzrok na ciele Lizzie.

- Mógłby cię malować Botticelli - szepnął.

Lizzie upajała się dotykiem odsłaniających jej nagość dłoni.

- Szybko, milordzie, bo będzie za późno - szeptała gorączkowo.

Tyrell zrzucił surdut i pochylił się, wpatrzony w Lizzie.

- Nie będzie na tobie miejsca, którego nie pocałuję - zapowiedział. - W
zamian dasz mi całą swoją namiętność.

- Dobrze - szepnęła, choć nie wiedziała, co mu obiecuje.

- I nie będzie już ani kawałka ciebie dla kogo innego, nawet dla ojca
Neda!

To ją nagle otrzeźwiło.

- Milordzie, zaraz wróci pani hrabina. Chyba nie chce pan, żeby nas tak zastała. Do wieczoru już niedaleko.

Tyrell znieruchomiał. Widać było, że walczy ze sobą.

- Pasujemy do siebie - powiedział. - Nie wiem, czy mogę czekać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Tyrell zareagował błyskawicznie. Zeskakując z łoża, już zapinał koszulę. Chwycił surdut z podłogi i zerknął na Lizzie.

- Podarłem ci suknię.

Tymczasem Lizzie zdążyła usiąść i jedną ręką poprawiała spódnice, drugą zaś próbowała przytrzymać rozdarty stanik.

- To hrabina z Nedom. Co mam zrobić?

- Powiem, że odpoczywasz - zaproponował Tyrell. - Posłałem służbę po twoje rzeczy do Raven Hall, ale trzeba poczekać, aż tu dotrą, żebyś mogła się przebrać.

- To może potrwać wiele godzin. A jeśli pańska matka wezwie mnie w tym czasie na dół?

- Zapowiem, żeby ci nie zakłócać spokoju - odparł. - Nowe suknie też ci kupię, nie martw się.

Lizzie słuchała tego oszołomiona.

- Nie skrzywdziłem cię? - spytał.

- Nie - odparła zaskoczona. - To było... - Mocno się zarumieniła. - To było bardzo przyjemne.

Tyrell wpatrywał się w Lizzie tak, jakby chciał przejrzeć wszystkie jej tajemnice.

- Milordzie? Drgnął.

- Do zobaczenia wieczorem. - Skinął głową i zamknął za sobą drzwi.

Wciąż ściągając dłonią rozdarty stanik, Lizzie uśmiechnęła się pod nosem. Spełniły się jej marzenia. Tyrell de Warenne został jej kochankiem. Trudno jej było w to uwierzyć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pierwsze wrażenia

- Panno Fitzgerald, nie wiem, czy powinniśmy tutaj zostać - powiedziała mocno zaniepokojona Rose.

Nie było łatwo znaleźć kuchnię, która zajmowała oddzielne skrzydło domu. Lizzie zdumiała się rozległością tego pomieszczenia. Przy jednej ze ścian stały dwie wielkie kuchnie i cztery mniejsze, a przy sąsiedniej znajdowały się cztery piece. Pod oknami, z których roztaczał się widok na zabudowania gospodarcze, a dalej na wzgórza z pasącymi się zwierzętami, umieszczono ciąg zlewów. Garnki i patelnie wisiały na ścianach i suficie, podobnie jak wiązki najrozmaitszych suszonych ziół.

Gwar w pomieszczeniu nagle przycichł. Lizzie zorientowała się, że odkryto ich obecność. Z głębi kuchni wyszła im na spotkanie kobieta w czarnej sukni przysłoniętej białym fartuchem.

- W czym mogę pomóc panience? - spytała, doszedłszy do wniosku, że ma do czynienia z damą.

Kufry z Raven Hall już dotarły, Lizzie zdażyła się przebrać w beżową suknię, zdobioną różowo-zielonym rzucikiem.

- Dzień dobry, jestem panna Fitzgerald i właśnie zamieszkałam w rezydencji. W nowym miejscu jest trudno zasnąć, chciałam więc przyrządzić sobie coś na sen.

- Tak, powiadomiono już mnie o pani przyjeździe. Jestem tu gospodynią, a nazywam się Hind. Z przyjemnością przyrządzę pani jakiś napar, panno Fitzgerald.

- Bardzo dziękuję.

Lizzie ucieszyła się, że tak łatwo udało jej się osiągnąć cel. Z zainteresowaniem zaczęła obserwować krzątanicę w kuchni. Przy jednym ciągu

stołów kuchennych służące przygotowywały łososie do pieczenia. Lizzie naliczyła dwa tuziny ryb. Przy innych stołach obrabiano wołowe półtusze i nadziewano kury. Młodzi chłopcy obierali groszek oraz kroili marchew i ziemniaki, a starsi wałkowali ciasto. Za tą ostatnią grupą stał wsparty pod boki kępy mężczyzna w białym fartuchu, który uważnie przyglądał się Lizzie.

- Co panienka sobie życzy? - spytała pani Hind.

- Wystarczy mi trochę suszonej waleriany - odrzekła. - Chciałabym również, aby przyniesiono mi do pokoju czerwone wino.

- Naturalnie. Może również coś dla dziecka?

- Jakieś owoce, jeśli to nie kłopot. Ned je wprost uwielbia.

- Proszę bardzo.

Lizzie nie mogła się powstrzymać i podeszła do kuchmistrza.

- Pieczecie szarlotkę?

- Pani hrabina bardzo lubi wypieki z jabłkami - odparł mężczyzna.

- Robicie dla niej czasem placek z jabłkami?

- Naturalnie.

- Uwielbiam przygotowywać ciasta - oznajmiła z uśmiechem Lizzie. -

Czy mogę upiec placek dla pani hrabiny? Była dla mnie taka miła.

Kuchmistrz wydawał się bardzo zdziwiony propozycją Lizzie.

- Panienka jest naszym gościem - odrzekł z wahaniem. - Nie jestem pewien, czy wypada, panienko.

- Powiedziano mi, że mogę robić, co tylko sobie życzę. Chciałabym upiec placek z jabłkami.

Obecni w kuchni zwrócili głowy w ich stronę, a pani Hind była wyraźnie skonsternowana.

- Mam nadzieję, że panienka wie, co mówi - mruknął z rezygnacją kuchmistrz.

- Naturalnie. - Lizzie energicznie podeszła do kuchennego stołu. - Mogę?
- Odsunęła pryszczatego chłopaka, który wytrzeszczył na nią oczy, a potem spiekł raka.

Lizzie sięgnęła po bryłę ciasta. Nie spodobała jej się w dotyku. Podeszła do worka z mąką.

- Nikomu nie udają się takie cienkie i dobre spody jak mnie - oznajmiła. - Muszę sama to zrobić. Obawiam się, że trzeba zacząć od nowa.

Za jej plecami rozległy się pomruki, ale Lizzie, ignorując je, wzięła się do pracy.

Zostawiwszy Rose w kuchni, aby mogła spożyć posiłek ze służbą, Lizzie szła przez sień, prowadząc drepczącego za nią Neda, który z wielkim entuzjazmem pomagał jej przygotować placek. Miał na buzi ślady czekolady, kuchmistrz bowiem poczęstował go czekoladowym ciastem, które zostało z poprzedniego wieczoru.

Przed chwilą minęli salon, w którym Lizzie dostrzegła fortepian, klawesyn i wiolonczelę. Była też pewna, że wcześniej nie przechodziła obok pokoju z trzema rzędami złożonych krzeseł i fioletową tapetą. Wyglądało na to, że zablądziła, co nie było fortunne, bo zdecydowanie nie chciała natknąć się na nikogo z rodziny.

- Chodź, kochanie, przed nami nieznane terytorium, musimy być dzielni - powiedziała do chłopca, mimo że sama poczuła się niepewnie.

Nagle wyrósł przed nią jak spod ziemi mężczyzna o ciemnych oczach, osadzonych w twarzy o znajomych rysach. Zapewne miała przed sobą brata Tyrella, Reksa, który wspierał się na kuli. Lizzie się zmieszała, nie sądziła, że zastanie go w Adare, mówiono bowiem, iż przebywa głównie w Kornwalii.

- Dzień dobry - powiedział, mierząc ją badawczym wzrokiem. - Panna Fitzgerald, jak wnoszę.

- Tak. - Lizzie dygnęła. - Obawiam się, że zgubiłam drogę. - Śmiało spojrzała mu w oczy. - Musiałam skrócić w złym miejscu. Byliśmy w kuchni - wyjaśniła. - W podzięcie pani hrabinie upiekłam placek z jabłkami. Musimy już iść, przepraszam bardzo.

Chciała się oddalić, ale Rex chwycił ją za nadgarstek. Zachwiał się przy tym, więc próbowała go podtrzymać, szybko jednak odzyskał równowagę.

- Nic się panu nie stało? - spytała z troską.

- Nie - odburknął. Poprawił kulę pod ramieniem, po czym skłonił głowę. - Jestem bratem Tyrella. Sir Rex de Warenne z Land's End - przedstawił się i przeniósł wzrok na Neda. - A to, jak rozumiem, mój bratanek.

- Tak.

- Muszę przyznać, że mój brat jako chłopiec wyglądał bardzo podobnie.

Lizzie nie wiedziała, jak zareagować na tę uwagę, zachowała więc milczenie.

- Pokażę pani drogę do zachodniego skrzydła - zaofiarował się Rex.

- Dziękujemy bardzo, ale równie dobrze możemy sami ją znaleźć.

- Pokażę pani drogę - powtórzył z naciskiem Rex. Lizzie знаła ten ton.

Czyżby Rex był równie apodyktyczny jak Tyrell? Na to wyglądało, więc zrezygnowała z protestów i zgodnie ze wskazaniem zawróciła.

Tyrell wszedł do biblioteki i zamknął za sobą drzwi. Ojciec już na niego czekał, oparty o gzyms kominka. Wzdłuż dwóch ścian biblioteki ciągnęły się półki pełne książek, obok kominka stała sofa, a druga, mniejsza, znajdowała się przy przeciwległej ścianie. Oszklone drzwi prowadziły na kamienny taras i dalej do ogrodu.

Tyrell zbliżył się do ojca, doskonale wiedząc, z jakiego powodu został wezwany. Zdawał sobie sprawę z tego, że po południu zachował się nieodpowiedzialnie, bo przecież nie wolno mu było zrazić do siebie Harringtona ani jego córki. Gościł ich w rodowej rezydencji, a wkrótce miano ogłosić jego

zareczyny. W tej sytuacji powinien jak najszybciej oddalić Elizabeth Fitzgerald. Tymczasem głównie o niej myślał. Czuł się jak kilkunastoletni chłopiec, przeżywający cielecą miłość.

- Lord Harrington pytał mnie przed chwilą o pannę Fitzgerald - zaczął bez ogródek hrabia.

Nawet w tak rozległej rezydencji jak Adare plotki rozchodziły się błyskawicznie. O uznaniu przez niego potomka wiedziało już bez wątpienia wiele osób.

- Czy chcesz, abym zapewnił go, że to, iż mam syna z nieprawego łoża, nie wpłynie na moje zobowiązania wobec jego córki?

- Sam mu to powiedziałem. - Hrabia przyjrzał się Tyrellowi bardzo uważnie. - Harrington ma o tobie bardzo wysokie mniemanie, zresztą słusznie, i nie przejmuje się specjalnie tym dzieckiem. Przecież w zasadzie każdy, kogo znamy, ma jednego albo i dwóch bękartów. Nie podoba mu się jednak, że panna Fitzgerald zamieszkała pod naszym dachem.

- Nie wyjaśniłeś mi, że, moim zdaniem, w interesie chłopca jest, aby nie rozdzielać go z matką?

Tyrell zadał sobie w duchu pytanie, jak długo będzie mógł posługiwać się tym mało przekonującym argumentem. W takich sytuacjach arystokratyczne rodziny zazwyczaj przyjmowały dziecko pod swój dach, ale matkę odprawiały, rekompensując jej to finansowo. Gdyby Ned rzeczywiście był jego synem, a jego matką nie byłaby Elizabeth Fitzgerald, tak właśnie zostałaby załatwiona ta sprawa.

- Zrobiłem to, jednak on uważa, że obecność panny Fitzgerald w Adare może ubliżać jego córce, a ja się z nim zgadzam.

Nieliczni mężczyźni z tytułem i pozycją rezygnowali z utrzymywania kochanki. I chociaż należał do nich między innymi jego ojciec, a Tyrell podziwiał tę wierność, to jednak nie miał złudzeń, że potrafi wziąć z niego przykład. Liczył na to, że uda się znaleźć zadowalający wszystkich kompromis.

- Ojcie, podjąłem decyzję. Chętnie porozmawiam z lordem Harringtonem. Nie wątpię, że uda mi się uciszyć wszelkie jego niepokoje. Nie chodzi mi przecież o obrażanie narzeczonej, muszę dbać o dobro syna.

- Dałem mu do zrozumienia, że ta sytuacja jest przejściowa i że gdy Ned przyzwyczai się do nowego miejsca, panna Fitzgerald zostanie odesłana do domu.

- Dziękuję - powiedział Tyrell. Pomyślał, że to z pewnością wystarczy, aby tymczasem uspokoić ojca Blanche.

- Od dziesięciu lat jesteś dorosłym człowiekiem. Wiem, że umiesz podejmować decyzje i ponosić konsekwencje swoich pomyłek. Sądzę, że obaj uważamy to, co robisz, za błąd. Obecność panny Fitzgerald nie służy interesom Adare.

- Trudno powiedzieć, żeby w jakikolwiek sposób wpływała na Adare - zaproponował Tyrell, choć w duchu przyznawał ojcu rację. - Nie zamierzam uchylać się od obowiązków.

- Wiem, że nigdy nie zawiedziesz ani mnie, ani Adare. - Hrabia zamilkł na chwilę, po czym spytał: - Zakochałeś się?

- Skądże! - zachnął się Tyrell.

- W takim razie dlaczego łamiesz etykietę?

Tyrell wiedział, że nie chodzi o jego chęć zatrzymania panny Fitzgerald w Adare i o uczynienie z niej kochanki. Uznając dziecko za swoje, pierwszy raz okłamał ojca, i to wyłącznie dlatego, że chciał mieć w łóżu Elizabeth. Nie wolno mu było popełnić następnych kłamstw.

- Nie prosz mnie o wyjaśnienie, bo nie ma żadnego. Bardzo mi przykro, ojcie, że tak bardzo cię rozczarowałem.

- To dziwne - stwierdził hrabia. - Według niej wina leży wyłącznie po jej stronie i to ona cię uwiodła. Po co miałyby próbować cię chronić?

To nowa sztuczka, uznał Tyrell. Nie potrafił jednak jej rozszyfrować.

- Nie wiem. To ja zawiniłem.

- Wciąż czegoś nie rozumiem. Przecież dobrze cię znam i wiem, że to nieistotne, czy ona była w przebraniu. Nie tknąłbyś niewinnej panny.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - odparł po namyśle Tyrell.

Hrabia jednak nie dał się zbyć.

- Załóżmy, że ci wierzę. Poznałeś na balu młodą kobietę w maseczce i kompletnie straciłeś głowę. Czy nie odszukałbyś jej następnego dnia, żeby wszystko jakoś załatwić? Na pewno zdawałeś sobie sprawę z tego, jak grubą omyłkę popełniłeś.

- Czy nie możemy zakończyć tego tematu? Najwyraźniej nie jestem człowiekiem bez skazy.

Hrabia pokręcił głową.

- Mógłbym zrozumieć, gdyby ona była piękna, tak jak twoja francuska kochanka albo ta rosyjska wdowa. Tymczasem widzę cichą, dość pospolitą i raczej pulchną młodą kobietę, która wciąż wygląda zupełnie niewinnie. Nie jest to typ uwodzicielki. Wątpię, czy potrafi zdobyć się nawet na odrobinę wyrachowania. Czym tak cię zafascynowała?

- Nigdy nie straciłeś głowy dla kobiety? - wyrwało się Tyrellowi.

- Owszem, zdarzyło się. W twojej macosze zakochałem się od pierwszego wejrzenia. To było na wiele lat przed śmiercią twojej matki. Okoliczności były jednak takie, że nie mogłem całkiem stracić rozsądku.

- To znaczy, że przerastasz mnie pod każdym względem, ojcze.

Hrabia chwycił syna za ramię.

- Nie podoba mi się to.

- Niepotrzebnie się martwisz.

- Czy zamierzasz ciągnąć ten romans? Tyrell milczał.

- Po co pytam. Znam odpowiedź, przecież widziałem cię z nią dziś po południu. Nie mogę wybić ci tego z głowy, to jasne, ale nie zgodzę się na trzymanie pod tym dachem twojej kochanki. Nie w obecnej sytuacji.

Tyrell poczuł się nagle osaczony przez ojca i Harringtona.

- Panna Fitzgerald i chłopiec pojedą ze mną w przyszłym tygodniu do Dublina - oznajmił. - Nie obawiaj się, nie nasycę żądz pod twoim dachem, ojczu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to już pójdę, są różne sprawy do załatwienia. - Skłonił głowę, oczekując na pozwolenie.

- Sądysz, że Harrington nie dowie się, o czym teraz mówisz? - spytał hrabia bliski wybuchu.

- Nigdy nie uchylałem od obowiązków i nie będę tego robił. Byłbym więc wdzięczny, gdybyś ty nie kwestionował moich decyzji. Ożenię się z lady Blanche zgodnie z ustaleniami, ale moje prywatne sprawy pozostają prywatne. Do widzenia, ojczu. - Tyrell wyszedł z pokoju, nie czekając na odpowiedź.

Lizzie patrzyła przez okno na zielone pagórki hrabstwa Limerick. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że gorączkowa krzątanina w kuchni była związana z wyznaczonym na wieczór przyjęciem zaręczynowym Tyrella. Ona naturalnie nie została zaproszona, ale Tyrell zapowiedział, że w nocy ją odwiedzi.

Bardzo chciała go zobaczyć, ale planowana schadzka wydawała jej się czymś zgoła niewłaściwym. Tyle że taka właśnie jest rola kochanki. Próbowwała sobie tłumaczyć, że wielu arystokratów ma utrzymanki, jednak nie było to dla niej przekonujące. Jak mogła godzić się na związek z mężczyzną należącym do innej kobiety?

Harringtonowie wyjeżdżali do Londynu nazajutrz rano. Lizzie marzyła, że zaręczyny zostaną odłożone na kilka miesięcy albo nawet rok. Byłaby szczęśliwa, gdyby choć taki krótki okres mogła spędzić z Tyrellem. Wiedziała jednak, że jej marzenia się nie spełnią i zaręczyny nie opóźnią się ani o jeden dzień.

Mimo wszystko chciała zobaczyć narzeczoną Tyrella, przekonać się, czy jest kobietą, która zasługuje na to, aby zostać jego żoną. O konsekwencjach swojego przedsięwzięcia tymczasem wołała nie myśleć. Wyszła z pokoju na korytarz i ruszyła na dół. Z głębi domu dolatywał gwar rozmów, śmiechy, brzęk

kryształów. Lizzie się zaniepokoiła. Jak wytłumaczy tę swoją wyprawę, jeśli zauważy ją ktoś z rodziny hrabiego. A jeśli natknie się na Tyrella?

Przystanąła w drzwiach sali balowej, ostrożnie zerknęła do środka, po czym ukryła się pod ścianą. Ujrzała eleganckie, noszące drogocenną biżuterię damy oraz dżentelmenów we frakach i śnieżnobiałych koszulach. Zastanawiała się, jak rozpoznać narzeczoną Tyrella. Nagle poczuła na sobie badawcze spojrzenie. Dyskretnie potoczyła wzrokiem po tłumie gości, chcąc zorientować się, kto zwrócił na nią uwagę, a jednocześnie schroniła się za koryncką kolumną.

- Nie wiedziałem, że panią zaproszono, panno Fitzgerald - usłyszała za plecami.

Poznała ten głos. Należał do Reksa de Warenne'a. Odwróciła się i dygnęła.

- Oboje wiemy, że nikt mnie nie zaprosił - odrzekła, rumieniąc się.

W wieczorowym stroju wyglądał bardzo przystojnie. Kula, na której się wspierał, nie psuła wrażenia.

- Cóż więc pani tutaj robi? - spytał chłodno.

- Chciałam zerknąć na lady Blanche. Wiele słyszałam o jej urodzie.

- To prawda, jest piękna - potwierdził beznamiętnie i dyskretnie wskazał ręką. - To ta niebieskooka blondynka z włosami w kolorze księżycowej poświaty i starannie dopasowaną do nich suknią.

Lizzie spojrzała w tamtą stronę i straciła wszelką nadzieję. Blanche Harrington była nie tylko bardzo urodziwa, lecz również wyróżniała się iście królewską postawą. Lizzie nie mogłaby konkurować z taką pięknnością. Ta elegancka dama była wymarzoną partnerką dla Tyrella.

- Czy zaspokoila pani ciekawość? - spytał Rex.

- Mogłaby być królową - szepnęła.

Blanche była otoczona przez grono wielbicieli i śmiała się właśnie z czyjegoś żartu.

- Już pójdę. - Lizzie trudno było oderwać wzrok od Blanche. - Tylko gdzie podział się Tyrell?

- Mam pewien pogląd na to, dlaczego mój brat nie otacza swej przyszłej żony przesadnymi względami - zauważył znacząco Rex.

- To wcale nie przeze mnie! - podniosła głos Lizzie. - Nie przyszłoby mi do głowy, żeby rywalizować z tak piękną damą.

- A jednak pani rywalizuje - stwierdził Rex. - Inaczej dawno byłaby pani w Raven Hall, zostawiwszy Neda tam, gdzie jego miejsce. - W jego głosie słychać było wyraźną dezaprobatę.

- Pan mnie nie lubi.

- Nie znam pani. Wiem tylko, że zauroczenie mojego brata wypadło nie w porę i jest dla niego bardzo niefortunne. Powinien poślubić lady Blanche, panno Fitzgerald, dla swojego i Adare dobra.

- On wcale nie jest zadurzony! - obruszyła się Lizzie, uważając, aby nie mówić zbyt głośno. - Poza tym sam zdecydował o takim rozwiązaniu, ja go do niczego nie zmuszałam. Wiem jedno: nie zostawię mojego syna.

- To godne najwyższej pochwały. Lepiej niech już pani wróci do pokoju, bo jeśli ja zauważyłem tu jej obecność, to równie dobrze może dostrzec panią kto inny i skandal gotowy. A nie posłuży on nikomu.

Lizzie skinęła głową.

- Dla mnie najważniejszy jest syn - powtórzyła.

- To naprawdę budujące - stwierdził zgryźliwie Rex i oddalił się, kuśtykając.

Lizzie chciała jak najszybciej odejść, tymczasem jednak drogę odcięła jej lady Blanche, która z dwiema przyjaciółkami odeszła na bok, aby zamienić kilka zdań. Nieładnie było podsłuchiwać, ale Blanche stała po drugiej stronie kolumny, za którą skryła się Lizzie.

- Powiedz nam szybko, jak było na przejażdżce, Blanche - poprosiła jedna z przyjaciółek.

- Bardzo przyjemnie, Bess - odrzekła pogodnie zagadnięta.

- Tylko przyjemnie? - zdziwiła się druga. - Droga Blanche, on jest nieprzyzwoicie przystojny i elegancki! Pocałował cię? Tylko nie ukrywaj przed nami prawdy!

Lizzie zamknęła oczy. W duchu powiedziała sobie, że zasłużyła na męki, jakie cierpiała w tej chwili. Nikt przecież nie kazał jej szpiegować narzeczonej Tyrella.

- Wiecie dobrze, że bym was nie oszukała - odparła rozbawiona Blanche.

- Nie, nie pocałował mnie, ponieważ jest wzorem dżentelmena, tak jak mówił mój ojciec.

Przyjaciółki spojrzały po sobie nieco zaskoczone.

- Nie powinnaś być tak spokojna - stwierdziła brunetka. - Nie ekscytuje cię, że go poznałaś? Każda kobieta marzyłaby o kimś takim, a on będzie twój!

- Mam szczęście - przyznała Blanche. - Muszę podziękować za to ojcu, bo bardzo ciężko się napracował, żeby znaleźć mi takiego męża. Wracajmy już. Nie wypada się oddalać na eleganckim przyjęciu.

Cała trójka zgodnie wróciła do towarzystwa na sali.

Lizzie tłumaczyła sobie, że powinna być zadowolona. Lady Blanche okazała się elegancka i piękna, a wydawała się również miła. Bez wątpienia idealnie nadawała się na żonę i matkę, a przede wszystkim na hrabinę.

Nie zdążyła ruszyć ku drzwiom, bo znów wydało jej się, że ktoś się nią zainteresował. Rozejrzała się więc i stwierdziła, że z drugiej strony sali śledzi ją wzrokiem nie kto inny jak Tyrell. Było już za późno na szukanie kolejnej kryjówki. Zbliżał się do niej i był wyraźnie niezadowolony.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przerazająca obietnica

Lizzie szybko wycofała się na korytarz. Minęła jeszcze jedne drzwi, aby dostać się do gościnnego skrzydła, i nawet przez chwilę sądziła, że udało jej się umknąć, zaraz jednak Tyrell chwycił ją za ramię.

- Chyba mnie oczy nie mylą - rzekł i odwrócił ją twarzą ku sobie.

Lizzie została przyparta do ściany.

- Mogę to wytłumaczyć - powiedziała.

- Może pani wytłumaczyć obecność na moim balu zaręczynowym? - spytał rozwścieczony. - Czy to naprawdę zbyt wiele prosić panią o okazanie odrobiny szacunku mojej rodzinie?

- Wcale nie zamierzałam zachować się lekceważąco - odrzekła skruszona Lizzie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Nie podoba mi się, kiedy pani patrzy na mnie tak, jakbym ją krzywdził!
- wykrzyknął wreszcie Tyrell. - Dlaczego szpiegowała pani lady Blanche?

Proszę nie zaprzeczać, widziałem, jak podsłuchiwała ją pani, stojąc za kolumną.

- Wcale nie zaprzeczam - odparła. - Chciałam ją zobaczyć. Podobno jest niezwykle piękną i muszę przyznać, że to prawda.

- Jeśli zamierza pani teraz się rozplakać, proszę sobie darować. Nie dam się wzruszyć łzom ani błagalnym spojrzeniom.

- Bardzo przepraszam, że zesłam na dół. Skoro jednak już tak się stało, to czy mogę pogratulować panu uśmiechu losu? Lady Blanche będzie idealną żoną - szepnęła.

- A cóż to znowu za gra? Kto inny może uwierzyłby w pani szczerość, ale nie ja. Czy wymyśliła pani intrygę, mającą przeszkodzić mi w zaręczynach? To nie ma sensu.

Lizzie pokręciła głową.

- Pan bardzo niesprawiedliwie mnie osądza, milordzie. Nie intryguję!

- Niesprawiedliwie? A kto ośmielił się przybyć do mojego domu i twierdzić, że jestem ojcem pani nieślubnego syna?

Tyrell oparł się ręką o ścianę, tuż przy twarzy Lizzie, i w ten sposób odciął jej drogę odwrotu.

- To nieporozumienie już wyjaśniłam, milordzie. Czy jeszcze coś pana dręczy?

- Co miałyby mnie dręczyć?

- Nie mam pojęcia. O pańskim życiu wiem tylko tyle, że dziś wieczorem odbywa się pańskie przyjęcie zaręczynowe i że piastuje pan ważne stanowisko w Dublinie. W każdym razie wydaje się pan... - zawahała się - rozczarowany, a może nawet nieszczęśliwy.

- Wtrąca się pani do nie swoich spraw. Nie jestem ani rozczarowany, ani nieszczęśliwy.

- Cieszę się, że nie mam racji. Odsunął się raptownie.

- Panno Fitzgerald, jest kwestią dobrego smaku, aby unikała pani mojej narzeczonej. Byłoby dla niej upokarzające, gdyby wasze drogi kiedykolwiek się skrzyżowały. - Na chwilę zamilkł, po czym dodał: - Byłoby to upokarzające również dla pani. Czy wyrażam się jasno?

Skinęła głową.

- Nie sposób mówić jaśniej. Mam siedzieć na górze, w apartamentach, które mi pan przydzielił, i nie schodzić na dół bez wyraźnego rozkazu. Mam ogrzewać panu łożę i do tego się ograniczyć.

- Słuchając pani, można odnieść wrażenie, że jestem wyjątkowym draniem. A to pani kokietuje, miła panno. Czy nie flirtowała pani ze mną bardzo

śmiało na maskaradzie, aby potem przepaść jak kamień w wodę? Czy nie zwodziła mnie pani uwodzicielskimi słowami i spojrzeniami? Czy nie robiła tego pani na High Street i potem we własnym domu? Nie można mi zarzucić, że prześladuję skromną dziewczycę. Proszę przestać patrzeć na mnie tak, jakbym panią głęboko ranił.

- Postaram się mieć dla pana jedynie promienne uśmiechy i uwodzicielskie spojrzenia - odparła ironicznie Lizzie. Nie rozumiała jego oskarżeń. Przecież nigdy go nie zwodziła.

- Jestem w marnym humorze. Niech pani ze mnie nie kpi.

- Nie kpię. Nie odważyłabym się na to, za bardzo pana podziwiam. - Zamknęła oczy, obawiając się, jak Tyrell zareaguje na jej następne słowa. - Nie mogę, milordzie, zostać pańską kochanką.

Uśmiechnął się ponuro i owionął oddechem jej policzek.

- Znam już tę grę, ale nie wezmę w niej udziału, moja miła. Zawarliśmy umowę i będzie się pani do niej stosować.

- Nie mogę. - Chciała mu opowiedzieć o swojej miłości, ale bała się, że jej nie uwierzy, a co gorsza, wyśmiejże jej uczucia.

- Zresztą może nawet tak będzie lepiej. Nikt z mojej rodziny nie chce pani tutaj.

Lizzie zmartwiała; więc jednak zostaną z Nedem wyrzuceni.

- Odjedziemy jutro wczesnym rankiem - powiedziała sztywno.

- Mój syn zostaje. Jeśli pani życzy sobie odjechać, panno Fitzgerald, zrobi to pani sama.

Lizzie krzyknęła. Czyżby Tyrell zamierzał ją szantażować Nedem i w ten sposób wciągnąć do swojego łóżka?

Objął ją, a jego oczy wydawały jej się w tej chwili prawie czarne.

- Może pani odjechać sama albo zostać tutaj z synem, ale w roli mojej kochanki.

- Myślałam, że jest pan dobrym człowiekiem - powiedziała wstrząśnięta Lizzie. - Jak może pan być tak okrutny? Czy naprawdę mógłby mi pan odebrać Neda?

- To wina pani gierki - wyjaśnił. - Nie życzę sobie, żeby raz po raz robiła pani ze mnie głupca. Spędziliśmy bardzo przyjemne popołudnie i nagle zmienia pani zdanie. Nic z tego. Chyba że zechce pani zostawić tu bękarta.

Lizzie nie wierzyła własnym uszom. To nie był człowiek, którego знаła. Przeklinała własną głupotę, bo okazało się, że tamten był po prostu wytworem jej wyobraźni!

- Jest pani wyjątkowo urzekającą kobietą. Wydaje się pani udręczona, jakbym to ja zadawał pani cierpienia, a tymczasem to przecież pani niszczy mnie swoimi intrygami!

- Nie czuję się udręczona - skłamała Lizzie. - Zgoda, wygrał pan. Ma pan silniejszą wolę i przewyższa mnie rozumem. Będę więc czekać dziś wieczorem pachnąca i rozebrana, chętna i pełna entuzjazmu. Niewątpliwie zechce pan najpierw wypić kieliszek sherry z narzeczoną, a może nawet wymienić z nią pocałunek na dobranoc, zanim przyjdzie pan do mnie do łóżka, prawda?

Skrzyżowali spojrzenia.

- Jest pani kobietą nie z tej ziemi. - Lizzie zdziwiła się, że nagle tak złagodniał. - Dziewięciu na dziesięciu mężczyzn ma utrzymanki.

- Ale ja jeszcze nigdy nie byłam utrzymanką.

- Tylko kochanką.

- To co innego - odparła.

- Pewnie tak. Nie chcę się z panią kłócić, Elizabeth. Zresztą prawdę mówiąc, nie może pani wygrać, jestem bowiem gotów na wiele, byle panią mieć.

- Dlaczego? - Lizzie nie mogła tego pojąć. Uśmiechnął się tajemniczo i ujął jej twarz w dłoń.

- Nie wiem.

Musnął jej wargi, raz, drugi, trzeci i Lizzie zapomniała, że przed chwilą próbował ją szantażować. Tymczasem pocałunki Tyrella stawały się coraz bardziej namiętne. Nie wiedziała, jak długo stoją tak, objęci, wymieniając coraz śmielsze pieszczoty, w pewnej chwili doleciał ją jednak szmer rozmów i śmiechów. Uświadomiła sobie, że całkiem niedaleko, w sali balowej, goście właśnie świętują zaręczyny gospodarza.

- Nie próbuj znowu mnie zwodzić - ostrzegł Tyrell, gdy oderwał usta od warg Lizzie. - Wydaje mi się, że definitywnie ustaliliśmy kwestię wzajemnych stosunków. Nie chcę z tobą się kłócić, Elizabeth, ani uciekać się do gróźb. Proszę cię, skończ z tymi gierkami. Wiem, że będę umiał cię zadowolić, a ja nigdy nie kłamię. Zapewnię dobrą opiekę i tobie, i twojemu synowi. Potrzebujesz mnie - zakończył.

Nawet nie miał pojęcia, jak bardzo go potrzebowała i jak bardzo Ned potrzebował ojca.

- Wiem, że pan się nami zaopiekuje - szepnęła. - Nie wątpiłam w to ani przez chwilę.

- To dobrze.

Widziała, że oczekuje potwierdzenia przez nią zobowiązania.

- Pójdę teraz do moich pokojów i będę na pana czekała.

- Muszę wracać do gości - powiedział z wyraźną ulgą. - Jutro wszyscy wyjadą, wtedy będzie nam łatwiej.

- Chcę panu wierzyć.

- Proszę się starać. Zaczniemy od nowa w Dublinie. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie powinniśmy romansować pod tym dachem.

Lizzie odczuła ulgę.

- Wreszcie widzę, że mi wierzysz - odezwał się ponownie. Skłonił głowę.
- Nie pożałujesz naszej umowy, to mogę ci obiecać. Dobranoc. - Odwrócił się i znikł za drzwiami.

Lizzie patrzyła przez chwilę jego śladem. Czy mogła w ten sposób znaleźć szczęście? Nie była pewna, choć obietnica Tyrella zabrzmiała bardzo sugestywnie.

Lizzie siedziała na kamiennej ławce w ogrodzie, niedaleko domu. Ze swojego miejsca mogła zobaczyć fontannę z wapienia, wyznaczającą środek podjazdu, ale fasady rezydencji nie widziała. Mało spała w nocy, a i teraz nie mogła oderwać się od niespokojnych rozmyślań o swojej przyszłości. Miała nadzieję, że będzie jej łatwiej, gdy lord Harrington i Blanche opuszczą Adare.

Właśnie w tej chwili pięć eleganckich powozów, zaprzężonych w czwórki koni, z turkotem zatoczyło półkole i wjechało na prostą drogę, prowadzącą do bram majątku. Odprowadziła je wzrokiem i poczekała, aż ostatni zniknie w oddali. Wreszcie pozostała tylko zieleń wzgórz na horyzoncie.

Odjechała! Lizzie miała poczucie, że zdjęto jej z ramion wielki ciężar.

- Panno Fitzgerald?

Lizzie drgnęła, słysząc głos hrabiny. Szybko wstała i dygnęła.

- Dzień dobry, milady - powiedziała.

Dama uśmiechnęła się do niej na powitanie, a potem pochyliła się do Neda. Chłopiec wydał radosny okrzyk.

- Ura, ура - zażądał.

Hrabina wzięła go na ręce. Natychmiast dotknął jej policzka.

- Dobra baba - oznajmił.

- Mój kochany wnuk. - Hrabina spojrzała na Lizzie. - Trudno oprzeć się jego wdziękowi.

Ten widok nieco uspokoił Lizzie. Miejsce Neda było w Adare, nie gdzie indziej. Hrabina, choć nie była przecież matką Tyrella, wносиła do tego domu mnóstwo miłości i chciała dzielić się nią również z wnukiem.

Lizzie mogła mieć wątpliwości co do swojego zawiązującego się romansu z Tyrellem, ale przywiezienie do Adare Neda z pewnością było słuszną decyzją.

- Jadę do miasta, moja droga. Co środa zawożę to, co nam zostało, do sierocińca przy katedrze. Może czegoś potrzebujesz?

- Och, milady! - zawołała zdziwiona Lizzie. - Tak się składa, że zanim pojechałam do ciotki w Dublinie, pomagałam tam w każdy wtorek zakonnicom. Hrabina wydawała się zaskoczona.

- To znaczy, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Całkiem spontanicznie, nie zdając sobie sprawy z własnej śmiałości, Lizzie poprosiła:

- Czy mogłabym towarzyszyć milady? Bardzo chciałabym znowu pomagać siostram. Stęskniłam się za dziećmi! Czy Beth jeszcze tam jest? A co za Stephenem? Na pewno bardzo urósł.

Hrabina spojrzała na nią zamyślona.

- Beth na wiosnę adoptowano, a Stephen odzyskał ojca. Zimą wziął go do siebie na wychowanie.

- To wspaniała wiadomość - ucieszyła się Lizzie.

- Bardzo chętnie wezmę cię z sobą - oznajmiła hrabina. - Ned może przecież zostać z Rose.

Tętent kopyt niósł się echem po polach i łąkach, Tyrell pędził przed siebie na wielkim czarnym ogierze. Zwolnił nieco, aby przesadzić murek, i znów ścisnął końskie boki, chcąc jak najszybciej znaleźć się w Adare. Przed stajniami zeskoczył z konia i rzucił wodze stajennemu. Ralph popatrzył na ogiera z jawną dezaprobatą. Tyrell otarł czoło rękawem kurtki myśliwskiej.

- Daj mu pochodzić, żeby ostygł, a potem niech się solidnie naje.

Tyrell nagle wpadł w złość, że tak zajeździł ulubionego konia. Poklepał go po karku, a tymczasem koń, arab półkrwi, parsknął, jakby miał ochotę galopować dalej. Nie bez podstaw Tyrell chlubił się jego wytrzymałością.

- Milord ma szczęście, że koń nie złamał nogi na jakimś kretowisku - rzekł beznamiętnie Ralph. - Szkoda byłoby takiego pięknego zwierzęcia.

- Damy mu kilka dni odpocząć - zdecydował Tyrell, który świetnie zdawał sobie sprawę z tego, dlaczego doprowadził konia do takiego stanu i czyj obraz go prześladuje. Otarł pot z czoła i przez taras wrócił do domu. Gdy w salonie nalewał do szklaneczki szkocką, zjawił się Rex.

- Próbujesz się zabić? - spytał. - A może chcesz zabić swojego najlepszego konia?

Tyrell wychylił jednym haustem whisky i poczekał, aż ciepło rozleje się po całym ciele. Było mu wstyd, że aby zmusić Elizabeth do pozostania, uciekł się do szantażu. Co z niego za mężczyzna?

- Wolałbym raczej zabić siebie niż Satyra - odrzekł i dolał sobie trunku. Najgorsze było to, że wcale nie chciał zmienić układu, jaki wymyślił. Wręcz przeciwnie, zamierzał wyjechać do Dublina wcześniej, niż zaplanował.

- Jest południe - zwrócił mu uwagę Rex. - Mimo to napiłbym się z tobą.

Tyrell nalał whisky do drugiej szklaneczki i bez słowa podał ją bratu. Rozumiał, że jeśli nie będzie panował nad swoim zachowaniem, stanie się marionetką w ręku Elizabeth. Obawiał się też, że może narazić na niebezpieczeństwo swoje stosunki z narzeczoną i jej ojcem.

- Za Harringtonów - wzniosł toast Rex. - Za piękną lady Blanche.

Tyrell uniósł szklaneczkę, choć słowa brata nieszczególnie mu się spodobały.

- To będzie dobry związek - oznajmił Rex, upiwszy łyk. - Na pewno to wiesz.

- Tak, i płonę uniesieniem.

- Nie wydajesz się szczególnie rozentuzjasmowany, raczej podejrzewałbym cię o irytację.

- Mylisz się.

Rex rozkoszował się smakiem trunku.

- Nie wysilaj się, Tyrell. Znam cię całe życie i wiem, kiedy jesteś zły, tym bardziej że zdarza ci się to rzadko. W każdym razie tak było do niedawna.

- Daj sobie spokój z dyplomacją. Powiedz jak człowiek. Moje zachowanie jest nie do przyjęcia, ponieważ trzymam kochankę pod jednym dachem z narzeczoną.

- Nie muszę niczego mówić, bo najwyraźniej świetnie wiesz, co robisz. Tyrell zaklął pod nosem.

- Powinieneś bardziej uważać - ostrzegł Rex i dodał: - A przynajmniej udawać zadowolenie z zaręczyn z taką narzeczoną.

- Jestem zadowolony. - Co za puste słowa! - uznał w duchu Tyrrell.

- Może więc wypadaloby potrzymać ją za rękę i uśmiechnąć się do niej raz czy dwa?

Tyrell przesłał bratu ponure spojrzenie.

- To prawda, ale wczoraj wieczorem miałem inne sprawy na głowie.

- Harringtona doprowadziłeś do pasji. Słyszałem, jak nasz ojciec tłumaczył twój brak względów dla narzeczonej. Nawet nasza najmłodsza siostra pytała, czy nie jesteś chory! Nieczęsto widuje się u ciebie taką kwaśną minę.

- Miałem inne sprawy na głowie - powtórzył Tyrell.

- Cóż może być ważniejszego niż zabezpieczenie przyszłości dziedziców, a przy okazji mojego, Cliffa i Eleanor.

Tyrell w pełni uznawał racje brata. Małżeństwo z Blanche Harrington było sprawą najwyższej wagi, musi więc odpowiednio się zachowywać. Nie potrafił jednak zrezygnować z Elizabeth Fitzgerald.

- Nie spodziewałbym się kogoś takiego - powiedział Rex.

Tyrell zrozumiał, że nie chodzi o lady Blanche. Nagle przypomniał sobie, jak dwa lata temu wyciągnął Elizabeth niemal spod kół powozu. Klęczał w błocie, podtrzymując najbardziej kuszącą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkał.

- Czemu się uśmiechasz? Mówię o twojej kochance, pannie Fitzgerald.

Tyrell z trudem wrócił do rzeczywistości. Odstawił szklaneczkę.

- Nie romansuję pod dachem rodzinnym, w dodatku wtedy, gdy w rezydencji przebywa moja narzeczoną wraz z ojcem.

Rex przesłał mu kpiący uśmiech.

- Godna pochwały powściągliwość. Nie myśl jednak, że mnie zwiedzisz. Nawet jeśli w tej chwili panna Fitzgerald nie jest twoją kochanką, to chcesz, żeby wkrótce nią została.

- Czy zamierzasz prawić mi morały o konsekwencjach romansów?

- Nie, bo i tak nie posłuchasz. Zresztą nie będziesz pierwszym mężczyzną, utrzymującym kochankę. Poza tym prędzej czy później wybijesz ją sobie z głowy, prawda?

- Mam nadzieję! - wybuchnął Tyrell. - Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy ze skutków własnego zachowania? Nigdy nie posądzałem się o zdolność do małżeńskiej nielojalności. Zawsze zakładałem, że żona będzie dla mnie na równi przyjacielem i kochanką.

Reksa to wyraźnie zaskoczyło.

- Nie ma powodu, dla którego Blanche nie mogłaby być przyjacielem i kochanką, wygląda mi jednak na to, że zanim wzięłeś ślub, już planujesz zdradę.

- Nie mam ochoty wziąć Blanche do łóżka, jak więc mogę wytrwać w wierności po ślubie?! - Tyrell podniósł głos.

Rex położył mu rękę na ramieniu.

- Twoja wierność ma niewielkie znaczenie, bo tylko nieliczni mężczyźni jej dochowują. Musisz jednak okazywać Blanche życzliwość, szacunek i zachowywać dyskrecję.

- Naturalnie. - Tyrell usiadł na kanapie zirytowany. Nigdy nie brał pod uwagę takiej sytuacji. Tymczasem, choć dopiero co oficjalnie się zaręczył, nie potrafił przestać pożądać kobiety, która nie jest jego narzeczoną.

- Ona jest bardzo miła - ocenił Rex. - Spodziewałem się zabójczej piękności, takiej jak ta ostatnia, Marie-Claire, albo pozbawionej skrupułów naciągaczki. A tu nic takiego. Spotkaliśmy się, gdy wracała z kuchni, gdzie, jak powiedziała, piekła ciasto. Wydała mi się dość nieśmiała i trochę wystraszona. Z pewnością nie wygląda jak typowa kochanka.

Tyrell wpatrywał się z osłupieniem w brata. Elizabeth piekła ciasto w kuchni?!

- Czy jesteś pewien tego, co mówisz?

- Owszem, jeśli chodzi ci o pieczenie - odrzekł brat z uśmiechem. - Zrobiłem nawet w tej sprawie mały wywiad. W kuchni cała służba jest nią urzeczona. Matka też ją polubiła.

Tyrell upomniał się w duchu, że musi być ostrożny. Nie wolno mu okazać nadmiernego entuzjazmu.

- Czyżbyś się w niej podkochiwał? - spytał.

- Może troszeczkę, ale bardzo uważam, żeby nie przesadzić.

- Nie wiesz, że ona przyjechała tutaj z zamiarem zmuszenia mnie do małżeństwa?

Rex westchnął.

- Naturalnie wszyscy to wiedzą, słyszałem jednak, że to zaplanowali rodzice panny Fitzgerald, a nie ona sama. Jej matka jest znana z wielkiej gorliwości w swataniu córek.

Tyrell też chciał uwierzyć, że Elizabeth padła ofiarą intrygi rodziców. Jako dobry sędzia charakterów, wiedział jednak, że wersja przedstawiona mu przez Elizabeth mija się z prawdą.

- To już nie ma znaczenia - rzekł. - Ważne, że ona jest tutaj.

Rex uniósł brwi.

- Chciałeś powiedzieć, że ważny jest twój syn, prawda?

- Naturalnie - odparł Tyrell, odwracając głowę.

- Dziwnie reagujesz. Dlaczego nie zachowujesz się jak zwariowany tatuś, który doczekał się pierworodnego?

- Potrzebuję trochę czasu, żeby przywyknąć do tej myśli.

- Kłamiesz. - Rex dotknął ramienia brata. - O co chodzi? Dlaczego jesteś taki struty i ciągle się złościł? Dlaczego zaniedbujesz obowiązki wobec rodziny i narzeczonej? Dlaczego w ogóle nawiązałeś znajomość z panną z dobrego

domu, a teraz na dodatek umieściłeś ją tutaj jako kochankę? Rozumiem, że to matka twojego dziecka, ale bez przesady. Ona powinna mieć męża i dom. Wiem, że również ty zdajesz sobie z tego sprawę. Co się z tobą dzieje, u diabła?

- Najwyraźniej oszalałem i straciłem wszelki zdrowy rozsądek, a w dodatku przestałem zajmować się rodziną - odrzekł ze złością Tyrell. - Elizabeth powinna była pomyśleć o swojej przyszłości, zanim tak ochoczo wskoczyła mi do łóżka!

Rex nie dał się zbić z tropu.

- Najlepiej dla wszystkich byłoby, gdybyś teraz otrzeźwiał i zaczął otaczać narzeczoną stosownymi względami. Nie mogę bronić panny Fitzgerald, ale bardzo ją polubiłem. Zasluguje na znacznie więcej, niż może dostać od ciebie. My również zasługujemy na więcej, jeśli masz zostać głową tej rodziny.

Tyrell cisnął szklaneczką z whisky śladem brata. Na szczęście Rex był już przy drzwiach i zdążył skrócić na korytarz. Szkło roztrzaskało się o podłogę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Burza uczuć

Mary de Warenne weszła do biblioteki, wiedząc, że zastanie tam męża, ślęczącego nad księgami rachunkowymi majątku lub przeglądającego ostatnie wydanie londyńskiego „Timesa”. Była głęboko poruszona tym, czego dowiedziała się o pannie Elizabeth Fitzgerald,

- Wróciłaś, kochanie. - Hrabia uśmiechnął się do niej, wstając. Wyszedł zza okazałego biurka, aby objąć żonę i pocałować. - Miałem nadzieję, że wkrótce się zjawisz. Pomyślałem, że przed kolacją trochę odpocznę, może ze mną posiedzisz?

Mary kochała swojego pierwszego męża, ale nawet w tamtych dniach zawsze zwracała uwagę na Edwarda de Warenne. Kiedy brytyjscy żołnierze zamordowali Geralda O'Neilla w czasie krwawego powstania w Wexfordzie, Edward przyszedł jej z pomocą. Kilka miesięcy później wzięli ślub, a on otoczył opieką jej dwóch synów, Devlina i Seana, których zaczął wychowywać razem z trzema swoimi chłopcami i córką. Mary zakochała się w Edwardzie na długo przed śmiercią Geralda, mimo że ich kontakty ograniczały się wówczas do wymiany kilku uprzejmości lub zwykłego pozdrowienia. Byli małżeństwem już szesnaście lat, a mimo to takie zaproszenie niezmiennie wywoływało u Mary dreszczyk emocji. Między nimi nic właściwie się nie zmieniło. Rzadko zdarzała się noc, podczas której Mary nie spała w objęciach Edwarda.

- Panna Fitzgerald była dziś ze mną w sierocińcu - oznajmiła z powagą.

Uśmiech Edwarda znikł.

- I co? - spytał ostrożnie. Mary usiadła w fotelu.

- Jest ucieleśnieniem dobroci - powiedziała po dłuższej chwili.

Edward podszedł do ustawionych na srebrnej tacy karafek i nalał żonie sherry, sobie zaś przygotował szklaneczkę szkockiej. Podał Mary kieliszek i usiadł naprzeciwko niej na sofie.

- Jesteś pewna, że nie chodziło jej o zrobienie na tobie odpowiedniego wrażenia?

- Absolutnie pewna - odrzekła. - Okazuje się, że siostry dobrze ją znają. Pracowała z dziećmi, dopóki nie zaszła w ciążę i nie musiała wyjechać.

Wszystkie te sieroty traktuje z takim samym uczuciem jak własnego syna.

- Zleciłem zebranie o niej wiadomości. - Edward upił łyk trunku. - Do niedawna była osobą bez skazy. Pasuje do niej to, co powiedziała jej matka: nieśmiała, podpierała ściany na balach i nie miała żadnego kandydata do ręki.

- To ujmująca młoda panna, której wyrządzono wielką krzywdę.

Hrabia wstał.

- Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? Zerwać zaręczyny Tyrella z Blanche Harrington? Jego syn będzie miał większą władzę i majątek niż ktokolwiek z de WARENNE'ÓW.

- Popatrz na siebie, Edwardzie. Jesteś zadowolony i szczęśliwy. Nie musisz wysiadywać na dworze, żeby szeptać do ucha temu czy innemu doradcy króla i grać w polityczne domino z innymi wybitnymi rodami Zjednoczonego Królestwa. Wiedziemy wspaniale życie i nie ma dnia, żebym nie dziękowała za to Bogu. Czy Tyrell naprawdę potrzebuje takiego sojuszu, który politycznie i społecznie zwiąże go z Anglią mocniej, niż kiedykolwiek my byliśmy z nią związani?

- Mary, a co z naszymi wnukami? Czasy się zmieniają. To małżeństwo zapewni majątek następnemu pokoleniu. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

- Owszem - ze smutkiem przyznała Mary.

- Czy chcesz, żeby poślubił tę młodą kobietę? - Edward miał bardzo posępną minę.

- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą. - Tyrell nie jest uwodzicielem. Nie wierzę ani jednemu, ani drugiemu. Myślę, że oboje ukrywają część prawdy. Jak Tyrell mógłby wziąć do łóża taką pannę? To praktycznie niemożliwe, a jestem również pewna, że ona go nie uwiodła.

- W tej ostatniej sprawie całkowicie się zgadzam. Ona nie jest kusicielką. Mówiąc szczerze, ja tego wszystkiego nie rozumiem.

Mary podeszła i czule objęła męża.

- Naprawdę? Mnie nasunęła się bardzo jasna odpowiedź.

- Jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że on ją kocha, to nie chcę tego słuchać.

- Nie ma innego wyjaśnienia dla jego braku opanowania i przekroczenia zasad. Oboje widzieliśmy ich zresztą tego dnia, gdy tutaj przyjechała.

Edward pochwycił jej spojrzenie.

- No dobrze. Przyznam ci się, że myślałem dokładnie o tym samym. Wiedz jednak, Mary, że pragnę, aby dzieci Tyrella, Reksa, Cliffa i Eleanor miały zapewnione bezpieczne życie. Nie chcę, żeby musiały się troszczyć o utrzymanie.

- Czy to byłoby takie złe? Popatrz na majątek zgromadzony przez Devlina. Zdaje mi się, że również Cliff wzbogacił się nieco w Indiach Zachodnich. Mam zaufanie do naszych dzieci, Edwardzie. Nie sądzę, by kiedykolwiek groził im głód.

- Niedawno sprzedaliśmy Brentwood, nasz ostatni majątek w Anglii! - wykrzyknął. - To małżeństwo przywróci nam tam pozycję. - Ujął żonę za rękę. - Chcę, żeby on był szczęśliwy, aby wszystkie nasze dzieci były szczęśliwe i mogły korzystać z przywilejów. Czy pamiętasz, jak Eleanor cierpiała po powrocie z Bath? Jest piękna i bogata, ale w Anglii była tylko Irlandką, osobą drugiej kategorii. Uważam, że moje dzieci powinny być traktowane na równi z Anglikami. Zasługują na to.

Mary przez chwilę milczała.

- Nikt lepiej niż ja nie zna bezsilności, wynikającej z bycia Irlandką - powiedziała cicho. Oboje wiedzieli, że mówi o śmierci męża i czasie spędzonym w angielskiej niewoli. - Mimo to przetrwałam. Wszyscy trwamy mimo tej tyranii i bigoterii, Edwardzie. Nie jestem pewna, czy dla któregoś z naszych dzieci szacunek u Anglików jest ważny.

Wychowaliśmy pięciu silnych mężczyzn i jedną dzielną, a do tego piękną młodą kobietę. Edward milczał.

- Mój kochany, Tyrell nigdy nie odmówi spełnienia swojego obowiązku, oboje to wiemy. Jeśli jednak poślubi Blanche, a kocha pannę Fitzgerald, to nie będzie szczęśliwy.

Edward miał dosyć tego tematu.

- Pozostaje więc nam modlić się, żeby nie był zakochany w pannie Fitzgerald, czyż nie?

Mary rozsądnie powstrzymała się od odpowiedzi.

- Panno Fitzgerald - zatrzymał Lizzie służący. - Pani siostra, panna Georgina Fitzgerald, oczekuje jej na tarasie przy Błękitnym Pokoju.

Lizzie puściła się biegiem prosto przed siebie, zaraz jednak zreflektowała się i zawróciła.

- Gdzie jest właściwie Błękitny Pokój? - spytała rozemocjonowana.

- Najpierw w lewo, proszę panienki, a potem w prawo - odrzekł służący i odszedł, nieznacznie się uśmiechając.

Lizzie biegiem pokonała wskazaną drogę i znalazła się w salonie z niebieskimi tapetami, dwoma kominkami i złotym, promienistym słońcem na suficie. Chciała wybiec na taras, zorientowała się jednak, że w pokoju nie jest sama.

Na kanapie siedział ze skrzyżowanymi nogami Tyrell.

- Gdzie pani była? - spytał groźnie.

- Ja... Pańska matka zaprosiła mnie, abym towarzyszyła jej do miasta.

Pojechałyśmy razem do sierocińca - wyjaśniła.

Wolno podniósł się z kanapy.

Miał na sobie tylko piękną koszulę, zdobioną koronkami, jasne spodnie i
wysokie czarne buty

- Nie był - odburknął. - Zwyczajny obowiązek, i tyle. Jutro wyjeżdżam.

Lizzie miała w pamięci, że do wyjazdu pozostaje jeszcze kilka dni.

- Czy zaszło coś pilnego? - spytała z nadzieją, że uzyska informację o swoim dalszym losie.

- Nie. W istocie nie jestem potrzebny w Dublinie jeszcze przez tydzień. Postanowiłem jednak wrócić jutro do Wicklowe. Pani i dziecko będą mi towarzyszyć, tak jak uzgodnione.

Lizzie zapało dech w piersiach. A więc nazajutrz zostanie jego kochanką. Wbrew zdrowemu rozsądkowi nie umiała powstrzymać dreszczyku emocji.

- Poleciałem już Rose, aby spakowała wszystkie pani rzeczy - dodał Tyrell.

- Przepraszam, jeśli narażam panią na niewygodę. - Z tymi słowami odszedł.

Lizzie patrzyła za nim, przyciskając dłoń do piersi. Ulżyło jej, że wraz z Nedom udadzą się w podróż, jednak nastrój Tyrella dawał jej do myślenia.

Nagle wydała okrzyk przerażenia, od draperii bowiem oddzielił się ludzki kształt. Rozmowa z Tyrellem najwyraźniej nie odbyła się bez świadka.

- Co za fatalne maniery, nigdy takich u brata nie widziałem - odezwał się Rex de WARENNE. - Pani potrafi stawić mu czoło - pochwalił. - Gdy mój brat się rzuca, większość ludzi ucieka.

- Gdybym miała wybór, też bym uciekła - stwierdziła Lizzie. - Chociaż, moim zdaniem, wyjdzie mu na dobre, jeśli czasem napotka sprzeciw.

Rex przyjrzał jej się bacznie.

- Przed chwilą nazwał swojego syna „dzieckiem” - zauważył.

Lizzie zmartwiała.

- Przejęzyczenie - wyjaśniła.

- Mój brat powinien być zachwycony z posiadania dziedzica.

- Z pewnością jest zadowolony.

- Czyżby? Chyba jednak nie. To stąd ten brak manier i gniewny nastrój.

- Powinnam się spakować - Lizzie spróbowała zakończyć rozmowę.

Rex zastąpił jej drogę.

- Nie musi pani z nim być i tolerować jego impertynencji. Może pani wrócić do domu.

- Za nic nie zostawiłabym syna! - wykrzyknęła Lizzie.

- A Tyrell? Będzie pani znosić jego zaloty dla dobra dziecka?

Zawahała się i w końcu spojrzała Reksowi w oczy.

- Czasem Tyrell naprawdę mnie przeraża, ale wiem, że jest porządnym człowiekiem i ma dobre serce. Przewróciłam jego życie do góry nogami. Nie mogę go winić za humory. On nie chciał tu widzieć ani mnie, ani Neda w przeddzień swoich zaręczyn. To bardzo nieodpowiedni moment i jest mi naprawdę przykro, że postawiłam go w tak niezręcznej sytuacji.

Rex skinął głową.

- Czy mam mu natrzeć uszu i przypomnieć, że bez względu na okoliczności powinien zachowywać się jak dżentelmen?

- To całkiem dobry pomysł, ale wątpię, czy nacieranie uszu wywrze pożądaný skutek - odparła z uśmiechem Lizzie.

- To prawda. Nigdy dotąd nie widziałem go w takiej rozterce.

- Nie rozumiem.

- Wcale się nie dziwię. Dobrze znając Tyrella, wiem, że nie wyjawiłby przed panią swoich uczuć.

- Jakich uczuć? - spytała, bo musiała się natychmiast dowiedzieć.

- Nie wywiązuje się ze swoich obowiązków, panno Fitzgerald. To z pani powodu. Na pewno jest też rozczarowany własną postawą moralną.

- Przecież nie jestem jego pierwszą kochanką.

- Nie, ale nigdy wcześniej tak się nie zaangażował. Kocha go pani?

Zachowała milczenie.

- Czytam odpowiedź w pani oczach, panno Fitzgerald. Proszę posłuchać mojej rady.

- Skoro muszę...

- Oboje dajecie się ponieść uczuciom. Moim zdaniem, nic dobrego z tego związku wyjść nie może.

W głębi duszy Lizzie musiała przyznać rację Reksowi.

- Oczywiście to nie moja sprawa, ale bardzo kocham brata. On nie ofiaruje pani tego, na co pani zasługuje, panno Fitzgerald. To niemożliwe.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Proszę nie żartować. Oboje wiemy, że nie jest pani kurtyzaną i że obecny układ pani nie odpowiada. A Tyrell musi poślubić lady Blanche. On w żadnych okolicznościach nie zawiedzie rodziny, nawet jeśli ulokował uczucia gdzie indziej. Powinna go pani opuścić - powiedział bezceremonialnie. - Im wcześniej, tym lepiej.

Lizzie bardzo chciała, żeby Rex się mylił, ale i w tym nie mogła nie przyznać mu racji. Tymczasem Rex odwrócił się i opuścił salon.

Z tarasu dobiegł ją głos Georgie. Zupełnie zapomniała o czekającej na nią siostrze! Potarła skronie.

Opinia Reksa nie miała znaczenia, ponieważ Tyrell i tak nie pozwoliłby jej odejść. Zadowolony się tymczasem taką konkluzją, wyszła na taras, gdzie Georgie popijała herbatę.

- Nareszcie! - Siostry wymieniły serdeczny uścisk. - Dobrze się miewasz?
- spytała Georgie.

Lizzie usiadła.

- Jestem w samym środku burzy uczuć.

- A co się stało? - Georgie zniżyła głos. - Tyrell na pewno wie, że nie jesteś matką Neda, a mimo to uznał dziecko.

- Nie. On myśli, że jestem matką Neda, tylko on nie jest ojcem - sprostowała Lizzie.

- Dlaczego wobec tego miałby uznać Neda za swojego syna? - spytała Georgie w końcu.

- To jest gra. W zamian za jego milczenie i za to, że będę mogła być z Nedom, mam zostać jego kochanką. Jutro wyjeżdżamy do Wicklowe.

- On cię szantażuje? - Georgie trudno było w to uwierzyć.

- Tak - odpowiedziała Lizzie.

- A co z jego zaręczynami, które ogłoszono wczoraj wieczorem?

- Nie dał mi wyboru. Nie mogę zostawić Neda.

- Och. - Georgie zacisnęła dłoń na ramieniu siostry. - Wiem, jak bardzo go kochasz. Żałuję, że nie wyśmiał naszej rodziny i nie wyrzucił z Adare, kiedy rodzice cię tu przywieźli.

- Znam go od bardzo, bardzo dawna, ale na odległość - powiedziała ostrożnie Lizzie. - Wszystko, co o nim wiem, opiera się na plotkach. Zaczynam dochodzić do wniosku, że to bardzo mało, aby móc go ocenić.

- To dlatego, że wcześniej postawiłaś go na piedestale. Otoczyłaś go nimbem chwały, a on jest tylko człowiekiem.

- Jest niesłychanie porywczy i apodyktyczny. A także arogancki. Nie ma w nim nawet połowy tej życzliwości, jaką mu przypisywałam.

- Wciąż go kochasz? - spytała Georgie. Lizzie skinęła głową.

- Wygląda na to, że coraz bardziej. Nastąpiła długa cisza.

- Powinnaś wiedzieć, że wczoraj Rory złożył wizytę w Raven Hall. Musiałam przyjąć go sama. - Georgie wydawała się lekko zażenowana. - To było dla mnie trudne, bo jak wiesz, nie mogę go znieść. Pytał o ciebie. - Georgie rozłożyła ręce. - Tak mnie zirytował, że niebacznie wspomniałam mu o twojej przeprowadzce do Adare.

Lizzie przestraszyła się nie na żarty.

- Czy powiedziałaś mu o Nedzie?

- Nie. - Georgie sprawiała wrażenie lekko skruszanej. - Wymyśliłam historyjkę, że zostałam zaproszona w gościnę. Odniósł się do tego bardzo podejrzliwie i tylko patrzeć, jak usłyszy plotki na temat ciebie, Neda i Tyrella.

Lizzie była prawie pewna, że Rory pojawi się w Adare i będzie chciał się z nią zobaczyć. Co mu powie?

- To nie twoja wina - próbowała pocieszyć siostra. - Rory przyjaźni się z Tyrellem, więc prędzej czy później dowie się o moim nowym statusie.

- A jeśli powie prawdę hrabiemu albo hrabinie? To zakończy grę Tyrella, a ty będziesz musiała odejść. Przecież nie pozwolą ci zostać po takim oszustwie, a Neda na pewno zatrzymają.

- Jak długo Rory będzie w Limerick?

- Chyba niedługo. O ile dobrze zrozumiałam, wybiera się do Dublina. Może nawet już ruszył w drogę.

- To znaczyłoby, że los mi sprzyja. - Lizzie spojrzała w dal. - Muszę przekonać go, żeby zachował milczenie.

- On cię uwielbia - wyjawiała Georgie, a jej ton nagle stał się szorstki. - Może powinnaś była od razu mu powiedzieć?

Lizzie wstała.

- Wiem, że przyjechałaś w odwiedziny, ale jestem bardzo zmęczona. Muszę się położyć. Ta dwulicowość bardzo mnie męczy.

Georgie również się podniosła.

- Pójdę już. Chciałam tylko sprawdzić, jak się czujesz, i dowiedzieć się, dlaczego Tyrell tak się zachował. Wciąż trudno mi uwierzyć, że przymusza cię, abyś została jego kochanką. Chyba straciłam o nim dobre zdanie.

Lizzie niemal instynktownie stanęła w obronie ukochanego.

- Odniosłam wrażenie, że budzę w nim to, co najgorsze, ale nie sądz go pochopnie. Czy można żywić do niego pretensje o to, że uważa mnie za kobietę upadłą?

- Naprawdę jesteś gotowa mu ulec? Wiedząc, że jest zaręczony z kim innym? Czy na pewno powinnaś tak postąpić?

Lizzie zamknęła oczy.

- Nie wiem - szepnęła w końcu. - Och, Georgie, czuję się jak stateczek na morzu, targany falami i wiatrem. Zdaje się, że trafiłam akurat tam, gdzie fale są największe.

Georgie mocno ją uściskała.

Lizzie leżała na boku z poduszką w objęciach, a Tyrell trzymał w dłoniach jej ciężki warkocz. Uśmiechała się, bo wiedziała, co stanie się za chwilę. Tyrell głaskał ją po policzku i po nagim ramieniu.

- Elizabeth - szepnął.

Jego dłoń pozostawiała na jej ciele rozkoszne ciepło. Na plecach, na pośladkach, na udzie.

- Obudziłaś się? - spytał.

Wcale nie chciała się budzić, czuła się tak cudownie. Zdawało jej się, że zaraz dowie się o sobie czegoś nowego i niezwykłego. W tym śnie jej ciało rozrywało się na tysiące kawałków, rozpalonych jak gwiazdy.

- Zbudź się - usłyszała nagłący głos.

Uświadomiła sobie, że już od pewnego czasu do jej snu wdziera się rzeczywistość. Uniosła powieki i ujrzała siedzącego na łóżku Tyrella.

- Muszę wziąć cię do łóża, Elizabeth - powiedział schrypniętym głosem. - Nie mogę dłużej czekać.

Zdarł z siebie koszulę, a chwilę potem usłyszała podwójny stuk butów o podłogę. Kiedy się nad nią pochylił, zobaczyła, że się uśmiecha. Odwzajemniła ten uśmiech. Chciała mu powiedzieć, że dostanie wszystko, czego pragnie. On tymczasem pociągnął za troczek koszuli, by obnażyć jej ramiona i piersi.

W tej chwili krzyknął przez sen Ned.

Ned... Jej plan... Wino...

Lizzie zerwała się w jednej chwili, przytrzymując zsuwającą się koszulę.

- Dziecko jest pod opieką. Rose się nim zajmie. Rozmawiałem z nią, zanim tu przyszedłem.

- Wino - szepnęła. Półprzytomna, dotarła do stolika, na którym stała butelka z dwoma kieliszkami.

- Co robisz? - Śledził jej poczynania z lekkim zdziwieniem. - Dlaczego tak się niepokoisz? Daję słowo, że z mojej strony możesz się spodziewać jedynie wiele przyjemności.

Jakimś cudem zdołała nalać trunku do jednego kieliszka, chociaż ręka gwałtownie jej drżała.

- Wino niech poczeka - powiedział cicho i ujął Lizzie za nadgarstek. - Boisz się? - spytał zdziwiony.

- Nie - odparła, nie wypuszczając jednak kieliszka z ręki. - Po prostu trochę się denerwuję.

- Nie ma powodu. Nie skrzywdzę cię. Przecież nie jesteś dziewicą - szepnął jej do ucha i objął ją od tyłu, zamykając piersi w dłoniach. - Odstaw wino, Elizabeth.

Przytrzymując koszulę i kieliszek, próbowała się wysunąć z jego ramion. Przy okazji straciła równowagę i chlusnęła winem na jego piękne, jasne spodnie. Na szczęście trzymając się swego planu, zatoczyła się na łóżko, by upuścić kieliszek na bladoniebieskie prześcieradło.

Zapadła cisza. Lizzie, zajęta kieliszkiem, całkiem zapomniała o koszuli nocnej, która tymczasem zsunęła się z jej ramion na podłogę.

Tyrell spojrział na nią z uznaniem.

Lizzie zerknęła kątem oka na łóżko. Na prześcieradle istotnie powstała sporej wielkości plama. To zaś oznaczało, że nie musiała się już niczym martwić.

Powinna czuć się zawstydzona swoją nagością, nagle jednak ogarnęła ją duma z pełnych piersi i szerokich bioder, tyle zachwyty dostrzegła w oczach Tyrella, który mocno ją objął.

- Chcesz mnie? - spytał schrypniętym głosem. Skinęła głową.

- Zawsze cię chciałam, milordzie.

Pozbył się resztek ubrania i chwilę potem, pchnąwszy ją na łożo, zaczął okrywać jej ciało pocałunkami. Lizzie pomyślała, że chyba nie ma innego równie silnego i pociągającego mężczyzny. Widocznie odgadł jej myśl, bo zmysłowo do niej się uśmiechnął.

Tę sytuację Lizzie wiele razy sobie wyobrażała. Tyrell jej nie kochał, ale w pocałunku było tyle czułości, że Lizzie poczuła łzy pod powiekami. Nie mógłby tak się zachować, gdyby uważał ją za kurtyzanę. Objął ją mocniej i nagle znalazł się w jej wnętrzu. Lizzie wiedziała, że to zaboli, i zamierzała ból zignorować. Oszołomiona pieszczotami, zapomniała jednak o tym postanowieniu. Zaskoczona, krzyknęła. Tyrell znieruchomiał i spojrzał na nią bardzo zdziwiony.

- Szybko, milordzie - szepnęła, wykonując taki ruch, jaki jej zdaniem powinna wykonać kobieta ogarnięta żądzą. - Szybko!

Nie poruszył się jednak, a po chwili spytał:

- Sprawilem ci ból?

Musiała teraz wznieść się na wyżyny sztuki aktorskiej, żeby prawda nie wyszła na jaw.

- Ależ skąd - skłamała i mocno ujęła go za ramiona. W oczach znowu zakręciły jej się łzy. Tego się nie spodziewała. Pomyślała z rozpaczą, że jeśli Tyrell odkryje jej dziewictwo, wszystko będzie nieodwołalnie stracone.

- Dawno nie byłaś z mężczyzną. Nie martw się, moja miła. Mamy mnóstwo czasu.

- Rzeczywiście, już dawno...

Nie pozwolił jej dokończyć. Pocałunkami łagodził przykre doznania, całował ją po oczach, policzkach, czole. Lizzie powoli się odprężyła. Dłoń głaszcząca piersi wyzwalała w niej dziwne emocje. W pewnym momencie Tyrell wsunął rękę głębiej między ich ciała i nagle obudził w niej całkiem nowe doznanie. To, że otaczała go swym ciałem, stało się dla niej źródłem

przyjemności. Ból, choć wciąż wyraźny, stawał się stopniowo coraz mniej ważny. Wreszcie odważyła się sama poruszyć biodrami.

- Och! - wykrzyknęła, gwałtownym ruchem zachęcając go do współudziału.

Chwilę potem oboje znaleźli spełnienie.

Lizzie była pewna, że jeszcze nigdy nie kochała Tyrella tak mocno. Po jej ciele rozlewało się cudowne ciepło. Wierzyła, że mogli począć dziecko. Dałaby wszystko, by urodzić je Tyrellowi. Wciąż przygniatał ją swoim potężnym ciałem, ale kiedy spróbował się z niej wysunąć, przytrzymała go za ramiona.

- Nie. Znieruchomiał.

- Wszystko w porządku? - spytał. Uśmiechnęła się promiennie i pocałowała go w policzek.

- Tak, milordzie. Jest mi cudownie.

- Nie skrzywdziłem cię?

Pomyślała, że może trochę, ale nie miało to znaczenia, Tyrell bowiem znowu twardniał w jej wnętrzu, oczekiwała więc powrotu rozkoszy.

- Nie.

- Chyba ci nie wierzę.

- Och, proszę cię...

- Pani wykorzystuje moje słabości - odparł i zaczął się poruszać, powoli, lecz głęboko.

- Szybciej! - zażądała Lizzie.

- Zawsze ci tak spieszno?

- A masz coś przeciwko temu, milordzie? - odpowiedziała zuchwale.

Nie odrywając wzroku od jej kuszącego ciała, zaprowadził ją prosto do raju.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Konspiracja

Lizzie zbudziły wpadające do sypialni promienie słońca. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, dlaczego zasnęła, ale kiedy przewróciła się na bok, przekonała się, że całe ciało ją boli. Czuła się tak, jakby przeszła w nocy wiele mil. Nagle wszystko sobie przypomniała. Została kochanką Tyrella. Kiedyś marzyła o tym bez końca. Teraz oprócz radości odczuwała wstyd. Chciała zapomnieć o jego narzeczonej, ale to jej się nie udało. Trochę jej ulżyło, gdy wytłumaczyła sobie, że lady Blanche, w przeciwieństwie do niej, nie kocha Tyrella.

Sądziła, że jest w pokoju sama, nagle jednak poczuła na sobie czyjś wzrok. Tyrell siedział kompletnie ubrany w fotelu w pobliżu kominka i przyglądał jej się kamiennym wzrokiem.

- Dzień dobry - powiedziała, przesyłając mu niepewny uśmiech.

Uświadomiwszy sobie, że jest naga, naciągnęła prześcieradło po szyję.

- Dzień dobry - odparł. - Nie musisz się tak okrywać. Lubię na ciebie patrzeć.

Lizzie zarumieniła się, ale jej satysfakcję zmąciła marsowa mina Tyrella. Nie mogła zrozumieć jej przyczyny.

- Chyba prawie południe?

- Owszem.

- Czy jesteś ze mnie niezadowolony? - spytała po krótkim wahaniu.

- Nie. Jak się czujesz po przebudzeniu? Czyżby się o nią troszczył?

Trochę ją to zdziwiło.

- Całkiem dobrze, milordzie, i na pewno wiesz dlaczego. - Zarumieniła się, zawstydzona własną śmiałością.

- Jesteś najbardziej namiętą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.
Miałem rację, że świetnie do siebie pasujemy.

- To znaczy?

- To znaczy, że było mi wyjątkowo przyjemnie, może nawet zbyt przyjemnie. - Spojrzał na nią badawczo. - Skrzywdziłem cię? - spytał bez ceremonii.

- Ależ skąd! - odparła zdziwiona.

- Elizabeth... - Zawahał się. - Długo nie byłaś z mężczyzną. Mówiło o tym twoje ciało.

- Ta noc była wspaniała, milordzie. Niczego nie żałuję! - zapewniła Lizzie, chociaż, niestety, znów przed oczami stanęła jej lady Blanche.

- Ja żałuję - stwierdził beznamiętnie.

- Żałujesz ostatniej nocy, milordzie? - zdumiała się Lizzie.

- Zawsze chlubiłem się tym, że nie tylko jestem dżentelmenem, lecz również myślę o innych. Wczoraj zachowałem się bardzo egoistycznie. Jestem ci winien przeprosiny, Elizabeth. Mam nadzieję, że je przyjmiesz.

Tego nie mogła pojąć.

- Nic mi się nie stało, zresztą nie tylko o mnie myślałeś, ale byłeś czuły i delikatny, milordzie.

- Postanowiłem pojechać sam do Wicklowe. Teraz ją rozczarował. - Pokazałem ci wczoraj, jak bardzo cię pragnę - podjął. - Tak bardzo, że przestaję się w pełni kontrolować, a ty potrzebujesz odpoczynku. Dlatego zostaniesz tutaj, a za tydzień przyślę powóz po ciebie i chłopca.

- Nie - zaproponowała Lizzie.

Nie wiedziała, ile czasu jest im jeszcze przeznaczone, była jednak pewna, że nie ma go w nadmiarze.

- Sprzeciwiasz się mojemu życzeniu? - spytał, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Tak - potwierdziła zapalczywie. - Będę ci towarzyszyć zgodnie z planem.

Nieoczekiwanie szeroko się uśmiechnął.

- Jesteś śmiała, Elizabeth. Chodź do mnie.

- Co?

Podszedł do niej i mocno ją objął.

- Dziś wieczorem odpocznij, bo czuję, że będzie ci to potrzebne. Moje pożądanie nie zna granic.

- Ogromnie się cieszę - odparła zgodnie z prawdą. - Milordzie?

- Nie teraz! Zaczerwieniła się.

- No i proszę. Kto tu rządzi? - Skłonił głowę. - Wyjedziemy późnym popołudniem. Jazda do Wicklowe zajmie dwanaście godzin. Po drodze przenocujemy w zajeździe.

Ponieważ dzień był piękny, Lizzie usiadła z Nedom na kocu w ogrodzie. Chłopiec rozłożył zabawki, a Lizzie pograżyła się w rozmyślaniach. Może Tyrell jednak miał rację?

- Lizzie! Lizzie!

Ucieszyła się, słysząc głos Georgie, jednak gdy zerknęła na biegnącą co sił w nogach siostrę, poważnie się zaniepokoiła. A gdy chwilę potem przekonała się, że Georgie jest blada i ma zaczerwienione oczy, przestraszyła się nie na żarty.

- Coś stało się z mamą?

- Nie... tak! - Georgie łamał się głos. - Powiedziała, że mnie wydziedziczy, jeśli nie zgodzę się poślubić Petera. Wczoraj wieczorem przeprowadziła rozmowę z tatą i ustaliła datę ślubu na połowę sierpnia.

Lizzie otoczyła siostrę ramieniem.

- A co ty na to?

- Uśmiechałam się, póki ta obrzydła ropucha nie odjechała. Potem jednak zrozumiałam, że nie mogę tego człowieka poślubić. Długo sama się oszukiwa-

łam, ale nie jestem w stanie za niego wyjść. Oznajmiłam rodzicom, że wolę iść do klasztoru, niż zostać jego żoną. I to prawda.

- Przecież nie jesteś katoliczką - zwróciła jej uwagę Lizzie.

- Tata też o tym wspomniał, ale powiedziałam mu, że się nawrócę. Wtedy mama dostała ataku serca. Poszła się położyć, narzekając na bóle w klatce piersiowej, i ani na chwilę nie przestała się żalić na samowolną córkę.

- Czy już lepiej się czuje? - spytała zatroskana Lizzie.

- Doszłam ostatecznie do przekonania, że mama jest tak samo zdrowa, jak każda z nas - odparła siostra z przekąsem. - Te wszystkie jej ataki to zwykle przedstawienia, mające służyć podporządkowaniu nas jej woli. Ten atak zresztą to jeszcze nie był koniec - kontynuowała Georgie. - Mama przypomniła o twoim niefortunnym położeniu i zapewniła mnie, że umrze, miarkuj sobie: umrze, jeśli i ja zhańbię rodzinę. Tata stanął po jej stronie. Do czasu twojego upadku, Lizzie, okazywał mi wiele wyrozumiałości w związku z Peterem, teraz jednak zaczął trzymać z mamą.

Lizzie zawstydzila się. Sama była zakochana i szczęśliwa, a tymczasem rodzina z jej powodu borykała się z kłopotami i musiała stawić czoło miejscowej opinii.

- To moja wina, prawda?

- Nie, to wina Anny. Cierpimy przez jej niemoralny postępek, a ona rozkoszuje się małżeńskim szczęściem ze swoim przystojnym małżonkiem! - wykrzyknęła ze złością Georgie.

- Anna wcale nie chciała, żebyśmy pokutowały z powodu jednego jej błędu - powiedziała Lizzie, starając się ocenić siostrę sprawiedliwie, mimo że miała do niej żal.

- Jeśli o mnie chodzi, wątpię, czy ten błąd był jedyny - stwierdziła z goryczą Georgie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Sądzę, że Tyrell de Warenne nie był jej pierwszym kochankiem. Wydaje mi się, że matrony w Limerick nie bez powodu wytykały jej próżność i płochość. Żadna panna nie flirtowała tyle, co ona.

Lizzie słyszała wyznanie Anny, była jednak zdania, że mimo wszystko nie powinny z Georgie mówić w ten sposób o siostrze.

- Anna ma bardzo lekkomyślną naturę i dlatego łatwo uznać jej zachowanie za zbyt śmiałe, nawet jeśli jest całkiem niewinne.

- Nigdy nie przestaniez jej bronić, prawda? Mimo że odebrała ci Tyrella. Lizzie odwróciła głowę. O tym nie chciała rozmawiać i Georgie to zrozumiała.

- Przepraszam. - Westchnęła. - Sama wiesz, że nie dorównuję ci wyrozumiałością i szlachetnością. Postaram się nad sobą popracować.

- Nie wydaje mi się, żebym była dobrym wzorcem. - Lizzie się roześmiała. Przypomniała jej się ostatnia noc i mimo woli spłonęła rumieńcem. Georgie popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Ach, więc to tak - powiedziała po dłuższej chwili.

- Wiem, że nie postępujemy właściwie. - Lizzie nie umiała powstrzymać uśmiechu. - Nie chcę obnosić się ze swoją radością, kiedy tobie los nie sprzyja, ale tak bardzo go kocham.

- Jeśli możesz być szczęśliwa, to chwytaj każdą chwilę - odrzekła Georgie. - Nikt nie zasługuje na szczęście bardziej od ciebie!

- Chcę, żebyś i ty zaznała radości w życiu. To byłoby straszne, gdyby małżeństwo stało się dla ciebie więzieniem.

- Na pomoc taty nie liczę. Sądziłam, że dla dobra rodziny jakoś wytrzymam z tym człowiekiem, ale nie mogę go znieść. Jeśli mama nie zmieni zdania, opuszczę dom, nawrócę się na katolicyzm i wstąpię do klasztoru sióstr od Najświętszej Marii Panny.

Lizzie złapała siostrę za rękę.

- Georgie! Mam dużo lepszy pomysł.

- Naprawdę?

- Tak. Pojedziesz ze mną do Wicklowe. Wyjeżdżamy dziś po południu.

Nie trać czasu na powrót do Raven Hall. Wyślę służbę po twoje rzeczy.

Napiszesz listy do rodziców i do pana Harolda i poinformujesz ich o zerwaniu zaręczyn. U mnie możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz.

- Jak możesz proponować mi takie rozwiązanie, nie zapytawszy Tyrella? - zdumiała się Georgie.

Lizzie uśmiechnęła się.

- Zapytam go, ale on nie będzie miał nic przeciwko temu. Jestem tego pewna.

Lizzie leżała, wpatrując się w niebo, a Georgie opowiadała Nedowi baśń o trzech niedźwiedziach i wielkim złym wilku. Do Lizzie opowieść docierała jedynie we fragmentach, większość czasu zajmowały jej bowiem marzenia o Tyrellu. Dziwnie jej było myśleć, że razem pojedą do Wicklowe. Czowała się tak, jakby mieli się wprowadzić do siedziby przeznaczonej dla młodych małżonków.

Georgie przerwała baśń w pół zdania.

- Jeszcze! - zażądał Ned.

Lizzie zerknęła ku nim i ujrzała zbliżającego się przez trawnik Rory'ego McBane'a.

Ogarnęła ją panika. Co będzie, jeśli Tyrell dowie się, że został okłamany? Ucieszy się, że ma syna czy wręcz przeciwnie? Lizzie przygotowała się na najgorsze.

Georgie poderwała się z ziemi.

- Powiem mu, żeby sobie poszedł. Weź Neda i schroń się w domu.

Lizzie chwyciła ją za ramię.

- Nie sądzę, żeby dało się go powstrzymać.

Georgie wyswobodziła się jednak i stanęła tak, by zasłonić siostrę.

- Dzień dobry, panie McBane. - W jej głosie słychać było niepokój.

Rory musiał przystanąć, ale ledwie zdobył się na skinienie głową.

- Witam, panno Fitzgerald. Chciałbym zamienić kilka słów z pani siostrą, jeśli można.

- Lizzie nie czuje się dobrze i właśnie miała wrócić do swoich pokoiów.

Rory wpadł w złość.

- Pani też uczestniczy w spisku?!

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - odparła Georgie. - Muszę jednak go ostrzec, aby trzymał się z dala od mojej siostry.

- Georgie... - Lizzie próbowała ją wyminąć, ale bez skutku.

- Nie wydaje mi się, żeby miała pani powody mieszać się do naszej znajomości - zwrócił się Rory do Georgie.

- Nie wiedziałam, że jest w tej znajomości coś, co trzeba przede mną ukrywać! - odparła Georgie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Nie akceptuje pani naszej przyjaźni? - spytał w końcu.

Georgie gwałtownie się zarumieniła i aż zatrzęsała się z oburzenia.

- Przeszkadza mi, że pan próbuje wtrącać się w życie mojej siostry. Nie ma potrzeby, aby pan za nią chodził.

- Nie zamierzam się z panią kłócić, panno Fitzgerald, skoro jasno dała pani wyraz swoim uczuciom wobec mojej osoby. Jest oczywiste, że z trudem toleruje pani moją obecność. Przykro mi, że nie dorównuję rycerskimi cnotami pani ukochanemu narzeczonemu. Tak się składa, że są kobiety, które przedkładają bezpieczeństwo finansowe nad uczucie i są gotowe do niemałych poświęceń. Mam nadzieję, panno Fitzgerald, że jest pani bardzo szczęśliwa ze swoim kupcem winnym.

- Rory! Jak pan może wygadywać takie rzeczy?! - włączyła się Lizzie.

Drgnął gwałtownie, jakby nagle przypomniał sobie o jej obecności.

- Niektóre kobiety nie mają wyboru, podejmując decyzję o przyszłości, panie McBane - oświadczyła nagle poblądła Georgie. - Życzę panu miłego dnia.

Rory jednak nie zamierzał odchodzić.

- Przepraszam - bąknął wyraźnie zmieszany. - Powiedziałem coś wyjątkowo niegodnego dżentelmena. - Zawahał się. - Nie było moją intencją dawać do zrozumienia, że wychodzi pani za mąż dla pieniędzy.

Georgie stała dumnie wyprostowana.

- To istotnie było wyjątkowo niegodne dżentelmena. - Swoje słowa podkreśliła wzruszeniem ramion, po czym odwróciła się do Rory'ego plecami.

Zaskoczona Lizzie zauważyła w jej oczach łzy. Musiała wesprzeć siostrę.

- Rory...

Zapadło kłopotliwe milczenie. McBane nie odrywał teraz wzroku od Lizzie.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi - powiedział w końcu.

- Znajomość z panem cenię sobie bardzo wysoko - potwierdziła.

- Tyrell też jest moim przyjacielem.

- I co pan teraz zrobi? - spytała, wstrzymując oddech.

- Nie wiem. Najpierw musi mi pani wyjaśnić cel tego wszystkiego. Nie uwierzę, że Lizzie Fitzgerald, którą poznałem dwa lata temu, mogłaby urządzać taką maskaradę.

- Nie miałam wyboru.

- Oboje wiemy, że nigdy nie była pani przy nadziei. Dobrze panią znam, Lizzie. Nie należy pani do gotowych na wszystko naciągaczek, które czyhają na majątek Tyrella. Doszedłem więc do jedyne go możliwego wniosku. Anna zemdlą po przyjeździe na Merrion Square i wciąż była niedysponowana. To jej syn.

Lizzie zamknęła oczy.

- Proszę - powiedziała błagalnie. - Anna jest szczęśliwa w małżeństwie.

Bardzo pana proszę.

Rory osłupiał.

- Czyli pani udaje matkę dziecka swojej siostry? Lizzie skinęła głową.

- A Tyrell? Zgodził się na takie poświęcenie z pani strony? Bardzo trudno mi w to uwierzyć.

Lizzie modliła się, aby Rory nie zaczął rozmawiać z Tyrellem o Nedzie.

- Niech pan przestanie! Ned jest synem Tyrella. Mamy z Tyrellem umowę, można to zresztą nazwać układem, jeśli pan woli. Oboje robimy to, co uważamy za najlepsze dla dziecka. Czy nie może pan tego zaakceptować? - Wstyd jej było, że ucieka się do takich sztuczek. Tyrell miał przecież prawo znać prawdę. Coraz trudniej jej przychodziło trwać w kłamstwie. - A ja muszę tu zostać... Kocham Neda, jakby był moim synem.

W dalszym ciągu Rory przyglądał się z niedowierzaniem Lizzie.

- Okłamała mnie pani, chociaż jesteśmy kuzynami, a sądziłem, że również przyjaciółmi. - Pokręcił głową. - W dodatku została pani jego kochanką, prawda?

Lizzie się wzdrygnęła.

- Przecież nie jestem ślepy. Sądziłem, że panią znam, ale się myliłem. - Obrócił się na pięcie i odszedł, nawet się nie odkloniwszy.

- Rory, niech pan poczeka! - krzyknęła za nim Lizzie.

Nie zatrzymał się. Nie wszedł też do wnętrza domu przez taras, lecz skręcił i zniknął za rogiem budynku.

Georgie stanęła obok siostry, trzymając Neda za rączkę.

- On się w tobie zakochał - odezwała się cicho. - Stąd jego wzburzenie.

- Całkowicie się mylisz!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pani na Wicklowe

Tyrell stał w drzwiach na taras, obserwując Elizabeth, prowadzącą ku domowi Neda. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Malec, puszczonego samopas, zaczął biec i oczywiście zaraz przewrócił się na trawnik. Elizabeth, która podążała krok w krok za nim, natychmiast go podniosła. Chłopiec znów podbiegł kilka kroków i znów trzeba go było podnosić. Tyrell dostrzegł na twarzy Elizabeth czuły uśmiech.

- Słyszałem, że niedawno dała sakiewkę pełną pieniędzy żebraczce - powiedział Rex, który tymczasem stanął za plecami brata. - To dziwne, bo o ile mi wiadomo, jej rodzina raczej nie jest zamożna.

Tyrell nie odwrócił głowy. Elizabeth zaczęła tymczasem rozmawiać z siostrą, a Ned dreptał przed nimi. W pewnej chwili przystanął, odwrócił głowę i zawołał triumfalnie:

- Mama!

Tyrell usłyszał radosne klaśnięcie Elizabeth i jej dźwięczny śmiech.

- A kto ci przekazał tę plotkę? - spytał Reksa.

- Macocha. Odwiedziły razem sierociniec. Przy okazji wyszło na jaw, że Elizabeth pomagała tam przez kilka lat w opiece nad dziećmi.

O tym Tyrell już wiedział wcześniej. Znał też opinie ludzi o Elizabeth. Wcześniej nie mógł pojąć, jak to się stało, że powszechnie szanowana panna, uważana za mola książkowego, któregoś dnia pojawiła się nagle w rodzinnym mieście z nieślubnym dzieckiem na ręku. Teraz już miał pewność, że nie było przed nim żadnego mężczyzny.

Przypomniał sobie scenę z winem. Czy mogła istnieć druga kobieta, która ukrywałaby niewinność i twierdziła, że jest matką cudzego dziecka, rujnując tym swoją reputację? Mogło istnieć tylko jedno wyjaśnienie tej niecodziennej

sytuacji. Elizabeth robiła to wszystko z miłości do Neda. Widział, z jaką czułością bierze go na ręce i jak ufnie malec do niej się tuli. Czy to możliwe, że Ned jest jego synem?

Przecież nie był głupcem i tak samo jak wszyscy zauważył, że chłopiec jest do niego bardzo podobny. Elizabeth nie mogła być jego matką, ale on mógł być ojcem Neda. Sprawa stawała się coraz bardziej oczywista. Przypomniawszy sobie, że Elizabeth częściej mówiła o Nedzie jak o jego, a nie swoim synu. A więc ma syna!

To był zupełnie nieoczekiwany dar losu. Tyrell wymyślił już nawet teorię, jak do tego doszło. Najwidoczniej kurtyzana, która wzięła od Elizabeth na balu kostium lady Marian, zaszła w ciążę. Dlaczego zamieniły się na przebrania, nie miał pojęcia. Liczył jednak, że któregoś dnia będzie mógł spytać ją o to wprost, choć prawdę mówiąc, uznał, że obecnie nie ma to znaczenia.

Elizabeth jest matką jego dziecka pod każdym względem z wyjątkiem tego jednego, biologicznego. Wydawało mu się to wielkim cudem. Nie miała w sobie nic z zimnej, wyrachowanej oszustki. Podziwiał jej odwagę i zdolność do poświęceń.

- Wreszcie patrzysz na chłopca tak, jakbyś uwierzył, że to twój syn - wyrwał go z zamyślenia Rex.

- Nigdy nie powiedziałem, że w to nie wierzę.

- Słyszałem, że wyjeżdżasz dzisiaj do Wicklowe.

- To prawda. Uprzedzę twoje pytanie: oni jadą ze mną.

- „Oni” to znaczy panna Fitzgerald i Ned?

- Tak. Wybacz, ale mam dosyć tej rozmowy. Tyrell chciał odejść, lecz Rex chwycił go za ramię.

- Nie będę do tego wracał, powiem ci tylko, że panna Fitzgerald jest bardzo miłą młodą osobą i zdecydowanie zasługuje na więcej niż hańba, którą na nią sprowadzasz.

Tyrell nie chciał tego słuchać. Wcześniej uważał Elizabeth za kobietę upadłą i nie miał najmniejszych skrupułów, żeby uczynić z niej kochankę. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Cóż jednak mógł zrobić? Gdyby nie był dziedzicem, poślubiłby ją bez wahania. Jednak jako następca hrabiego Adare musiał spełnić obowiązek wobec rodziny. Nie wolno mu było kwestionować wynegocjowanego małżeństwa, choć zdarzało się, że miał na to ochotę. Czasami widział Elizabeth w roli następnej hrabiny Adare.

To były zdradzieckie myśli i z tego też zdawał sobie sprawę. Nie mógł jednak uchylić się od opieki nad Nedom i Elizabeth. Nie pochwalał utrzymywania kochanki przez żonatego mężczyznę, choć większości przedstawicieli jego środowiska to nie przeszkadzało. Jednak po ostatniej nocy nie miał już wyboru. Elizabeth zasługiwała na wszystko co najlepsze, ale musiał otoczyć szacunkiem i opieką również lady Blanche. Wierzył, że to możliwe. Skoro innym się udaje, dlaczego jemu miałyby się nie powieść?

Tymczasem nadeszła Elizabeth z Nedom, a także Georgie. Podeszedł do nich, nagle wolny od rozterek, i się skłonił.

- Czy piknik się udał? - spytał uprzejmie, choć trudno mu było zapanować nad rozsadzającym go pożądaniem.

- Tak, milordzie, dziękuję - odparła Elizabeth, uroczo się rumieniąc.

Spojrzał na chłopca, który trzymając Elizabeth za rękę, mierzył go uważnym spojrzeniem.

- Trzeba nauczyć go jeździć konno - powiedział.

- On ma dopiero roczek...

- Ja w tym wieku już siedziałem na końskim grzbiecie - odparł, zachwycając się szarością jej oczu. - Naturalnie z pomocą ojca. Chciałbym spróbować tego samego, kiedy już przyjedziemy do Wicklowe.

- Nie mam nic przeciwko temu, milordzie.

- Możesz się do nas przyłączyć - dodał. Uśmiechnęła się wstydliwie.

- Lepiej nie, milordzie.

Zdziwiła go ta odmowa, a nawet zaboląa.

- Nie chcesz?

- Nie o to chodzi. Nie umiem jeździć na koniu. Gdybym spróbowała, niechybnie zaraz bym spadła.

Całkiem spontanicznie ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Jednak w chwili gdy musnął wargami skórę Elizabeth, jego myśli zmieniły bieg.

- Z przyjemnością nauczę cię wszystkiego, co niezbędne, proszę mi tylko pozwolić.

Chyba ją zawstydził, jednak odrzekła:

- Możesz mnie uczyć wszystkiego, milordzie. Z ociąganiem puścił jej rękę.

- A więc do popołudnia - pożegnał się.

Zorientował się nagle, że całkowicie zlekceważył obecność jej siostry, więc skinął głową Georgie. Potem dotknął policzka Neda. Chłopczyk uśmiechnął się do niego w przyływie ufności, a Tyrell odwzajemnił ten uśmiech. Poczul na sobie zdziwione spojrzenie Elizabeth. Gdy patrzył na tych dwoje, przez myśl przemknęło mu, że ma żonę i syna.

Do Wicklowe Tyrell postanowił jechać konno na czarnym ogierze, towarzysząc powozowi. Nie było wielu okazji do wymiany zdań, ale Lizzie to nie przeszkadzało, siedziała bowiem w pojeździe z Georgie, Nedom i Rose. Zresztą mocno podekscytowana, nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Drugiego dnia po południu powóz przejechał wreszcie dwuskrzydłową kutą bramę.

Rejon wokół Dublina słynął z wielu pałacowych rezydencji, z których wszystkie wzniesiono w ubiegłym stuleciu, kiedy irlandzcy i angielscy arystokraci najchętniej osiedlali się w niedużym oddaleniu od ośrodka życia politycznego i towarzyskiego. Powóz skręcił na długi, obsadzony drzewami i wysypany pokruszonymi muszlami podjazd. Lizzie ujrzała zabudowania i wydała cichy okrzyk.

Od bramy aż po rezydencję ciągnęły się pięknie wypielegnowane, zielone trawniki. Mająca trzy, a może nawet cztery piętra budowla wznosiła się za dużym stawem z fontanną, przed którym podjazd się rozwidłał, by obiec go z obu stron. W tle tego widoku ciągnęły się wzniesienia pasma Wicklow i połąć błękitnego nieba.

- Ta posiadłość jest znacznie wspanialsza niż Adare - stwierdziła z podziwem Georgie. - Słyszałam, że zbudował ją dziadek obecnego hrabiego.

- Wygląda jak pałac - przyznała oszołomiona Lizzie. Czyżby właśnie tutaj miała zamieszkać?

- Wierzysz w to, co widzisz? To jest twój nowy dom!

- Nasz nowy dom - poprawiła siostrę.

Powóz objechał staw, otoczony idealnie równo przyciętym żywopłotem o fantazyjnych kształtach i teraz jakieś sto jardów przed nimi rysowała się rezydencja z fasadą zaprojektowaną w stylu rzymskiej świątyni. Widać już było służbę, wychodzącą i ustawiającą się w szyku, aby powitać syna pana hrabiego, dziedzica tytułu hrabiego Adare.

Lizzie nie była pewna, jakiego przyjęcia należy się spodziewać.

- W Adare byłam gościem rodziny - powiedziała do Georgie. - Nie czuję się zřęcznie jako kochanka. Powiem ci zresztą, że postanowiłam wyrzucić z pamięci istnienie lady Blanche.

- Może lepiej w ogóle nie myśl ani o niej, ani o przyszłości - odrzekła Georgie. - Jestem zresztą pewna, że i tutaj zostaniesz przedstawiona jako gość.

Należało przypuszczać, że Tyrell istotnie zachowa pozory, ale niewiele to zmieniało. Wkrótce zaczną się wizyty towarzyskie w domu dziedzica. Co wtedy? Ale czy miała wybór? Kochała Neda i Tyrella.

- Musimy wsiąść - powiedziała Georgie i poklepała ją po ramieniu. - Odwagi, Lizzie.

Uśmiechnęła się i z pomocą służącego opuściła powóz.

Tyrell witał się z jakimś mężczyzną, zapewne rządcą majątku. Lizzie wzięła za rękę Neda.

- Mama? - spytał chłopiec i rozglądał się bardzo zaciekawiony.

- Przez pewien czas będziemy tu mieszkać - wyjaśniła małemu.

Tyrell, jakby czytając w myślach Lizzie, podszedł do niej i po krótkim wahaniu wziął od niej Neda.

Nie posiadała się ze zdumienia. To, że Tyrell niesie chłopca, stanowiło deklarację, której nie wolno było przeoczyć. On tymczasem dotarł do ustawionej w szyku służby.

- Rad jestem z tego powrotu - oznajmił. - Ziemia w majątku wydaje się rodzić niemało, a mniemam, że i w domu wszystko jest w najlepszym porządku. Dziękuję wam.

Lizzie przyjrzała się długiemu rzędowni, złożonemu z około pięćdziesięciu osób, i z ich min wywnioskowała, że Tyrell cieszy się szacunkiem.

- Chcę przedstawić wam pannę Elizabeth Fitzgerald - mówił dalej, wciąż trzymając na ręku Neda. - Będzie tutaj mieszkać bezterminowo jako mój gość. Bardzo proszę spełniać wszystkie jej życzenia.

Rozległy się potakiwania i skupiło się na niej pięćdziesiąt par oczu. Lizzie zastanawiała się tymczasem, czy rzeczywiście jej życzenia będą w całości honorowane.

- Odwiedza nas również siostra panny Fitzgerald, Georgina - ciągnął Tyrell. - A teraz chciałbym przedstawić mojego syna - oświadczył. - Edward Fitzgerald de Warenne.

Lizzie zamarła. Oczy wszystkich zwróciły się na dziecko. Deklaracja zabrzmiała jednoznacznie. Tyrell nie tylko uznał chłopca za swojego syna, lecz również wskazał ją jako jego matkę. To dawało jej bez porównania wyższy status niż kochance.

- Elizabeth? - zwrócił się do niej. Podeszła, a on oddał jej Neda. - Możesz wybrać pokoje, które będą najlepsze dla naszego syna - powiedział, zniżając

głos. - Chciałbym, abyś zajęła pomieszczenia w skrzydle zachodnim, niedaleko apartamentów pana domu. - Nie brzmiało to jednak jak rozkaz, lecz raczej propozycja.

- Nie śmiałabym odmówić, milordzie - szepnęła poruszona.

Dotknął jej policzka, ocierając palcami łzę.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli to ja jestem przyczyną tych łez...

Przytrzymała jego dłoń przy policzku.

- Jestem szczęśliwa dzięki tobie, milordzie - powiedziała, choć głos jej się łamał.

- Smythe - zakomenderował. - Możesz pokazać panie Fitzgerald skrzydło pana domu. Jej siostra zamieszka w skrzydle wschodnim. Proszę dopilnować, aby panie Fitzgerald i jej siostrze na niczym nie zbywało.

Kamerdyner, wysoki, schludny mężczyzna, skłonił się przepisowo.

- Naturalnie, milordzie.

- Aha - dodał Tyrell po namyśle. - Musisz wiedzieć, że panna Fitzgerald bardzo lubi piec ciasta. Proszę zapewnić jej pełny dostęp do kuchni i wszystkich produktów, jakich mogłaby potrzebować.

Kamerdyner szybko opanował zaskoczenie.

- Naturalnie, milordzie - powtórzył.

Lizzie nie mogła pojąć, skąd Tyrell wie o jej upodobaniach.

- Wciąż czekam, aż coś mi upieczesz - powiedział z uśmiechem. - Proszę pamiętać, że uwielbiam czekoladę.

- Nie zapomnę o tej prośbie - obiecała. Już miała w głowie przepisy na co najmniej tuzin czekoladowych smakołyków. Któryś z nich mogłaby podać Tyrellowi do łoża w księżycowy wieczór...

- Idę teraz do biblioteki, Elizabeth - zapowiedział. - Muszę zająć się dokumentami. Mam wiele pracy przed powrotem do Dublina w przyszłym tygodniu. Rzecz jasna, możesz zwiedzać swój nowy dom wzdłuż i wszerz - dodał ciepłym tonem. Następnie polecił rządcy, aby mu towarzyszył, i odszedł.

Lizzie postawiła chłopca na ziemi. Kamerdyner rozesłał służbę do codziennych zajęć.

- To jest twój nowy dom, Lizzie - powiedziała Georgie.

- Jesteś pewna, że to dzieje się naprawdę?

- A czy zdajesz sobie sprawę z tego, co Tyrell przed chwilą zrobił?

Właśnie uczynił cię tutaj panią.

Kolację podano późno, a Lizzie miała do towarzystwa jedynie Georgie. Siedziały po dwóch stronach bardzo długiego stołu, przy którym mogłoby się pomieścić ze czterdzieści osób. Kosztowały licznych potraw, wśród których znajdowały się łosoś, smażony dorsz, perliczki z rusztu, sałatki, groszek, fasolka szparagowa i pieczone ziemniaki. Z napitków podano szampana oraz białe i czerwone wino, na deser zaś placek rabarbarowy. Lizzie przez cały czas myślała o pracującym w bibliotece Tyrellu. Prawdopodobnie kolację zaniecono mu właśnie tam.

Czuła się trochę nieswojo przy olbrzymim stole, udekorowanym pośrodku kilkoma kompozycjami z kwiatów i nakrytym dla zaledwie dwóch osób.

Zazwyczaj prawdopodobnie stało na nim znacznie więcej sreber i kryształów.

- Musiało się tu odbywać wiele przyjęć, kiedy Dublin był siedzibą rządu irlandzkiego - zauważyła Georgie. - Po ogłoszeniu unii mnóstwo ludzi przeniosło się do Londynu.

- Zdaje mi się, że widzę tych irlandzkich lordów i ich damy - odparła Lizzie. - Mężczyźni w pudrowanych perukach, surdutach, obcisłych spodniach i pończochach, a kunsztownie ufryzowane kobiety w aksamitnych sukniach wieczorowych. Pan hrabia musiał wówczas być niewiele starszy od Neda.

- Ciekawie byłoby wziąć udział w takiej kolacji, w toczącej się tam konwersacji i dyspucie politycznej - rozmarzyła się Georgie. - Dublin tętnił wtedy życiem. Ciekawa jestem, czy zastanawiano się w tym pokoju nad

zaletami i wadami unii? Nad powstaniem jakobinów i upadkiem Francji? Nad utratą kolonii i incydem herbacianym w Bostonie? Och, mnie też trudno uwierzyć, że jesteśmy w takim miejscu.

Lizzie pokręciła głową.

- Nawet boję się uszczyptać. Wiesz, jestem zmęczona podróżą. Chyba zajrzę do Tyrella, a potem udam się na spoczynek. Nie masz nic przeciwko temu?

Georgie nawet nie próbowała ukryć znaczącego uśmiechu.

- To dla ciebie prawdziwy dar losu. Wiem, że według prawa nie jesteś żoną, ale masz przecież wszystko, o czym mogłaś marzyć. A co najważniejsze, wydaje mi się, że on cię kocha.

Lizzie wcale nie była pewna, czy siostra ma rację, choć naturalnie bardzo by sobie tego życzyła.

- Mocno w to wątpię - bąknęła pod nosem.

- A ja cieszę się z twojego szczęścia - oznajmiła Georgie.

- Bernardzie? - Lizzie zwróciła się do służącego, ubranego w liberię. Imię zapamiętała natychmiast, gdy usiadła do stołu. - Czy mógłbyś przynieść mi czarkę płonącego kremu czekoladowego, który przygotowałam?

- Tak, proszę pani. - Skłonił się i opuścił jadalnię.

- Tyrell mówił o czekoladzie, a jego życzenie jest dla mnie rozkazem - wyjaśniła siostrze.

Georgie obeszła stół i cmoknęła Lizzie w policzek.

- Miłego wieczoru - pożegnała ją.

- Śpij dobrze.

Lizzie nie czuła się osamotniona. Dom odegrał swoją rolę w historii i nie sprawiał wrażenia opustoszałego. Nawet jeśli snuły się po nim duchy przodków Tyrella, to nie budziły w niej lęku. Dłuższy czas spędziła na oglądaniu zdobiących ściany portretów. Jej uwagę zwrócił szczególnie wizerunek mężczyzny, uderzająco podobnego do Tyrella. Gdy Lizzie pochyliła się nad

ramą, dostrzegła zakurzoną tabliczkę, a po starciu palcem kurzu zdołała odczytać podpis: „Stephen de Warenne, 1070-1117”.

Tymczasem wrócił Bernard, niosąc na srebrnej tacy krem czekoladowy.

- Dziękuję - powiedziała i zaskakując służącego, wyjęła mu tacę z rąk. - Sama zaniosę to jego lordowskiej mości.

- Czy mogę pomóc, proszę pani?

- Tak. Wskaż mi, proszę, drogę do biblioteki, bo jeszcze nie znam domu

Chwilę później stanęła przed dużymi, zamkniętymi drzwiami. Serce biło jej mocno. Pomyślała, że jedna noc namiętych pieszczot wystarczyła, aby całkiem pozbawić ją wstydu.

Nie starczyło jej jednak śmiałości, aby wejść bez pukania. Gdy znalazła się w środku, rozejrzała się z pewnym zaskoczeniem. Całe pomieszczenie, równie wysokie jak jadalnia, było utrzymane w kolorze ceglстым, a sufit miał jeszcze bardziej intensywny kolor i był zdobiony złoceniami i kością słoniową. Półki z książkami zajmowały dwie pełne ściany do połowy ich wysokości. Lizzie doliczyła się czterech kąców z fotelami i kanapami w różnych odcieniach czerwieni. Mniejsze meble miały najczęściej beżowe obicia i złocenia. Nad wielkim kominkiem z marmurowym gzymsem wisiało równie wielkie lustro. Mimo płonącego ognia w pokoju panował półmrok.

Tyrell siedział przy biurku w przeciwległym kącie, kilkanaście jardów od niej, i pracował przy świetle lampy oliwnej. Nigdy dotąd o tym nie myślała, w tej chwili jednak uderzyło ją, jak wysoko zaszedł. Miał dopiero dwadzieścia sześć lat, a był sekretarzem irlandzkiego komisarza podatkowego, człowieka piastującego chyba najbardziej znaczące i lukratywne stanowisko w kraju. Zasługiwał na nieklamany podziw.

- Przyniosłam poczęstunek, milordzie - odezwała się, gdy podniósł głowę, i podeszła bliżej. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Wyraźnie stracił zainteresowanie dokumentami.

- Nigdy mi nie przeszkadzasz, Elizabeth - zapewnił z uśmiechem.

Podobał jej się sposób, w jaki Tyrell wypowiada jej imię. Lubiła brzmienie jego głosu, lekko schrypnięte, zmysłowe.

- Oto płonący krem czekoladowy - oznajmiła i postawiła tacę na biurku.

- Kiedy zdążyłaś to zrobić? - zdziwił się.

- Po południu. Spiżarnie w Wicklowe są dobrze zaopatrzone, milordzie. A pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Niewątpliwie szczęście lubi się do mnie uśmiechać - stwierdził i wstał z krzesła.

- Przecież jeszcze nie spróbowałeś - odparła cicho, biorąc łyżeczkę, aby włożyć ją do czarki.

Obszedł biurko i przysiadł na blacie.

- Och, z pewnością spróbowałem już dość, żeby znać rozmiary swojego szczęścia.

Ujął ją za nadgarstek i poprowadził jej rękę tak, by po chwili łyżeczka pełna kremu trafiła do jego ust. Elizabeth znieruchomiała, czekając na werdykt.

- Czy masz jeszcze inne talenty, których dotąd nie odkryłem? - spytał.

- Smakuje ci, milordzie?

- Jeszcze nigdy nie jadłem tak wyśmienitego deseru czekoladowego - zapewnił.

- Cieszę się. - Lizzie nie kryła dumy.

Tymczasem on pochylił się nad biurkiem, zdmuchnął płomień, zanurzył palec w kremie i zanim Lizzie zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozsmarował czekoladę na jej wargach, a potem zaczął pomału ją zlizywać.

- Milordzie - szepnęła, obejmując go w pasie.

Pocałunek stał się namiętny i wyzwolił w Lizzie tak gorączkowe pragnienie, że kilka guzików koszuli Tyrella prysnęło na podłogę. Mogła położyć dłonie na jego nagim torsie, ciesząc się grą mięśni. Nawet się nie zorientowała, kiedy została w samej bieliźnie. Tyrell wciąż siedział na biurku. Zręcznym manewrem zdołał uwięzić ją między swoimi udami.

- Czy masz coś przeciwko temu? - spytał, rozkoszując się widokiem piersi, rysujących się pod cienką koszulką.

- Mam tylko jedno zastrzeżenie. Rozbierasz mnie o wiele za wolno, milordzie - odparła Lizzie, dziwiąc się swojej śmiałości.

- Uwielbiam wyzwania - odparł. Gorset ściągnął jej jednym ruchem, a koszulka opadła na ziemię przedarta na pół. Halka i długie majtki też nie sprawiły mu kłopotu. - Jeszcze jakieś zastrzeżenia? - spytał, przyglądając się Lizzie z nieukrywaną satysfakcją, a także zachwytem.

Trudno jej było cokolwiek odpowiedzieć, bo ręce Tyrella wędrowały już po jej pełnych piersiach. Czowała się w tej chwili najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Brak mi słów, żeby opowiedzieć, jaka jesteś śliczna - szepnął. - Bardzo chciałbym dać ci mnóstwo przyjemności.

Lizzie otarła się o niego.

- Sprawisz mi wiele przyjemności, milordzie, jeśli i ty zdejmiesz z siebie odzienie.

Powoli wyprostował się i zsunął z ramion pozbawioną części guzików koszulę. Lizzie patrzyła jak zahipnotyzowana, jak spodnie z sarniej skóry zsuwają się coraz niżej.

Chwilę potem zwarli się w miłosnym uścisku. Lizzie chciała powiedzieć Tyrellowi, jak bardzo go kocha i jak niezłomnie trwa w tym uczuciu od czasu, gdy uratował ją przed laty nad jeziorem. Chciała też wyznać mu prawdę o Nedzie. Nie było jednak na to czasu, bo Tyrell niósł ją na rękach, obsypując gorącymi pocałunkami.

- Jesteś taka niewinna - szepnął. - Mimo to nie spotkałem nigdy bardziej zmysłowej kobiety. Nauczę cię, najdroższa, sztuki pieszczot, jeśli tylko mi na to pozwolisz.

- Naucz mnie, milordzie, czego chcesz - powiedziała, ułożona przezeń na kanapie. - Musisz jednak to zrobić jak najszybciej.

Ukląkł nad nią, głośno się śmiejąc, a potem wtulił twarz między piersi.

- Przede wszystkim nauczę cię cierpliwości. To wielkie marnotrawstwo spieszyć się z pieszczotami.

Lizzie uniosła powieki. Ciało mówiło jej coś zgoła innego, ale Tyrell nic sobie z tego nie robił i z upodobaniem muskał wargami skórę poniżej jej piersi i na brzuchu. Ustami poczynął sobie coraz śmielej i gdy w końcu jego język rozpoczął niezwykły taniec, Lizzie krzyknęła, bliska utraty przytomności. Nie wiedziała, czy domagać się, by przestał, czy wręcz przeciwnie.

- Jak myślisz, ile jeszcze wytrzymasz? - spytał.

- Nie wiem. Dobrze mi.

- Pamiętaj, musisz powiedzieć, gdybym sprawiał ci ból. - Z tymi słowami pochylił się nad nią. Uśmiechnęła się, widząc, że na czole perli mu się pot.

- Nie możesz sprawić mi bólu, milordzie. Za bardzo cię Kocham - wyrwało jej się w oszołomieniu.

Uświadomiła to sobie, ale już dość mgliście. Tyrell znalazł się w jej wnętrzu i owładnął ją bez reszty. Złączeni miłosnym rytuałem, zmierzali coraz szybciej i gwałtowniej do wspólnego spełnienia. Lizzie zapamiętała, że gdy rozkoszomal jej nie rozerwała, trzymała w dłoniach twarz Tyrella i głośno szlochała. Zdawało jej się, że słyszy jego głos:

- Wiem to, Elizabeth! Dobrze to wiem!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dylemat moralny

Okrywając nagość prześcieradłem, Lizzie usiadła na łożu, które dzieliła z Tyrellem. Długo spała, lecz i późno zasnęła. Wspomnienia nocy przyprawiły ją o lekki rumieniec, co jednak ważniejsze, wprost promieniała po miłosnej nocy. Tyrell nie tylko pokazał, jak jej pragnie, lecz również tulił ją potem tak czule, jakby ją kochał.

Chciała wstać, nie miała jednak w co się ubrać, Tyrell przeniósł ją bowiem do swojej sypialni owiniętą szalem. Uznała, że nie ma czym się przejmować, okręciła ciało prześcieradłem i zajrzała do przyległego pokoju, gdzie miała nadzieję spotkać Tyrella. Nie zastała go, zobaczyła jednak pięknie nakryty dla jednej osoby stół.

Unoszące się aromaty pobudziły jej apetyt. Podeszła do stołu, uniosła pokrywę naczyń i zobaczyła omlet, naleśniki i kiełbaski. Obok stał piękny bukiet czerwonych róż, właśnie takich, które symbolizują miłość.

- Głodna? - rozległ się głos. Uśmiechnięty Tyrell wyszedł z sypialni. Najwidoczniej nie zauważyła jego obecności, gdy wstawiała.

- Bardzo - przyznała.

Ku jej żalowi, ze sposobu nakrycia stołu wynikało, że śniadanie zje sama bez ukochanego. Teraz dopiero zauważyła, że służąca przygotowała dla niej koszulę nocną i szlafrok.

- Mogę? - spytał, stając za Lizzie z przygotowanym do włożenia szlafrokiem.

Gdy skinęła głową, zsunął z niej prześcieradło i okrył ramiona. Odwróciła się do Tyrella, a on zamiast ją otulić miękką tkaniną, chłonał wzrokiem jej nagość i Lizzie poczuła się wyjątkowo zmysłową kobietą. Jej ciało również reagowało na te wyrazy uznania.

- Pragnę cię, milordzie - powiedziała cicho.

- Jak to możliwe? - zdziwił się. - Czyżbym nie nasycił cię w nocy?

Zarumieniła się.

- Jeszcze nigdy nie czułam się tak cudownie. A czy ty, milordzie, jesteś nasycony?

Ku jej zdumieniu, również jego policzki delikatnie się zaróżowiły.

- Nigdy nie przeżyłem tak niesamowitej nocy. Nie dałaś mi zmrużyć oka ani na chwilę. Szczerze żałuję, że mam dzisiaj aż tyle do zrobienia.

- Bardzo wiele, doprawdy - potwierdziła z uśmiechem, gładząc go uwodzicielsko. - Kobieta czeka, aż wyratujesz ją z opresji.

- Cóż, dżentelmen nie może postąpić inaczej - przyznał. - Pani, możesz się czuć zwyciężczynią.

Trzy dni później Lizzie piła z Georgie herbatę na tarasie za domem. Cieszyły się pięknym dniem i zielonymi irlandzkimi krajobrazami. Tyrell pojechał do Dublina, a Ned spał w pokoju dziecięcym.

- Proszę pani? - usłyszała za plecami głos kamerdynera Smythe'a.

Lizzie odwróciła się ku niemu i ujrzała kroczącego za kamerdynerem swojego ojca. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, z Raven Hall było bowiem do Wicklowe półtora dnia drogi.

- Papa!

Ojciec najwyraźniej nie był w dobrym nastroju. Cmoknął w policzek obie córki, widać było jednak, że myślami jest gdzie indziej. Lizzie zrozumiała, że musiało stać się coś niedobrego.

- Panie Smythe, czy możemy prosić o doniesienie herbaty i kanapek? - Gdy kamerdyner odszedł, Lizzie natychmiast uścisnęła ojca za ramię. - Czy mama jest chora?

Cofnął się o krok.

- Mama od dawna jest pogrążona w głębokiej melancholii, jakby pękło jej serce. Wspólnie sprawiłyście, że runął jej świat.

Lizzie zerknęła na siostrę.

- Papo - odparła Georgie. - W sprawie Petera Harolda długo się ze mną zgadzałeś. Naprawdę mi ulżyło, gdy się od niego uwolniłam. Nie mogę zmienić zdania.

- Peter Harold zaręczył się z pewną damą w Corku, więc bez wątpienia nie będzie już chciał o tobie słyszeć. Co ci jednak wpadło do głowy, żeby przyjechać tutaj z siostrą? Opuściły cię resztki wstydu?

Georgie skuliła się. Lizzie pojęła, że na siostrze ciąży w tej chwili potrójna wina. Po pierwsze, utrzymywała z nią kontakt. Po drugie, zerwała zaręczyny z Peterem Haroldem. Po trzecie, zamieszkała w Wicklowe, gnieździe zepsucia.

- Tu jest bardzo ładnie w lecie - odezwała się urażonym tonem Georgie. Ojciec uniósł dłoń.

- Nie szukaj usprawiedliwień, bo nie ma żadnego. Poza tym nie ty jesteś główną przyczyną cierpienia matki. - Zwrócił zdesperowane spojrzenie ku milczącej Lizzie. - Chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy.

- Papo, znam wszystkie sekrety Lizzie - włączyła się Georgie. - Nie każ mi odchodzić.

Lizzie ujęła ją za rękę.

- Może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli porozmawiamy z papą bez świadków.

Georgie z ociąganiem opuściła taras.

- Jak mogłaś to zrobić? - Głos ojca zabrzmiał oskarżycielsko.

Lizzie naturalnie wiedziała, o co chodzi.

- Jestem bardzo zakochana - wyznała.

- Jesteś jego kochanką! Jak mogłaś otwarcie tu zamieszkać! Cały świat o tym się dowiedział, wszyscy o tym mówią.

- Kocham go! - wykrzyknęła, bo cóż innego mogła powiedzieć?

- Wstydu nie masz? - W oczach pana Fitzgeralda zalśniły łzy.

Lizzie milczała. Kochała Tyrella, ale nie sądziła, że swoją decyzją tak głęboko zrani rodziców. Nigdy dotąd nie widziała ojca w stanie takiej udręki.

- To hańba! - zawołał. - Nie spodziewałem się dożyć dnia, kiedy będę się wstydził ukochanej córki!

Lizzie się! rozplakała. Czyżby papa stawiał ją teraz niewiele wyżej od kurtyzany?

- Przepraszam.

- To nie wystarczy! Poza tym za późno, nie sądzisz? Nawet jeśli teraz stąd wyjedziesz, nie zamaże to ostatnich tygodni. Nikt nie zapomni ci tego, co uczyniłaś, a twoja siostra nie znajdzie porządnego kandydata na męża. Twoja matka i ja zostaliśmy odsunięci od towarzystwa. Jesteśmy definitywnie i nieodwołalnie skompromitowani.

Lizzie poczuła wyrzuty sumienia. Jednak w Wicklowe po raz pierwszy w życiu była szczęśliwa.

- Nie mówię o sobie - ciągnął pan Fitzgerald. - Mnie nigdy nie interesowały te przekłete bale i przyjęcia, ale mama straciła przyjaciółki. Nie dostaje ostatnio żadnych zaproszeń. Jak będzie dalej wyglądało jej życie?

Po policzkach Lizzie płynęły łzy.

- Nie przyszło mi do głowy, że mama zostanie wyklęta w towarzystwie - przyznała. - Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Pragnęłam jedynie, aby Tyrell uznał Neda za swojego syna.

Pan Fitzgerald przykląkł przed córką i ujął ją za rękę.

- A co z tobą, Lizzie? Jestem przekonany, że go kochasz. Nikt lepiej ode mnie nie wie, że inaczej nie zachowałabyś się w ten sposób. Jednak twój ukochany jest zaręczony z inną. Na jesieni ją poślubi. Co wtedy zrobisz? Będziesz jego drugą kobietą? Czy to też da ci szczęście?

Lizzie dobrze wiedziała, że ostatnio unika myślenia o przyszłości i stara się nacieszyć każdą chwilą spędzoną z Tyrellem.

- Mężczyźni nie trzymają podstarzałych kochanek, Lizzie. Co zamierzasz zrobić, do diabła, kiedy on cię rzuci? - nie ustępował pan Fitzgerald.

- Nie wiem - szepnęła, zdruzgotana tą perspektywą.

Pan Fitzgerald wstał i otarł chustką oczy. Lizzie patrzyła na to ze zgrozą. Była naiwna, sądząc, że może nie przyjmować do wiadomości tego, co dzieje się z rodziną.

- Kocham cię - odezwał się pan Fitzgerald - ale nie mam wyboru. Muszę zaopiekować się mamą i uratować Georginę, jeśli w ogóle jest to możliwe.

- Papo, nie!

- Georgie wraca ze mną do domu - oznajmił stanowczo. - A ciebie, Lizzie, wydziedziczam.

Zamknęła oczy. W pierwszej chwili ogarnęło ją niedowierzanie, zaraz jednak wyparła je trwoga.

- Nie!

- Nie mam wyboru, jeśli chcę ocalić reputację reszty rodziny - powiedział łamiącym się głosem pan Fitzgerald i ukrył twarz w dłoniach.

To prawda. Publiczne wydziedziczenie ratowało twarz rodziny i dawało jej szansę na powrót do szanowanych kręgów towarzyskich.

- Przepraszam - rzekł zrozpaczony pan Fitzgerald. - Nie możesz być dłużej moją córką.

- Rozumiem - szepnęła Lizzie.

Pan Fitzgerald odwrócił się i zmartwiał. Stała za nim Georgie. Po policzkach płynęły jej łzy, lecz głowę trzymała wysoko.

- Zostaję z Lizzie - oświadczyła.

Pan Fitzgerald odjechał, nie sposób było jednak ustalić, czy Georgie również została wydziedziczona po tym, jak odmówiła powrotu do Raven Hall.

Gdy Tyrell wrócił przed siódmą, Lizzie i Georgie siedziały przy stole w ponurym milczeniu. Ponieważ grobowy nastrój trwał, Tyrell zerkał to na jedną, to na drugą z coraz bardziej zatroskaną miną.

Podano udziec jagnięcy z ziemniakami i fasolką szparagową. Lizzie nie miała apetytu. Chciała napić się łyk wina, musiała jednak cofnąć rękę, którą wyciągnęła po kieliszek, tak bardzo jej drżała. Czując na sobie wzrok Tyrella, ujęła nóż i widelec.

- Co tu się dzieje? - spytał w końcu. Lizzie odłożyła sztućce.

- Mam migrenę, milordzie - skłamała. Georgie zerwała się z miejsca.

- Milordzie, Lizzie musi się położyć. Przepraszamy bardzo! - Przesłała mu uśmiech i obeszła stół, aby pomóc siostrze wstać. Lizzie przytrzymała ją za rękę.

- Źle się czuję - zwróciła się do Tyrella. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym teraz cię opuściła?

- Nic a nic - odrzekł, mierzając ją przenikliwym wzrokiem. - Mam posłać po lekarza?

W odpowiedzi Lizzie tylko wzruszyła ramionami. Georgie wyprowadziła ją z pokoju. Pierwsze słowa zamieniły dopiero w apartamentach pani domu.

- Zadzwoń na służbę, aby przyniesiono wino? - spytała Georgie.

Lizzie bezsilnie opadła na kanapę przy kominku.

- Georgie, co ja zrobiłam? Siostra usiadła obok niej.

- Nie wiem, ale byłaś bardzo szczęśliwa, Lizzie.

- Mama nie ma przyjaciółek! Nikt ich nie odwiedza... nie dostają zaproszeń. Mama umrze!

- Nic podobnego - orzekła Georgie. - Nikt nie umiera dlatego, że jest mu smutno.

- Co mam począć? Zniszczyłam dobre imię rodziny. Czy to nie samolubstwo? Czy nie jest to godne potępienia?

- Nawet nie myśl o tym, żeby od niego odejść - ostrzegła Georgie.

- Naprawię to - obiecał, ujmując w dłonie twarz Lizzie. - Dopilnuję, aby zapraszano ich na wszystkie przyjęcia i bale w Adare. Rozciągnę na nich opiekę, którą otoczyłem ciebie. Nie płacz, moja miła.

- Naprawdę mógłbyś to zrobić? - Zaświtał jej promyk nadziei.

- Naturalnie, Elizabeth. Poruszyłbym niebo i ziemię, żeby ulżyć ci w bólu. Dopilnuję, aby twoją rodzinę przyjmowano w towarzystwie. Nie możesz mnie teraz zostawić! - dodał z groźnym błyskiem w oczach.

Lizzie nie rozumiała, w jaki sposób Tyrell domyślił się, że znalazła się o krok od powrotu do Raven Hall. Jego interwencja była naturalnie bardzo pożądana, ale nie załatwiała wszystkiego. Pozostawała kwestia przyszłości, w której przecież nie było dla niej miejsca.

- Elizabeth - odezwał się takim tonem, jakby podążał za jej myślami. - Spójrz na mnie, proszę.

- Byłam taka szczęśliwa - szepnęła, posłusznie unosząc głowę.

- Wiem. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Chodź. - Oczy mu pociemniały. - Wezmę cię do łóża.

Nie miała nastroju do pieszczot, poza tym wiedziała, że to niczego nie rozwiąże.

- Czy naprawdę wprowadzisz moich rodziców do towarzystwa? Czy to w ogóle jest możliwe? - dopytywała się Lizzie.

Zanim odpowiedział, pocałował ją namiętnie, a ona poczuła, że jej opór słabnie.

- Zwykle daję słowo po to, aby go dotrzymać. Nie martw się o rodziców - powiedział, po czym znów ją pocałował.

Lizzie stanęła niespodziewanie wobec dylematu moralnego. Czy ojciec jej wybaczy, jeśli rodzice będą ponownie wszędzie przyjmowani? Czy mama będzie szczęśliwa? Może w tej sytuacji mogłaby jeszcze trochę zostać w Wicklowe z Tyrellem?

- Elizabeth! - przywołał ją do porządku Tyrell. Niewątpliwie wyczuł, że ma w tej chwili tylko jej ciało, a myśli, dla niego niedostępne, wędrują gdzieś daleko. - Nie opuścisz mnie - powiedział szorstko. - Ani teraz, ani potem. Poradzimy sobie razem.

Czuła bijącą od niego siłę, a poza tym tak naprawdę wcale nie chciała go zostawić.

- Nie odejdę - potwierdziła, gdy scałowywał jej łzy z policzków, walcząc jednocześnie z guzikami na plecach sukni. W myślach dodała jednak: „Jeszcze nie teraz”.

Tyrell uświadomił sobie, że wschodzi słońce. Różowawy blask zaczynał wlewać się do pokoju. Ściskając głowę w dłoniach, usiadł na kanapie przy kominku. Był ubrany jedynie w spodnie, a u jego stóp stała pusta szklanka. Żar już prawie dogasi, ale gdy Tyrell przyszedł tutaj przed kilkoma godzinami, zostawiając smacznie śpiącą Elizabeth, w kominku płonął ogień. Roztarł skronie, niestety, ból głowy tylko się nasilił.

Przypomniawszy sobie słowa, którymi pożegnał go Rex. Wiedział, że brat ma rację. Elizabeth zasługiwała na to, aby żyć szczęśliwie z mężem w swoim domu, a nie znosić hańbę u boku kochanka. W dodatku uważała się za samolubną. Ona! To przecież on

osiągnął szczyty egoizmu, szantażem zmuszając Lizzie, aby została jego kochanką. Skompromitował ją. Ani przez chwilę nie pomyślał o jej przyszłości. Jednak nie wyobrażał sobie bez niej życia. Nie chciał, żeby odeszła. Co gorsza, nie mógł też pozwolić, żeby została.

Elizabeth zasługiwała na dużo więcej, niż od niego dostała. Przede wszystkim na to, aby nosić jego nazwisko. Jednak dopóki on pozostaje dziedzicem ojca, nic w jego małżeńskich planach się nie zmieni. Za kilka miesięcy poślubi Blanche Harrington i zabezpieczy przyszłość rodziny. Musi

spełnić obowiązek i na wszelki wypadek uprzytomnił sobie, że jest to przywilej, a nie ciężar. Kiedy jednak pomyślał o przyszłości bez Elizabeth, jego dylemat jeszcze bardziej się pogłębił.

Nie tak to sobie wyobrażał. Chciał chronić Elizabeth i dać jej szczęście, a nie skazać ją na wstyd i rozpacz. Mimo wszystko powinien pozwolić jej odejść. Wstrząśnięty tą konstatacją, zerwał się na równe nogi. Nie, nigdy!

Lato dobiegało końca, minęły trzy tygodnie. Lizzie siedziała z piórem w dłoni przy biurczku w stylu Ludwika XIV w przytulnym saloniku, z którego często z Georgie korzystały. Próbowała napisać list do rodziców. W ostatnich tygodniach byli dwukrotnie na przyjęciu w Adare, a ostatnio otrzymali zaproszenie do Askeaton, gdzie mieszkał teraz kapitan O'Neill, syn hrabiny z pierwszego małżeństwa, wraz ze swoją żoną i córką. Lizzie miała nadzieję, że wkrótce rodzice zaczną z powrotem obracać się w dawnych kręgach. Liczyła też na to, że papa nie jest na nią zły.

Długo na kartce widniał jedynie nagłówek: *Drodzy Rodzice*. W końcu jednak zdołała skupić myśli i przystąpiła do pisania.

Lato minęło wyjątkowo przyjemnie, wiele było długich, słonecznych dni, a deszcz padał tylko z rzadka. Mam się dobrze, podobnie jak Ned i Georgie. Większość czasu spędzamy na miejscu w Wicklowe, a posiłki często jemy na dworze, jakbyśmy urządzali piknik. Raz byliśmy w Dublinie po zakupy. Ned uczy się jeździć konno i bardzo mu się to podoba. Ojciec kupił mu walijskiego kucyka z gwiazdką na czole i czterema białymi skarpetkami. Ned nazwał go Knotem, co bardzo wszystkich bawi.

Tęsknimy za Wami bardzo i ufamy, że czujecie się dobrze.

Wasza oddana córka - Lizzie

Miała nadzieję, że taki list, który niczego nie wyjaśnia i nie zawiera prośby o przebaczenie, mimo wszystko wystarczy. Może ponownie wciągnęci w wir życia towarzyskiego rodzice, wybaczą jej kompromitację rodzinnego nazwiska.

Wstała i się przeciągnęła. W niedzielne popołudnie Tyrell nie musiał siedzieć w Dublinie. Wybrał się z ogrodnikiem obejrzeć działki ostatnio przyłączone do majątku. Zapowiedział jednak, że chce, aby urządzili sobie piknik tylko we dwoje, nawet bez Neda. Z uśmiechem podeszła do okna od frontu, zastanawiając się, czy nie dostrzeże Tyrella. Niestety, nie udało się, zobaczyła natomiast toczący się po podjeździe powóz.

Przez ostatnie tygodnie składano im wizyty kilkakrotnie. Odbyło się też kilka wieczornych przyjęć.

Tyrell miał zobowiązania towarzyskie, od których nie mógł się uwolnić, a ku zdziwieniu Lizzie, nikt z zaproszonych nie zareagował na jej obecność nawet mrugnięciem powieki. Przedstawiano ją jako gościa, wszyscy jednak wiedzieli, że jest matką Neda i że mieszka z Tyrellem. Mimo to kilkoro sąsiadów zaprosiło ją w odwiedziny. Tyrell bardzo ją namawiał, żeby korzystała z tych zaproszeń.

- W Limerick jestem skompromitowana, ale tutaj nikogo nie interesuje moja pozycja - powiedziała kiedyś Tyrellowi, tuląc się do niego wieczorem. Spędzała w jego łóżu każdą noc.

- Niemal wszyscy, którzy gościli w Wicklowe, mają kochanki lub kochanków. Nie stanowimy wyjątku, lecz regułę.

Lizzie знаła ten stereotyp, twierdzono, że w najwyższych klasach społecznych niewierność jest powszechna, ale wcześniej nie bardzo w to wierzyła.

- Przecież mieszkam w twoim domu.

- I dlatego pozostajesz pod moją opieką. - Tyrell pogłaskał ją po policzku.

- Lord Robieson ma trzech bękartów i wszyscy mieszkają razem z jego dwiema prawowitymi córkami. Kochanka ma oddzielny dom.

Lizzie była z wizytą u żony lorda, sympatycznej, pulchnej kobiety z temperamentem.

- Lady Robieson wydaje się nie mieć nic przeciwko temu układowi.

- Sama jest znana z tego, że zmienia kochanków jak rękawiczki.

Lizzie zrobiła wielkie oczy.

- Może to nie jest stosowne, ale tak wygląda życie w naszych czasach.

Lizzie zaczęła rozważać, czy Tyrell uważa ich związek za naganny, tak jak ona, gdy uczciwie się nad tym zastanawia. Znała go już na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie pochwała cudzołóstwa. Musi być bardzo niezadowolony z tego, że łamie własne zasady moralne.

- Czyli po prostu przypominamy innych? - spytała zafrasowana.

- Tak. - Tyrell uciekł spojrzeniem.

Lizzie powstrzymała się przed wypowiedzeniem uwagi, że to wcale nie czyni ich postępowania właściwym.

Tyrell ujął w dłonie jej twarz.

- Czy jesteś szczęśliwa w Wicklowe?

Lizzie chciała go zapewnić o swojej miłości, która będzie trwała bez względu na wszystko, ale powiedziała tylko:

- Dajesz mi znacznie więcej niż zwykle szczęście.

Intuicja podpowiadała jej, że Tyrell też nie jest wolny od trosk. Chciała wierzyć, że dotyczą one przede wszystkim spraw wagi państwowej.

Tymczasem jednak rzeczywistość dała o sobie znać za pośrednictwem kolejnego gościa.

Powóz minął fontannę i znajdował się na ostatnim odcinku podjazdu. Ciągnęła go szóstka wspaniałych koni.

Lizzie przestraszyła się nie na żarty. To nie była zwykła sąsiedzka wizyta. Co gorsza, elegancki pojazd wydał jej się znajomy. Nagle zrozumiała, do kogo należy. Do lorda Harringtona!

Wydawało się to niemożliwe. Powinien przebywać w Londynie albo w swoim letnim domu. Może wysłał gońca? Ale goniec nie jechałby takim powozem i o tym Lizzie doskonale wiedziała.

Chwilę potem poznała wysiadającego z pojazdu mężczyznę i straciła wszelką nadzieję. Zegar, który słyszała tyle razy w głowie, odmierzający jej godziny, minuty i sekundy w Wicklowe, nagle się zatrzymał.

Sploszona, otworzyła drzwi na taras. Dostrzegła Tyrella, stojącego z ogrodnikiem niedaleko podjazdu. Obaj obserwowali powóz. Harrington zauważył gospodarza i zmierzał w jego kierunku. Tyrell uniósł rękę na powitanie. Chwilę później wymienili uścisk dłoni.

- Lizzie! - Odwróciła się, słysząc wołanie siostry. Georgie stała na progu salonu. - Przyjechał lord Harrington!

- Wiem.

- Co robimy? Co ty zrobisz? - Georgie chyba pierwszy raz w życiu wpadła w panikę.

- Nie mam pojęcia. - Instynkt podpowiadał Lizzie, żeby się ukryć.

- Nie możesz stać na tarasie!

Wróciła jej trzeźwość umysłu. Nie była tutaj panią domu, mimo że Tyrell stworzył takie pozory. Szacunek okazywany jej przez służbę i sąsiadów nie miał znaczenia.

Była tylko kochanką, a u drzwi stał przyszły teść Tyrella. Szybko cofnęła się do pokoju i razem z Georgie pobiegły przez wschodnie skrzydło.

Nagle Georgie przystanąła, chwytając siostrę za nadgarstek.

- Twoje pokoje są w zachodnim skrzydle! - zawołała. - Przecież nie mogę iść do apartamentów pana domu.

- Och, masz rację. Lepiej chodź do mnie. Dlaczego on nie zapowiedział przyjazdu?

- Powiem ci dlaczego. Lord Harrington usłyszał plotki w Londynie. Chciał przekonać się, czy Tyrell rzeczywiście mieszka tutaj ze mną. - Była bliska płaczu. - To jedyny powód jego przyjazdu.

Przyszłość, nad którą dotąd Lizzie starała się nie zastanawiać, stała się terażniejszością.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Najwyższe poświęcenie

Pokoje Georgie znajdowały się naprzeciwko pokoju dziecięcego. Gdy tylko zamknęły za sobą drzwi, Lizzie stanęła przed siostrą.

- Dlaczego milczysz? Wiem, o czym myślisz.

- Sytuacja jest wyjątkowo niezręczna.

- Mnie wydaje się raczej kompromitująca - odparła Lizzie.

Nawet w takiej chwili Georgie starała się zachować spokój.

- Kochacie się, a w tym nie ma niczego kompromitującego. Niestosowne jest to, że Tyrell nie chce pójść po rozum do głowy, zerwać zaręczyn i zaprowadzić cię do ołtarza.

Nocą wszystko było prostsze. Lizzie była pewna, że Tyrell ją kocha. W dzień nie wydawało się to już takie oczywiste.

- Dziedzice hrabiów nie żenią się z córkami zubożałych ziemian. Dobrze o tym wiesz.

- To się zdarza! - wykrzyknęła Georgie. - Mógłby przecież ożenić się z miłości. Jest wystarczająco bogaty, żeby postąpić tak, jak mu się podoba.

Czy Georgie nie miała przypadkiem racji? Zmieszana Lizzie wołała szybko zmienić temat.

- Czy powinnam zostać w twoich pokojach aż do wyjazdu Harringtona? Nie możemy przecież zejść na kolację, prawda? I co z Nedem? Zatrzymać go w pokoju dziecięcym?

Georgie dotknęła jej ramienia.

- Musisz przy pierwszej nadarzającej się okazji porozmawiać z Tyrellem.

On na pewno wie, jak należy postępować.

Jak należy postępować... W głębi duszy Lizzie też doskonale to wiedziała.

- Nie powiedziałam ci o czymś, Georgie. Podglądałam lady Blanche.

- Co takiego?!

- Wkradłam się na bal zaręczynowy.

- I co?

- Ona jest piękna. Elegancka, pełna wdzięku i na pierwszy rzut oka bardzo sympatyczna.

- Oczekiwałaś może, że okaże się brzydka, gruba i swarliwa?

- Ona świetnie do niego pasuje - powiedziała ze smutkiem Lizzie. - Na pewno zakocha się w Tyrellu, a on z pewnością będzie zachwycony taką elegancką i światową Angielką. Myślę, że również ją pokocha. Pragnę, żeby był szczęśliwy, a jego szczęście to Blanche Harrington.

Georgie chwyciła Lizzie za rękę.

- A co z tobą? Kochasz Tyrella już tyle lat. Sama o nic nie prosiłaś. To on postanowił, że zostaniesz jego kochanką. Jesteś szczęśliwa i w pełni na to zasługujesz. Naturalnie rozumiem, do czego zmierzasz, dobrze to rozumiem!

- Słucham? - odezwał się Tyrell od drzwi.

Lizzie odwróciła się, nie wiedząc, jak długo stał w progu. Miała poczucie, że jej świat rozsypie się na drobne kawałki.

- Milordzie...

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział, wpatrując się w Lizzie. - Kochanie, muszę z tobą porozmawiać.

Georgie natychmiast opuściła pokój, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Nieoczekiwanie przyjechał lord Harrington - rzekł Tyrell.

- Wiem. Widziałam.

Podszedł do Lizzie i ujął ją za rękę.

- Tak mi przykro!

- Musiał usłyszeć o naszym romansie. Niemożliwe, żeby taka wizyta bez uprzedzenia miała inny powód.

- On twierdzi, że spędził weekend u lorda Montague na południu i zupełnie niespodziewanie wpadł na ten pomysł - wyjaśnił, nie puszczając jej rąk.

- Wierzysz mu?

- Nie.

Lizzie powtarzała sobie raz po raz, że nie wolno jej płakać. To przecież niczego nie zmieniało.

- Może lord Harrington życzy sobie porozmawiać o twoim małżeństwie. Posepna mina Tyrella potwierdziła przypuszczenie Lizzie.

- Nie ma w tym niczego zaskakującego - powiedział, odwróciwszy się do niej bokiem. - Oboje wiemy, że jestem zaręczony.

Lizzie poczuła narastający ból w skroniach. Trudno jej było skupić myśli.

- Czego po mnie oczekujesz, milordzie? Czy mam spakować rzeczy i opuścić ten dom w środku nocy, kiedy wszyscy śpią? - Dopiero gdy wypowiedziała te słowa, w pełni pojęła dramatyzm swojego położenia.

- Nie. - Uścisnął mocno jej rękę. - Jego przyjazd tutaj niczego nie zmienia, Elizabeth. Niczego!

- Przeciwnie, zmienia wszystko - zaoponowała.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Nie była jednak w stanie mu odpowiedzieć. Przecież jej życie już się skończyło.

- Nie płacz, Elizabeth. Wszystko będzie tak jak dotąd. Chcę trzymać cię w ramionach każdej nocy. Każę przenieść twoje rzeczy do pokoju sąsiadującego z pokojem twojej siostry, ale tylko na kilka dni.

Lizzie nie potrzebowała jego współczucia. Próbowwała go odepchnąć, ale jej na to nie pozwolił. Poddała się więc i wtulona w jego pierś, usiłowała zapanować nad rozpaczą.

- Ona przygotowuje się w Londynie do ślubu - powiedziała łamiącym się głosem.

- Pewnie tak.

- Czy ślub odbędzie w Adare?

- W Londynie - odparł beznamiętnie. - Masz wszelkie prawo znać szczegóły. Piętnastego września w katedrze Świętego Pawła.

- Rozumiem. - Starła się ze wszystkich sił spojrzeć na to, co się dzieje, z boku, tak jakby oglądała przedstawienie w teatrze. - Został miesiąc. Kiedy wyjeżdżasz do Londynu?

- Za dwa tygodnie.

Odkąd przybyła do Wicklowe, żyła dniem dzisiejszym, bez przyszłości. Przyjazd lorda Harringtona oznaczał definitywny koniec tego dziwnego stanu.

- Spędzę dwa tygodnie w Londynie i wrócę do Wicklowe. Mam przecież stanowisko w Dublinie - powiedział Tyrell.

Lizzie spojrzała na niego zdezorientowana. A co z Nedem?

- Wiele nad tym myślałem - podjął Tyrell. - Kupię dom w Dublinie, jaki tylko sobie zażyczysz. Zamieszkasz tam z Nedem i z siostrą, a ja będę mógł codziennie przychodzić w odwiedziny. Nie zostawisz mnie - zakończył ostrzegawczym tonem.

Lizzie wiedziała, że jeśli spróbuje teraz coś powiedzieć, łzy popłyną i nie będzie umiała ich powstrzymać. Nagle zobaczyła, że Tyrell przed nią klęka.

- Proszę, nie płacz. - Zawahał się. - Tak bardzo cię pragnę. Zresztą wiesz o tym, prawda?

Nawet nie była w stanie się uśmiechnąć.

- Ślub z Blanche to mój obowiązek wobec rodziny i Adare. Odkąd przyszedłem na świat, wychowywano mnie tak, abym na pierwszym miejscu stawiał de Warenne'ów. Adare to ja. Muszę myśleć o następnych pokoleniach.

Wydało jej się dziwne, że w jego głosie słyszy panikę.

- Nie chcę cię odwozić od wypełnienia obowiązku. Nigdy tego nie chciałam.

Musnęła jej wargi w lekkim pocałunku.

- Elizabeth! Nic się nie zmienia!

Wiedziała, że to nieprawda. Chciała jedynie wypłakać wszystkie swoje żale, nie wolno jednak było jej tego zrobić przy Tyrellu. Nie mogła wyjawić mu, że odchodzi, bo za nic by jej nie puścił. Nie patrząc na niego, powiedziała:

- Ja też cię pragnę. Milczał.

- Tyrell, chcę zostać sama.

- Nie podoba mi się ten ton - odparł wyraźnie zaniepokojony.

- Wobec tego przepraszam. - Nie była w stanie wykrzesać uśmiechu.

Ujął jej twarz w dłoń.

- Moja miła, nic się nie zmieni. Kupię ci nie mniej wspaniały dom niż ten, każdego dnia będę z tobą i postaramy się o następne dzieci.

- Nie mów tak! - Mocno zacisnęła powieki, ale łzy i tak przedostały się przez tę zaporę.

Objął ją mocno.

- Nie wolno ci mnie opuścić. - Zabrzmiało to jak rozkaz.

Nie odpowiedziała.

Dopiero kiedy została sama w pokoju, uświadomiła sobie wszystkie konsekwencje swojej decyzji. Ned jest de Warenne'em. Musiała zostawić go z ojcem. Za bardzo kochała chłopca, aby pozbawić go należnych mu praw, i za bardzo kochała Tyrella, żeby próbować rozdzielić go z synem. Przed odjazdem musiała jeszcze wyjawić mu prawdę. Brakowało jej odwagi, by zrobić to osobiście, zdecydowała się więc na list.

Georgie próbowała ją pocieszać, ale Lizzie nie chciała z nią rozmawiać. Jej postanowienie w każdej chwili mogło runąć, a powinna przecież zrobić to, co należy. Niespodziewanie rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi pokoju.

- Panno Fitzgerald, panno Fitzgerald!

To była Rose. Przestraszona nie na żarty Lizzie otworzyła drzwi.

- Czy z Nedom wszystko w porządku?

- Tak, ale nie wiem, co robić. Jego lordowska mość jest w pokoju dziecięcym. Jest z Nedom!

Lizzie nie rozumiała, co się dzieje, była jednak pewna, że nie chce widzieć Tyrella.

- Pan wicehrabia! - dodała Rose.

Lizzie wybiegła z sypialni, przejęta lękiem o chłopca. Przystanęła przed otwartymi drzwiami pokoju dziecięcego, a za nią Rose, obie niepewne, czego się spodziewać.

Harrington był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu z siwymi włosami, bardzo eleganckim i przystojnym. Siedział na kanapie z Nedom, który trzymał w rączce zabawkę i przyglądał się starszemu panu dość nieufnie.

Instykt popychał Lizzie do pokoju. Chciała zażądać, aby Harrington natychmiast zostawił jej syna w spokoju. Rozsądek podpowiadał jednak, że nie należy tego robić. Tymczasem chłopiec podał zabawkę wicehrabiemu. Ten podziękował z poważną miną. Najwyraźniej zauważył obecność Lizzie, wstał bowiem i skłonił przed nią głowę.

- Panna Fitzgerald, jak wnoszę?

Lizzie zdobyła się na dygnięcie, po czym zmierzyła wzrokiem Harringtona, który odwzajemnił się nie mniej uważnym spojrzeniem. Zapadło niezręczne milczenie.

- Mama! - krzyknął zachwycony Ned. Zgramolił się z kanapy i podbiegł do niej, by przysiąść u jej stóp. Lizzie przyklękła, żeby go podnieść, ale chłopiec odepchnął jej rękę. - Ned sam! - oznajmił i chwytając się jej spódnicy, zdołał się podźwignąć, po czym popatrzył z dumą na Lizzie.

Pochwaliła go i powoli wstała.

- Milordzie - zwróciła się do Harringtona. - Co sprowadza pana do pokoju dziecięcego?

- Chciałbym z panią porozmawiać - odparł takim tonem, jakby nie dopuszczał możliwości odmowy.

- Naturalnie. - Nie miała ochoty na tę rozmowę, musiała się jednak przekonać, czego chce ten człowiek.

- Widzę, że dziecko ma wiele z ojca - zauważył. - Musi pani być bardzo dumna z syna.

- Owszem.

- Wyznam, że nie tak sobie panią wyobrażałem.

Lizzie nie odpowiedziała, bo ta uwaga wydawała się dość obcesowa.

- Spodziewałem się starszej i doświadczonej kobiety. Ile pani ma lat?

- Skończyłam osiemnaście.

- A pani rodzina?

- Fitzgeraldowie z Raven Hall - odparła. - Z arystokracji i ziemskiej, której ostatnio gorzej się wiodło. Przed wiekami mój przodek był hrabią całej południowej Irlandii.

Uniósł brwi.

- Powinienem rozumieć, ale nie potrafię. Pani, a także Tyrell, ostentacyjnie pokazujecie się w towarzystwie w przededniu ślubu Tyrella z moją córką.

- Przykro mi - powiedziała szczerze Lizzie. - Naprawdę mi przykro!

Wyraz zdziwienia widoczny na twarzy Harringtona jeszcze się pogłębił.

- Kochałam go całe życie. Odkąd w dzieciństwie ocalił mnie przed pewną śmiercią. Jestem tutaj dlatego, że serce zapanowało nad rozsądkiem.

Harrington nawet nie drgnął.

- Czy Tyrell panią kocha?

- Tego nie jestem pewna. Czasem mi się tak wydaje... mam taką nadzieję... ale nie wiem.

- Proszę usiąść, panno Fitzgerald. Chcę pani coś opowiedzieć.

Lizzie zajęła miejsce sztywno wyprostowana, zastanawiając się, do czego dąży Harrington. Tymczasem on podszedł do okna. Na tle nieba ciągnęły się w oddali zielone, porośnięte lasem wzniesienia.

- Blanche zawsze wiedziała, że pozwoliłbym jej wyjść za mąż z miłości. - Odwrócił się i spojrzał na zaskoczoną tym oświadczeniem Lizzie. - Kilka lat temu prosiłem ją nawet, żeby sama wybrała kandydata. Pieniądzy nie potrzebujemy, a koneksje mam znakomite. Moja córka jest wielką dziedziczką. Wprawdzie nie ma imponującego tytułu, za to naszego majątku nie muszę już powiększać.

- Po co mi pan to wszystko mówi? - spytała Lizzie.

Uniósł rękę.

- Blanche ma teraz dziewiętnaście lat, a ja dość długo czekałem, żeby przybiegła do mnie z promienną miną i powiedziała, kogo chce poślubić. Ten dzień nigdy jednak nie nadszedł, a ja zwątpilem, czy jest na to szansa.

Nagle zaczęła tego słuchać z wielkim zainteresowaniem. Harrington usiadł na kanapie.

- Moja córka nie przypomina innych kobiet, panno Fitzgerald, i to nie jest jej wina.

To brzmiało bardzo zagadkowo.

- Czy pani wie, że przez ostatnie trzynaście lat nikt nie widział u niej jednej łzy? Ona nie płacze, bo nie rozpacza. W ogóle nie sposób wytrącić jej z równowagi. Wydaje się zarówno niezdolna do okazywania lęku, jak i radości.

- Dlaczego? - spytała Lizzie.

- Kiedy miała sześć lat, tłum brutalnie zamordował jej matkę. Ja też tam byłem i nie mogłem się przebić przez ciżbę, żeby im pomóc. Blanche stała przy matce. Jakiś zbir chwycił ją i po prostu rzucił nią jak kamieniem. Kiedy odzyskała przytomność wiele godzin później, niczego nie pamiętała.

- To straszne. - Lizzie była wstrząśnięta.

- Utrata pamięci to było dla niej prawdziwe błogosławieństwo, ale od tego dnia moja córka przestała się również śmiać i zapomniała, jak się płacze. -
Wstał. - Nie spodziewałem się spotkać tu kogoś takiego jak pani. Dlatego właśnie podzieliłem się z nią tą bardzo osobistą historią.

Lizzie już rozumiała, co nastąpi.

- Tyrella wybrałem z wielką starannością. To wybitny człowiek, honorowy i życzliwy, a w dodatku pochodzący ze znakomitej rodziny. Jest tym, kogo chcę widzieć u boku mojej córki, i liczę na to, że któregoś dnia Blanche go pokocha, nawet jeśli najpierw musi się nauczyć miłości.

Wzruszona Lizzie uroniła łzę.

- Wiem, że on wspaniale się nią zaopiekuje. Modłę się codziennie, żeby Blanche go pokochała, nawet gdyby miało to trwać bardzo długo. Czy po tych okropnych przejściach moja córka nie zasługuje na miłość, panno Fitzgerald?

- Na pewno zasługuje.

- Mama? - odezwał się wyraźnie zatroskany Ned. Lizzie wzięła go za rękę.

- Wszystko dobrze, Ned - szepnęła, wiedząc, że wypowiada największe kłamstwo swojego życia.

Harrington czekał.

- Nie ma się pan czego obawiać z mojej strony - powiedziała Lizzie, wstając. - Wyjeżdżam. Nie jestem kurtyzaną, więc decyzja, żeby tutaj zamieszkać, była bardzo trudna. Teraz utwierdziłam się w podjętym postanowieniu. Nie zamierzam stawać na drodze pańskiej córce, lordzie Harrington.

- Dziękuję - odrzekł z szacunkiem.

- Mam jedną prośbę - powiedziała po chwili. Znow wyraźnie zeszywniał.

- To zrozumiałe.

- Miejsce Neda jest przy ojcu. Chcę, aby jako dżentelmen dał pan słowo, że pańska córka będzie dla niego dobrą, kochającą matką i że na niczym nie będzie mu zbywało.

- To obiecuję.

Lizzie otarła łzy, które teraz płynęły jej ciurkiem po twarzy.

Harrington skłonił się głęboko i wyszedł.

Lizzie wpatrywała się w sufit, obserwując, jak jaśnieje wraz z nadchodzącym coraz wyraźniej świtem. Płakać nie miała siły już od dawna. Każdy oddech sprawiał jej ból. Za godzinę Tyrell powinien wyjechać do Dublina. Wkrótce po tym ona opuści Wicklowe. Postanowiła udać się do Glen Barry, wiedziała bowiem, że tam należy obecnie szukać ciotki. Nie sądziła, by jeszcze kiedyś spotkała Tyrella. Największe cierpienie sprawiała jej jednak świadomość, że może już nigdy nie zobaczy Neda.

Nagle usłyszała trzask drzwi salonu, przylegającego do sypialni. Zaskoczona, pozwoliła sobie na chwilę nadziei. Nasłuchiwała znajomych kroków, które wyraźnie się zbliżały. Gdy zabrzmiały spod samych drzwi, odetchnęła z ulgą. A więc jednak jeszcze raz się zobaczą.

Zamknęła oczy, rozumiejąc, że musi udawać uśpioną. Gdyby spróbowała cokolwiek powiedzieć, natychmiast przejrzałby jej zamiar. Kroki zbliżyły się. Wstrzymała oddech. Łóżko się ugięło, poczuła dłoń głaszczącą jej ramię, policzek. Tyrell odsunął jej z twarzy pasmo włosów.

Potem westchnął, wstał i zaczął się oddalać.

- Tyrell! - Zerwała się z łóżka.

Odwrócił się, a Lizzie padła mu w ramiona. Tulila twarz do jego piersi, starając się zapamiętać towarzyszące temu wrażenia. Żegnała się z nim, choć on o tym nie wiedział.

- Myślałem, że śpisz. Nie chciałem cię zbudzić, Elizabeth. Wiem, jakie to dla ciebie bolesne. - Pogłaskał ją po grubym warkoczu, w jaki zaplotła włosy na noc.

Lizzie nie była w stanie nic powiedzieć. Przychodziło jej do głowy tylko „kocham cię”, zupełnie nieprzydatne w tej sytuacji.

- Elizabeth, to jest trudne również dla mnie. Razem przetrwamy.

Lizzie uświadomiła sobie, że Tyrell cierpi wcale nie mniej niż ona.

- Chciałem dać ci szczęście, a tymczasem przeze mnie płaczesz.

- Byłam szczęśliwa...

- Wielu mężczyzn ma dwie rodziny. Nawet teraz, kiedy to mówię, widzę w twoich oczach wątpliwości. Musisz mi zaufać.

Zdradziecki głos we wnętrzu podszeptował jej, żeby zostać. Tylko że to nie zmieniłoby niczego.

- Zawszę będę ci ufać, Tyrellu.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją namiętnie.

Jej ciało natychmiast odpowiedziało, Lizzie wiedziała jednak, że gdyby pozwoliła na dalsze pieszczoty, nie wytrzymałaby w postanowieniu. Tyrell ujął ją za rękę i zerknął ku łożu.

- Nie - szepnęła. - Musisz jechać. - Odsunęła się od niego. - Z Bogiem!

Harrington stał przy oknie w pokoju muzycznym, z którego rozciągał się widok na podjazd. Obserwował Elizabeth Fitzgerald i jej siostrę, które przyglądały się, jak służący ładują ich kufry do powozu. Minę miał posępną.

Oczekiwał zwykłej nierządnicy, a nie miłej panny z dobrego domu. Doskonale rozumiał, że ta panna szczerze kocha Tyrella i musi zapomnieć o kochanku. Było mu z tego powodu naprawdę przykro. Widział również, jak odnosi się do niej Tyrell, i żywił nadzieję, że nie zakochał się w niej za bardzo. Tak czy owak nie miało to znaczenia.

Jeśli zależało mu jeszcze na osiągnięciu czegośkolwiek przed śmiercią, to pragnął zobaczyć córkę zdolną do śmiechu i płaczu. Blanche wyrosła na piękną kobietę i w towarzystwie uchodziła za ideał, ale nikt oprócz niego, a teraz również panny Fitzgerald nie znał prawdy. Blizny Blanche były niewidzialne, lecz pozbawiały ją możliwości odczuwania.

Siostry tymczasem wsiadły do powozu. Wyraz rozpacz, który malował się na twarzy panny Fitzgerald, przyprawił go o wyrzuty sumienia. Liczył jednak na to, że Tyrell szczerze wynagrodzi jej doznana przykrość.

Wspomniała przecież o kłopotach finansowych swojej rodziny. Na wszelki wypadek zapisał w pamięci, żeby sprawdzić ich sytuację. Gdyby Tyrell zaniedbał się w tym względzie, będzie musiał zrobić to za niego.

Już miał cofnąć się w głąb pokoju, gdy coś zwróciło jego uwagę. Elizabeth wychyliła się przez okno i podała kamerdynerowi kopertę. To znaczyło, że napisała do Tyrella list. Harrington zrozumiał, że musi przejąć tę korespondencję. Był pewien, że zawiera bardzo intymne wyznanie, które mogłoby skłonić Tyrella do zmiany decyzji.

Harrington wyszedł z pokoju muzycznego. Frontowe drzwi były uchylone i przez szparę zobaczył ruszający powóz. Kamerdyner stanął w progu z listem w dłoni i zamknął za sobą drzwi.

- Smythe... - Harrington zastąpił mu drogę i wyciągnął rękę. - Ja się zajmę dostarczeniem tego listu.

- To jest list do jego lordowskiej mości - odparł Smythe z szacunkiem, lecz stanowczo.

- Dopilnuję osobiście, aby go otrzymał - stwierdził autorytatywnie wicehrabia.

Kamerdyner spąsował, ale posłusznie oddał zapieczętowaną kopertę.

- To wszystko, Smythe.

Gdy kamerdyner skłonił się i odszedł, Harrington usiadł w bibliotece, gdzie znalazł nóż do papieru.

Mój drogi Tyrellu!

Doszłam do wniosku, że nie mogę dalej żyć w ten sposób, bo jest to stanowczo zbyt bolesne. Pokochałam Cię, gdy jeszcze byłam dzieckiem, i będę kochać jako stara kobieta. Moja rozpacz nie ma granic, bo już teraz bardzo za

Tobą tęsknię, ale nie chcę przeszkadzać w Twoich planach. Życzę szczęścia i radości i jestem pewna, że znajdziesz je w małżeństwie z Blanche.

Ned jest Twoim synem, nie moim. Został poczęty w wigilię Wszystkich Świętych przez kobietę, która nosiła mój kostium. Modłę się, abyś wybaczył mi to straszne kłamstwo.

W każdym razie Neda pokochałam od jego pierwszej chwili na tym świecie, jakby naprawdę był moim dzieckiem. Proszę, obdarz go miłością, milordzie. Niech ta miłość będzie jak największa, bo musisz kochać go również w moim imieniu.

Na wieki Twoja Elizabeth

Harrington uznał, że panna Fitzgerald jest szlachetną kobietą, skoro zdecydowała się poświęcić własne dobro i nawet zachęcała kochanka do małżeństwa z Blanche. Harrington nie widział jednak żadnej możliwości, aby okazać jej współczucie. Przeszedł przez pokój do kominka. Cisnął list do ognia i przyglądał się, jak pochłaniają go płomienie. Miał nadzieję, że przyjdzie taki dzień, w którym panna Fitzgerald mu wybaczy.

Tyrell szybkim krokiem szedł przez dom. Poinformowano go, że Harrington udał się z wizytą do sąsiada, ale nawet gdyby był teraz w rezydencji, Tyrell nie dbałby o to ani trochę. Przez cały dzień dręczył się zachowaniem Elizabeth. Wzbudziło ono w nim najgorsze obawy.

Idąc po schodach, mówił sobie, że niepokój to jedynie reakcja na zbliżający się ślub. Miał poczucie, że znalazł się w potrzasku, i nie umiał się od niego uwolnić. Nie był już pewien, czy potrafi sprostać zobowiązaniom wobec Blanche. Liczył jednak na to, że chęć ucieczki przed obowiązkiem wkrótce mu minie i znów stanie się tym samym człowiekiem, co zawsze. Z drugiej strony, musiał przyznać, że miał za sobą dwa najwspanialsze miesiące życia.

Nie mógł też wypierać się swoich uczuć.

Był po uszy zakochany w Elizabeth Fitzgerald. Otworzył drzwi pokoju dziecięcego. Nie chciał, aby Elizabeth trwała w rozpacz, którą wywołał u niej przyjazd Harringtona. Musi znaleźć sposób, aby ulżyć jej sercu. Próbował rano, ale całkiem bez powodzenia. Piastunka Rose zajmowała się szyciem, a jego syn bawił się żołnierzami na podłodze. Elizabeth nie było. Zerknął na Neda z ojcowską dumą i dyskretnie się uśmiechnął. Chłopiec przewrócił żołnierzyka i spojrzał na niego promiennie.

- Ned wygła! - zaszczębiotał. Tyrell roześmiał się i wziął go na rękę.

- Ktoś musi nauczyć cię skromności, mój chłopcze! - powiedział. - Obawiam się, że taką arogancją będziesz terroryzował całe towarzystwo.

Ned spojrzał na niego z wyższością.

- Ned wygła! - powtórzył stanowczo.

Tyrell znów się roześmiał i zmierzwił mu włosy.

- Papa, na dół! - zażądał. - Papa! Tyrell zmartwiał.

- Papa! - Ned próbował go odepchnąć. Tyrell postawił go na podłodze.

- Rose! On nazwał mnie papą! - zawołał, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak poufale zwraca się do piastunki.

Rose wyglądała tak, jakby długo płakała.

- Tak, milordzie - powiedziała cicho. Zrozumiał, co się stało. Zmartwiał.

- Gdzie jest panna Fitzgerald?

- Nie wiem, milordzie.

Przez chwilę stał jeszcze w pokoju dziecięcym, potem przeszedł na drugą stronę korytarza i pchnął drzwi sypialni. Łóżko było zasłane, komoda otwarta i kompletnie pusta.

- Proszę pana - szepnęła Rose, stając w progu z Nedem na rękach.

Nie usłyszał jej. Podeszedł do toaletki i wyciągnął szufladę. Była pusta.

- Kiedy ona wyjechała? - zwrócił się do Rose.

- Rano, milordzie.

Elizabeth odeszła. Tyrell popatrzył tępo na rozbitą komodę z oderwanymi drzwiami, przełamanymi na pół. Omiótł wzrokiem podłogę zasłaną szkłem z roztrzaskanego okna i lustro. Stał pośrodku pokoju samotny i opuszczony, krew ściekała mu z dłoni, z trudem odzyskiwał przytomność.

RS

CZEŚĆ TRZECIA

Grudzień 1814 - styczeń 1815

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Niespodziewana siła przyciągania

Georgie nuciała pod nosem, kończąc pracę nad świątecznymi dekoracjami. Lizzie stała w pewnym oddaleniu i przyglądała się siostrze, krzątającej się przy kominku. Gzyms ozdobiony świerkowymi gałązkami oraz złotą i srebrną bibułą wyglądał naprawdę ładnie, a mimo to Lizzie nie udzielił się świąteczny nastrój.

Jesienią przeprowadziły się do Londynu. Georgina rzadko bywała w domu Eleanor na West Endzie, przy Belgrave Square, dni spędzała bowiem w księgarniach, muzeach, galeriach sztuki, chodziła też na wszystkie debaty publiczne, które ogłaszano w „Timesie”. Lizzie bardzo się cieszyła, że siostra tak dobrze przystosowała się do nowych warunków, choć sama miała z tym większe trudności.

W lecie z Wicklowe pojechały prosto do Glen Barry. Na szczęście ciotce Eleanor wystarczył jeden rzut oka na siostry, by przyjęła je z otwartymi ramionami. Lizzie wytłumaczyła, w jak trudnym położeniu się znalazły, i przeprosiła Eleanor za ostre słowa, które padły przy rozstaniu.

- Bardzo cię lubię, Elizabeth - powiedziała ciotka. - Rozumiem twój gniew i sama się zastanawiam, czy podjęłam wtedy słuszną decyzję.

Wiedząc, że w październiku Tyrell powinien ściągnąć z nowo poślubioną małżonką do Wicklowe, Eleanor postanowiła przenieść się wraz z bratanicami do Londynu. Glen Barry znajdowało się o zaledwie dwie godziny jazdy od Wicklowe, takie sąsiedztwo wydawało jej się więc niebezpieczne.

Wiadomość o zmianie daty ślubu Tyrella dotarła do nich dopiero kilka tygodni po przeprowadzce do Londynu. Wyglądało na to, że oblubienica zaniemogła i uroczystości przełożono na maj. Lizzie wolała nie zastanawiać się nad tą nieoczekiwaną nowiną, obawiała się bowiem, że zaczęłyby karmić się złudnymi nadziejami. A przecież jej list do Tyrella pozostał całkiem bez echa.

Wciąż żyła w smutku. Dni mijały szaro, nocami często miała kłopoty z zaśnięciem. Choć jednak pielęgnowała piękne wspomnienia, to podjętej decyzji nie żałowała. Wierzyła w to, że czas leczy rany. Starła się więc wypełniać życie różnymi drobnymi sprawami. Składała razem z ciotką wizyty towarzyskie, chodziła z Georgie po mieście albo pomagała pielęgnować pacjentów w szpitalu Świętej Anny. Niestety, podjęte próby wystarczyły na krótko. Coraz częściej zupełnie nieoczekiwanie nawiedzały ją świadectwa przeszłości: obrazy, słowa, wrażenia...

Na szczęście Ned miał się dobrze. Hrabina napisała do niej list, donosząc, że ojciec i dziadkowie wspólnie rozpieszczają chłopca, że wyrósł już ze swoich bucików i że uczy się kłusować na kucu z pomocą koziołków. Zaczął też używać pełnych zdań. Lizzie czytała ten list z oczami pełnymi łez. Odważyła się odpisać i prosić o dalsze wiadomości. Pocieszała się, że małe dzieci mają krótką pamięć, więc Ned nie odczuwa jej braku. Natychmiast nasuwało jej się jednak pytanie o Tyrella. Jak się miewa? Prawdopodobnie przebywał podczas świąt w Adare razem z całą rodziną, narzeczoną i synem. Miała nadzieję, że jest szczęśliwy.

- Och, Lizzie! - Georgie dotknęła jej ramienia. - Już się cieszyłam, że jest z tobą lepiej, a ty nagle odpływasz z myślami nie wiadomo dokąd. Zapomnij i skończ wreszcie z tymi smutnymi minami!

Lizzie nauczyła się uśmiechać nawet wtedy, gdy ogarniała ją dojmująca tęsknota.

- Nie jestem smutna. Uwielbiam Boże Narodzenie. Cieszę się, że przyjadą dziś rodzice, tak bardzo chcę ich zobaczyć.

- Ja też - przyznała Georgie, mierząc siostrę badawczym spojrzeniem. - Mimo to trochę się niepokoję. Nie widziałyśmy papy od tamtego strasznego dnia w Wicklowe.

Lizzie odwróciła głowę. Ona też żywiła obawę, wolała jednak o tym nie mówić. Do rodziców pisywała regularnie i otrzymywała odpowiedzi. Ani razu nie wspomniano w nich tamtego przykrego epizodu. Mama nie narzekała na brak towarzystwa i rzadko zdarzał się wieczór, by w Raven Hall nie było gościa, zostającego na nocleg, a hrabina zapraszała ją do Adare, ilekroć przyjeżdżała do rezydencji. Również listy papy były łagodne w tonie.

Wymieniały także listy z Anną, która wciąż pisała o tym samym. Wiosną spodziewała się dziecka.

Naturalnie nigdy nie wracała do przeszłości, a Lizzie nie próbowała jej do tego nakłaniać, bo i dla niej tak było wygodniej. Odpisując, długo myślała nad każdym zdaniem. Wspominała o miłych przechadzkach po parku w Glen Barry i o londyńskich atrakcjach. Anna niewątpliwie jednak potrafiła czytać między wierszami, bo jej ostatni list wydał się Lizzie bardzo niepokojący.

A co u Ciebie, Lizzie? Nigdy o sobie nie piszesz! Chcę, żebyś była szczęśliwa, i nieustannie martwię się o Ciebie. Proszę, napisz, że cieszysz się pobylem w Londynie tak samo jak Georgie. Zapraszam w lecie do Derbyshire. Spodoba Ci się tutaj, bo to najpiękniejszy zakątek Anglii! Na pewno się nie znudzisz. Odwiedza nas mnóstwo gości, a Thomas ma wielu bardzo przystojnych przyjaciół. Obiecaj, że przyjedziesz, bo bardzo za Tobą tęsknię.

Lizzie ociągała się z odpowiedzią. W przyszłości chętnie odwiedziłaby Annę, ale tymczasem rany były jeszcze zbyt świeże. Obawiała się zresztą, że siostra będzie chciała ją wyswatać z jednym z przyjaciół Thomasa. Ona zaś nie zamierzała wychodzić za mąż, nawet gdyby znalazła kandydata, który chciałby

ją poślubić mimo zszarganej reputacji, wiedziała bowiem, że nigdy nie przestanie kochać Tyrella.

- Jak ci się podoba nasza dekoracja? - zwróciła się do ciotki, która weszła do salonu. - Powiem ci w tajemnicy, że to dzieło rąk Georgie.

- Salon wygląda bardzo świątecznie - przyznała z uśmiechem Eleanor. Jak zwykle miała na sobie elegancką czarną suknię i więcej brylantowej biżuterii niż księżna. - Przyjechali wasi rodzice. Widziałam zajeżdżający powóz. - Zwróciła się do Lizzie: - Kiedy upiekłaś to wspaniałe ciasto rumowo-rodzynkowe, które widziałam w kuchni?

- Wczoraj wieczorem - wyjaśniła. - To przysmak papy.

Eleanor dotknęła jej policzka.

- A o której godzinie, jeśli wolno spytać? O północy? A może o drugiej?

Lizzie odwróciła głowę. Ostatnio nie lubiła nocy, bo wtedy czuła się najbardziej samotna.

- Schudłaś - skarciła ją ciotka. - Wałęsanie się nocami po korytarzach nie wychodzi na zdrowie.

Lizzie zdawała sobie sprawę z tego, że musiała pozweźać wszystkie suknie, ale i tak wciąż miała aż nadto kobiecych wdzięków.

- Nie przejmuj się, ciociu, tym, czym nie warto. I nie łaj mnie.

Tymczasem Eleanor dyskretnie podała jej list.

- Przyszedł przed chwilą - powiedziała, zniżając głos.

Stempel był irlandzki. Lizzie szybko przełamała pieczęć hrabiny i zerknęła na ciotkę.

- Muszę wiedzieć, co u Neda.

- Wszystko dobrze, a nawet bardzo dobrze. Naprawdę uważam, że powinnaś poprosić hrabinę, aby nie pisała.

- Tęsknię za nim - wyjaśniła. W tej kwestii nie zamierzała czynić żadnych ustępstw.

- Kochanie, nie ma innego sposobu, jeśli chcesz ułożyć sobie życie i myśleć o przyszłości - powiedziała stanowczo Eleanor.

- Właśnie układam sobie życie, ciociu - odparła Lizzie. - Przecież przeprowadziłyśmy się do Londynu, wydajemy przyjęcia, pomagam w szpitalu Świętej Anny. Mam tyle zajęć, że niełatwo byłoby mi jeszcze jakies dodać.

W tym momencie zadzwieczał dzwonek u drzwi. Chwilę potem Leclerc wprowadził Rory'ego McBane'a, eleganckiego jak nigdy. Lizzie spojrzała na niego zaskoczona, spodziewała się bowiem rodziców. Nie widziała go od pamiętnej burzliwej rozmowy. Ucieszyła się jednak z jego widoku i miała nadzieję, że Rory jej wybaczył.

- Wesołych Świąt, Rory! Miło mi, że pana widzę - powiedziała.

Rory odstawił torbę, w której niewątpliwie przyniósł podarki, i głęboko się skłonił.

- Dawno się nie widzieliśmy. Wesołych Świąt.

- Dziękuję, że pan przyszedł.

- Jak mógłbym nie odwiedzić moich ulubionych krewnych? - Wreszcie zdobył się na uśmiech.

- Niezmiennie pozostaje pan elegancki. - Ujmując go za rękę, Lizzie roześmiała się, ale Rory już na nią nie patrzył.

- To znaczy, mam nadzieję, że pani się za mną stęskniła - powiedział ze wzrokiem wbitym w punkt za jej plecami.

Lizzie odwróciła się i ujrzała na progu pokoju Georgie i ciotkę. Pociągnęła więc ku nim Rory'ego, świadoma zachwyty malującego się na twarzy Eleanor i wyraźnego zakłopotania Georgie.

- Zostaje pan na kolacji - zapowiedziała.

- Zobaczymy - odrzekł. - Witaj, ciociu! Czy przyjmiesz mnie równie entuzjastycznie jak Lizzie? - spytał, kątem oka zerkając na Georgie.

Lizzie odniosła wrażenie, że siostra dawno już nie wyglądała tak ładnie jak teraz w prostej niebieskiej sukni, przepasanej białym fartuszkim, z ciemnymi smugami na twarzy i złotym brokatem na nosie. Długie miodowe włosy Georgie rozsypały się, kiedy niosła drabinę, aby własnoręcznie udekorować salon, i teraz falami opadały jej na ramiona. Bił od niej niezaprzeczalny wdzięk, tym bardziej że na policzki wystąpiły jej urocze rumieńce.

- Najwyższy czas! - wyrzucała tymczasem kuzynowi Eleanor. - Bardzo opuściłeś się w wypełnianiu obowiązków rodzinnych - dodała, choć wcale nie wydawała się zagniewana.

- Gorąco przepraszam, ciociu - powiedział z ukłonem, po czym skłonił głowę ponownie, tym razem przed Georgie. - Dzień dobry, panno Fitzgerald.

- Dzień dobry, panie McBane. - Georgie dygnęła. Rory przeniósł wzrok na Lizzie i Eleanor.

- Z przyjemnością zostałbym na kolacji, naturalnie gdyby nie było mi to poczytane za najście.

- Zapraszamy! - uprzedziła ciotkę Lizzie.

- Ty szelmo! - zawołała Eleanor i cmoknęła go w policzek. - Od dawna potrzebujemy trochę wesołości w tym domu. Tak długo nas szukałeś?

- Miałem wiele różnych spraw, jak to ja, ciociu.

- Nawet boję się o nie spytać. Mam jednak nadzieję, że myślisz o interesach.

- Naturalnie. - Puścił oko do Lizzie.

Eleanor ujęła Rory'ego za ramię i wprowadziła do salonu.

- Dziewczęta czekają na rodziców. Zjemy razem świąteczną kolację. Rzecz jasna, zostajesz.

- Tęskniłem za tobą, ciociu - wyjawiał Rory.

Za jego plecami Georgie przesłała siostrze spojrzenie pełne irytacji. Korzystając z tego, że ciotka z Rorym nieco się oddalili, szepnęła do Lizzie:

- Dlaczego zaprosiłaś go na kolację? Wyglądam jak ostatnie nieszczęście.
- Możesz się przebrać, zanim siądziemy do stołu. Czemu nie spróbujesz polubić jego towarzystwa? Odkąd tu przyjechałyśmy, nie miałyśmy ani jednego zajmującego gościa. Znajome Eleanor są stare i nudne, a on jest kuzynem i przyjacielem.

- A pamiętasz tę ostatnią rozmowę? - Georgie chwyciła ją za ramię. - Był wściekły na nas obie.

- Z pewnością już mu przeszło. Georgie skrzyżowała ramiona.

- To jest niepoprawny flirtiarz! Nie mogę znieść obecności takiego kobieciarza.

- Przecież nawet go nie znasz - zauważyła rozsądnie Lizzie. - Poza tym nie jest kobieciarzem. Znacznie bardziej interesuje go polityka niż kobiety. Powiem ci, że nawet macie coś wspólnego...

- Nic mnie z tym człowiekiem nie łączy! - wykrzyknęła Georgie, czerwieniejąc na twarzy. - Nic a nic, jestem tego pewna!

- Hm. Ktoś tu zbyt gwałtownie zaprzecza. Bądźmy ze sobą szczerze, Georgie. Rory jest przystojny, uroczy, a do tego wolny - podkreśliła Lizzie, na wypadek gdyby uszło to uwagi siostry.

- Mało mnie obchodzi jego wygląd, a flirtowanie wcale nie wydaje mi się urocze. I w ogóle co chciałaś przez to powiedzieć? A może podoba mi się być starą panną?

- Nie mogłabyś przynajmniej przyznać, że jest przystojny?

Georgie nie odpowiedziała, tylko przesłała jej wymowne spojrzenie.

- Ja w każdym razie cieszę się z jego wizyty - podsumowała Lizzie. - Mam nadzieję, że jeszcze nas odwiedzi. Jestem mocno znużona przyjaciółkami Eleanor.

- Przepraszam - powiedziała Georgie, której złość szybko przeszła. - Nie wiem, co mnie ugryzło. Pójdę się przebrać. Chciałabym ładnie wyglądać, gdy przyjadą rodzice. - Zerknęła do salonu, gdzie Rory raczył Eleanor jakąś

opowieścią, trzymając w dłoni szklaneczkę jabłecznika. Georgie zwróciła się ponownie do Lizzie: - Prawdę mówiąc, nawet się cieszę, że przyszedł. Od miesiący nie widziałam, żebyś się roześmiała.

- Jest dowcipny - zaryzykowała Lizzie.

- Nie. - Georgie przerwała jej uniesieniem ręki i spojrzała prosto w oczy. - Lubisz go i on też cię lubi, Lizzie. To zauważy każdy głupi. Myślę, że on tutaj przyszedł właśnie z tego powodu.

Zdaniem Lizzie, wieczór wypadł sympatycznie. Kolacja minęła w bardzo miłej i ożywionej atmosferze, a prym przy stole wiodła pani Fitzgerald, opowiadając dykteryjki z życia irlandzkiego towarzystwa. Wspomniała też, że jest wielką przyjaciółką hrabiny i bywa w Adare przynajmniej raz w tygodniu. Hrabinę uznała za wyjątkowo życzliwą i uprzejmą damę.

- A jak traktuje ją hrabia - zachwyciła się. - Powinieneś wziąć od niego lekcję, mężu.

Pan Fitzgerald uśmiechnął się porozumiewawczo do Lizzie.

- Tak też zrobię - odpowiedział.

Lizzie była ciekawa, czy mama widziała Neda. Chłopiec mieszkał z ojcem w Wicklowe, ale może był kiedyś z wizytą w Adare? Zasepiwszy się, sięgnęła po kieliszek wina. Eleanor, zajmująca miejsce u szczytu stołu, najwidoczniej znajdowała przyjemność w toczącej się konwersacji.

- Miło zobaczyć cię tak zadowoloną, Lidio.

- Nie do końca, bardzo tęsknię za moimi dziewczętami - powiedziała szybko mama. - Raven Hall bez nich to nie ten sam dom. Naturalnie ani mi w głowie wypominać im czas, który spędzają tutaj z tobą, Eleanor. Anna też świetnie sobie radzi, Thomas ją rozpieszcza. Już nie mogę się doczekać wnuka.

- Szkoda, że Anny nie ma tu dzisiaj z nami - zauważyła Eleanor.

Pan Fitzgerald zwrócił się do Rory'ego:

- Wyborny rysunek zamieścił pan w „Timesie”.

- Rysunki Rory'ego są rzeczywiście znakomite - pochwaliła Lizzie.

- O którym mowa?

- O tym, w którym parlament jest przedstawiony jako cyrk pełen połykaczy ognia i mieczy i podobnych im szaleńców. A przewodniczącemu dorysował pan rogi, ogon i kopyta.

Rory zachichotał.

- Narysowałem go jako diabła, kuszącego naszych rodaków z Irlandii do zaprzędania swoich politycznych dusz.

- Widzę, że twoje radykalne poglądy się nie zmieniły - stwierdziła z westchnieniem Eleanor.

- Też mi radykalne poglądy - rzuciła Georgie.

Lizzie nie miała najmniejszych wątpliwości, w jakim kierunku zmierza ta wymiana zdań. Kaszlnęła znacząco.

- Może deser zjemy w salonie - zaproponowała. Rory uśmiechnął się do Eleonor i powiedział:

- Omal nie narysowałem karykatury księcia regenta, więc powinnaś być zadowolona, ciociu, że zachowałem pewną powściągliwość.

Eleanor nie zdążyła odpowiedzieć, bo do rozmowy po raz drugi wtrąciła się oburzona Georgie:

- Trudno twierdzić, że nasi krajanie sprzedają swoje polityczne dusze!

Rory spojrzał na nią uważnie. Uśmiech nie zszedł mu z twarzy ani na chwilę.

- Jestem innego zdania, panno Fitzgerald, wolałbym jednak nie wdawać się w debatę z kobietą.

Lizzie dobrze znała siostrę, miała więc prawo przewidywać interesujący rozwój wydarzeń.

- Ciekawe dlaczego. - Georgie pochyliła się nad stołem, zupełnie nie zważając na to, że położyła na nim łokcie. - Czy kobiety nie mają rozumu? Czy

nasza opinia się nie liczy? A może to moje prywatne zdanie jest takie mało ważne, panie McBane?

Zaskoczyła Rory'ego.

- Kobiety zdecydowanie mają rozum, panno Fitzgerald, to oczywiste - odrzekł. - Jest mi bardzo przykro, jeśli sprawiłem wrażenie, że uważam inaczej. Pani prywatne zdanie też naturalnie ma znaczenie - zapewnił.

- Zdecydowanie mi ulżyło, bo w mojej ocenie pański rysunek jest wywrotowy.

Lizzie przygryzła wargę, nie wiedząc, czy wypada się roześmiać. Rory wpatrywał się w Georginę, która wydawała się całkiem z siebie zadowolona.

- Może przejdziemy do salonu? Czeka na nas ciasto rumowo-rodzynekowe.

Rory chyba nie usłyszał, bo pochylił się nad stołem.

- Oskarża mnie pani, w dodatku przy kolacji, o działalność wywrotową?

- Tak, proszę pana. Obraża pan dobre imię swoich rodaków, ludzi, którzy wyrażają w naszym imieniu poglądy we wszystkich ważnych sprawach w unijnym parlamencie. To jest właśnie oszczerstwo i działalność wywrotowa!

Na chwilę Rory'emu odebrało mowę. Lizzie jeszcze nie widziała u niego tak komicznej miny.

- Naturalnie może pan bronić swojego punktu widzenia, jeśli chce pan stanąć do debaty. Chyba że obawia się pan porażki z kobietą - dodała lekceważąco Georgie.

Lizzie przysłoniła usta dłonią. Państwo Fitzgerald wymienili zdumione spojrzenia.

- Georgino May! Przechodzimy do salonu. Georgie wzruszyła ramionami.

- Ona koniecznie chce mnie sprowokować! - wykrzyknął Rory.

- Nie boję się debaty z panem - powiedziała spokojnie. - Wciąż czekam na ripostę.

Rory wpatrywał się w nią bez słowa.

- Chyba że woli pan uznać się za pokonanego - dodała z uśmiechem.

- Panno Fitzgerald, nie znam dżentelmena, który prowadziłby poważnie debatę z damą. Pani jest bardzo zdecydowana, ale nie zamierzam sprawić jej przyjemności.

- Przyjemności? To chyba niemożliwe, panie McBane.

- Nadmiar bystrości chyba pani nie służy - stwierdził z przekąsem i zaczęli wzajemnie piorunować się wzrokiem.

Pani Fitzgerald przyglądała się temu zafascynowana, podobnie jak Lizzie. Natomiast pan Fitzgerald odwrócił się do drzwi.

- Chętnie napiję się brandy - oznajmił. - Zgadzam się, że dżentelmen nie powinien debatować z damą.

Lizzie powitała zakończenie starcia z ulgą.

- Idziemy do salonu na ciasto - oświadczyła.

- Przepraszam - bąknęła Georgie i szybko opuściła pokój.

Lizzie zwróciła się do Rory'ego, okazało się jednak, że ten patrzy na drzwi, za którymi zniknęła jej siostra. Nagle przypomniał jej się Tyrell.

- Proszę jej wybaczyć - odezwała się. - Ona żywo interesuje się polityką i wyraża bardzo zdecydowane poglądy. Jestem pewna, że nie zamierzała zarzucić panu oszczerstwa. Po prostu ma bardzo emocjonalny stosunek do kwestii irlandzkiej.

Rory poprawił fular, być może korzystając z okazji, aby go rozluźnić.

- Nie mam czego wybaczać - uznał. - Pani siostra nie jest pierwszą osobą, która poczuła się urażona moimi rysunkami. Może któregoś dnia uda mi się przeciągnąć ją na swoją stronę.

- Szczerze w to wątpię. Nikt nie jest taki... - Ugryzła się w język, bo już miała powiedzieć „uparty”.

- Jaki nikt nie jest?

- Taki bystry jak moja siostra - dokończyła z uśmiechem.

Rory z pewnością nie domyślił się, co chciała powiedzieć, bo spojrzeniem sięgał już poza próg salonu.

Rory i pan Fitzgerald popijali koniak i rozmawiali o wyścigach konnych. Pani Fitzgerald siedziała z Georgie i Eleanor na kanapie i udzielała starszej córce reprimendy z powodu niewyparzonego języka i nadmiernego zainteresowania polityką. Georgie w ogóle się nie odzywała, a Lizzie myślała, że tak przyjemnego wieczoru nie spędziła od wielu miesięcy. Przypomnił jej się Tyrell, ale zdołała odsunąć od siebie jego obraz. Podeszła do panów.

- Papo, wiem, że chciałbyś zapalić. Ciocia Eleanor z pewnością nie będzie miała nic przeciwko temu, jeżeli wyjdiesz na taras.

- Dziękuję, Lizzie, jesteś jak zawsze przemiła, ale jakoś sobie poradzę.

- A może pan ma ochotę zapalić? - zwróciła się do Rory'ego

- Owszem, ale na dworze jest zimno. - Zdążył już nieco ochłonąć, siedział ze skrzyżowanymi nogami, a na twarzy miał typowy dla siebie lekko ironiczny uśmiech. Powędrował wzrokiem do sofy, zajmowanej przez trzy kobiety.

- Czy nie trzeba jej przyjść z pomocą? - spytał.

- Pan powinien już zauważyć, że ona umie się obronić, jeśli tylko chce - odparła surowo Lizzie.

- Owszem.

- Może ma pan ochotę zapalić w pokoju karcianym? Nie ma przeszkód, żeby zamienić go w palarnię...

- Nie, dziękuję. - Rory wstał, jakby chciał się przeciągnąć. Kolejny raz rozejrzał się po salonie. - A jak pani się miewa, Lizzie?

- Lepiej - odrzekła i z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że to prawda. - Pańska wizyta bardzo podniosła mnie na duchu.

Dotknął jej policzka.

- Wydawała mi się pani bardzo smutna, kiedy wszedłem, i chyba wiem dlaczego.

- To było dla mnie trudne. Bardzo trudne.

- Czy wolno mi powiedzieć, co myślę? Lizzie nie była pewna, czy tego chce.

- Mogłaby pani być moją siostrą, tak bardzo ją lubię. Szczerze się cieszę, że jednak opuściła pani Wicklowe.

Lizzie odwróciła wzrok.

- Nie miałam wyboru.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że ten temat wciąż jest dla pani bolesny. - Ujął jej dłoń.

- Wciąż bardzo kocham Tyrella - wyznała.

- On nie zasługuje na pani miłość. Nie po tym jak ją potraktował. Postąpił haniebnie.

Lizzie miała stanowczo dość tego tematu.

- Długo zabawi pan w Londynie?

- Tak. Brakuje mi materiału do rysunków, jeśli nie jestem świadkiem bojów politycznych.

- Musi pan wobec tego częściej nas odwiedzać. Bardzo pana proszę. Nie miewamy żadnych zabawnych gości, przyjaciółki cioci są stare i zrzędlawe.

- Dobrze. Wobec tego wyrzucony drzwiami, będę wracał oknem.

- Zgoda - powiedziała rozbawiona Lizzie.

Wzrok Rory'ego znów zabłądził.

Zerknąwszy przez ramię, Lizzie przekonała się, że w kącie pokoju przy oknie stoi Georgie, ale zamiast wyglądać na dwór, z wielką uwagą obserwuje ich konwersację. Rory natychmiast przeprosił Lizzie i udał się w tamtą stronę. Okazał się zręcznym dyplomata, po drodze bowiem przystanął, by zamienić kilka zdań z panią Fitzgerald i Eleanor.

- Lizzie? Odwróciła się do ojca.

- Mama wygląda na bardzo szczęśliwą - zauważyła.

- Bardzo - przyznał. - Stała się znana, może z nie najlepszej strony, ale wiele osób szuka jej towarzystwa.

Lizzie zdawała sobie sprawę, że przyczyną tej wątpliwej sławy jest właśnie ona.

- Przepraszam, papo. Czy już mi wybaczyłeś? Ujął jej dłoń.

- Tak, moja droga. A ty? Czy kiedykolwiek zapomnisz? Jesteś całym moim światem, nie rozumiem, jak mogłem wtedy powiedzieć coś takiego.

- Nie mam ci czego wybaczać. Wiem, że dokonałam złego wyboru, i rozumiem, że bardzo cię zawiodłam. Nie chciałam sprawić wam tyle bólu.

- Nie będziemy już do tego wracać, Lizzie. Kocham cię - zapewnił pan Fitzgerald.

- Jak podoba się pani Londyn? - spytał cicho Rory.

O dziwo, miał kompletną pustkę w głowie. Najchętniej rozluźniłby fular, gdyby nie to, że już zdążył to zrobić. Georgina była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie spotkał, w dodatku zaimponowała mu wyrazistymi poglądami politycznymi. Wyglądało jednak na to, że pozostaje całkiem obojętna na jego urok.

Stała w prowadzących na taras drzwiach i obserwowała gwiazdy, ale zerknęła na niego kątem oka. W porównaniu z londyńskimi kokietkami umiała zachować dystans.

- Uwielbiam to miasto - odparła. Wydawało jej się, że Rory nagle stracił cały swój rezon.

Podobał mu się jej klasyczny profil. W starożytności mogłaby być egipską księżniczką. Mimo że pochodziła ze zbiedniałej rodziny, roztaczała królewską aurę. Daleko jej było do kokieterii, a jednak go intrygowała.

- Tu się nie można nudzić - dodała po chwili, spojrzawszy mu w twarz.

Dowcip wyraźnie go opuścił, za to właśnie zastanawiał się nad tym, czy Georgie ma długie nogi.

- Czy z powodu półgłówków o wywrotowych poglądach? - spytał po chwili.

- Nie powinnam była tego powiedzieć. - Wyraźnie się zarumieniła. -
Przepraszam, panie McBane - dodała. - Poniosło mnie. Działalność wywrotowa stanowi poważne przestępstwo, a wojna właściwie jeszcze się nie skończyła, mimo że Napoleon jest w odwrocie. Za takie poglądy wciąż można zawisnąć na szubienicy.

- Czy miałyby to dla pani znaczenie? - zapytał z głupia frant.

- Trudno sądzić, że pragnę pańskiego zejścia z tego świata.

- To dla mnie prawdziwa ulga.

Przez ułamek sekundy uśmiech zagościł na twarzy Georgie. Rory poczuł się jak uczeń, ponieważ sprawiło mu to autentyczną przyjemność.

- Wróćmy lepiej do Londynu. Cóż jest w nim dla pani urzekającego? -
Spodziewał się usłyszeć coś o balach i eleganckich dżentelmenach.

- Najbardziej? Skinął głową.

- Księgarnie - odrzekła, a jej policzki zaróżowiły się jeszcze mocniej.

Powinien od razu wiedzieć, że taka inteligentna i pewna siebie kobieta nie stawia na pierwszym miejscu mody i sal balowych.

- Widzę, że panem wstrząsnęła ta wiadomość - dodała Georgie. - Teraz już pan zna prawdę. Nie jestem kobietą, która nadaża za modą. Mam wyrobione poglądy polityczne, nie znoszę przyjęć i nie umiem sobie wyobrazić lepszego wykorzystania wolnego czasu niż spędzenie go na lekturze Platona albo Sokratesa.

Rory tymczasem rozważał, czy ktoś całował Georgie. Chyba tak, choćby ten obleśny człowiek, z którym była zaręczona, czego nie był w stanie pojąć.

- Proszę mi wyjawić, dlaczego każde pani słowo brzmi jak wyzwanie?

- Wcale nie zamierzałam rzucać panu wyzwania - zapewniła. - Pan tak dziwnie na mnie patrzy, sądziłam więc, że to, co powiedziałam, było dla pana wstrząsem.

Pewnie właśnie tego chciała. Mimo woli się uśmiechnął.

- Młoda dama, lubiąca filozofię i politykę, to doprawdy wstrząsające zjawisko.

- Śmieje się pan ze mnie? - Zakłopotana zrobiła taki gest, jakby chciała odejść. - Zadał mi pan pytanie, a ja odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Przykro mi, że nie znam się na kokieterii jak inne damy z towarzystwa. O, jest Lizzie! Chyba pan o niej nie zapomniał?

Co za irytująca kobieta! Jednym krokiem stanął za jej plecami i okręcił ją wokół osi.

- A cóż to znaczy?

Rory wiedział, że musi się opanować, zanim zachowa się nikczemnie. Zerknął w górę i zauważył, że stoją akurat pod jemiolą. Jego gniew ulotnił się w jednej chwili. Uśmiechnął się pod nosem.

- To znaczy, że pański urok nie robi na mnie wrażenia. - Jej oczy gniewnie zabłyśły, ale ku jego zdziwieniu były wilgotne. - Znam takich ludzi jak pan! Proszę mnie puścić!

Całą uwagę Rory'ego pochłonęły oczy jak topazy, pełne, zaokrąglone wargi i niewielkie, lecz intrygujące piersi. Mogła go nie lubić, ale on jej pragnął, i to nie od dzisiaj.

W jej oczach widział zresztą to samo. Czuł to. Gdy ją objął, wydała cichy okrzyk protestu, więc zdecydował się w ogóle nie dopuszczać jej do głosu. Mimo zdumienia malującego się na twarzy Georgie wycisnął na jej ustach pocałunek.

W chwili gdy ich wargi się zetknęły, zrozumiał nagle coś niezwykle ważnego. Takiej kobiety jeszcze nigdy nie spotkał. Nie zważał na to, że Georgie próbuje go odepchnąć. Sycił się smakiem jej ust tak długo, aż skapitulowała i je rozchyliła. Piękna, błyskotliwa i piekielnie uparta - ideał stworzony specjalnie dla niego.

Zrozumiał, że ten pocałunek może mieć znacznie poważniejsze konsekwencje niż wspólny pobyt w łóżu, Rory cofnął się w końcu i puścił Georgie. Przyglądała mu się oszołomiona.

- Nie mogłem się oprzeć - wyjaśnił z uśmiechem, zerkając na jemiółę pod sufitem.

Odruchowo podniosła rękę do ust, spoglądając na wianek, który wywołał ten znamienny incydent. Rory nie umiałby powiedzieć, czy próbowała otrzeć usta, czy też dotykała ich z rewerencją. Cofnęła się o krok, cała czerwona.

- T... to było nie na miejscu, panie McBane - wybąkała Georgie.

Rory, co zdarzało mu się rzadko, nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Nisko się więc skłonił.

- Pójdę już. Dziękuję za miły wieczór - powiedział najuprzejmiej, jak potrafił. Od pocałunku wciąż jeszcze kręciło mu się w głowie. - Z niecierpliwością czekam na następne spotkanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Szczera rozmowa

Mary de Warenne chciała, żeby święta były czasem spokoju, miłości i radości. Tradycja rodzinna nakazywała spędzać je w Adare, tym razem jednak z uwagi na zaręczyny Tyrella rodzina de Warenne'ów spotkała się w Harmon House w Londynie. Hrabina siedziała w wielkim fotelu w przytulnym salonie, a u jej stóp bawiły się wnuki: mający już prawie półtora roku Ned i o pół roku młodsza Eliza. Mimo tej sielskiej atmosfery bardzo martwiła się o Tyrella.

Pasierb stał przy kominku w towarzystwie Rekxa, który przyjechał na święta z Kornwalii, Edwardem i jej starszym synem, Devlinem. Mężczyźni rozmawiali o wojnie i jak zwykle było tyle poglądów, ilu uczestników dyskusji. Toczył się więc zażarty spór i tylko Tyrell, wyraźnie przebywający duchem gdzie indziej, wpatrywał się w skaczące płomienie.

Hrabina bardzo chciała mu pomóc.

W odróżnieniu od wielu innych dam z towarzystwa, wyszła za mąż z miłości nie raz, lecz dwa razy, a w Edwardzie znalazła swój ideał. Nic dziwnego, że wcale nie sądziła, by dziedzic musiał w imię obowiązku poświęcać się dla dobra rodziny. Z zamyślenia wyrwał ją Devlin, który odłączył się od grupki rozemocjonowanych dyskutantów.

- Czym się tak frasujesz, matko? - spytał.

- Zmęczona jestem - odparła, mimo woli zerkając znowu na Tyrella.

Devlin podążył za jej spojrzeniem.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego on jest taki nieswój?

Mary wstała i znalazła sobie fotel bardziej na uboczu.

- Mam swoje podejrzenia, ale może porozmawiasz z nim sam. Zanim poślubiłeś Wirginię, wyświadczył ci kiedyś wielką przysługę. Spróbuj się teraz odwdziaczyć.

Devlin zerknął na Blanche, gawędzącą ze swą przyszłą szwagierką, szesnastoletnią Eleanor.

- Chyba rozumiem - stwierdził. - Masz rację, on jest dla mnie kimś więcej niż bratem. Gdyby nie jego przyjaźń, przez żądę zemsty straciłbym Wirginię.

- Czy przyjedzie Sean? - spytała Mary, przytrzymując go za rękę.

- Nie miałem od niego wiadomości, odkąd w czerwcu opuścił Askeaton - odparł z uśmiechem. - Jestem jednak pewien, że wkrótce będziemy mieli wieści i od niego.

Mary skinęła głową z nadzieją na rychły powrót młodszego syna.

Wyjechał w czerwcu, nie tłumacząc się nikomu ze swych zamiarów, i to było dziwne.

Od tej pory minęło jednak zaledwie kilka miesięcy, więc jego nieobecność budziła u niej w większym stopniu tęsknotę niż niepokój. Co innego Cliff, również nieobecny. Ten zawsze miał naturę wagabundy i nigdy nie było wiadomo, gdzie się podziewa.

Devlin tymczasem podszedł do żony i czule ją pocałował, pomógł jej wstać. Potem pieszczotliwie poklepał Eleanor, jakby wciąż była dzieckiem, i wreszcie zwrócił się do Blanche:

- Jak się pani czuje podczas tych pierwszych świąt w gronie tak licznej rodziny de WARENNE'ÓW?

- Bardzo dobrze - odrzekła z miłym uśmiechem Blanche. - Jako jedynaczka, nie mogę się nadziwić rodzinnej atmosferze.

Mary obserwowała tę konwersację z oddali. Przez ostatnie kilka miesięcy polubiła grzeczną i układną Blanche. Tyrell wydawał się wobec swej narzeczonej całkowicie obojętny, a ona jakby tego nie zauważała. Hrabina doszła tymczasem do wniosku, że w przewidywalnej przyszłości nie ma co liczyć na rozwój uczucia między tymi dwojgiem.

- Jak mogę przeproszyć twoje strapienia, kochana? - spytał hrabia, przystając obok jej fotela.

Hrabina ujęła męża za rękę, ciesząc się jej krzepiącym ciepłem.

- Jestem bardzo szczęśliwa z przyjazdu Devlina i Wirginii.

Niedawno poślubieni małżonkowie spędzili ponad rok w Stanach Zjednoczonych, na plantacji, na której wychowywała się Wirginia.

- Dobrze, że poradzili sobie z problemami. Devlin stał się dzięki niej zupełnie innym mężczyzną.

- Edwardzie, czy Tyrell uśmiechnął się chociaż raz dzisiejszego wieczoru?

Hrabia spoważniał.

- Jestem pewien, że ta melancholia mu minie. Mary była innego zdania.

- Mnie się wydaje, że on tęskni za panną Fitzgerald - zaryzykowała.

- Sądzę, że masz rację, ale Tyrell jest odpowiedzialnym mężczyzną i z pewnością dojdzie do siebie po tym romansie.

- Liczyłam na to, podobnie zresztą jak ty, że wreszcie zapala uczuciem do Blanche. Nadal jest zakochany po uszy w pannie Fitzgerald.

- To małżeństwo daje wielkie możliwości i Tyrell świetnie o tym wie - przypomniał hrabia. - Miłość nie jest konieczna przy sformalizowanym związku, a jemu potrzeba czasu. Kiedy wyleczy się z tych smutków, na pewno polubi Blanche.

Mary dobrze знаła męża, wiedziała więc, że jest zły na siebie, bo czuje się winny z powodu zmiany, jak zaszła w Tyrellu.

- Mnie się wydaje, że jest inaczej - powiedziała łagodnie. - Upływ czasu niczego nie zmieni.

Edward zaczerwienił się jak chłopiec złapany na wykradaniu ciastek.

- I co mam niby zrobić? Dobrze wiesz, ile znaczy dla mnie to małżeństwo. Uważam też, że Blanche pasuje do Tyrella. Może nie dorównuje namiętnością pannie Fitzgerald, ale będzie wspaniałą hrabiną. My zaś będziemy mogli spać spokojnie i nie martwić się o przyszłość naszych wnuków.

- Wierzę, mój drogi, że postąpisz tak, by Tyrell był szczęśliwy, bo przecież kochasz go i chcesz, żeby miał nie mniej udane życie niż my.

Zirytowała męża.

- Muszę myśleć o przyszłości i tym razem jest to ważniejsze niż interesy syna! - wybuchnęła.

Mary wspięła się na palce i położyła mu ręce na ramionach.

- Jesteś najmądrzejszym znanym mi mężczyzną i na pewno znajdziesz sposób na osiągnięcie wszystkich naszych celów.

Uśmiechnął się, obejmując ją w pół.

- I nadal pozostaję twoją marionetką.

- Naprawdę? - spytała, przyjmując pocałunek.

W korytarzu rozległy się sprężyste kroki i pobrzękiwanie ostróg. Mary spojrzała ku drzwiom zaciekawiona, który z brakujących synów pojawi się na progu. W pierwszej chwili nie poznała opalonego mężczyzny w stroju, jakiego nie powstydziliby się pirat.

- Cliff? - wykrzyknął Edward nie mniej zdumiony niż jego żona.

Jeden z braci wybuchnął śmiechem, a potem Cliff znalazł się w objęciach bliskich.

Po świątecznej kolacji panowie poszli zapalić po cygarze i napić się brandy, a damy przeniosły się do salonu, aby swobodnie porozmawiać. Tyrell został samotnie na tarasie. Obojętny na chłód, sączył whisky. Wciąż czuł na sobie pełne wyrzutu spojrzenie szarych oczu.

Nie rozumiał tego. Oddał Elizabeth Fitzgerald serce, bezwarunkowo i całkowicie, i nie umiał wybaczyć jej zdrady. Rana już się zagoiła, blizna jednak pozostała i Tyrell wiedział, że nie zniknie nigdy. Przecież prosił ją, a nawet błagał, żeby nie odchodziła, a ona uciekła bez jednego słowa. Gnębiło go poczucie, że wyszedł na głupca. Uwierzył w jej zapewnienia o żywej od dawna miłości, wypowiedane w chwili uniesienia.

- Czy źle się pan czuje, milordzie? - rozległ się za jego plecami głos Blanche.

Natychmiast przybrał obojętny wyraz twarzy, obrócił się i lekko skłonił.

- Wszystko w porządku, milady. Mam nadzieję, że pierwsze święta w towarzystwie mojej rodziny są dla pani przyjemne - dodał z nadzieją na zmianę tematu.

- Naturalnie. - Stała obok z łagodnym uśmiechem, jaki nigdy nie schodził jej z twarzy. - Pańscy bliscy są bardzo życzliwi.

- Pani nie ma rodzeństwa. To musi być dziwne wrażenie, kiedy cały dom jest pełen.

- Wszyscy pańscy bracia to dżentelmeni. Siostra jest przemiła, bratowa też. Naprawdę nie mam powodów do narzekań.

Nie mógł uwierzyć w to, że już wkrótce ta kobieta zostanie jego żoną. Owszem, jest piękna, układna, lubiana w jego otoczeniu. On jednak nie potrafił się do niej przekonać. Nigdy w życiu nie spotkał równie beznamietnej istoty. Wciąż prześladowały go te udęczone szare oczy.

- Czy pan się skaleczył? - spytała, patrząc na jego rękę.

- To drobiazg - odparł.

- Mam posłać po opatrunek? Nie chciałabym, aby doszło do zakażenia.

- To tylko niegroźne drapnięcia. - Tyrell nie chciał, by Blanche go pielęgnowała. - Doceniam jednak pani troskę.

- Zawsze będę interesować się pańskim samopoczuciem, milordzie.

Odwrócił głowę.

Wiedział, że ta panna jest znakomitą partią, a w dodatku mógł mieć pewność, że nie będzie mu się przeciwstawiać. Od Elizabeth różniła się jak noc od dnia.

- Milordzie? Wydaje mi się pan smutny dziś wieczorem, choć mam nadzieję, że się mylę.

- Wejdzmy lepiej do środka. Jest zimno, może się pani przeziębić.

Zawahala się.

- Milordzie, wyszłam na taras specjalnie. Musimy porozmawiać.

- Proszę bardzo. - Nie miał pojęcia, czego ma dotyczyć rozmowa.

- Mój ojciec czuje się w ostatnim czasie nie najlepiej.

O tym Tyrell nie wiedział.

- Czy zaniemógł?

- Nie wiem. - Widać było, że jest zatroskana. - Narzekał na zmęczenie.

Wprawdzie u człowieka w tym wieku to nic dziwnego, ale sam pan wie, jaki to żywotny mężczyzna.

- Chce pani pojechać do domu - domyślił się bez trudu.

Blanche wydała się zakłopotana.

- Wiem, że planowaliśmy wspólne święta w Harmon House. Pańska matka poczyniła wiele starań, aby było mi przyjemnie.

- Nic się nie stało. Jeśli pani ojciec nie czuje się dobrze, a pani chce się nim zaopiekować, proszę jechać do domu. Moja macocha na pewno nie weźmie pani tego za złe. - Uśmiechnął się do niej całkiem szczerze. - Każę podstawić powóz.

Zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

- Już poleciłam to zrobić, byłam bowiem pewna, że pan zrozumie.

Naprawdę muszę zająć się ojcem. Pójdę jeszcze pożegnać się z pańską rodziną i zaraz pojedę.

- Proszę dać mi znać, kiedy pani będzie gotowa, abym mógł odprowadzić ją do drzwi - powiedział Tyrell, a Blanche dygnęła i znikła.

Nie było mu jednak dane długo cieszyć się samotnością, na tarasie pojawił się bowiem Devlin, niosąc dwie napełnione szklaneczki.

- Chyba chcesz tu zamarznąć na śmierć - powiedział. - Na to nie mogę się zgodzić. Masz.

Tyrell wypił alkohol z nadzieją, że Devlin nie będzie go dręczył.

- Wirginia pięknie dzisiaj wygląda - uprzedził atak. - Macierzyństwo niewątpliwie jej służy, podobnie jak tobie stan małżeński.

- Ona znów się spodziewa dziecka - wyjawiał z uśmiechem Devlin.

Takiego czułego tonu Tyrell u brata jeszcze nie słyszał.

- Gratulacje! - Pierwszy raz od wyjazdu Elizabeth znalazł powód do szczerej radości.

- A ja jeszcze nie pogratulowałem ci zaręczyn - rzekł Devlin, przyglądając się Tyrellowi stanowczo zbyt uważnie, by ten czuł się swobodnie.

- Nie miałeś okazji, bo się nie spotkaliśmy, odkąd wróciłeś.

- Zaręczyłeś się z piękną kobietą.

- To prawda. - Tyrell się odwrócił.

- I taką, która ani trochę cię nie interesuje.

- Tylko nie zaczynaj! - Tyrell wpadł w gniew.

- Co się stało? - spytał kompletnie zaskoczony Devlin. - Przez całe życie widziałem cię wzburzonego może ze trzy razy. Należysz do najbardziej zrównoważonych ludzi, jakich znam.

- Nie wtrącaj się - odparł szorstko Tyrell. Devlin zdumiał się jeszcze bardziej.

- Do czego? Odkąd przyjechałem, miałem wrażenie, że dziwnie się zachowujesz. Co się dzieje, do diabła?

- A co się ma dziać? Żenię się z kobietą, która jest piękna, pełna wdzięku i dobrze urodzona. W istocie żenię się z wielkim majątkiem. Lady Blanche to prawdziwy ideał, nie sądzisz?

- Lady Blanche - powtórzył Devlin.

Tyrell zacisnął dłonie na poręczy i zaczął wpatrywać się w mrok. Devlin stanął obok niego.

- Wiesz, jesteś wspaniałym bratem. Kiedy twój ojciec poślubił moją matkę, lojalnie przyjąłeś mnie i Seana do rodziny. Pamiętam, że wkrótce po ślubie krążyło wiele plotek o hrabim i mojej matce. Ludzie gadali, że zdradzała

ojca. Kiedyś próbowałem z tego powodu porachować kości dwa razy większemu ode mnie plotkarzowi. Bez wahania wsparłeś mnie w tej walce i tego dnia zostaliśmy braćmi.

Tyrell dobrze pamiętał to zdarzenie. Mieli wtedy po jedenaście lat, a Devlin zaimponował mu swoją odwagą.

- Ojciec był wściekły. - Uśmiechnął się. - Sprał nas pasem.

- Mój ojciec dałby mi pięścią po głowie - powiedział bez śladu goryczy Devlin. I jego bawiło to wspomnienie. - Stanowczo wołałem pas.

Tyrell głośno się roześmiał, a Devlin klepnął go po ramieniu.

- Bardzo mi pomogłeś, kiedy chciałem się zemścić na wuju Wirginii. Byłem wtedy na ciebie wściekły, ale teraz moja wdzięczność nie ma granic. Powiedz mi, proszę, co się stało.

Nikt nie umiał lepiej rozbroić rozmówcy niż Devlin i nawet Tyrell zaczął się wahać, czy nie potrzebuje powiernika.

- Wiedziałeś, że hrabia doprowadzi do korzystnego małżeństwa - podjął Devlin. - Brat, jakiego znam, z entuzjazmem wypełniłby swój obowiązek. Brat, jakiego znam całe życie, byłby bardzo zadowolony z lady Blanche i wszystkiego, co małżeństwo wnosi do rodziny.

Tyrell spojrzał na niego gniewnie.

- Lady Blanche jest naprawdę urocza - powiedział stanowczo. - Jestem bardzo zadowolony.

- Mam ci uwierzyć? - Devlin przyglądał mu się przez chwilę. - Chodzi o kobietę?

Tyrell wzruszył ramionami.

- Dopóki nie poznałem Wirginii, która przewróciła moje życie do góry nogami - ciągnął Devlin - takie pytanie w ogóle nie przyszłoby mi do głowy. Teraz jednak wiem, że tylko kobieta może wprawić mężczyznę w tak fatalny nastrój.

- No dobrze - skapitulował Tyrell. - Powiem ci. Zostałem wystawiony do wiatru przez pewną małą spryciarę. Głupiec ze mnie, ale obdarzyłem ją gorącym uczuciem. Nie mogę o niej zapomnieć, chociaż moje względy zostały jednoznacznie odrzucone.

Devlin wydawał się szczerze zaskoczony.

- Czy znam damę, o której mowa?

- Nie, chociaż macie wspólnego przodka.

- Kogo masz na myśli?

- Elizabeth Anne Fitzgerald - wyjawiał Tyrell.

Blanche przystanąła, gdy tymczasem trzech służących ustawiało jej kufry pośrodku sypialni we wschodnim skrzydle Harrington Hall. Apartamenty ojca znajdowały się w przeciwległym skrzydle, z widokiem na dziedziniec. Blanche potoczyła wzrokiem po różowo-białym obiciu ścian, licznych obrazach, wielkim łożu z biało-złotymi zasłonami i innych znajomych meblach. Odetchnęła z ulgą. Nie było jej w domu zaledwie trzy dni, ale wydawało jej się, że upłynęła wieczność.

- Blanche!

Słyszając głos ojca, powoli odwróciła się i dostrzegła go w przyległym salonie. Natychmiast zauważyła jego rozczarowanie.

- Witaj, ojcze.

- Co to jest? - spytał i ruchem głowy odprawił służących, którzy uciekli co sił w nogach.

- Wy tłumaczyłam Tyrellowi, że niedomagasz i że muszę natychmiast wrócić do domu - wyjaśniła.

- Przecież nic mi nie jest! Nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy. Nigdy nie czułem się lepiej - powiedział Harrington. - Blanche, co to ma znaczyć? Czy nie podobało ci się w Harmon House?

Gwałtowność reakcji ojca nieco ją spłoszyła.

- Ojczy, wiem, że wcale nie jest z tobą tak dobrze. Nie tęskniłeś się za mną? To wielki dom. Nieprzyjemnie mieszkać w nim samotnie.

- Naturalnie, że za tobą tęskniłem - przyznał, mierząc ją wzrokiem. - Tę nedorzecznosc o moim złym samopoczuciu zmyśliłaś, Blanche, i oboje wiemy dlaczego. - Wyraźnie złagodniał. - Jesteś moim życiem, córeczko, ale należysz do Tyrella, twojego narzeczonego. Czy coś się stało? On z pewnością jest wzorem dżentelmena.

Blanche zamknęła oczy. Była przekonana, że ojciec mimo wszystko wymaga opieki. Nagle pojęła, że jej miejsce jest u jego boku, tak jak zawsze. Próbowała być posłuszna ojcowskiej woli, ale to na nic. Nie była w stanie poślubić Tyrella.

- Blanche?

- Jest bardzo miły, dokładnie tak jak zapowiadałeś - przyznała. - Wydaje się też dobry i szlachetny. Znakomicie nadaje się na męża.

Harrington spojrział na nią zdeorientowany.

- To dlaczego jesteś tutaj?

- Tęskniłam za tobą - wyznała.

Nic się nie zmieniło. Jedynym punktem oparcia w życiu był dla niej ojciec.

- Po czterech miesiącach wciąż nic do niego nie czujesz?

Spojrziała mu w oczy.

- Zupełnie nic, ojczy. Przepraszam cię, ale moje serce jest tak samo puste, jak zawsze. Wiesz, że chciałabym się zakochać. Próbowałam! Może jednak powinniśmy spojrzeć prawdzie w oczy. A ona jest taka: nie zakocham się nigdy, bo jestem niezdolna do podobnych uniesień.

- Tego nie wiemy - odparł Harrington.

Przed oczami pojawiły mu się straszne sceny sprzed wielu lat. Przez chwilę zdawało mu się, że przebywa w zupełnie innym świecie. Ogarnęła go trwoga.

- Ojczy? - szepnęła Blanche, chwytając go za ramię.

- Jest jeszcze czas - powiedział, patrząc jej w oczy. - Ślub ma się odbyć w maju. Może do tego czasu zakochasz się w Tyrellu?

Blanche była pewna, że to się nie zdarzy.

- Bardzo chciałabym, żebyś był ze mnie zadowolony. Nie wiem jednak, czy potrafię.

- Zadałem sobie wiele trudu, żeby zabezpieczyć ci przyszłość i zapewnić szczęście. To nie były zwykłe rozmowy. Chcę, żebyś niezwłocznie powróciła do Harmon House.

- Ale ja wolę spędzić święta z tobą.

Ojciec, co często mu się zdarzało, całkiem stracił cierpliwość.

- Powinnaś być u boku narzeczonego. A może życzyłabyś sobie, żeby wrócił do swojej kochanki?

Blanche głośno nabrała tchu.

- On ma kochankę? - Zaintrygowało ją to i zarazem zgorszyło.

- W lecie był związany z panną Elizabeth Fitzgerald. W istocie rzeczy nawet mieszkali razem w Wicklowe. To ona jest matką jego bękarta.

Blanche nie wierzyła własnym uszom.

- Pierwsze słyszę.

- Odbyłem rozmowę z panną Fitzgerald i pomogłem jej zrozumieć niewłaściwość takiego postępowania. Dopilnowałem też, aby opuściła Tyrella. Nie chciałem, by stała nam na drodze.

Blanche powoli wracała do równowagi.

- To musiał być poważny związek. Jeśli ona urodziła mu dziecko i z nim mieszkała...

- To nie ma znaczenia - przerwał jej szorstko Harrington. - Ona, o dziwo, okazała się panną z dobrej rodziny i miała wyrzuty sumienia z powodu swoich grzechów. Musiałem jednak zniszczyć jej pożegnalny list do Tyrella, by mieć

pewność, że to naprawdę koniec romansu. Ona niewątpliwie była w nim zakochana - dodał posepnie.

- Zniszczyłeś jej list? Ojczy!

- Zrobiłem to dla ciebie, moja droga. Nie chciałem, żeby Tyrell za nią pojechał.

Jeśli ojciec postąpił w taki sposób, musiało to chyba oznaczać, że Tyrell odwzajemniał miłość panny Fitzgerald, choć Blanche wydał się raczej sztywny i oficjalny.

- Ojczy, uważam, że nie powinno się niszczyć cudzych listów.

- To był list miłosny. Nie chciałem, żeby Tyrell go zobaczył. - Miał ponurą minę. - Opowiadam ci o tym wszystkim nie bez powodu, moja droga. Panna Fitzgerald mieszka z ciotką przy Belgrave Square. A teraz Tyrell zjechał do Londynu. To mnie bardzo niepokoi. Może natknąć się na nią któregoś dnia w parku, a przecież powinien zajmować się tobą, Blanche. Dlatego nalegam, abys wróciła do Harmon House.

Blanche doszła jednak do przekonania, że nie ma odwrotu.

- Ojczy, nie chcę cię opuścić. Nie odsyłaj mnie, proszę.

Harrington przyglądał jej się długo i widać było, jak jego smutek zmienia się w rozpacz.

- Wiesz, że nigdy nie umiałem ci niczego odmówić, zwłaszcza kiedy tak prosisz.

- Dziękuję. - Blanche odetchnęła z ulgą.

- Ale nie odrzucaj Tyrella - dodał szybko. - To jest twoja przyszłość. Nie będę żył wiecznie.

Blanche wołała nie myśleć o dniu, kiedy Bóg zabierze jej ojca.

- Jutro zaproszę go do nas na kolację - zaproponował. - Co ty na to?

- Dobrze - cicho powiedziała Blanche, ale nawet nie wiedziała, na co się zgadza. Myślała o pannie Fitzgerald.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zaskakująca wizyta

Lizzie siedziała w salonie i bezskutecznie próbowała zająć się czytaniem powieści. Po świętach zaczęła doskwierać jej samotność, a chociaż miała towarzystwo siostry i ciotki, nie mogła uciec od myśli o Tyrellu i Nedzie. Litery rozmywały jej się przed oczami, w końcu więc z trzaskiem zamknęła książkę. W tej chwili wszedł Leclerc z bukietem kwiatów.

- Panno Fitzgerald? Właśnie to przyniesiono - oznajmił z uśmiechem.

Lizzie nie miała pojęcia, kto mógłby przysłać jej kwiaty.

- Piękne - powiedziała zadowolona, że oderwano ją od smutnych rozmyślań. - Proszę wstawić je do wazonu na stoliku, o tam.

Po wyjściu kamerdynera obejrzała bilecik i przekonała się, że kwiaty są przeznaczone dla Georgie, a charakterystyczny podpis z ozdobnym zawijaszem należy do Rory'ego. Mimo woli przeczytała treść korespondencji.

Moja najdroższa panno Fitzgerald!

Pomyślałem, że ucieszy panią ten mały dowód uznania przeze mnie porażki, a zarazem wielki dowód podziwu dla Niej.

Sługa uniżony. Rory T. McBane

Lizzie uradowała się niezmiernie i szczerze życzyła Rory'emu powodzenia w zalotach. Para wydawała jej się dobrana znakomicie. Leclerc wrócił do salonu, niosąc bilet na srebrnej tacy.

- Panno Fitzgerald, gość do pani.

Lizzie spojrzała na kartonik i osłupiała. Blanche Harrington. Kamerdyner widocznie był dobrze poinformowany, spytał bowiem:

- Czy mam powiedzieć, że pani nie ma w domu?

- Nie, dziękuję, Leclerc. Proszę wprowadzić lady Harrington i podać herbatę.

Skinął głową i wyszedł.

Lizzie szybko podeszła do jedynej lustra w pokoju, przyszczypnęła kilka razy policzki i poprawiła fryzurę. Potem wygładziła suknię i wzięwszy głęboki oddech, zwróciła się ku drzwiom.

Właśnie pojawił się w nich kamerdyner.

- Lady Harrington - oznajmił.

Na widok gościa Lizzie dygnęła. Lady Harrington odpowiedziała lekkim skinieniem głowy i obie stanęły twarzą w twarz. Blanche wyglądała dokładnie tak, jak Lizzie zapamiętała ją z balu. W pastelowej niebieskiej sukni z biżuterią z szafirów była ucieleśnieniem wytwornej damy.

- Proszę dalej, milady - odezwała się w końcu Lizzie. - Muszę przyznać, że to dla mnie niespodzianka. - Pomyślała, że mówi zbyt szybko. Wciągnęła powietrze, ale niezbyt ją to uspokoiło. - Chyba jeszcze się nie spotkałyśmy.

- Istotnie, nie zostałyśmy sobie przedstawione, i to z mojej winy - powiedziała Blanche.

- Trudno tu mówić o winie - odparła Lizzie. Nie czuła się swobodnie, mając świadomość, że Blanche wie o jej romansie z Tyrellem.

Usiadły naprzeciwko siebie w fotelach i zaczęły poprawiać spódnice. Wreszcie obie spojrzały sobie w oczy.

- Dowiedziałam się, że pani jest matką Neda - zaczęła Blanche. Najgorsze przeczucia Lizzie zyskały potwierdzenie. - Ponieważ prędzej czy później musiałybyśmy się spotkać, możemy to równie dobrze zrobić teraz.

Lizzie nie słyszała w tonie Blanche wrogiej nuty, ale i tak nie spodziewała się niczego miłego.

- To prawda - przyznała. Uśmiechnęła się trochę zbyt ostentacyjnie. - Gratuluję pani zaręczyn z Ty... z lordem de Warrenne.

Blanche odwróciła wzrok.

- Mam szczęście - powiedziała cicho. Zapadło niezręczne milczenie.

- To wspaniały związek - odezwała się w końcu Lizzie. - Słyszałam, że ślub odbędzie w maju.

- Tak - przyznała Blanche. - Pani jest bardzo wielkoduszna, panno Fitzgerald.

- Nie wydaje mi się.

- Czy mogę spytać, jak pani poznała Tyrella? Lizzie nie pojmowała, do czego zmierza rozmówczyni.

- Naturalnie nie chcę być wścibska, więc jeśli to pytanie jest kłopotliwe...

- Nie. - Lizzie była coraz bardziej zdezorientowana. Blanche wcale nie wydawała się zazdrosna, raczej zatroskana. - Dorastałam w majątku kilka mil od Adare, więc od dziecka widywałam jego lordowską mość. On naturalnie mnie nie znał, ale kiedy byłam mała, uratował mnie przed utonięciem.

- To bardzo romantyczne - przyznała Blanche.

- Wcale nie! - wykrzyknęła Lizzie, zrywając się z miejsca.

- Przepraszam. - Blanche wydawała się zakłopotana. - To historia prawie jak z powieści. - Uśmiechnęła się. - To oczywiste, że zdarzenie z dzieciństwa mogło mieć dalszy ciąg. Rozumiem w każdym razie, że jest pani matką Neda.

Lizzie uznała, że nie należy poruszać tego tematu.

- Życzę wam obojgu wszystkiego dobrego - powiedziała zmieszana. - Zawsze wiedziałam, że któregoś dnia lord de WARENNE ożeni się zgodnie ze swoim stanem. Cieszę się, że poślubi tak wielką damę jak pani. Zasluguje na szczęście, milady, i jestem pewna, że z panią je znajdzie.

Przez doskonale obojętną twarz Blanche przemknął cień.

- Była pani ze mną szczerą - stwierdziła. - Czy mogę odwzajemnić się tym samym?

- Nie mnie dyktować, co milady...

- Dobrze - przerwała jej Blanche. - Opowiedział mi o pani mój ojciec i przyjechałam, żeby poznać panią osobiście. Wydaje się pani bardzo przyzwoitą

osobą. Spodziewałam się raczej starszej i znacznie bardziej doświadczonej kobiety.

Lizzie bezradnie wzruszyła ramionami.

- Musiała go pani bardzo kochać - kontynuowała Blanche.

- Tak, ale to już skończone. Popieram wasze małżeństwo, milady.

- W pełni doceniam pani poświęcenie i dzielność, odnoszę bowiem wrażenie, że wciąż kocha pani Tyrella.

Lizzie chciała zaprzeczyć, ale nie była w stanie.

- Na pewno pani wie, że moje małżeństwo z Tyrellem jest wynikiem umowy między naszymi ojcami, a nie związkiem z miłości.

Wstrząśnięta Lizzie zobaczyła, że w niebieskich oczach Blanche pojawiły się łzy, a wargi zaczynają jej drżeć.

- Proszę się uspokoić, milady. Czy dobrze się pani czuje? - Szybko ujęła gościa za rękę.

- Tak, tak. Wszystko w porządku - zapewniła Blanche. - Chciałam tylko powiedzieć, panno Fitzgerald, do jakiego wniosku doszłam. Otóż nie chcę poślubić ani Tyrella, ani nikogo innego.

Lizzie wstrzymała oddech, ale Blanche nic więcej nie dodała.

- Po co pani mi to mówi? - spytała.

- Wczoraj wieczorem mój ojciec wyznał coś, co mną wstrząsnęło. Celowo wmieszał się do waszych spraw, aby was rozdzielić.

Lizzie przypomniała sobie wizytę Harringtona w Wicklowe. To było okropne przeżycie, nie mogła jednak twierdzić, że ojciec Blanche do czegokolwiek ją zmuszał.

- Milady, opuściłam Wicklowe, ponieważ uważałam, że tego wymaga moralność.

- Jest pani bardzo uczciwą kobietą, panno Fitzgerald. Zrozumiałam, co Tyrell w pani widzi. A teraz już pójdę, mój ojciec naprawdę nie czuje się najlepiej i muszę dopilnować, żeby wypoczywał.

Lizzie wciąż nie mogła ochłonąć ze zdumienia, w jakie wprawiała ją ta wizyta.

- Dlaczego pani do mnie przyszła? - spytała.

- Musiałam sama się o czymś przekonać - odparła Blanche.

- Gdzie on jest? - spytała z bijącym sercem Georgie.

Nie mogła uwierzyć, że Rory przyszedł do niej z wizytą. Starła się ze wszystkich sił zapomnieć o epizodzie sprzed trzech dni, wyrzucić z pamięci pocałunek i w ogóle nie myśleć o Rorym. Przecież nie była oszalałą na punkcie małżeństwa debiutantką, lecz staromodną Irlandką zadowoloną ze swego staropanieństwa.

- Czeka w bibliotece - oznajmił Leclerc. - Pani siostra przyjmuje gości w salonie i chyba nie chce, by jej przeszkadzano.

Georgie ruszyła więc za kamerdynerem, próbując zrozumieć, dlaczego nagle zabrakło w domu powietrza. Czego chce Rory? Może ją przeprosić? Przeprosiny mogłaby przyjąć, zwłaszcza że Rory przyjaźni się z Lizzie.

Gość chodził w kółko po bibliotece. Leclerc wyszedł, a Georgie mimo woli pomyślała, że Rory jest całkiem przystojny.

- Jak się pani miewa? - powitał ją z ukłonem.

- Bardzo dobrze - ratowała się kłamstwem z nadzieją, że nie zostanie ono zdemaskowane.

- Czy dostała pani kwiaty? - spytał.

- Kwiaty?

- Przesłałem pani kwiaty, Georgino. Sądziłem, że już zostały dostarczone.

- Pan przesłał mi kwiaty? - powtórzyła głupio.

Oczy mu zabłyśły.

- Tak, róże. Czerwone róże.

- Ale po co? - Czyżby to był jakiś dowcip? A może intryga? Nie widziała żadnego powodu, dla którego Rory miałby obdarowywać ją kwiatami.

- A po co dżentelmen wysyła kobiecie kwiaty?

- Nie wiem - odrzekła Georgie, coraz bardziej zmieszana. Chyba Rory nie chciał się starać o jej rękę?

- Nie wie pani? - upewnił się rozbawiony.

Ogarnięta paniką Georgie uznała, że przyszedł czas na natychmiastową ucieczkę. Odwróciła się do drzwi, ale czujny Rory uniemożliwił tę rejteradę.

- Przysłałem pani róże, Georgino, jako dowód mojego uczucia i podziwu dla pani - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

To naprawdę musi być okrutny żart, uznała Georgie.

- Oboje wiemy, że nie jestem kobietą, która budzi uczucia i podziw mężczyzn. - Na twarzy Rory'ego odmalowało się zdziwienie. - Myślałam, że przyszedł pan przeprosić. - Spłonęła się na samo wspomnienie tamtego epizodu.

- Przeprosić? - zdumiał się Rory.

- Tak. Za to, na co pan sobie pozwolił.

- Ja sobie pozwoliłem?!

- Przyjmuję przeprosiny - szybko zakończyła Georgie. - Wiem, że jest pan przyjacielem Lizzie i ulubionym krewnym ciotki Eleanor, więc nasze drogi będą się czasem krzyżować. Najlepiej jednak byłoby, gdybyśmy nie wracali do tamtej sprawy.

Rory pokręcił głową i ujął ją za rękę.

- Nie przepraszam pani za to, że ją całowałem, Georgino May - oświadczył z mocą.

Zrozumiała, co się święci.

Chciała uniknąć kolejnego pocałunku, lecz jednocześnie bardzo go pragnęła. Rory szybko przeszedł do czynów, a gdy wreszcie oderwał się od jej ust, Georgie nie mogła opanować drżenia. Odruchowo dotknęła warg.

- Dlaczego? - sapnęła, wciąż jeszcze pozbawiona tchu. - Dlaczego mi pan to robi?

Chwycił ją za ramię.

- Ponieważ dość mam udawania, że między nami nic się nie dzieje. Uważam, że jest pani najbardziej zadziwiającą kobietą, jaką miałem przyjemność kiedykolwiek poznać.

- Chyba nie mówi pan tego poważnie? - zapytała zupełnie zaskoczona Georgie. - Proszę nie nadużywać pochlebstw!

- Wcale nie jestem kobieciarzem, za jakiego pani mnie ma. Proszę mi wreszcie zaufać.

Minęło sporo czasu, zanim Georgie zdołała pozbiierać myśli.

- Boję się - oświadczyła.

- Dlaczego? Naprawdę nigdy nie darzyłem kobiety większym podziwem i nigdy bardziej żadnej nie pragnąłem.

Georgie miała wrażenie, że jeszcze chwila, a nogi odmówią jej posłuszeństwa.

- Niech pani się nie boi - szepnął Rory. - Nie mnie. Próbowала się odsunąć, ale on tylko mocniej przyciągnął ją do siebie.

- Przez ostatnie trzy dni myślałem o pani bez przerwy - wyznał. - Myślałem o nas bez przerwy - poprawił się.

- Nie rozumiem.

- Nie jestem zamożnym człowiekiem, Georgino, i pod wieloma względami nawet nie zasługuję na miano dżentelmena.

- Nie oceniam charakteru człowieka według zawartości jego portfela - powiedziała stanowczo.

- Mogłaby pani, a nawet powinna znaleźć kogoś dużo lepszego.

- Wcale nie chcę nikogo lepszego - zdobyła się na szczerość.

Ujął ją za rękę i pocałował.

- Nie dysponuję wielkimi dochodami. Muszę pracować, żeby się utrzymać. Może odziedziczę coś po Eleanor, choć wcale nie jest to pewne. Właściwie nie mam do tego prawa, nie w takich okolicznościach...

- O czym właściwie pan mówi?

Musnął jej wargi, a Georgie mogła myśleć tylko o tym, że zaraz umrze z pragnienia.

- Chciałbym panią poślubić, Georgino, ale naturalnie zrozumieć, jeśli będzie pani miała dość rozumu, aby mi odmówić.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Rory zamknął jej usta pocałunkiem.

Po wyjściu Blanche Lizzie stała w sieni kompletnie oszołomiona. Córka Harringtona wyznała, że nie chce poślubić Tyrella, ale czy oznaczało to, że istotnie go nie poślubi? Odzyskując powoli zdrowy rozsądek, Lizzie wyrzucała sobie, że nawet nie spytała o samopoczucie Neda i Tyrella. Chciała wrócić do salonu, ale przechodząc obok biblioteki, usłyszała w środku jakiś hałas, a po chwili głosy.

Nie ulegało wątpliwości, że głos męski należy do Rory'ego. Przypomniała sobie, w jaki sposób Rory patrzył na jej siostrę podczas świątecznej kolacji. Pchnęła drzwi biblioteki. Georgie z Rorym całowali się jak szaleni, spleceni w uścisku.

Lizzie przemknęło przez głowę, że musi za wszelką cenę ochronić siostrę przed tym, co sama знаła już z doświadczenia. Głośno zapukała w otwarte drzwi i zwróciła się wprost do Rory'ego.

- Nie wiem, jakie pan ma zamiary, ale nie pozwolę kompromitować mojej siostry, drogi panie - oznajmiła. - Jedna upadła kobieta w rodzinie stanowczo wystarczy.

Rory zerwał się z kanapy i chciał coś powiedzieć, ale uwagę Lizzie przykuła siostra, na której twarzy wyraźnie malowała się błogość.

- Więc to tak, Georgie?

- Tak! - odrzekła, nie odrywając wzroku od Rory'ego. - Tak, tak, tak!

Lizzie aż podskoczyła, wydając okrzyk radości.

- Wychodzisz za mąż?!

Rory pochylił się i ujął Georgie za rękę.

- Czy to znaczy, że przyjmuje pani moje oświadczyzny? - spytał.

- Tak, ale jedynie pod warunkiem, że pan mówi poważnie.

- Oczywiście, że mówię poważnie. Jeszcze nikomu nie próbowałem się oświadczyć. - Przysiadł obok i przyciągnął ją do siebie. - Pierwszy raz czuję to, co w tej chwili, Georgino.

Skinęła głową, ale nie była w stanie powiedzieć ani słowa, bo po policzkach płynęły jej łzy. Rory sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pierścionek z brylantem, a praktyczna Lizzie zaczęła się zastanawiać, skąd McBane wziął tyle pieniędzy. Georgie otworzyła usta ze zdumienia.

- Należał do mojej matki - wyjaśnił Rory.

Ujął lewą rękę Georgie i wsunął jej pierścionek na palec.

Lizzie podeszła do nich.

- A to ci dopiero radość! Musimy natychmiast powiedzieć cioci Eleonor i napisać do rodziców. Szkoda, że już wyjechali.

Rory spoważniał.

- Muszę jeszcze porozmawiać z panem Fitzgeraldem - powiedział, jakby nieco zaniepokojony tą perspektywą.

- Papa nie będzie miał nic przeciwko temu - uspokoiła go Georgie. - Gorzej z mamą, ale ją łatwo ująć urokiem osobistym.

Lizzie nie przewidywała żadnych problemów, zwłaszcza że zaręczeni mogli się spodziewać poparcia ciotki. Postanowiła więc zająć się konkretnymi.

- Kiedy i gdzie chcecie się pobrać? - spytała. Georgie i Rory siedzieli, trzymając się za ręce.

- Ja chciałabym wziąć ślub w Irlandii - odrzekła Georgie. - Czy panu to odpowiada? Raven Hall jest za małe, ale może wobec tego w Glen Barry?

- Zgodzę się na wszystko, z czego pani będzie zadowolona - oświadczył z powagą Rory.

Zarumieniła się i popatrzyła na siostrę.

- Ojej, wychodzę za mąż! Tak wiele jeszcze trzeba ustalić.

Tyrell wyszedł z pokoju dziecięcego po lunchu, który zjadł z synkiem. Ned stał się prawdziwym światłem w jego życiu. Jednak każda chwila z nim spędzana przypominała mu Elizabeth. Wspaniałe było wspólne lato w Wicklowe. U podnóża schodów zatrzymał go kamerdyner.

- Milordzie, ma pan gościa.

Podał Tyrellowi bilet wizytowy. Jego zagięte rogi wskazywały jednoznacznie na Rory'ego McBane'a.

Tyrell odczuł pewien niepokój. Nie widział Rory'ego od lata, pamiętał jednak o jego przyjaźni z Elizabeth. Liczył na to, że dowie się czegoś ciekawego.

- Dokąd mam iść?

- Do Zielonego Pokoju, proszę pana.

- Przynieś nam butelkę wina, najlepiej burgunda - polecił Tyrell na odchodnym.

Salon miał nietypowo ciemne, szmaragdowe obicia i bladozłoty sufit. Rory stał oparty o gzyms kominka, chyba mocno zamyślony, zupełnie nie przeszkadzał mu bowiem żar bijący z paleniska. Na widok Tyrella wyprostował się.

- Czyżbyś koso na mnie patrzył, Tyrell? - powitał przyjaciela. - Myślałem, że będę lekiem na wszystkie twoje strapienia. Nie tęskniłeś za mną ani odrobinę? Przecież nie masz drugiego takiego radykała wśród przyjaciół. Bez mojego towarzystwa z pewnością zginiesz, przygnieciony brzemieniem konserwatyzmu.

Tyrell mimo woli się uśmiechnął.

- Wcale nie patrzę koso, zmyliło cię oświetlenie. Poza tym wprawdzie jesteś najdzielniejszym buntownikiem, jakiego znam, ale ja wcale nie jestem otoczony przez reakcjonistów, jak ci się wydaje.

- Jeśli spędzasz czas w tym miejscu - odparł Rory rozbawiony - to zdecydowanie znajdujesz się w jaskini pełnej niebezpiecznie konserwatywnych poglądów. A w ogóle, to jak się miewasz?

- Całkiem dobrze - skłamał Tyrell. - A ty?

Rory się rozpromienił i odparł:

- Doskonale, ale tylko w życiu osobistym. Unia finansowa między naszymi krajami zirytowała mnie nie na żarty. - Przesłał Tyrellowi takie spojrzenie, jakby to on był odpowiedzialny za nieuchronne połączenie irlandzkiego urzędu skarbowego z brytyjskim.

- Jeśli masz nadzieję na debatę, szukaj przeciwnika gdzie indziej - poradził Tyrell. - Nie zamierzam dyskutować o zaletach i wadach unii.

Rory uśmiechnął się zagadkowo.

- Kiedy chcę wywołać ostrą debatę, wystarczy mi powiedzieć parę słów w obecności narzeczonej. - Zerknął na Tyrella z dumą. - Żenię się.

Tyrell klepnął go po ramieniu szczerze zdziwiony. Rory naturalnie nie był mnichem, ale z uganianiem się za kobietami nie przesadzał. Przede wszystkim pasjonował się polityką.

- Ta miłość musiała spaść na ciebie jak grom z jasnego nieba - stwierdził. - Gratulacje.

- Przyznaję, że jestem zauroczony. Zaczynam rozumieć, co to znaczy „zakochać się”. - Potarł skronie. - Gorzej ostatnio sypiam.

Służący przyniósł wino.

- Idealny moment na toast - uznał Tyrell. Stuknęli się kieliszkami. - A kim jest ten wzór wszystkich cnót i niewątpliwie również intelektu, który tak cię oczarował?

- To panna Georgina Fitzgerald. Tyrell zamarł. - Zakochałem się w siostrze Lizzie - potwierdził Rory. - Wiosną bierzemy ślub.

Po chwili odrętwienia umysł Tyrella zaczął pracować ze zdwojonym wysiłkiem. Skoro Rory żeni się z Georginą, to musi mieć wiadomości o Lizzie.

- Nie znam jej zbyt dobrze, ale chyba rozumiem, co cię w niej ujęło.

- Nigdy nie spotkałem bardziej błyskotliwej kobiety - entuzjastmował się Rory. - Zauważyłeś może, jaka jest piękna i elegancka?

- Jest bardzo wysoka - bąknął Tyrell, starając się nie myśleć o Elizabeth. - Pozwól jednak, że cię spytam, Rory. Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który wielokrotnie używa tego samego biletu wizytowego. Jak zamierzasz was utrzymać? Ona przecież też nie należy do zamożnych.

Kwestia była poważna, a jako dobry przyjaciel Rory'ego czuł się w obowiązku ją poruszyć.

- Jakoś sobie poradzimy - powiedział nieco smutniej Rory. - Na rysunkach rzeczywiście wiele nie zarabiam, więc poszukam lepiej płatnego zajęcia.

To naprawdę zdumiało Tyrella, wiedział bowiem, jak wielkie znaczenie mają dla Rory'ego te satyryczne rysunki.

- Jesteś gotów porzucić rysowanie?

- Nie całkiem, ale przestanę publikować w „Timesie” regularnie. Miałem długą debatę z samym sobą. Wyszło, że jestem głupcem, bo powinienem był szukać dziedziczki. No, ale stało się. - Spochmurniał. - Ona też mogła trafić lepiej. Mówi jednak, że nie interesuje jej moja sytuacja finansowa. Podobno nigdy nie przypuszczała, że się zakocha. - Nagle uśmiechnął się szeroko. - Nawet powiedziała mi wprost, że mnie kocha.

Tyrell uznał, że w prezencie ślubnym podaruje państwu młodym znaczną sumę, wiedział jednak, że nie zlikwiduje to ich problemu, a jedynie na pewien czas go złagodzi.

- Spróbuję ci pomóc w znalezieniu dobrze płatnego zajęcia - obiecał. - Niech się zastanowię.

- Nie po to przyszedłem, ale dziękuję. Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś ideałem przyjaciela?

- Z przyjemnością pomogę wam obojgu.

Jak przebiegłoby spotkanie z Elizabeth, gdyby się zobaczyli? - zadał sobie w duchu pytanie.

- Tyrell - wyrwał go z zamyślenia Rory. - Bardzo mi zależy, żebyś był na ślubie. Jednak zważywszy na to, co zaszło latem zeszłego roku, nie wydaje mi się to dobrym pomysłem.

Tyrell przyjrzał mu się badawczo.

- Czy Georgina jest w Londynie? Rory nieco się zmieszał.

- Tak. Mieszka u Eleanor przy Belgrave Square.

- A Elizabeth też tam jest?

Brak odpowiedzi był dla Tyrella wystarczającą informacją. Jego myśli pędziły jak oszalałe. Elizabeth przebywa o dwadzieścia minut jazdy powozem od niego!

- Jak tam twój syn? - zmienił temat Rory. - Musiał bardzo urosnąć.

Tyrell spojrzał nań niezbyt przytomnie.

- Jak ona się czuje?

Rory spiorunował go wzrokiem.

- Tylko nie zaczynaj!

- Czego? - spytał Tyrell. - Chcę wiedzieć, jak ona się czuje. To proste pytanie, a ja mam prawo otrzymać odpowiedź.

- Nie masz prawa! - krzyknął Rory. - Możesz pytać o swoją narzeczoną. Jak może się czuć ktoś, komu złamałeś serce?!

- Dla mnie sprawa wygląda zgoła inaczej. To ona mnie zostawiła.

Rory podszedł do niego rozeźlony nie na żarty.

- Lizzie jest moją kuzynką i przyjacielem. Nigdy nie zgadzałem się na twój romans, który był moim zdaniem haniebnym! Ona zasługiwała na więcej. Powinna mieć męża i dom, a pozostały jej wstyd i kompromitacja.

- Przyszła do mnie już skompromitowana - skłamał Tyrell, choć wiedział, że Rory ma całkowitą rację.

- Davidson jest moim przyjacielem, Lizzie. Czyżby właśnie dała mu pani kosza?

- Ach, więc to pan go zaprosił. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Rory, niech pan da spokój, proszę. Nie jestem zainteresowana.

- Mam dla pani pewną radę, jeśli można - nie dawał za wygraną.

Lizzie przerwała mu uniesieniem dłoni, ale nie zdążyła niczego powiedzieć, bo poczuła na sobie czyjś wzrok. Odwróciła się i ujrzała Tyrella de Warenne.

Wydała okrzyk zdumienia. Nie mogła zrozumieć, skąd się wziął i co tutaj robi. Obudziły się w niej wszystkie bolesne wspomnienia. Przypomniała sobie ich pieszczoty, wyjazd z Wicklowe i wizytę Blanche. I wtedy ujrzała w jego dłoni piękny bukiet.

- Widzę, że źle się pani poczuła - powiedział Rory. - Proszę tu zostać, ja się tym zajmę.

Lizzie nie usłyszała jego słów. Chłoneła posępne i skupione spojrzenie Tyrella. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi pozwoliła sobie na odrobinę nadziei.

- Co ty tu robisz? - Rory nie ukrywał irytacji.

Tyrell całkiem go zignorował.

Wpatrywał się w znieruchomiałą sylwetkę Elizabeth. Wydawało mu się, że nie widział jej wieki. Urzeczony jej urodą, poczuł, że gniew, który długo tłumił w sobie, nagle znika. Jak bardzo chciał z nią być!

- Musisz stąd wyjść - nie ustępował Rory. - Swoją obecnością niepotrzebnie namącisz. Czyżbyś zapomniał, że jesteś zaręczony z kim innym?!

Tyrell drgnął, jakby te słowa obudziły go z letargu.

- Wracaj do Blanche - naciskał Rory.

W tej chwili Tyrell w pełni pojął, że jego małżeństwo z Blanche nie ma szans powodzenia. Pochwyił wzrok Elizabeth, spojrzał w szare, pełne urazy oczy. Mógł w nich wyczytać jedno, jedyne słowo: dlaczego?

- Do diabła, Tyrell, przecież widzę, że wciąż darzysz ją uczuciem. Jako przyszły szwagier, mam obowiązek dopilnować, żebyś nie wyrządził jej kolejnej krzywdy i nie zmarnował widoków na przyszłość z innym mężczyzną.

Do siostry podeszła Georgina i otoczyła ją ramieniem, lecz Elizabeth zdawała się tego nie zauważać.

- Nie będzie żadnego innego mężczyzny - stanowczo oświadczył Tyrell.

- Co takiego?

- Muszę dać jej kwiaty - upierał się, nie spuszczać wzroku z Elizabeth. - Porozmawiam z nią i sobie pójdę.

- Tyrell! - krzyknął Rory. Było jednak za późno.

Lizzie stała jak sparaliżowana, gdy tymczasem Tyrell zbliżył się do niej i nisko skłonił.

- Witaj, milordzie - powiedziała, choć głos ją nieco zawodził.

Wolno zmierzył ją wzrokiem, jakby chciał przypomnieć sobie każdy szczegół jej urody. Nic się nie zmieniło. Tęsknota nie osłabła ani na jotę.

- Witaj, Elizabeth - powiedział i zwrócił się do Georgie: - Panno Fitzgerald, serdecznie gratuluję z okazji zaręczyn.

- Dziękuję - odparła z kwaśną miną i zerknęła na Lizzie, szukając wskazówki, jak w tej sytuacji powinna się zachować.

- Zostaw nas - poprosiła Lizzie.

Georgie skrzywiła się nieznacznie, ale odeszła.

- Usłyszałem, że panie są w Londynie. - Tyrell wyciągnął przed siebie rękę z bukietem czerwonych róż.

Lizzie postanowiła go przyjąć, choć wymowa tego hołdu nie była dla niej jasna.

- Dziękuję. - Przytuliła kwiaty do piersi.

- Dobrze wyglądasz, Elizabeth. - Z uznaniem odnotował jej kobaltową suknię wieczorową.

- Ty również - odrzekła, dzielnie wytrzymując jego spojrzenie. Nie zamierzała dyskutować ani o swoim wyglądzie, ani o samopoczuciu.

- I całkiem nieźle się miewam - dodał kpiąco.

- To zaskakujące - odparowała Lizzie.

- Owszem.

- Po co przyszedłeś? - spytała, widząc, że nie spieszy mu się do wyjaśnień.

- Nie wiedziałem, że przebywasz w Londynie. Usłyszałem to dopiero dziś rano od Rory'ego - odparł takim tonem, jakby wszystkie wątpliwości zostały rozwiane.

- Rozumiem.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - oświadczył, nie spuszczać z niej wzroku.

- Przyjaciółmi - powtórzyła niedowierzająco.

Czyżby zyskała teraz taki status? - Naturalnie. Zawsze będę darzyć cię przyjaźnią, Tyrell.

- Czy to znaczy, że nadal pozostajesz wobec mnie lojalna?

O co mu chodzi? Ta rozmowa wprawiała Lizzie w coraz większe zakłopotanie.

- Przyjaciele są wobec siebie lojalni. Taka jest natura przyjaźni. - Zdecydowanie miała już dość tych aluzji. - Znasz mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że jestem szczerą.

- Zmieniłaś się. - Przyglądał jej się z pewnym zdziwieniem. - Jesteś jeszcze piękniejsza i bardziej pociągająca niż przedtem, a w dodatku zyskałaś pewność siebie cechującą dojrzałą kobietę.

Były to jawne pochlebstwa, ale, o dziwo, sprawiły Lizzie przyjemność.

- Wszyscy się zmieniamy, Tyrell. To się chyba nazywa dojrzewanie. - Zawahała się. - Mam wrażenie, że i ciebie to dotyczy.

- Życie jest pełne niespodzianek, Elizabeth, nie zawsze przyjemnych.

- Jak się czuje twoja rodzina? - zmieniła temat na bezpieczny, ale natychmiast przypomniał jej się Ned, o którego przecież nie wolno jej było zapytać.

- Dziękuję, dobrze.

- A lady Blanche?

- Też dobrze - odrzekł, uciekając wzrokiem. Następne słowa okazały się dość zaskakujące. - Pozostajemy całkiem obcymi ludźmi.

Ciekawe. Najpierw była ta dziwna wizyta lady Blanche, a teraz niespodziewane odwiedziny Tyrella. Lizzie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Elizabeth. Nie będę zanadto przedłużać mojego pobytu. Widzę, że masz gości.

Nie chciała się z nim rozstawać, ale nie mogła go przecież zatrzymać.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Tyrell. Czy... czy możemy w jakiś sposób pozostać przyjaciółmi? Mógłbyś mnie czasem odwiedzić, naturalnie wtedy, gdy to będzie dla ciebie wygodne.

- Dziękuję - powiedział z wyraźną ulgą. - Zrobię to z przyjemnością, Elizabeth.

Serce biło jej mocno. Wciąż pamiętała cudowne chwile, które dzielili. Tymczasem jednak musiała odprowadzić go do drzwi. Na progu Tyrell przystanął.

- Elizabeth, nie spytałaś o Neda.

Szybko odwróciła głowę, żeby się nie zorientował, jak bliska jest załamania. Nie zdołała wydobyć z siebie głosu.

- Ned ma się dobrze - ciągnął Tyrell. - Jest niezwykle bystrym dzieckiem i jak zawsze lubi rządzić. Uwielbiam go i mam też nadzieję, że jest szczęśliwy.

Lizzie spojrzała na niego pełnymi łez oczami.

- Widzę, że to nadal jest dla ciebie trudne.

- Bardzo za nim tęsknię. Dziękuję za odwiedziny, milordzie.

- Elizabeth... Możesz go zobaczyć. Chętnie to umożliwię.

- To nie jest dobry pomysł. - Wiedziała, że drugi raz nie zostawiłaby Neda za żadną cenę. - Nie powinnam.

- Gdybyś zmieniła zdanie, proszę dać znać.

- Nie zmienię zdania - odparła i dygnęła. - Dobranoc, milordzie.

Zamiast wykonać ukłon, jeszcze przez chwilę patrzył na nią przenikliwie i bardzo onieśmielająco.

O świcie skapitulowała. Usiadła przy sekretarzyku, napisała liścik i zapieczętowała. Dostarczono go do Harmon House dokładnie o ósmej.

Lordzie de Warenne!

Wielkoduszną propozycję przemyślałam ponownie. Jeśli nadal jest aktualna, chętnie odwiedzę Twojego syna. Jestem dzisiaj w domu i oczekuję na odpowiedź.

Elizabeth Anne Fitzgerald

Odpowiedź Tyrella dotarła już po półgodzinie.

Droga Elizabeth!

Propozycja pozostaje aktualna. Możesz odwiedzić Neda, kiedy zechcesz. Wystarczy powiadomić mnie o dacie i godzinie, a ja załatwię resztę. Czekam z niecierpliwością na odpowiedź.

Tyrell de Warenne

Lizzie skreśliła w gorączkowym pośpiechu kolejny liścik i jeszcze przed dziewiątą wręczyła go lokajowi.

Drogi lordzie de WARENNE! Jeśli nie jest to zbyt śmiała propozycja, chciałabym odwiedzić Neda dzisiaj. Mogę przyjść o dowolnej porze, która by Ci odpowiadała.

Szczerze oddana Elizabeth Anne Fitzgerald

Tyrell najwidoczniej również pozostał w domu, ponieważ odpowiedź dostarczono na Belgrave Square po niecałej godzinie.

Droga Elizabeth!

Nie jesteś zbyt śmiała. Czy czwarta po południu będzie dobra?

Tyrell

Lizzie nie mogła uwierzyć, że już wkrótce zobaczy Neda. Czytając odpowiedź Tyrella, widziała jego uśmiech, a nawet czuła na sobie jego czułe spojrzenie.

Drogi lordzie Tyrellu!

Przyjdę o czwartej, jak uzgodnione. Dziękuję.

Elizabeth

Nie spodziewała się dalszego ciągu tej korespondencji, więc bardzo się zdziwiła bilecikiem otrzymanym za kwadrans jedenasta.

Elizabeth!

Cieszę się, że przyjdiesz.

Tyrell

Czekał na nią osobiście, gdy przekroczyła próg Harmon House punktualnie o czwartej. Miała nadzieję, że jest to dobry znak.

- Witam, Elizabeth. - Tyrell, jak zawsze elegancki, skłonił się i wprowadził ją do holu.

Lizzie dobrała na tę okazję strój ze szczególną troską. Zdecydowała się na zieloną suknię z długimi rękawami i głębokim dekoltem. Czula się w niej niemal jak królowa. Dla ozdoby włożyła nefrytowe kolczyki z brylancikami i złotą broszkę. Kiedyś nie było jej stać na takie luksusy, teraz mogła konkurować z najelegantszymi damami Londynu.

- Dzień dobry, milordzie.

Zauważyła taksujące spojrzenie Tyrella i odniosła wrażenie, że zyskała jego uznanie. Zamierzała oprzeć ich przyszłe stosunki wyłącznie na przyjaźni, ale jego reakcja sprawiła jej przyjemność.

- Ned jest w Błękitnym Pokoju - oznajmił, gdy kamerdyner zamknął drzwi. Najwyraźniej rozumiał jej pragnienie, aby jak najszybciej zobaczyć chłopca.

- Przyniosłam podarki - powiedziała, pokazując torbę z dwiema paczuszkami.

- To mnie nie dziwi - odrzekł ciepło.

Eleganckie wnętrze Harmon House mogło robić wrażenie, ale Elizabeth nie zwróciła na nie uwagi. Gdy wreszcie usłyszała dziecięcy głosik, serce zabiło jej mocniej.

- Zapowiedziałem mu odwiedziny cioci.

- Co takiego?! - zdumiała się, przekonana, że Tyrell dowiedział się prawdy o Annie.

- Uznałem, że najlepiej będzie przedstawić cię jako krewną - wyjaśnił.

- Tak, naturalnie - przyznała.

W milczeniu szli długim korytarzem.

- Twoja matka była tak dobra, że informowała mnie co pewien czas o samopoczuciu Neda - odezwała się po chwili.

Zaskoczyła go tym, ale nie oburzyła.

- Powinienem był się domyślić - stwierdził. - Nie ma w tym nic dziwnego, matka ogromnie cię polubiła. Z Nede też są w bardzo dobrych stosunkach. On ją uwielbia, a ona go rozpieszcza.

- Bardzo się cieszę.

Zatrzymali się na progu Błękitnego Pokoju.

Chłopiec stał przy kudłatym psie dwa razy większym od niego i próbował nauczyć go siadać, podczas gdy zwierzak patrzył na niego i dyszał, pokazując różowy jęzor. Na kanapie siedziała z robótką Rose. Ned bardzo urósł. Gdy wreszcie udało mu się namówić kudłatego psa, żeby usiadł, Lizzie uroniła łzę.

- Dobry Bari, dobry - powiedział, wspierając się pod boki, a potem dumny ze swego osiągnięcia odwrócił się i zawołał: - Papa!

Podbiegł do ojca i radośnie się roześmiał, gdy ten poderwał go z ziemi. Tyrell przez chwilę trzymał go w górze równie rozradowany.

- Mamy gościa. Pamiętasz? Powiedziałem ci rano, że przyjdzie ciocia Elizabeth.

Patrząc na nich, Lizzie była pewna, że postąpiła właściwie. Między ojcem a synem niewątpliwie istniała silna więź. Widać też było wyraźne podobieństwo. Tymczasem Tyrell postawił Neda na ziemi.

- Dlaczego ciocia płacze? - spytał chłopiec. Tyrell położył mu dłoń na głowie.

- Z radości, że cię widzi.

- Dzień dobry, Ned - przywitała się Lizzie. Nie wiedziała, jak powstrzymała się przed tym, aby nie porwać chłopca w ramiona, nie chciała go jednak przestraszyć.

- Znałam cię, kiedy byłeś bardzo mały. - Poglaskała go po policzku. - Przyniosłam ci prezent. Chcesz zobaczyć?

- Nie płacz - powiedział, kiwając głową.

- Postaram się, ale twój papa ma rację, płaczę z radości, że znowu cię widzę. - Ned ujął ją za rękę i jej postanowienie legło w gruzach. Przyklękła na podłodze i spytała przez łzy: - Mogę cię uściskać?

Bez wahania skinął głową. Przytuliła go więc, a on zarzucił jej ręce na szyję. Wzruszona, cieszyła się powitaniem, zaraz jednak wstała, by zupełnie się nie rozkleić.

- Proszę. - Podała mu jedną z paczuszek.

Ned rozerwał papier i znalazł w środku magiczne pudełko. Musiał widzieć tę zabawkę wcześniej, bo uderzył w wieczko i natychmiast wyskoczył ze środka kolorowy klaun. Ned roześmiał się, schował klauna i pomógł mu wyskoczyć jeszcze raz.

Lizzie tymczasem przywitała się z Rose.

- Ależ on wyrósł - powiedziała Lizzie. - Dziękuję ci, Rose, że z nim zostałam. Dziękuję ci za wszystko.

- Dobrze mi tu. Jego lordowska mość ma dużo uważania. Ale za tobą tęsknimy, i ja, i Ned.

Chłopiec nadal zapoznawał się z klaunem, a do zabawy włączył się zaciekawiony Bari.

- Bardzo dziękuję za podarunek - powiedział Tyrell.

- Mam dla Neda jeszcze coś. - Lizzie wróciła do torby i wyjęła z niej drugą paczkę.

- A może to dla mnie? - zażartował Tyrell, który tymczasem stanął za jej plecami i lekko ujął ją pod łokcie.

- Nie, to stanowczo dla Neda - odrzekła i odsunęła się na bezpieczniejszą odległość.

Tyrell nie próbował zbliżyć się ponownie. Otworzył paczkę i wyjął z niej ilustrowaną książkę z baśniami.

- Z przyjemnością poczytam je Nedowi przed zaśnięciem - powiedział.

- Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym została i trochę pobawiła się z Nedeem? - spytała.

- Tylko jeśli obiecasz odwiedzić nas znowu. Znowu ogarnęło ją wzruszenie. Zauważyła naturalnie natychmiast, że Tyrell powiedział „nas”.

- Z przyjemnością.

- Może w piątek po południu - zaproponował.

- Dobrze. - Piątek wypadł za dwa dni. Cieszyła się, choć wiedziała, że jej postanowienia zostały wystawione na ciężką próbę.

Tyrell patrzył na nią w wielkim skupieniu, a ona poczuła się jak zdobycz. Uświadomiła sobie, że on tylko czyha, aby zrobić następny krok. Najgorsze, że nie bardzo wiedziała jaki. Czyżby chciał wznowić ich romans? No cóż, od początku zdawała sobie sprawę, że z wizytą w Harmon House wiąże się bardzo określone niebezpieczeństwo.

- Czy podać kieliszek wina? - spytał Tyrell. Lizzie zawahała się.

- Chętnie się napiję - odparła po chwili.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ręka sprawiedliwości

Blanche bardzo się zdziwiła, gdy powiadomiono ją o wizycie narzeczonego. Widziała go przecież poprzedniego wieczoru podczas kolacji, na którą przyszedł do jej domu wraz ze swoim ojcem. Gdy zjawiła się w salonie, Tyrell stał z chmurną miną, zapatrzony w ogień na kominku.

- Chciałem porozmawiać z panią w cztery oczy - wyjaśnił po przywitaniu.
- Czy możemy usiąść?

Blanche skinęła głową i zajęła miejsca na dużej kanapie ze złotym obiciem i niezliczonymi poduchami. Tyrell spoczął na fotelu naprzeciwko.

- Mam nadzieję, że pańska rodzina miewa się dobrze - odezwała się Blanche.

Tyrell wciąż miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Dziękuję, wszystko w porządku. A jak czuje się pani ojciec? Wczoraj sprawiał wrażenie całkiem zdrowego. Czy wciąż niedomaga?

- Mój ojciec miewa jeszcze chwile słabości - odparła po krótkim wahaniu. Nagle nawiedziła ją niepokojąca myśl. - Czy przyjechał pan zabrać mnie z powrotem do Harmon House? To byłoby niemożliwe, zależy mi na tym, żeby zapewnić ojcu dobrą opiekę.

- Nie, Blanche, przyjechałem w innym celu. Muszę coś powiedzieć, choć wiem, że wbrew moim najlepszym chęciom zapewne nie uda się uniknąć niezręcznej sytuacji.

Blanche skubnęła frędzel przy poduszce.

- Czy chodzi o pannę Fitzgerald?

- Słyszała pani o niej? - zdziwił się. Skinęła głową.

- Ojciec opowiedział mi o pańskim, hm... zakończonym związku. - Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - To nie stanowi dla mnie problemu,

Tyrell. Nie czuję się ani urażona, ani zgorzozona. Wiem, że miało to miejsce latem zeszłego roku, kiedy nasze narzeczeństwo było w początkowej fazie.

- Czy pani nigdy nie ma do nikogo pretensji?

- To kwestia usposobienia - odrzekła zgodnie z prawdą. Sama zastanawiała się, czy umiałaby kogoś znienawidzić. - Nigdy nie wpadam w gniew.

Tyrell wstał.

- Mimo wszystko obawiam się, że mogę go teraz wywołać. Blanche, jest pani ideałem damy. Byłaby pani wspaniałą hrabiną i równie wspaniałą żoną. Jednak wiele nad tym myślałem i choć nie chcę pani urazić, to muszę powiedzieć wprost. Nie mogę pani poślubić.

Blanche odczuła nagłą ulgę; ich życzenia okazały się podobne.

- Nie może pan?

- Jeszcze raz bardzo przepraszam - zapewnił z posępną miną. - Nie jest to w żadnym wypadku pani wina. Po prostu zanim się poznaliśmy, oddałem serce komu innemu. Postanowiłem poślubić tę kobietę. Zamierzam skupić całą swoją uwagę na zapewnieniu przyszłości majątkowi w Adare, naturalnie pod warunkiem, że nie zostanę wydziedziczony.

- Musi pan bardzo kochać pannę Fitzgerald - uznała Blanche. Była zdania, że Tyrell nie uchroni się przed wydziedziczeniem. - Wyżej stawia pan miłość niż obowiązek.

- To prawda - przyznał. - Czy moje uczucia są aż tak widoczne?

- Nie - odparła Blanche. Fascynowało ją, w jaki sposób można tak namiętnie kochać. - Miałam okazję poznać pannę Fitzgerald. Okazała się wyjątkowo sympatyczna i wielkoduszna. Spodziewałam się jednak prawdziwej piękności, zobaczyłam zaś kobietę dość pospolitej urody. Dla mnie to oczywiste, że pańskim postępowaniem kierowała miłość. Ona zresztą też jest w panu po uszy zakochana, Tyrell.

- Powiedziała to pani? - spytał głosem pełnym nadziei.

- Nie musiała. - Blanche przypominała sobie postępek swojego ojca. -
Wie pan, ojciec wyznał mi, że celowo zaszkodził pańskim stosunkom z panną Fitzgerald. O ile wiem, to właśnie on nakłonił ją do opuszczenia Wicklowe. Przed odjazdem panna Fitzgerald napisała do pana list. Ojciec wyjawiał mi, że go zniszczył.

Zapadło długie milczenie.

- Dziękuję, że pani mi o tym powiedziała - odezwał się w końcu Tyrell. -
A pani, Blanche? Jak pani się czuje z tym wszystkim?

- Dziękuję, dobrze.

- Każda inna kobieta dawno wpadłaby w histerię.

Tymczasem pani nie wydaje się nawet odrobinę wyprowadzona z równowagi.

- Nie przeszkadza mi, że chce pan poślubić kogo innego. Przeciwnie, bardzo mi ulżyło, kiedy dowiedziałam się, że będę mogła dalej mieszkać w Harrington Hall.

- Nie potrafię pani zrozumieć.

- Proszę tylko nie myśleć, że chcę pana obrazić. Także moje odczucia w ogóle nie mają związku z pańskim postępowaniem.

- Kocha pani kogo innego.

- Obawiam się, że nie - odparła, nagle przejęta smutkiem.

Tyrell stanął za nią i położył jej rękę na ramieniu. Wyraźnie jednak dotyk nie sprawił jej przyjemności, odsunęła się bowiem.

- Nie jestem zdolna do miłości. Czy pan tego nie zgadł?

- Każdy jest zdolny do miłości. Oczy nagle jej zwilgotniały.

- Jestem szczęśliwa, ale szczęście nigdy mnie nie rozpiesza. Bywam smutna, ale nigdy zrozpaczona. Coś jest nie tak z moim sercem: bije normalnie, ale nie pozwala mi na więcej niż zaledwie na cień jakiegokolwiek uczucia.

- Jestem przekonany, że któregoś dnia spotka pani mężczyznę, który to zmieni - stwierdził Tyrell.

Zamknęła oczy. Wiedziała, że gdzieś w zakamarkach jej duszy kryje się trwoga, ale nie umiała nawet określić jej kształtów.

- Jak to jest, Tyrell? - spytała. - Jak czuje się zakochany człowiek?

- Cudownie - odparł, szukając słów, które oddałyby to najlepiej. - To jest czyste olśnienie, to jest upojenie więzią między dwojgiem ludzi, ich wspólną radością. Jest w tym gotowość do wielkich poświęceń i doznanie absolutnej pełni.

Uśmiechnęła się.

- Cieszę się z pana szczęścia, ze szczęścia was obojga.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, Blanche. Proszę pamiętać, zawsze jestem gotów wyświadczyć pani przysługę, Czuję się pani dłużnikiem.

- Jest pan bardzo miły.

- Porozmawiam wobec tego ze swoim ojcem, a potem z lordem Harringtonem.

- O mojego ojca nie musi pan się martwić. Najpierw wpadnie w wielką złość, ale prawda jest taka, że jeszcze nigdy w sprawie, która mnie dotyczy, nie podjął decyzji wbrew mojej woli. Jeśli pan sobie życzy, mogę go przygotować do tej rozmowy.

- Dziękuję, ale nie. To jest mój obowiązek i muszę go wypełnić.

Blanche skłoniła głowę. Rozumiała.

Tyrell poprosił ojca o rozmowę. Hrabia siedział za biurkiem i studiował londyńskiego „Timesa”, a obok leżało nowe wydanie „Dublin Times”. Tyrell zawahał się, wiedział jednak, że tego starcia nie uniknie. Adare było dla niego ważne, ale Elizabeth o niebo ważniejsza. Dlaczego jednak nie miałyby zdobyć tej kobiety, zachowując Adare? Musiał spróbować, choć wiedział, że pierwsza bitwa zapewne niczego nie rozstrzygnie. Miał jednak nadzieję znaleźć sojuszników w hrabinie i rodzeństwie.

- Słucham. - Hrabia musiał wyczuć, czego należy się spodziewać, bo wstał. - Chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Tak. - Tyrell podszedł do biurka. - Jak udało ci się przez te wszystkie lata zachować tytuł hrabiego Adare? - To pytanie chciał mu postawić już dawno. Hrabia nie wydawał się zaskoczony.

- Kiedy byłem w twoim wieku, świat wyglądał inaczej. Maszyny i handel dopiero zaczynały cokolwiek znaczyć. W tym, co robiłem, oparłem się na Irlandii, a walczyłem z Anglikami. Musiałem zapewnić opiekę moim dzierżawcom i bronić ich nielicznych praw, a jednocześnie trzymać Anglików na dystans.

- To było trudne zadanie, prawda? - Tyrell dobrze znał historię Irlandii.

- Zdarzało się nieraz, że czułem się zbyt słaby i nieistotny, aby udźwignąć taką odpowiedzialność. W odróżnieniu od ciebie nie mam braci, a moja jedyna siostra poślubiła Anglika. Potem jednak poznałem twoją macochę. Miłość Mary pomogła mi utrzymać na barkach ciężar Adare.

Tyrell spojrział na ojca z wielką powagą.

- Kocham pannę Fitzgerald i mam nadzieję, że jej miłość i siła pomogą z kolei mnie udźwignąć ten wielki ciężar.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Mary ostrzegła mnie, że tak to się skończy - powiedział hrabia.

- Nie spodziewałem się, że nadejdzie dzień, w którym tak boleśnie cię zawiodę - powiedział Tyrell. - Ogromnie szanuję i podziwiam cię, ojczu. Uważam jednak, że mogę sprawować opiekę nad Adare i zabezpieczyć przyszłość majątku, mając u boku Elizabeth.

Hrabia usiadł.

- Nigdy nie widziałem u ciebie tyle ponurych min i takich zmiennych nastrojów, jak w ostatnich miesiącach, od czasu jej wyjazdu.

- Muszę ci coś powiedzieć. Elizabeth nie jest matką Neda.

- Jak to?! - zapytał zaskoczony hrabia.

- Elizabeth poświęciła swoją reputację i spokojne życie, aby dać mu dom. A Wicklowe opuściła również dla dobra dziecka. Wiem, że omal nie pękło jej serce. To jest wyjątkowo wielkoduszna i dzielna kobieta.

- Zaczynam powoli rozumieć, do czego zmierzasz. Naturalnie wiadomość o jej odwadze i miłosiernym sercu wcale mnie nie zaskakuje. Jej dobroczynność jest powszechnie znana.

- Panna Fitzgerald będzie znakomitą hrabiną - zapewnił Tyrell. - Czy możesz temu zaprzeczyć?

- Nie - odparł hrabia. - Czuję, że jesteś gotów dla niej wszystko poświęcić.

- Nie chcę z tobą walczyć, ojcze, o tytuł, ale muszę - ciągnął Tyrell. - Mógłbyś naturalnie przekreślić moje starania jednym ruchem pióra, wiem jednak, że nigdy nie działasz pochopnie. A jeśli hrabina, moi bracia, a także Devlin i Sean poprą mnie w tej sprawie, w końcu ulegniesz. Nie spróbuję zbuntować rodziny przeciwko tobie, ale to ja jestem najlepiej przygotowany do przejęcia hrabiowskiego tytułu. Tak mnie wychowałeś. Nawet bez majątku Blanche możemy przetrwać. Wiem już, że moją pierwszą decyzją będzie sprzedaż Wicklowe, które w tej chwili stanowi ekstrawagancję niesłużącą żadnemu konkretnemu celowi.

- Nie mógłbym z tobą walczyć, Tyrellu. Jesteś moją dumą i radością. Rozumiem, że znalazłeś wielką i trwałą miłość podobną do tej, która mnie łączy z Mary. Wyobrażam sobie, że nie była to dla ciebie łatwa decyzja. W każdym razie jeśli nie brać pod uwagę majątku, uważam, że panna Fitzgerald nadaje się na przyszłą hrabinę Adare dużo lepiej niż lady Blanche.

- Naprawdę, ojcze?! - zdumiał się Tyrell. - Chcesz powiedzieć, że wyrażasz zgodę na moje małżeństwo z Elizabeth?

Hrabia skinął głową.

- Uszczęśliwię twoją matkę, a poza tym, prawdę mówiąc, bardzo się o ciebie martwiłem przez te ostatnie miesiące.

Tyrell z wrażenia usiadł.

- Chyba już dawno pojąłem, że właśnie tak to się skończy - ciągnął hrabia.

- Po prostu nie chciałem tego przyjąć do wiadomości. Starzy ludzie bywają uparci - dodał z nutą ironii.

- Uparci? - powtórzył Tyrell. - Masz wyjątkowo otwarty umysł, ojczu. Dziękuję ci, bardzo dziękuję.

- Masz moje błogosławieństwo. Niezwłocznie też porozmawiam z Harringtonem.

Tyrell nie posiadał się ze zdumienia. Nie spodziewał się, że pójdzie mu tak łatwo.

- Nie pożałujesz tego - obiecał.

Lizzie przewracała się z boku na bok. Zamiast spać, przypominała sobie bez końca szczegóły wizyty w Harmon House: uśmiechy Neda, spojrzenia Tyrella, każde jego słowo. Zrozumiała też, że ograniczenie ich znajomości do ram przyjaźni może okazać się nierealne. Przyjaciele nie tęsknią do tego, aby wymieniać pieszczoty i pocałunki, a jednak była zdecydowana zrobić wszystko, aby wprowadzić to w życie.

Uświadomiła sobie, że przyjaciele muszą być wobec siebie uczciwi i lojalni, natomiast ją i Tyrella dzieliło kłamstwo. Nie była matką Neda, a on o tym nie wiedział. Obiecała Annie dochować sekretu, ale jeśli Tyrell kiedyś odkryje prawdę, może to ostatecznie zniszczyć ich znajomość, z takim trudem odnowioną.

Lizzie zerwała się z łóżka. Jeśli chce, aby pozostali przyjaciółmi, musi wszystko wyjawić.

Jeśli nawet Seagram był zdziwiony jej widokiem u drzwi Harmon House o wpół do ósmej rano, to nie dał tego po sobie poznać.

- Jego lordowska mość je śniadanie w bibliotece, panno Fitzgerald.

Powiem mu, że pani przyszła.

- Sama pójdę do lorda de Warenne do biblioteki, Seagram - odparła z uśmiechem.

Tyrell siedział w koszuli za biurkiem. Na jej widok natychmiast wstał i podszedł, by ją powitać.

- Elizabeth!

- Dzień dobry. Wiem, że to dziwna... Ujął ją za rękę.

- Co się stało?

- Nic złego. Muszę z tobą porozmawiać.

Zmierzył ją baczny spojrzeniem, lecz jej ręki nie puścił.

Wiedziała, że powinna ją cofnąć, ale była zbyt zmęczona, w każdym razie tak to sobie wytłumaczyła.

- Przynieś, proszę, herbatę, Seagram.

Tyrell starannie zamknął drzwi za kamerdynerem, a gdy się odwrócił, stwierdził, że Elizabeth nerwowo chodzi tam i z powrotem.

- Czy postanowiłaś mi oznajmić, że nigdy więcej się nie spotkamy?

Lizzie zatrzymała się gwałtownie.

- Nie! Co za nedorzecznosc! Podtrzymuję to, co powiedziałam. Bardzo zależy mi na naszej przyjaźni.

Nie wydawał się zadowolony.

- Czy dlatego tutaj przyszłaś?

- Muszę ci coś opowiedzieć.

- Dobrze więc. Zechcesz usiąść?

- Nie. - Splotła przed sobą dłonie. - Moja siostra, Anna, która jest teraz szczęśliwą mężatką, zawsze była dość lekkomyślna i niezwykle piękna. Na pewno ją znasz, była na kilku balach maskowych w Adare.

- Dlaczego mówimy o twojej siostrze? - zdziwił się Tyrell.

Lizzie zaczerpnęła tchu.

- Ona nikomu źle nie życzy, ale jest próżna i rozpuszczona. - Coraz szybciej wyrzucała z siebie słowa. - Mama spełniała każde jej życzenie, podobnie zresztą papa. Pewnie dlatego gdy dorosła, zawsze najpierw coś robiła, a dopiero potem myślała.

Tyrell przyglądał jej się z rosnącym zdumieniem.

- O czym mi opowiadasz, Elizabeth?

- W liście, który zostawiłam w Wicklowe, napisałam, że nie jestem prawdziwą matką Neda. Istnieje jednak powód, dla którego rok później pojawiłam się w Adare i podałam za matkę twojego syna.

- Elizabeth, ja nie dostałem tego listu, ale i tak już od pewnego czasu skłaniam się ku przypuszczeniu, że Ned został poczęty podczas balu w wigilię Wszystkich Świętych, a jego biologiczną matką jest kobieta, która nosiła twój kostium.

Lizzie skinęła głową.

- To była Anna.

Tyrell wydawał się zaszokowany.

- Zamierzałam przyjść na schadzke - tłumaczyła dalej Lizzie - ale Anna załała suknię ponczem i mama kazała jej iść do domu. Anna nie chciała tego zrobić i poprosiła mnie, żebyśmy zamieniły się na kostiumy, a ja na to przystałam. Patrzył na nią w osłupieniu. - Proszę, spróbuj mnie zrozumieć! Przysięgłam Annie, że nigdy nie wyjawię jej sekretu. Wiedziałam, że masz wszelkie prawo znać prawdę, ale przecież dałam jej słowo. Zamierzałyśmy znaleźć dla Neda jakiś porządny dom, lecz kiedy wzięłam go na ręce, poczułam, że nie mogę go nikomu oddać. Postanowiłam sama zostać jego matką i wiesz dobrze, że kocham go jak własne dziecko.

- Elizabeth! Ja nie miałem pojęcia, że to twoja siostra! Czekałem na ciebie i wpadłem we wściekłość, gdy przekonałem się, że do ogrodu przyszła zamiast ciebie inna kobieta. Zachowywała się bardzo śmiało. Dawała do zrozumienia, że z przyjemnością zaspokoi moje życzenia, a ja ze złości przyjąłem tę propozycję.

- Wiem, Anna mi opowiedziała, jak było. Nie byłeś jej pierwszym kochankiem.

- Nie byłem. - Ze zgrozą poczuł, że się czerwieni. - To straszne, ale przynajmniej nareszcie zrozumiałem, kogo przez cały ten czas osłaniałaś.

Lizzie wreszcie usiadła. Kamień spadł jej z serca.

- Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zły. W każdym razie o tym nikt nie może się dowiedzieć. Anna jest szczęśliwą żoną, a wkrótce zostanie matką. Musimy dbać o jej dobre imię.

- To prawda. - Mina Tyrella stopniowo łagodniała. - Zrobiłabyś wszystko, by chronić swoich bliskich, prawda? W tym wypadku Annę i Neda.

- Na tym polega miłość.

- Na tym polega poświęcenie i wielka odwaga - powiedział z uśmiechem.

- Myślisz, że nie zastanawiałem się nad tym, czemu poświęciłaś swoją reputację dla Neda?

- Z mojej strony to wcale nie było poświęcenie.

- Wiem. Odkryłem to, kiedy pierwszy raz byliśmy ze sobą. - Tyrell usiadł przy Lizzie i ujął jej dłonie.

- Nie rozumiem.

Widocznie ten ranek sprzyjał szczerym wyznaniom, bo przyszła kolej na Tyrella.

- Elizabeth, chyba masz mnie za głupca.

- W żadnym wypadku.

- Gdy znaleźliśmy się w łóżu, od razu wiedziałem, że przede mną nie było nikogo innego. Zrozumiałem więc, że podając się za jego matkę, kogoś osłaniasz. Nie domyśliłem się jednak, że chodzi o siostrę.

Lizzie spojrzała na niego zaskoczona.

- I nic nie powiedziałeś.

- Spodziewałem się, że z czasem wyjawisz prawdę. - Ostrożnie ją objął. - Jeszcze nie podziękowałem za wzięcie Neda pod opiekę, kiedy nie miał nikogo

innego na świecie. Przecież mogłaś oddać go do sierocińca. Poświęciłaś dla mojego syna swoje dobre imię. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Lizzie siedziała głęboko wzruszona wyrazami wdzięczności, ale wdzięczność to jednak nie miłość.

- Zaskarbiłaś sobie mój najwyższy podziw.

Bardzo chciała przytulić się do Tyrella, wiedziała jednak, że miałyby to nieuchronne następstwa.

Odsunęła się więc i wstała.

- Czuję się zaszczycona tą pochwałą, ale po prostu zrobiłam to, co do mnie należało - stwierdziła.

- Ned cię kocha - powiedział, patrząc jej w oczy.

Czar zadziałał z niezwykłą siłą. Lizzie nawet nie wiedziała, kiedy znalazła się w ramionach Tyrella.

- Chcę, żebyś na zawsze stała się częścią mojego życia, Elizabeth.

Kocham cię.

Wreszcie usłyszała upragnione słowa, ale przecież nie mogli znów zostać kochankami.

- Przestań - poprosiła.

Było jednak za późno. Tyrell zawładnął jej ustami, a ona zapomniała o całym świecie. Upajała się bliskością ukochanego. Szybko jednak przyszło opamiętanie. Nie mogła pozwolić, by wróciła przeszłość.

Wreszcie Tyrell oderwał się od jej ust i przykląkł.

- Wiem, Elizabeth, że zasługujesz na więcej, zawsze to wiedziałem.

- Co robisz? - spytała zdumiona.

- Oświadczam się - odrzekł z powagą i wyciągnął pierścionek z rubinem, otoczonym brylancikami. - Ten klejnot należał do mojej matki. Nikt inny go nie nosił. Czy poślubisz mnie, Elizabeth?

- Przecież jesteś zaręczony z Blanche!

- Zerwałem zaręczyny.

Pod Lizzie ugięły się kolana.

- To nie koniec - dodał Tyrell. - Nasz związek pobłogosławił mój ojciec. Wiem, że głęboko cię zraniłem, Elizabeth. Przysięgam jednak na Biblię i groby przodków, że nigdy więcej tego nie zrobię. Otoczę cię szacunkiem, opieką, miłością. Czy mnie poślubisz?

Lizzie zabrakło słów. Jej najbardziej szalone marzenia stawały się rzeczywistością. Czy naprawdę miała zostać żoną Tyrella? Wydała okrzyk radości.

- Czy to znaczy „tak”? - spytał. Lizzie zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Tak, tak, tak!

Tyrell czule ją pocałował, a gdy wsunął jej na palec pierścioneł, porwał ją na ręce i niosąc ku kanapie, szepnął jej prosto do ucha:

- Bardzo jestem dzisiaj niecierpliwy.

- Wiem, Tyrellu - odszepnęła. - Ja też nie mogę się doczekać.

Gorączkowo zaczęli zrywać z siebie ubrania, ale Tyrell nagle znieruchomiał.

- Kocham cię, Elizabeth - powiedział, a w jego oczach pojawił się szelmowski uśmiech. - Kocham cię, żono.

Tego było dla Lizzie za wiele. Cały świat zawirował i eksplodując, sypnął milionami iskier. Tyrell był już w niej i próbował dogonić ją na drodze do rozkoszy. Chwilę potem rozległ się jego okrzyk.

Lizzie pogłaskała go przez koszulę, a on przekręcił się na bok, aby ją przytulić. Dopiero teraz zauważyli, że kanapa jest dla nich dwojga zdecydowanie za wąska. Jednocześnie się roześmieli.

- Obawiam się, że zszedłem na psy jako kochanek. Chyba że lubisz krótkie schadzki. - Tyrell czule pocałował Lizzie w czoło. - Wynagrodzę ci to zawiązką, kiedy tylko będziesz chciała.

- Nigdy nie byłam szczęśliwsza - szepnęła, odchylając głowę, by zachęcić go do pocałunku. - A ty? Czy jesteś szczęśliwy?

- To mało powiedziane. - Spojrzał na nią tajemniczo. - Tobie się wydaje, że nie pamiętam, ale się mylisz.

- O czym mówisz? - spytała zaskoczona.

- O dniu, w którym wyciągnąłem cię z wody, kiedy byłaś małą, pulchną dziewczynką i wolałaś czytać książkę, niż bawić się w piratów.

- Pamiętasz to?

- Oczywiście. Ścigaliśmy się w piątkę. Miałem nowego konia i chciałem się popisać przed braćmi. Zgrzaliśmy się, więc postanowiliśmy poszukać ochłody w jeziorze. A nad jeziorem trwał akurat piknik. Od razu zwróciłem uwagę na pewną śliczną dziewczynkę niewiele większą od książki, którą trzymała. Spytałaś mnie potem, czy jestem księciem.

- Och, właśnie tego dnia się w tobie zakochałam. Miałam wtedy zaledwie dziesięć lat, ale w moich oczach byłeś najprawdziwszym księciem.

- Widywałem cię jeszcze wiele razy, w mieście i na naszych przyjęciach w dniu świętego Patryka, zawsze z książką. Aż wreszcie wtedy, gdy omal nie rozjechał cię powóz, a ja odciągnąłem cię na bok, zrozumiałem, że już nie jesteś dzieckiem. Okazało się, że trzymam w objęciach bardzo kuszącą kobietę.

Lizzie patrzyła na niego jak urzeczona. Ich losy splatały się od wielu lat, jakby byli sobie przeznaczeni. Intrygowało ją, jak potoczyłyby się ich historie, gdyby przyszła na schadzkię podczas maskarady. Nie sposób było jednak się tego dowiedzieć. Boże plany okazały się inne, a ich częścią był Ned.

- Płaczesz? - spytał Tyrell.

- To ze szczęścia - wyjaśniła Lizzie.

- Cieszę się, że przynajmniej raz za moją sprawą rozplakałaś się właśnie z radości. Kiedy chcesz wziąć ślub?

- Dzisiaj.

- A jeśli trochę później, to kiedy?

- Jak najszybciej. - Z wielką powagą wyciągnęła do niego rękę. Tyrell ucałował ją z równie poważną miną.

- Chcę, żebyśmy pobrali się w Adare, Elizabeth.

- Naturalnie. Kiedy jedziemy do domu?

- Ja mogę nawet dzisiaj.

W jednej chwili zapomniała o wszystkich przykrych chwilach, które musiała przeżyć, by doczekać tego dnia. Teraz myślała już tylko o uroczystości w rodowej siedzibie de Warenne'ów. Wiedziała, że prędzej czy później w korytarzach rezydencji rozlegną się głosy ich dzieci. A oni powtórzą los de Warenne'ów z minionych pokoleń, którzy żyli, kochali i umierali, za najwyższe wartości uznając honor, obowiązek i rodzinę.

- Chętnie pojedę do domu już dzisiaj - szepnęła Lizzie. - Prawdę mówiąc, nie mogę się tego doczekać.



POSŁOWIE

Lizzie i Tyrell pobrali się trzy tygodnie później w wielkiej sali w Adare. W uroczystości brała udział jedynie najbliższa rodzina, ale i tak radości i łzom nie było końca.

Tego dnia ciotka Eleanor ujawniła treść swojego testamentu. Georginie i Annie wyznaczyła niewielkie pensje, Rory'emu zapisała londyński dom przy Belgrave Square. Reszta jej olbrzymiego majątku miała przejść w ręce Lizzie, która w ten sposób za sprawą prostego podpisu stała się jedną z najzamożniejszych dziedziczek w kraju.

Georgie i Rory pobrali się latem w Raven Hall. Ślub okazał się bardziej okazały, niż zamierzyli państwo młodzi, na ceremonię zjechało bowiem prawie dwustu gości.

Jeszcze większym wydarzeniem w rodzinie były jednak narodziny pierwszego dziecka Lizzie i Tyrella. Ku bezgranicznemu zachwytowi rodziców, ich córka przyszła na świat wkrótce po nastaniu nowego roku 1816. Było to pierwsze z ich pięciorga dzieci.

